


DOMI NUS ILLU
MINA TIO MEA
Taylor Institution.


302820353Q

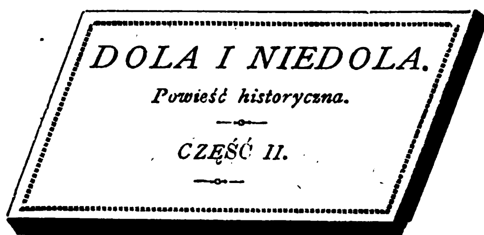
WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM III.

Wydawnictwo na korzyść Jubilata.

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki, Nr. 3.

1878.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Января 1878 г.

DOLA I NIEDOLA.

POWIEŚĆ

Z OSTATNICH LAT XVIII WIEKU.

Dokończenie.

Nazajutrz hrabina Adamowa wzięła najświeższy ekwipaż i najstaranniejsze ubranie od Łazarewiczowéj. Jadąc do swéj rywalki, chciała się też pokazać wesołą, świetną, młodą, dowieść, że małżeństwo nie przerobiło jéj na zadomowioną gosposię, ułożyć i twarz i umysł do swobodnéj rozmowy... Ów sławny policzek był już zupełnie zapomniany, przed sobą samą Krystyna tłómaczyła go uderzeniem, jak Talleyrand późniéj nazwał swój *soufflet*, *un fameux coup de poing*.

Julia wcale nie wystąpiła z przyjęciem dawnéj przyjaciołki, owszem pozostała umyślnie w rannem ubraniu; ale przyjaciele kasztelanowéj za wczasu wiedzieli o godzinie spotkania i głosili po mieście ową wizytę, a mnóztwo ciekawych gotowało się w téj porze meldować u drzwi hrabiny, aby widzieć powóz Krystyny własnemi oczyma i wyrzucić bilety. Staruszka starościna Z..., która miała być przytomna pierwszemu powitaniu, przybyła bardzo wcześnie, i oblizywała się już na samą myśl opowiadań, jakie miała z kolei wieczorem powtórzyć w kilku przyjaznych domach stolicy, i listów, które nazajutrz o tém należało

w świat wyprawić. Prowincya także musiała być zawiadomiona o ważnym wypadku.

O godzinie naznaczonéj, dwie panie, piękna Julia i starościna Z... siedziały w salonie uśmiechając się do siebie, gdy oznajmiono Krystynę. Po chwili weszła ona żywo, milcząco posuwając się do dawnéj przyjaciołki; potém rzuciła się ją ściskać gwałtownie, po dawnemu, konwulsyjnie prawie, nic jeszcze nie mówiąc... Odbywszy tę pierwszą scenę, usiadła zaczerwieniona i zmieszana nieco, a starościna, któréj język świerzbiał, chcąc niby dopomódz, rozpoczęła rzecz o pogodzie, o znakomitym Angliku, który bawił w Warszawie, o bonończyku hetmanowéj, co się był wściekł ze zbytku szczęścia i pokarmu... o rzeczach obojętnych.

Julia i Krystyna wmieszały się do rozmowy; pierwsze lody były przebite. Starościna mimo wielkiéj chęci pozostania, musiała myśleć o odwrocie; zabrała swój woreczek pełny cukierków od kaszlu, spazmów, mdłości i niestrawności, i rzuciwszy okiem ciekawém na współzawodniczki, wyjechała zostawiając je same.

Teraz dopiero obie strony poczuły nadchodzącą trudną chwilę: musiało przyjść do wywnętrzeń, do przykrych tłómaczeń, które tylko sam na sam wyrzeczone być mogły. Julia grała dziwnie szczęśliwie obojętność, tak ułudną, że nawet oko wprawnéj Krzysi nie mogło w tém odkryć fałszu i udania. Wolą potężną poskramiała w sobie uczucie, starała się pozostać i pozostała chłodną.

Po odjeździe starościny, Krystyna jeszcze raz rzuciła się na łono przyjaciołki, z wylaniem i skruchą.

— Daruj mnie! przebacz jemu! — rzekła prawie

szlochając, choć nie płakała. Samaś winna, tyś mnie na to naraziła, jam tak była nieszczęśliwa całe życie z moim poczciwym nieboszczykiem, uśmiechnęła mi się przyszłość, głowa zawróciła, serce owładło mną... Zdradziłam cię niegodnie... czuję, że gniew twój w pierwszéj chwili był słuszny: daruj mi, ja cię proszę jeśli chcesz na klęczkach, o przebaczenie, bądź wspaniałą.

— O! wszystko to zapomniane od dawna! odparła Julia z uśmiechem łagodnym. Ty wiesz, miłość nie może być nieśmiertelną, niestety! a zdradzona, jest jak głęboka rana, która jeśli nie zabije, to się zgoić musi... I ja cię proszę o przebaczenie za mój szał, za moją porywczość... wszystko to przeszło, zabliźniło się.

Wspomnienie zarumieniło lice Krystyny, bo było nowym policzkiem... Julia dokończyła:

— Ale powiedz mi Krzysiu, szczerze, otwarcie, jestżeś ty z nim szczęśliwa? jestżeś szczęśliwa?

Krystyna westchnęła.

— Ty inaczéj, ja inaczéj pojmowałam szczęście, innegom się spodziewała... Każdy ma to, czego pragnął, tworzy sobie czego pożądał. Twoje szczęście było w miłości niemożliwéj na ziemi, idealnéj, gwałtownéj, wyłącznéj, nie ludzkiéj; tobie potrzeba było anioła nie człowieka i uścisku, którýby trwał bez przerwy lat tysiąc... nie prawdaż?

— O! ja tak byłam śmieszna! sama to czuję! z goryczą odparła Julia.

— Widzisz! ja czego innego pragnęłam—kończyła pierwsza — ładnego, miłego, niegłupiego towarzysza w podróży, którýby mi był posłuszny i czynił co ja chcę, którýby mi przypadł do smaku, z któregobym

sobie sama urobiła idealnego tylko... *męża*... Różnica główna między nami, że ty szukałaś kochanka, ja tylko przyzwoitego małżonka. Adam się kształci i zostanie tém czém być powinien, czém chciałam, aby był... Miłość, moje życie, to kosztowna zabawka, którą się opłaca bolem serca i głowy: zawszem ją porównywała do pijaństwa, które jest także szałem miłym, ale nazajutrz staje się chorobą. Masz moje najszczersze tłómaczenie.

Przekład był widocznie *ad usum Delphini.*

— A ty? cóż porabiasz? co myślisz? dodała Krystyna po chwili — ty? nie zechcesz że mi się wyspowiadać szczerze?

— A! ja—odpowiedziała Julia zawahawszy się nieco—widzisz sama, ostygłam, upojenie przeszło, wstąpiłam w tę epokę życia, w któréj z siwym włosem na skroni i rozum nareszcie przychodzi... Bawię się... a im więcéj się bawię, tém mi nudniéj... Kochać już nie myślę.

— A! kochać się nie ma potrzeby, ale durzyć tych naszych dudków, to rzecz zabawna... Każdemu z nich się zdaje *qu'il est irresistible.* O! co za pocieszne istoty! Spojrzy która z nas na nich przypadkiem, wyobrażają sobie, że bez nich żyć nie możemy... Jużciż to zabawne...

— A! moja droga—odpowiedziała Julia—to zabawka zużyta... tyle lat już się niemi ciągle bawimy... to już wzbudza litość, nie rozrywa...

— Wybrałaś się, słyszę do Warszawy, z zamiarem świetnego przepędzenia czasu... przyjmujesz często?

— A! cóż mam robić! przecięż życie czémś zająć potrzeba...

Julia mówiła to wszystko tak naturalnie, tak naiwnie, że Krystyna nie odkryła w niéj ani śladu namiętności, ani odrobiny bolesnych wspomnień, któreby jéj domowe życie zakłócić mogły.

Przyjaźń dawniejsza dwóch towarzyszek młodości zdawała się powracać, ostudzona nieco przygodami życia, ale bez goryczy, jaką w nią wlało gwałtowne owo zerwanie.

— Nie widziałaś Adama—odezwała się Krystyna, umyślnie sama dotykając znowu drażliwego przedmiotu.

— O! nie—dotąd... i nie sądzę...

— Owszem, mówiłam mu, potrzeba, żeby był u was.

— Jak chcecie... szepnęła Julia; sądzę, że mogę go widzieć bez gniewu i bez uczucia.

— Ukłoni ci się choć z daleka.

Julia umilkła.

— Zmienił się trochę, dodała Krystyna: utył, wypełniał, zmężniał, i choć nie zbrzydł, ale powiedziałabym, że się stał trochę pospolitym. Wygląda przyzwoicie, ale nie jest to już ów Cherubin młodziuchny.

Zaciąwszy usta, kasztelanowa nie odpowiadała nic; czuła, że Krystyna oddaje jéj wspomnienie odebranego policzka.

Ale pani starościna była nadzwyczaj czułą, posądzić ją jawnie o to nie było podobna. Zbliżyła się do Julii, chwyciła ją za ręce, ściskała, potrafiła nawet, co jéj czasem przychodziło z łatwością, zapłakać troszeczkę, dodając na rozstaniu:

— Więc zgoda, więc pokój między paniami chrześciańskiemi! Nie miéj do mnie w sercu żalu.

— Zgoda, pokój i zapomnienie uraz, moja Krzysiu.

Po nowych pocałunkach, w których ze strony Julii było wiele wstrzemięźliwości, rozstały się nareszcie, obie rade, że się widziały. Po stolicy pani de Rive, starościna Z... i inne panie woziły tego wieczoru wieść pocieszającą o zgodzie rywalek; a król, któremu Węgierski powiedział z przekąsem, że ranę zadaną przez policzek zagojono pocałunkiem, odparł tajemniczo, kiwając głową:

— Nie wierzę w zgody kobiece i łatane trzewiki.

Posłuszny rozkazom żony, zameldował się hr. Adam do kasztelana... Nie przyjęto jednak pana starosty. Poszedł z kolei do drzwi hrabiny Julii. Gdy jéj imię jego przyniesiono, Julia zbladłszy nieco, kazała go prosić.

Na szczęście nikogo nie było w salonie, gdyż mimo wysiłku drżała jak liść, a gdy wszedł, potrzebowała całéj mocy nad sobą, by się ku niemu nie rzucić.

Adam wstąpił na próg chłodny, bynajmniéj niezmieszany; ale gdy dotknął jéj ręki, jakby iskra elektryczna przebiegła strumieniem całą krew jego, uczuł się wzruszonym, niespokojnym, upokorzonym.

Usiadł, spojrzał nieśmiało na nią; a twarz ta, pierwsza twarz co mu się uśmiechnęła w życiu uczuciem nieznaném, usta, których słodycz była pierwszą odkrytą tajemnicą jego młodości, wydały mu się dziwnie urocze.

Jakiś wyraz spokojnéj, ale silnéj namiętności gorzał na téj posągowéj twarzy, jak gdyby w marmurowém wnętrzu bogini greckiéj ukryto lampę zapaloną. Pytanie tych dwojga oczu zwilżonych łzą, sięgnęło wyrzutem do głębi jego duszy.

Julia długi czas milczała, potém na powiekach jéj ta łza ukrywana błysła i znikła połknięta.

Ona jedna byłaby ją zdradziła, ale Adam jéj nie postrzegł.

— Powiedz mi—rzekła po chwili—ja o nic innego spytać cię nie umiem: jestżeś szczęśliwy?

Jak wystrzał pytanie to uderzyło w jego piersi.

— Kiedyż człowiek może się nazwać szczęśliwym? odparł zmieszany.

— Szczęśliwszym więc tylko, powiedz, czy jesteś dzisiaj niż byłeś wczoraj?

— Wczoraj byłem rozmarzony, a dziś jestem chłodny.

Julii usta otworzyły się jeszcze jednêm pytaniem i zamknęły się nie wypowiedziawszy go. Spuściła głowę, walczyła z sobą widocznie; potém załamała ręce i zawołała:

— Adamie! nic nie pomogło, nawet zdrada, nawet chłód twój, ja cię jeszcze kocham... Tak, kocham, jak pierwszego dnia, mocniéj może, ale to miłość inna: ja nic nie pragnę, nawet cię widzieć, ani serca twojego, ani od ciebie słowa... Kochać muszę, to fatalność! Mówię ci to, abyś wiedział, żem ci przebaczyła wszystko, że kiedykolwiek w życiu możesz potrzebować pomocy, opieki, pociechy, jam zawsze twoją sługą i niewolnicą... O! każ mi służyć sobie.

I załamała ręce biedna.

— Chociażby umrzeć dla ciebie, odepchnięta i zapomniana... A teraz... idź! ja muszę się wypłakać!

Adam, jakkolwiek istota bez serca, poczuł, że w nim gwałtowniejsze wzbierało uczucie; była to tylko chwila, bo w ludziach takich nigdy ono nie przechodzi granic błyskotliwego zjawiska. Skinęła ręką, aby się oddalił, i wyszedł z pokoju, nie pożegnawszy jéj nawet.

Gdyby go w téj chwili była zobaczyła żona, odkry-

łaby pewnie z twarzy niezwyczajny stan jego duszy; ale Adam już na wschodach ostygł zupełnie, a gdy siadł do powozu, znaku na nim nie zostało, że na mgnienie oka był człowiekiem. Zamyślił się i rzekł w duszy:

— Biedna kobieta! jak ona kochać umie! Ale bądź co bądź, nie mogę u niéj bywać: nie miałbym pokoju w domu!

Do szarego zaledwie końca postępowego stronnictwa mógł się liczyć Adam. Wolałby on był to, co mu się zdawało jaśniejsze i czystsze, ale nie był pewien gdzie jest światło, a gdzie są ciemności. Młodość wiodła go tam, gdzie cieplej było i żywiéj, ale nieraz sam się chwytał na zwątpieniu, gdy pobył w towarzystwie przeciwników. W głowie i sercu tego człowieka nie było jasno.

Stronnictwo zachowawcze składało się z ludzi, którzy niedaleko widzieli, dbali o swój interes przedewszystkiém, a argumentem ich stanowczym było, że po staremu wygodniéj i spokojniéj.

Adam raz zaciągnąwszy się w szeregi, dosyć gorliwie pełnił swe obowiązki redaktora i tłómacza, ale nie miał roli czynnéj i nie pożądał jéj; zbyt głęboko nie chciał się zapuszczać, zawsze mając na myśli, że w ostateczności niefortunnéj wycofać się jeszcze może.....

Dom, jakeśmy wspominali, podzielił się na dwie role: sama pani była za starym porządkiem, mąż trzymał z reformatorami. Przez niego ona wiedziała wszystko, co się działo w obozie przeciwników; przez nią on rzadko

mógł się czegoś ważniejszego dowiedzieć. Nie miał też potrzeby ani ochoty bardzo śledzić, bo był dosyć obojętny.

Wieczorami zbierali się u niego niekiedy Ignacy Potocki, Niemcewicz, kilku ludzi wydatniejszych stronnictwa postępowego, towarzystwo męzkie, do którego nieznacznie, nie wiedzieć jak, przymieszał się od niebardzo dawna zjawiony w stolicy jegomość, zwany pospolicie *le petit Poucet*, a po polsku *Malutą*.

Była to figurynka oryginalna, jakich jeszcze czas ten dosyć wydawał, bo dziś wyczerpany wiek nie rodzi już nic nadzwyczajnego. Każdy się jak najusilniéj stara, aby się pozbyć charakteru, jaki mu nadała natura: tylko piszący pragną oryginalności i gonią za nią, nigdy jéj nie mogąc dosięgnąć, dla tego, że sobą być nie umieją, a cudzego charakteru pożyczyć niepodobna, zawsze w nim za szeroko lub za wązko.

Tak zwany Maluta, w istocie mianował się Floryanem z Brenderowa Toczylskim, ale o nazwisku jego ledwo kto wiedział. Tytułowano go pospolicie skarbnikowiczem; jedni oznaczali go przezwiskiem, drudzy tą spadkową godnością, zwykle poufali wabili go na pana Floryana Malutę; on sam się tak niekiedy podpisywał. Potulniejszego człowieka świat chyba nie widział.

Maleńki, ale mocno wyprężony i wyprostowany jak kijek, suchy, kościsty, z głową do góry podniesioną, ubierał się po francuzku, a trzewiki miał na bardzo wysokich korkach, gdyż przy wzroście olbrzymim innych obywateli Rzeczypospolitéj, nierzadkim w wielu rodzinach, mniemał się być upokorzonym swą małością. Hetman polny czasem mu groził, że go hajdukowi swemu każe schować do kieszeni. Twarz Maluty była

za długa w stosunku do jego postawy, co czyniło, że widziany za stołem, przy bardzo krótkich nóżkach, gdy usiadł, wydawał się dużym mężczyzną, a gdy wstał, niknął prawie. Chcąc się podwyższyć, tak jak korki u trzewików niepomierne, i fryzurę też nosił nadzwyczaj wysoką i napiętrzoną, tak, że głowa prawie połowę całéj figury wynosiła. Ubierał się najczęściéj stalowo, perłowo, papuzio, ale skromnie i czysto. Co zacz był i zkąd, o tém dobrze nikt nie wiedział; nawet obliczając się ściśle, trudno było dojść, kto go i kiedy w towarzystwo wprowadził i do chrztu wielkiego świata trzymał. Ale Maluta bywał wszędzie, widywano go ciągle, wiódł życie czynne, a że był bardzo usłużny, znosili go wszyscy, czasem nawet używali do niektórych delikatnych facyend. Mówiono, że pan Floryan był rodem z Warmii, choć jego rodziny nikt tam nie znał, a on wszystkich prowincyj kolligacye, stosunki, familie, majątki doskonale wyliczał, tak, że domyślać się było można, iż w każdéj z nich długo żył i przebywać musiał. Na horyzoncie stolicy pokazywał się i znikał nie wiedzieć dla czego, w różnych epokach. Nie bywało go czasem po kilka miesięcy, potém jednego białego poranku przychodził nie mówiąc zkąd, i znowu kręcił się w tłumie.

Stan kieszeni równie jak opinie Maluty były tajemnicą: jak z razu Adam, tak on ciągle równie był dobrze ze wszystkimi. Uderzało jednak szczególniéj, że przyjmowany był w pałacach ambassadorów, u cudzoziemców równie mile jak u swoich, kręcił się tam nawet w niezwyczajne dnia godziny. Mówił doskonale po niemiecku, po francuzku bardzo dobrze, choć z akcentem dowodzącym, że się tego języka sam wyuczył, nieźle po włosku, *expeditę* po łacinie, a niczego po-

polsku. Nie był wcale uczony, i nie miał pretensyi do literatury; przecięż obeznany był z nią do tyla, że w towarzystwie uczonych nie był obcy rzeczy i nie nudził się. Chodził przed nimi z trybularzem, a przed kobietami nawet staremi i brzydkiemi klękał w nieustającéj adoracyi. To mogło mu wiele dróg w życiu utrzeć, wiele ułatwić pochodów. Pochlebstwo w ogóle nic go nie kosztowało, a szło mu z ust nawet w bardzo przesadnéj formie tak łatwo, że się nigdy ani zarumienił, ani zająknął, gdy najpotworniejsze wyrzec było potrzeba. Naówczas dosyć szerokie usta jego uśmiechały się dziwnie, a potém nagle zaciśnięte, przybierały wyraz sarkastyczny. Często kadzidło to, którém obdzielał, szło tak gęstemi kłębami, że się od niego delikatniejsi dusili: można je było poczytać za szyderstwo, ale posądzić Maluty o nie nikt nie miał prawa, bo nadto był potulny.

Pan Floryan grał *arte* we wszystkie gry, był trochę muzyk, i znał się nieco na malarstwie. Jednym z przymiotów jego było, że o wszystkiém wiedział, a o niczém nigdy nie mówił głośno i zbytecznie. Poznać było można tę świadomość wszystkiego po uśmiechu, z jakim słuchał tego, co dla innych za nowinę uchodziło, czasem rzucając tylko słówko, które odsłaniało nagle, że lepiéj był uwiadomiony od tych, co sądzili, że są uwiadomieni najlepiéj. Nowinek jednak nie miał zwyczaju obnosić nigdy, a w ogóle rozmowa jego ograniczała się na zręcznie zlepianych oklepankach. Od niego nikt się nigdy nic nie dowiedział. Maluta nikomu nie zaprzeczał, niczemu się nie dziwował, a przesuwał się tym światem jakby z myślą tylko, aby o nikogo nie zawadzić. Gniew zdawał się być przeciwny jego naturze.

Słuchał z przedziwnym talentem. Przekonywano się nieraz, że rozmawiając z kimś żywo, był w stanie odpowiadać przytomnie i razem trzem innym rozmowom się przysłuchywać, tak, że nic z nich nie tracił. Ucho było w nim organem do podziwienia wykształconym; ale z tego chluby nie szukał.

Lubił widać towarzystwo, gdyż największém zadaniem dla niego było wszędzie się wśrubować nieznacznie i uzyskać w salonie prawo obywatelstwa. Jaki był zresztą cel jego życia i pobytu w mieście, nikt się tak dalece nie troszczył.

Stał skromnie w hotelu na Tłómackiém, a raz jakiś ciekawy odwiedzający, docisnąwszy się do niego, widział tylko ubogi sprzęt i mnóztwo jakichś kopert i papierów porozrzucanych. Wnoszono ztąd, że mógł mieć jakiś proces i do czynienia z prawem; bo papiery te na żadną literaturę nie wyglądały, a książki prócz kalendarzyka politycznego, nie miał w majątku.

Maluta od dawna był znajomy hrabinie, obchodziła się ona z nim jako z człowiekiem niemającym żadnego znaczenia, jak z zerem stojącém po za cyframi społecznemi. Za przybyciem jéj do Warszawy był u niéj parę razy, ale od niejakiego czasu począł pilnie dotrzymywać kroku Adamowi, i tak się jakoś dziwnie złożyło, że stał się u niego bardzo częstym gościem. Wkupić się w łaski człowieka, który dworaków był pozbawiony, a pochlebstw mało w życiu kosztował, nadzwyczaj było łatwo: kadzidło jeszcze nie tknęło tego dziewiczego nosa i smakować musiało. Maluta zaczął od tego, że mu zakadził od razu obficie, a choć Adam przyjął to rzucenie trybularzem na pozór obojętnie, poczuł późniéj, że ta błoga woń przyjemne na nim czyniła wrażenie.

Przy pierwszéj niemal znajomości, pan Floryan zaraz mu powiedział, że przeczuwa w nim męża do wielkich predestynowanego przeznaczeń, któremu zaszczyty jak deszcz z nieba same spadać muszą... Adam w to sam tak wierzył, a tak mało o tém od drugich słyszał, że mu się trafność téj myśli, wypowiedzianéj tak szczerze, bardzo podobała. Tą szparą zręcznie zrobioną wcisnął mu się Maluta, jeżeli nie aż do serca, które było szczelnie zalutowane na głucho, to przynajmniéj do szczególnych jego względów.

Osobliwym też był wielbicielem przymiotów pana Adama, na które inni jak na rzecz dosyć pospolitą patrzali; a przylgnął tak do niego, że się stał u niego prawie domowym. Każdy pragnie i potrzebuje mieć dworaków; pan Adam, który sam dotąd tę funkcyę pełnił przy drugich, zapragnął też mieć swojego. Maluta się nadał, i został mianowany pochlebcą honorowym starosty.

Czasem przynosił mu jaką ostrożnie uwiniętą nadgniłą nowinkę, bo świeżéj nigdy przed innymi nie głosił, aby na niego nie spadła; czasem mu przyklaskiwał zręcznie i podnosił co tamten powiedział. Zawsze wielbił i padał przed p. Adamem.

W czasie gdy przyjaciele zbierali się do niego, Maluta zawsze się umiał wcisnąć i być choć z kątka przytomny ich naradom, do których się zresztą wcale nie mieszał. A że w Warszawie przywykli go byli widzieć wszędzie, gdzie go nie proszono, nie bardzo na niego zważano, że i tu z ziemi wyrastał.

Trwało to czas dosyć długi, i miało też pozór taki, jakby ten mały człowieczek owego wielkiego człowieka bliżéj badał i chciał poznać. Potém jednego rana, przeciwko zwyczajowi, Maluta przyszedł *au petit lever*,

ze swą wiekuiście wesołą miną, a zastawszy hrabiego jeszcze w łóżku, przysunął się z krzesłem do niego. Odwiedziny były tak niezwykłe, że Adam posądził go o chętkę pożyczenia pieniędzy.

— Cóż cię to, mój panie Floryanie, tak rano do mnie sprowadza? zapytał go zdziwiony.

— O! starosto! łaskawco! nic! nic! tylko zawsze jedno moje stałe uwielbienie dla ciebie! Pozwalasz mi bywać u siebie i napawać się drogiém twém dla mnie towarzystwem, ale tu zawsze pełno ludzi u ciebie, rad jestem czasem znaleźć chwilę swobodniejszą, by się ucieszyć jego rozmową.

— Napijesz się czego ze mną? kawy?

— Choćby smoły! odrzekł dworak.

— Co tam słychać?

— Cisza przed burzą—odparł tajemniczo kładnąc palec na ustach Maluta. Zresztą ja nic nie wiem.... pan starosta lepiéj odemnie musisz być zawiadomiony.

— Ja? myślisz—westchnął pan Adam, który czuł, że mu niewiele powierzano tajemnic, i że go pozostawiano nieco w tyle, używając go tylko za wygodne narzędzie;—ale ja prawie nic nigdy nie wiem.

— A komuż już wiedzieć, szanowny, drogi panie! rzekł pochlebca:—któż godniejszy, aby był wtajemniczony? Z pańskiemi talentami! Mój Boże! kogoż oni mają, coby był zdolniejszy?...

Adam poniekąd był tego samego zdania, ale rzekł uśmiechając się:

— Ja tam nie mam tak dalece do niczego pretensyi....

— I to właśnie źle! odpowiedział gorąco Maluta: źle pan czynisz.... Pozwól sobie szczerze i otwarcie

powiedzieć, jako prawdziwemu swemu wielbicielowi: to jest właśnie wadą jedyną w panu staroście, ta skromność zbyteczna, ta pokora, rzekłbym, występna! Bo cóż? dodał rozgrzewając się—kogo widzimy w koło? ludzi zapewne bardzo zacnych, ale którzy połowy, ćwierci, tysiącznéj części jego talentów nie mają, a przecięż grać chcą jakąś rolę! Nikogo nie wymieniam, ale proszę mi przyznać, ot tak, bijąc się w piersi, nie takież jest położenie?

Pan Adam znajdował również, iż położenie jest zupełnie takie, jak je określa Maluta; dziwił się wszakże, iż on je tak doskonale i jasno pojmuje.

— No... jest to tak po części—rzekł—ale ja nie chcę iść przebojem.

— A w życiu idzie się tylko przebojem, odpowiedział mały. Ludzie naciskają, trzeba ich łokciami rozpierać i przeciskać się... Gdyśmy już na tę rozmowę weszli—dorzucił—niechże zrzucę z serca ciężar całkowity: pozwól mi się wygadać szanowny starosto, wszak nie poczytasz mi tego za złe?

— Proszę cię, wszak mnie znasz, rzekł p. Adam.

— Powiem, powiem już co mi ciąży—oglądając się ostrożnie i przysuwając z krzesłem do łóżka, a głos zniżając począł Maluta. Pan nie stoisz na właściwém stanowisku, powinieneś zająć inne; tak być nie może... trzeba myśleć o przyszłości, wziąć to, co panu z prawa należy! Tak! tak! Pan nawet życia nie używasz wcale, zadawalasz się zbyt małém... Nadto lubisz spokojność i zacisze domowe; wielkim ludziom to nie przystoi...

— Cóżbyś ty mi radził począć? rzekł na pół śmiejąc się pan Adam.

— A! czyż jabym tobie panie śmiał doradzać?

zaprotestował Maluta. Starosta wiesz najlepiéj co masz do czynienia, ja ubolewam tylko... Pan się zamęczasz, zanudzasz, a dajesz się wszystkim wyprzedzać: jest to abnegacya osobliwsza!

— Mówże jaśniéj, panie Floryanie.

Maluta wił się i kręcił, jeżył czuprynę, stękał, ruszał się, ale ostatecznie nie chciał wyjawić czego żąda; chodził tylko ostrożnie naokoło.

— Ja dalipan kochanego starosty nie rozumiem.... dodał po chwilce namysłu z uśmiechem ekstatycznym. Każdy człowiek czémś przecię żyje: jeden lubi jeść, je, drugi pić, to pije, ów zbiera pieniądze, inny się zalcca pięknym paniom i szczęśliwy, gdy mu się buziak różowy uśmiechnie, a naostatek są co się uganiają za urzędami i zyskują je. Ale czémże pan żyjesz?

Adam uśmiechnął się, ale i westchnął zarazem; w istocie życie jego wydało mu się blade i bezbarwne.

— Lada chłystek, lada szlachetka—mówił Maluta— wiedzie życie znośniejsze od pańskiego. Siedzisz starosto zamknięty jak w klasztorze, zamurowany, pracujesz dla drugich, *sic vos non vobis*... nikt nie wie o tém, młodość się marnuje i talenta.

Adam czuł, że szatan własnemi jego myślami mówi do niego i kusi go.

— Ale cóż chcesz bym czynił? odezwał się. Waćpan, panie Floryanie, nie znasz tak dobrze mojego położenia.

Mały spojrzał na niego, ruszył ramionami i uśmiechnął się tylko.

— No, może go i nie znam—rzekł—ale co mi do tego. Jeśli się co niedyskretnego powiedziało, to wierz starosto, że z życzliwości.

Pokręcił się trochę po pokoju, zanócił coś po cichu,

siadł znowu na krześle przy łóżku, i szepnął, ale bardzo ostrożnie:

— Co pan robisz wieczorem?

— A cóż? powróciwszy od kasztelanowéj krakowskiéj, położę się spać i będę spał.

— O któréj?

— O północy.

— No, widzisz pan! któż w pańskim wieku idzie spać o téj porze?

— A! stary szaławiło! rozśmiał się starosta: chcesz mnie zaprządz do takiego życia, jakie prowadzi hetman... kasztelan... i inni, wiesz kto?...

— Wszyscy oprócz was! szybko przerwał Maluta. Maszże pan uczyniony chyba ślub jaki?.. bo to zakrawa na śmieszność.

— O! ślubów żadnych! rzekł Adam.

— Czybyś się hrabia obawiał czego? dodał Maluta, rzucając do koła wzrokiem, i zamilkł.

— Ale cóż znowu! nikogo!

— Więc w imieniu przyjaciela mojego komandora, mogę poprosić hrabiego dzisiaj na kolacyjkę do niego? Albo nie... on sam prosić cię będzie, a hrabia przyjmiesz, spodziewam się zaprosiny.

Adam się zawahał. Chętnieby był wszedł w trochę weselsze i szaleńsze towarzystwo; myślał, że toby mu nawet w stosunkach nie zawadziło, ale trochę się lękał, powiedzmy po prawdzie, żony. Spytać się jéj nie wypadało, i był pewien, żeby się sprzeciwiła; nie pytać wcale, było to rozpocząć z nią wojnę. Nie wiedział co począć.

Maluta zdając się odgadywać tę walkę, kręcił głową.

— Ja to rozumiem,—rzekł,—że kto przywykł do tak porządnego, regularnego życia domowego, temu

z niego wynijść trudno. To prawda! wstyd nawet własnego dworu, nałożonego do tego klasztornego porządku. Ależ, mój hrabio, prędzéj czy późniéj, to się skończyć musi...

— Ha! odparł starosta po namyśle, dla czegożbym nie miał być u komandora, jeśli mnie prosić będzie? Więc mnie on sam zaprosi?

— No! naturalnie!

— Długo tam posiedzimy?

— Nie! rzekł śmiejąc się Maluta, najwyżéj półtora lub dwa dni.

— Jak to? żartujesz!

— Nie! na to potrzeba się przygotować... Trwają u niego czasem uczty po czterdzieści ośm godzin.

— Ale ja go tak mało znam... ledwie z widzenia i z daleka.

— To nic! chcesz, żebym ci go trochę odmalował? spytał Maluta.

— Nadto jesteś grzeczny, nie możesz być dobrym malarzem—rzekł śmiejąc się starosta.

— Otoż dam panu dowód, że czasem bywam do zbytku otwarty—dodał Maluta. Ja pana starostę drogiego tak kocham, tak szanuję, tak uwielbiam, że dla niego gotów jestem wyjść z obyczaju dyskrecyi, która mi służy za prawidło życia.... Znasz pan komandora zapewne tylko z tego, żeś go może widywał na pokojach królewskich, w jego pysznym mundurze maltańskim, z jego pierścieniami na palcach, brylantami u koszuli i trzewików, dyamentami w guzikach, szmaragdami u szpady i kapelusza... i kieszeniami wyzłacanemi. Cóż na to powiesz? ten tak dziś jaśniejący klejnotami człowiek, wyjechał a raczéj wyszedł z rodzicielskiego domu przed laty kilkunastu, nie ma-

jąc nic w kieszeni nad parę dukatów zawiniętych w papierku i dużo w głowie.... Jako sekretarz jednego z naszych magnatów, dostał się za granicę... i—utonął tam gdzieś jak w morzu... Co się z nim działo przez te lata, jest i pozostanie na długie wieki niezbadaną tajemnicą... Po tych leciech próby, nowicyatu zapewne ciężkiego: zjawia się nam napowrot komandorem maltańskim, kawalerem orderu Św. Ludwika, Św. Huberta, Św. Jana Jerozolimskiego, i nie wiem jeszcze ilu.... a co lepsza i starym krezusem. Co mu usłało drogę do zaszczytów, do bogactw, nikt nie wie; ale nie cięży na nim żaden zarzut nieuczciwy, jest odważny, *galant homme*, prowadzi życie wspaniałe... Nieżonaty, swobodny, dowcipny, przyjemny wszystkim, przyjmuje u siebie jak nikt... Mamyż pytać o co więcéj? Grywa z samym królem, panowie zjadają jego ostrygi i spijają wina, ktore sprowadza wprost z zagranicy.... Teraz dorzucę—rzekł po cichu Maluta,—że wszystko co starosta mogłeś słyszeć o jego kolacyjkach sybaryckich, słabe tylko o nich daje wyobrażenie. Jest to zbytek, gust wytworny, rozkosz nieporównana, łechcąca wszystkie zmysły zarazem.... Honory domu robi po części sławna piękność, kochanka krezusa, Włoszka Leonina Tantolini, którą Tepper młody chciał od niego na wagę złota odkupić, ale poszedł z kwitkiem... Widziałeś ją pan może w teatrze?

— Tak jest... z daleka.

— Podobała się panu?

— Wcale ładna kobieta.

— A! Włoszka panie.... szatan z aniołem w moździerzu utarty i odlany w formie greckiego posągu, pompejańskiéj tancerki... Zobaczysz ją pan z blizka... Śpiewa, mrowie przechodzi po ciele.... Więc muzyka,

wieczerza Lukulla, wina cudowne, gra o kupy złota, towarzystwo niewymuszone, swobodne... Raj, panie! istny raj!

Adamowi oczy zapłonęły. Maluta mówił daléj:

— Wiem, iż pan po spartańsku żyjesz i mało cenisz te rozkosze zmysłowe; lecz dla czegożby nie zajrzeć tam, nie przekonać się, co to jest, choćby dla ciekawości poznania świata... boć to ciekawe za katy!..

— Panie Floryanie, pan mnie bałamucisz! rozśmiał się starosta ściskając go.

— Oho! takżebym się wybrał kusić anachoretę! No? ale zgoda na ten wieczór?

— A no! zgoda! zobaczymy co to jest!

— Komandor sam pana poprosi dzisiaj, bo sobie życzy zbliżyć się ze starostą, i wysoce go szacuje... Ale słowo, że mu już pan w żaden sposób nie odmówisz? Będą tam naszego towarzystwa najwybrańsze znakomitości... Pomnij pan — szepnął ciszéj kusiciel,— że na bok odłożywszy przyjemności spędzenia kilku godzin w tak miłém gronie, są i inne korzyści... Nigdzie jak przy dobrém winie, jadle i wesołém kółku, nie robią się stosunki ściślejsze z ludźmi... Tu się ich poznaje, tu się ich pozyskuje.. tu się z nimi wiąże wiekuiście! A stosunki są wielce potrzebne: to darmo! zakończył pan Floryan w sposobie korollaryum.

— Sądzisz, że mi się to do czego przydać może? spytał starosta.

— Zawierz mi pan—szepnął pochlebca—i przyjm od lichego robaczka jeszcze jedną przestrogę, jeśli się godzi, bym ja panu śmiał ją dawać. Ale pan starosta jesteś nazbyt skromny, nieśmiały, za mało się cenisz. Potrzeba z góry trochę obchodzić się z ludźmi, aby u nich nabrać wartości. Kto staje ostatni w szeregu,

tego i z pośledniego stanowiska spędzą w końcu.... Trzeba samemu zdobyć sobie pierwsze... Ale już dosyć; mądréj głowie dość na słowie.

Hrabia zaczął się śmiać. W ogóle cała ta dziwna, urywana rozmowa mocno w pamięci jego utkwiła. Maluta nigdy z nim jeszcze nie był tak szczery, nigdy go tak nie ujął... Ścisnął jego rękę, i przyrzekł do przyjacielskich rad się zastosować.

W południe zjawił się rzeczywiście sam komandor, i uprzejmie prosił na skromną kolacyjkę kawalerską. Hrabia przyjął go nader grzecznie; ten nie umiał mu się oddziękować za zaszczyt, i wyszedł z oświadczeniami niesłychanéj wdzięczności.

Pomyślawszy jednak, uznał pan Adam potrzebę napomknienia o tém żonie. Dał jéj znać, że się z nią widzieć pragnie, gdyż bez tego obrzędu i proszenia o audyencyę, nie był przypuszczany do oblicza Junony.

Dano mu łaskawie żądane posłuchanie.

Znalazł ją przy biurku zajętą korrespondencyą, bo starościna należała do tych pań Stanisławowskich czasów, które ogromnie pisały, niewiele troszcząc się o ortografię. Krystyna była chmurna, a na piękném jéj czole dwie fałdy świadczyły o głębokich jakichś zamysłach.

— A! to ty? czegoż chcesz? spytała głaszcząc go pod brodę jak dużego dzieciaka, gdy ją z uszanowaniem w rękę całował... Nie śmiał bowiem na twarzy jéj złożyć pocałunku, póki mu nie powiedziała: „Pocałujże mnie!“ Trafiało się to tylko, gdy była bardzo z niego kontenta.

— Chciałem ci tylko dać dzień dobry; teraz tak mało się widujemy.

— Pochlebco! niby ci tak tęskno?

— Jestem zazdrosny, wszyscy cię więcéj widzą nademnie.

— No, mów; czuję, że to jakaś przedmowa, że ta słodycz na wierzchu kryje w sobie jakieś śmiałe żądanie lub prośbę o przebaczenie... Cożeś zgrzeszył? spowiadaj się, czego odemnie potrzebujesz, okupując to wcześnie pochlebstwy? Mów!

Hrabia zagryzł usta i zamilkł: czuł się upokorzony, będąc tak dobrze odgadnięty.

— Mylisz się, rzekł zimno: nic nie zawiniłem i o nic nie myślę cię prosić. Przyszedłem tylko zobaczyć jak się masz... i odchodzę.

Krystyna przeczuła, że za daleko poszła i była niegrzeczną.

— No! rzekła: nie bądź dzieckiem, nie gniewaj się!

— Nawet się nie gniewam—odparł Adam poprawiając mankietki i uśmiechając się niby wesoło.

Zamilkli oboje, ale Krzysia patrzała na niego bacznie; nie była zadowolona z jego fizyognomii: lekki wyraz przepowiadający chętkę emancypacyi był już na tém licu, do którego pokory i uległości była przywykła....

— Cóż robisz z sobą? spytała.

— Sam nie wiem.... rzekł obojętnie.

— Jesteś gdzie wieczorem?

— No! u kasztelanowéj krakowskiéj, a potém może u komandora na kolacyi.

— I mówisz mi, żeś nie zgrzeszył! zawołała porywczo kobieta. Filucie! robisz tak jak ten wieśniak, który od księdza brał za wczasu absolucyę za grzech, jakiego dopiero miał zamiar się dopuścić.

— Jaki grzech?

— Wieszże co to są kolacye u komandora?

— No! cóż to może być? niestrawność w najgorszym razie.

— Byłeś tam kiedy?

— Dotąd jeszcze nie... alem już doprawdy ciekawy.

— Nie sposób, żebyś nie słyszał, że to są orgie.

— Przecięż tam wszyscy bywają?

— Tak, ale ja nie radabym, żebyś ty tam bywał! odezwała się starościna z przyciskiem.

— Cóż? czy nie mam ospy szczepionéj? zapytał hrabia urażony: boisz się, żebym jéj tam nie dostał? Zawszeż mam być dzieckiem trzymaném na pasku?

Słowa te trochę żywo wyrzeczone, tak były niesłychaném zuchwalstwem w ustach posłusznego dotąd i potulnego małżonka, a cichego człowieka, że hrabina przelotnie na niego spojrzawszy, przerażona, umilkła nagle.

Przeszła się po pokoju trąc czoło, zagryzła usta, widocznie namyślała się, co ma z nim począć, gniewać się, czy udać, że nie rozumie wymówki, upierać się, czy ustąpić.

Ważność tych wyrazów, tego kroku, nie uszła jéj kobiecego przeczucia. Uznała po chwili za właściwe wyczekać, wprzódy się dobrze rozpatrzyć, rozpytać, rozsłuchać, a na ten raz tylko lekko pokazać się obrażoną....

— Na takie pytanie, rzekła zimno, nie ma odpowiedzi:—tylko dzieci prowadzą się na pasku, a kto jest dzieckiem, ten sam sobie winien. Rób co ci się podoba, przekonaj się dotykalnie czy ten świat lepiéj znasz odemnie, czy sam sobie w nim bez mojéj po-

rady wystarczysz.. zawsze to ciekawa rzecz spróbować. Dzieci nim się chodzić nauczą, jeśli je z paska spuści niańka, dobrze sobie głowy natłuką... Daruj mi, jestem zajęta, muszę pocztę odprawić.

To mówiąc podała mu rękę, którą ucałował, i usiadła pisać; ale gdy odszedł, powiodła za nim długo wzrokiem, i natychmiast zadzwoniła na sługi.

Gdy w owéj długiemi laty spoczynku zaschłéj trumnie dębowéj, wyniesiono z dworku w Wólce Brzozowéj zwłoki pana Krzysztofa i włożono je na wóz czterema czarnemi wołami ciągniony, jak przystało dla rolnika,—rzuciła się pani Krzysztofowa, chwytając za koła, czepiając się całunu, jęcząc i płacząc, aż ją pan Baltazar z Kapustyńskim gwałtem prawie oderwać i unieść musieli, zmusiwszy do pozostania w domu. Poczciwa pani Kasprowa podjęła się być z nią, pocieszać ją, modlić się razem i biedną wdowę pielęgnować.

Ale nierychło ten żal ciężki ukoić było można: stał się on chorobą, stawał chwilami rozpaczą, przechodził przez wszystkie stopnie, jakie przebywa każda podobna boleść, dopóki czas powolnie nie zmieni jéj w chroniczny, spokojny, wrosły do piersi smutek, z którym się już potém żyje, trwa, chodzi, pracuje, czasem przez długie lata próby.

Tak było i z panią Krzysztofową, która w modlitwie i wierze znalazła mocną podporę, przeszła z szału do łez, a z łez do tęsknoty, i już z nią aż do grobu zejść miała. Ale ta... jeszcze raz cięźkiéj uledz miała metamorfozie.

Z dawnego szczęścia, pokoju nadziei nie pozostało jéj nic nad wspomnienie, ten gorzki napój, którym się nasycają nieszczęśliwi, w upojeniu wracając do świata utraconego niepowrotnie. Naówczas wszystko aż do najobojętniejszych drobnostek tego zmarłego życia przychodzi na pamięć i dopomina się swojego miejsca. A to, czego się dawniéj zapomniało, i to, co się ceniło, powraca drogiém i miłém, nawet przeżyte bole i wypłakane łzy. Każdy przedmiot, co był świadkiem chwil przeżytych, oddaje potém światło, które pochłonął jak dyament płonący wśród ciemności, staje się świętym szczątkiem, a człowiek upokorzony dziwi się, że przetrwały go zimne szkielety, że one mają prawo do życia, które jemu wydarto.

W tym dworku w Wólce, od słomianéj strzechy, od płotu wszystko aż do najmniejszego sprzętu przypominało pana Krzysztofa, jego prace, jego przestrogi, jego miłość dla żony i dziecięcia. Wdowa przechodząc nieraz około gospodarstwa z piersią jeszcze sroższą-boleścią rozdartą, nie miała się gdzie schronić przed dojmującemi wspomnieniami przeszłości; późniéj już szukała ich sama, bo w nich tylko żyć mogła.

P. Baltazar został tu gospodarzem i pierwszym sługą; mówił jéj o nieboszczyku, cieszył ją pieśnią pobożną. Czasem i Dyogenes przyszedł ze swą skrzypką, rozweselił swoim spokojem, a niekiedy dowcipem.

Rządzili się też oni dwaj we dworze jak chcieli, bo ona już do niczego się nie mieszała; ale rządzili poczciwie, oględnie, troskliwiéj może niż na swém własném, a gromada wiejska, która pamiętała o pańskiém dziecku i o wdowie, serdecznie dopomagała. Ale mimo, że tu wszystko szło porządnie, jakże było smutnie w téj Wólce Brzozowéj, dawniéj jak ciche

gniazdeczko miłéj i wesołéj spokojem poczciwym! Jakże widać było żałobę we wszystkiém i na wszystkich! Nawet Baltazar wstrzymywał się od głośniejszéj pieśni wojskowéj, którą lubiał nócić, szedł z nią w głęboki las, a wieczorem w ganku nócił Psalmy półgłosem lub Godzinki, a przy nich ileż razy zapłakał tajemnie!

Dla biednéj kobiety, która widziała syna, któréj wspomnienie dziecka osłodzić mogło a zaostrzało tylko smutek—cięższéj go było znosić niż komu. Dumała napróżno, jakąby nicią znowu połączyć się mogła, związać z tém dziecięciem, które tak dla niéj stało się obcém... gorzéj, bo prawie strasznem... Dziwnym trafem nić ta sama się nastręczyła, gdy umysł leniwy próżno się trudził nad jéj wyszukaniem.

W pańskich dworach, pomiędzy służbą a panami nie ma żadnego stosunku serdeczniejszego. Sługa jest płatny, spełnia swój obowiązek, przychodzi, odprawia się, najczęściéj z nabytą nienawiścią tylko i goryczą w duszy: czasem tylko ściślejsze węzły związuje słabość, rozpusta... upodlenie z obu stron. W naszych żywotach szlacheckich, dawniéj zwłaszcza, miało się wcale inaczéj między panem a sługą, między nim a wioską, między głową domu a ostatnim parobczakiem na ziemi jego wzrosłym; nieustanne zbliżenie zawiązywało stosunek ścisły, niemal rodzinny. Pan tam dzieci do chrztu trzymał, radził, wspierał, patrzał jak to rośnie, swatał, żenił, i z tych różnych a sprzecznych żywiołów kształtowało się małe społeczeństwo starą formą, opiekuńczą, patryarchalną, które często serdeczna miłość wiązała.

Ta gmina patryarchalna nie była ani ostatnią formą, ani najlepszą, na jaką ludzkość zdobyć się może;

służyła ona czasowo do wychowania człowieka, była w jego małoletności opieką. Nie żałujemy tych miłych dla wielu serc czasów: miały one swą piękną stronę, swe dobre, ale nie pochłonęły w sobie całego ideału społecznego.

Dopóki rodziny rodzinom i gminy z władzą zwierzchnią panowały, póty zawsze kraj dowodził tą organizacyą niedojrzałości.

Ale—na owe czasy, piękny był widok téj rodziny zespolonéj nie krwią, ale miłością i pokorą. Nie wszędzie one panowały, trafiała się groza i ucisk, lecz gdzież obok świateł nie ma niezbędnego cienia?

Tu w Wólce gromada, dwór, sługi i państwo stanowili z dawna spójną i serdeczną całość, posuniętą, jak zawsze w takich razach, aż do zaparcia się własności pojedynczéj. Dworski i wiejski majątek był niemal jedném, pożyczano i zasilano się wzajemnie, i nigdy włościanin nie uląkł się głodu, dopóki u pana widział sterty w gumnie.

Jednym z kwiatów takiego społeczeństwa była właśnie pokorna istota, co nam teraz w drogę zabiega,— tak pokorna i miła, żeśmy ją dotąd ledwie postrzedz mogli, i gdyby nie nowa rola, jaką sobie obrała, moglišmy jéj nie widzieć wcale.

W alkierzu na folwarku, w ciasnéj izdebce o nizkiém i małém okienku, któréj ściany składały się z nieotynkowanych belek sosnowych, przetykanych zeschłemi mchami zielono-żółtemi, siedział od dosyć dawna Jermaszka Dulebiak. Towarzyszami jego były dwa koty bure i niezliczona ilość różnego robactwa. Samo imię Jermaszki wskazuje nam już pokorne dziecię wioski... Jermaszka był sierotą; wzięto go z chaty do dworu na wychowanie, i najprzód hodował się na

folwarku, biegał boso po dziedzińcu, a jejmość go uczyła pacierza... Potém posługiwał w kredensie i robił około domu co się nadarzyło, gracował nawet w ogrodzie.

Ale wprędce odkryto w nim żywy, pojętny umysł, i można się nim było posłużyć do ważniejszych rzeczy, tak łatwo chwytał wszystko i z ochotą wykonywa co mu polecono.

Jermaszka wyszedł wprędce na faworyta pańskiego, i pani go też bardzo lubiła. Gdy Adam przyszedł na świat, chłopak miał już lat ze dwanaście, więc potém gdy dziecię podrosło, już po trosze mógł się niém opiekować.

Od kuchty i ogrodniczka stopniami doszedł godności kamerdynera, a w ostatnich latach był wszystkiém w domu, od żadnéj się nie wymawiając pracy, mniéj więcéj każdą spełniając zręcznie. Nauczył się był czytać i pisać, utrzymywał więc rachunki, zastępując pisarza, naglądał potém po trosze na stodołę i śpichrze, miał klucze od magazynów, jeździł po sprawunki do miasteczka, odwoził kupcom zboże. Ale mimo tych ważniejszych obowiązków stawał z talerzem za krzesłem jegomości, póki p. Krzysztof żył, i choć się swobodnie mieszał do rozmowy państwa, przynosił też półmiski z kuchni. Bywało nawet i konie zaprzągł, i powiózł do kościoła, gdy było potrzeba.

Mniejszym była w nim przymiotem roztropność: sercem poczciwém przerósł głowę; więcéj było tam jeszcze uczucia niż zdolności, i ono mu dopomagało do wszystkiego... Sierota, przywiązał się do swojéj dobrodziejki, jak ją nazywał, do swego panicza i do starego pana, jak dziecko rodzone. Ich dobro było jego dobrem: można powiedzieć, że nie żył na własną

rękę, ale dla tych, którym służył; myślał jedynie o nich, przyszłości swojéj bez nich nie pojmował wcale. W pierwszych chwilach gdy dziecię porwano, Jermaszka chodził jak oszalały, chciał, jakeśmy wspomnieli, jechać z panem do Warszawy, ale że na jego głowie było wszystko w domu, musiał Krzysztofa puścić samego; potém zamknął swój ból głuchém milczeniem, cierpiał wzdychając ze starymi razem.

Można sobie wystawić, jakie śmierć p. Krzysztofa uczyniła na nim wrażenie; nie mniéj może odbolał od saméj pani, ale żal ten, który od pracy nie uwalniał, w niéj ulgę znajdował.

Gdy pana Krzysztofa miano kłaść do trumny, upadł nieboszczykowi do nóg, objął je ze łzami, głośno mu dziękując za wszystkie jego dobrodziejstwa. On z nim ostatni do sklepionego zstąpił grobu, aby tam trumnę porządnie ustawić, i ostatni, pomodliwszy się wyszedł z niego.

Pilnował pani, ale jéj tak bardzo użytecznym być nie mógł. Zresztą pan Baltazar, który na jego sprycie i wierności poznać się nie mógł, objął był wszystko i strącił go powoli z tego stanowiska, jakie dawniéj mu nadano... Jermaszka usługiwał posłuszny, ochotnie, ale czuł się tu nie tak już potrzebnym, obojętnym, zbytecznym prawie. Pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl, że mógłby gdzieś być przydatniejszym niż tutaj. Pani na niego patrzeć nie mogła, bo jéj zbytnio starego przypominał. Siadywał więc w alkierzyku swoim, modląc się na kantyczkach, i tarł najeżoną czupryne, nie wiedząc co począć.

Gdy pani Krzysztofowa wreszcie przyszła do oprzytomnienia, Jermaszka raz z rana przyniosłszy jéj ka-

wę, którą pijała, stanął u drzwi, ręce w tył założył i odchrząknął głośno.

Było to zwykłe oznajmienie, że miał coś do powiedzenia. Pani głowę podniosła.

Jermaszka miał powierzchowność bardzo niepoczesną. Wzrostu był dosyć dużego, ale postaci niezgrabnéj: był jakby w jedną stronę gwałtownie jakimś kataklizmem wykręcony; na podługowatéj, śpiczastéj głowie rosły mu włosy popielate, szorstkie i twarde, trzymał ją nieco także na bok pochyloną. Sama fizyognomia nie zdradzała intelligencyi, czoło było nizkie a szerokie, rysy pospolite, płeć blada, usta otworzyste; ale gdy przemówił, gdy się uśmiechnął, gdy w małych jego oczkach zabłysło życie, twarz przybierała wyraz dziwnéj łagodności i słodyczy, który może tém więcéj uderzał, iż rysy nie zdawały się do noszenia go stworzone. Gdy nic nie mówił i bywał zamyślony, usta naówczas nieco otwarte trzymał, i to go dozwalało nawet o głupotę posądzać, miał bowiem zwodniczy pozór głuptaska.

Gdy Jermaszka odchrząknął, pani Krzysztofowa spojrzała na niego i westchnęła. Biedne człeczysko, nie wiedząc jak do rzeczy przystąpić, z nogi kołysał się na nogę, ręce założone na piersiach z uszanowaniem schował za plecy, poturbował nieco czuprynę, bo to miał w obyczaju, gdy mu szło ciężko, i zakłopotał się, widocznie nie wiedział jak począć.

— Co ty mi chcesz powiedzieć? — spytała pani Krzysztofowa— bo widzę, że masz coś do mnie?

— Onoby się to znalazło — odparł Jermaszka kiwając głową,—ale to niby trudno rozpocząć.

— Śmiało mój kochany, przecięż wiesz, że się zrozumiemy.

— Ono to się wie—rzekł Jermaszka—ale taki niby trudno. Proszę już pani mojéj tylko mnie posłuchać cierpliwie, a nie sądzić aż ja dokończę.

— Mów, nie frasując się, słucham.

— Otoż to tak, proszę pani, człowiek sobie myśli co na świecie mu robić, i jakby się drugim na co przydał... Oto, proszę pani, ono to niby teraz człowiek nie na wiele przydatny... Cóż? pan Baltazar klucze trzyma, sam chodzi, gospodarzy, usługa to tam koło dworu nie jaka wielka, lada chłopak się z tém upara... byle kto... a człowiek w próżnowaniu zmarnuje się.

— Czegoż ty chcesz, mój Jermaszka? — spytała łagodnie Krzysztofowa — znajdzie się zawsze co robić. Ale ci się nudzi... nie prawdaż?

— Ono to się nie nudzi—odparł sługa,— ale niby człek czuje, że mógłby co robić, a nie robi nic.

— Maszże ty jaką myśl?

— Ono to się ma—rzekł wzdychając,—ale to taka rzecz, że i trudno wypowiedzieć... Jakby mnie pani chciała posłuchać?

— Ale słucham z uwagą, mów.

Jermaszka mimo to zapewnienie, jakby mu bardzo ciężko przychodziło wygadać się, stanął, zamyślił się, potarł gwałtownie najeżone włosy, kiwał głową zakłopotany.

— Chciał-*em* ja-*bym* pani mojéj, matce a dobrodziejce długo to jakoś rozpowiedzieć, ale nie potrafię. Otoż krótka rzecz, że ja chciałbym do panicza iść w służbę.

Pani Krzysztofowa zdziwiona, krzyknęła i zerwała się z krzesełka.

— A! niech-no pani poczeka... rzekł chłopak. On ci tam ma sług do licha, bo to się wie, ale ludzie obcy i obojętni: przydałby mu się człowiek, coby go kochał, a czasem mu i was i dom przypomniał, coby nie dał ludziom złego mu zrobić. Niech pani nie myśli, że ja tam chcę się czego niby dobijać: mnie to nie w głowie; ale jabym się tam zdał, pilnowałoby się panicza i jego dobra, wszak to tam wszyscy obcy... Bóg wie jak on tam sobie rady daje, bo to wszystko wrogi a zazdrośni. Człek tam choć paskudnie pisze— dodał—ale onoby się i do jejmości nagryzmoliło o tém co się tam z naszym paniczem dzieje. A choć on tam może nie posłucha, ale powoli, to z czasem mogłoby mu się zrobić jaką pokorną uwagę.

Pani Krzysztofowa rozpłakała się o synu, a ta myśl, że ktośby był przy nim przyjazny, wierny, poczciwy, uśmiechnęła się jéj bardzo. Wstała milcząca pocałować w głowę Jermaszkę, który jéj kolana ścisnął.

— Poczciwa to myśl twoja—rzekła—niech ci Bóg za nią zapłaci; ale... jakże ty tego dokażesz?

— E! jużby się to zrobiło! odparł Jermaszka: ja się tam tak dalece niczego nie obawiam. Grosza to jest trochę swojego, z łaski państwa, toby się o tém zaszło do Warszawy, a tamby już się poradziło powoli, bylem od pani pozyskał pozwolenie.

— I owszem, ja ci tego nie bronię—odezwała się pani Krzysztofowa—idź w Imię Boże, a pisz... Może cię to dobry anioł natchnął w szczęśliwą godzinę; wcale ci się speciwiać nie będę... Namyśl się tylko dobrze, ja także podumam, a poproś tu do mnie pana Baltazara.

Jermaszka, któremu wielki ciężar spadł z piersi, pobiegł natychmiast po Baltazara, a sam niezgrabnym

chodem pociągnął ukryć cię w swym alkierzyku, gdzie wielkim przeżegnawszy się krzyżem, chodzić począł i myśleć: jak ono to będzie?

Gdy pani Anna powiedziała Baltazarowi o pomyśle Jermaszki, zdziwił się z razu niezmiernie. Stary żołnierz nigdy się na téj cichéj, niepozornéj postaci człowieka poznać nie mógł: poczuł dopiero, że się omylił, posądzając go nietylko o brak głowy, ale i o zakrzepłe serce.

— A! bratowa moja kochana! — wykrzyknął — toć złoty człowiek! Jeżeli w nim nie gra także ambicya wykierowania się na kamerdynera, co przy jego powierzchowności świetnąby było nadzieją, jeżeli to z serca czyni, to zacny człowiek! Dobrze żeby tam przy nim stał, a przypomniał mu czasami stare dzieje i obowiązki; jeżeli mu po prostu i po wiejsku czasem prawdę wyjąka, któréj tam od dworaków nie usłyszy, nie od rzeczy też będzie.

Pogroziła pani Krzysztofowa bratu łagodnie.

— Mój panie bracie—rzekła—wy tak zawsze skłonni jesteście człowieka sądzić z pozoru. Ja Jermaszkę znam od dziecka, bo się wychowało u nas we dworze: rzadki to człowiek, i jak własne nasze dziecię przywiązany, oddany nam całą duszą. Jeśli on idzie tam, to z serca, wie, że go śmiechy tylko i upokorzenia czekają za jego niezdarność, a nie żadne świetne losy. Idzie dla tego, żeby się Adasiem zaopiekować po swojemu.

— No! to niech w Imię Boże idzie! rzekł pan Baltazar. Mnie tylko żal, żem go pokrzywdził w myśli i posądził niesprawiedliwie... Dobry też pretekst jest, bo czas dawno, aby pan Adam dowiedział się o swéj żałobie, o któréj może i nie wie.

Pani Krzysztofowa potrzęsła tylko głową. Pisała już była do syna, a listy ich się skrzyżowały, w zamian bowiem od niego otrzymała oznajmienie o weselu, a nic już o tém Baltazarowi nie powiedziała. Wprawdzie zasłyszał był coś o tém z sąsiedztwa, bo staroście chełmski psy wieszał na wychowańcu swéj pani, ale temu nie wierzył. Kto zna te zapadłe podlaskie bory i ich życie, łatwo pojmie, że tam wiadomości z wielkiego świata nierychło dochodzić muszą.

— Wie on już o śmierci ojca—rzekła pani Krzysztofowa płacząc — o! wie! ale mu tam teraz młoda żona nie daje myśleć o starym ojcu.

— Jak to? więcby to prawda była, że się ożenił? załamując ręce spytał pan Baltazar.

— A! tak jest, ożenił się z wielką panią, ze starszą podobno od siebie kobietą.

— Jużciż nie z kasztelanową, bo téj mąż żyje i nie rozwodzi się?

— Nie... z inną... z wdową... z domu X...

Pan Baltazar zadumany głową pokiwał.

— Ożenił się—rzekł—tak młodo! Trzebaż mu było świat sobie zawiązywać!... No! a dawni jego opiekunowie?

— Nic nie wiem, nie wiem—odpowiedziała matka — zapewne oni jego, a on ich opuścić musiał.

— Ha! no! co się stało, to się stało! dorzucił wojak stary. Zresztą tam mu Jermaszka nie będzie ciężarem, a źle będzie biedakowi, to do nas powróci.

W kilka dni po téj rozmowie, Jermaszka przyszedł panią pożegnać, i spłakał się jak bóbr padłszy jéj do nóg: poczciwe serce wieśniacze! Chodził po dworku żegnając wszystkie kąty, prosił o pozwolenie, żeby się

mógł raz jeszcze przed obrazem Chrystusa pomodlić, a naostatek wziąwszy kij w rękę, przeprowadzony przez dworskich, puścił się śmiało w ten świat nieznany, który go strachem napełniał.

— Bądź co bądź, już̇ciż ja się tam na coś przydam... mówił w duchu.

Po długiéj i ciężkiéj podróży, w któréj wiele przecierpiał, stanął wreszcie w stolicy, i jak stał poczciwy niezgraba, tułał się tu i owdzie dopytując o pana. Długo się tak błąkał, gdy mu nareszcie jakiś grzeczniejszy szlachcic wskazał pałac starosty. Tu się dostawszy, obstąpiony przez wytworną służbę, podziwiany jak jaka potwora, wyśmiany, musiał znów dużo przenieść, nim się pozwolenia widzenia z paniczem doprosił. List od matki był mu przewodnikiem.

Właśnie w chwili gdy starosta od żony wychodził, oznajmiwszy jéj, że będzie na wieczorze u komandora, i chmurny zstępował ze schodów, Jermaszka zaszedł mu drogę.

W jego wspomnieniach żył jeszcze ów ładny, świeży pieszczoszek, pół-dziecię, Adaś rumiany i biały, taki, jakim go widział raz ostatni wesoło odjeżdżającego na wózku do Białéj. Ledwie w bladym, pięknym, poważnym, wystygłym i przedwcześnie zmężniałym człowieku dopytać mógł Jermaszka swego dawnego panicza.

Rzucił mu się do nóg z zapałem.

Adam pomieszany cofnął się: nie poznał go, nie przypomniał, a zresztą wstyd go jakiś przed służbą ogarnął na widok tego człowieka odartego, zabrukanego długą podróżą, niezgrabnego, wyglądającego głupowato.

List matki, który otworzył, wytłómaczył mu wszystko. Ruszył ramionami, bo nie był rad i nie wiedział,

jak się pozbyć natrętnego gościa; serce mu nic nie mówiło.

— Chodź za mną! odezwał się pośpieszając do pokojów swoich i wiodąc z sobą posłańca.

Oczy wszystkich stołecznych sług z szyderstwem pobiegły goniąc za niezgrabnym Jermaszką, który skulony, krzywy, wygięty na bok, wlókł się za swym paniczem... Rozczulenie jeszcze go niepozorniejszym czyniło, a znużenie zmięło jego biedną twarz na istotnie pocieszną jakąś grymasującą maskę karnawałową.

Gdy się w pokoju panicza znaleźli, Jermaszka znowu rzucił mu się do nóg, postawiwszy kij pielgrzymi w kącie.

Był biedny w łapciach dla zaoszczędzenia butów, w łapciach na woskowanéj posadzce, w grubéj siermiężnéj kapocie, a pan siedział przeciw niego na wybitéj atłasem sofie: dziwnie to jedno od drugiego odbijało. Z tych dwóch postaci, jednéj pięknéj a sztywnéj i bez wyrazu, drugiéj dzikiéj, barbarzyńsko odzianéj, opalonéj, brzydkiéj—poetycznie piękną była przecięż ostatnia... Starosta wydawał się przy niéj jak porcelanowa figurka przy bronzowym posągu.

— O! panie mój! rzekł Jermaszka: jakżem ja ciebie dawno nie widział! Cóż się to z tobę stało, o panie? jakżeś ty nam uciekł?... ileż to nieszczęść na nas spadło od tego czasu! Gdybyście wy widzieli ten dwór w żałobie, i naszą jejmość, co się z nią zrobiło!

— Wiem, wiém wszystko! śpiesznie przerwał starosta.

— O! wy jeszcze nic nie wiecie — podchwycił Jermaszka prawie płacząc—nic, boście tego swemi oczyma nie widzieli, bo z daleka to się inaczéj wydaje. Ono to, ono... ale z nami pod te czasy potrzeba było być!

— Jakże się ma... matka?—zdobył się na pytanie Adam.

— Ono to żyje biedactwo — odrzekł Jermaszka — ale jak!... Potrząsnął głową. — Z nią to my, proszę pana, uradzili... dodał—abym ja do panicza przyszedł. Wy tu sami wśród obcych ludzi, a tu lud nie nasz poczciwy. Wszyscy mówią: trzebaby wam mieć choć jednego, na któregobyście spuścić się mogli, coby się dał za was ukrzyżować i zabić. Ja sobie powiedziałem: pójdę ja...

Pan Adam poczuł przecię ofiarę, ale nie zrozumiał jéj potrzeby, i lekko ruszył ramionami.

— Dziękuję ci za dobre serce, Jermaszko! zawołał; ale jakże tu żyć potrafisz, i co tu robić będziesz?

— E! paniczu! jaśnie wielmożny panie! — poprawił się sługa—nie troszczcie się o mnie... Prawda, straszno w pierwszéj chwili, i mnie się zdało, że oni mnie chyba surowego zjedzą; ale... Te śmiechy ich jak noże szły w serce do głębi, ale się ja ich już nie boję. Co ja będę robił? No, to się zobaczy: znajdzie się. Taż to i ta służba nie porodziła się w galonach... A no, siądę pilnować pańskiego dobra, a baczyć, aby się paniczowi co złego nie stało... Przecię się przydam jakoś; bądźcie spokojni... Weźcie mnie ino na próbę.

— Ale ty tu nie wytrwasz!

— Ono to, gdyby się słuchało tylko lenistwa, to by się pewnie uciekło na wieś — rzekł Jermaszka; — ono to prawda... ale jak człek czuje, że mu się co robić należy, to ono znowu co innego... Ja ich w parę dni bać się nie będę.

Pan Adam zawahał się jeszcze przyjąć nowego sługę bez wiadomości żony, ale miarkował, że powoli do

swojéj własnéj woli chcąc dojść, potrzeba było zacząć od małych rzeczy, i rad już nawet był, że mu się zręczność nadarzała spróbować.

— „Kto wie? rzekł w sobie: nie wiadomo jeszcze jak pójdą rzeczy. Może człowiek, któremu zaufać mogę zupełnie, okaże mi się potrzebnym. Ale...“

Tu spojrzał na połamaną postać niezgrabną Jermaszki, i dodał:—„Jak on tu będzie, wyglądał?... ha! spróbujemy! musi się okrzesać!“

— No, więc, nim co będzie—rzekł głośno,—zostaniesz tu: pomówimy z sobą wolniejszym czasem.

Starosta zadzwonił. Wszedł kamerdyner z taką miną, jakby mu łaskę robił, że go wysłuchał i na dzwonek się stawił.

— Panie Biebrzycki—zawołał starosta—jest to dawny sługa mojego ojca, który przy mnie pozostanie... Prosiłbym, żebyś go wziął w swoją opiekę.

Biebrzycki zmierzył oczyma przybysza z pogardliwą miną, kiwnął głową na znak powolnéj zgody, zaczekał chwilę jeszcze i wyszedł, milczący.

— Przygotuj się—szepnął starosta—że cię tu gorzkie przejścia czekają od téj miejskiéj służby, Jermaszko.

— Ono to się im rady da — rzekł powolnie wieśniak — niech się Jaśnie Pan o to już nie troszczy... i schyliwszy się do kolan odszedł.

Starosta podumawszy chwilkę nad listem matki, schował go i ruszył z wizytami. Nim jeszcze nowy sługa zszedł ze wschodów, Biebrzycki meldował o nim hrabinie.

— Proszę jaśnie grafini — rzekł — to pan starosta jakiegoś przybłędę, łachmaniarza, jakby tam sługę swojego ojca przyjął i na dworze polecił zostawić..

Przywlokło się to piechotą, do niedźwiedzia leśnego podobniejszy niż do człowieka: będzie nam robił wstyd, i dworowi Jaśnie grafini i nam. Ja nie wiem co z tém robić.

— Jak to? kiedyż się to stało? spytała hrabina widocznie urażona, że się jéj nawet nie opowiedziano.

— Tylko co, przed chwilą, rzekł Biebrzycki. JW. starosta *rozkazał*—na to słowo dał wielki nacisk kamerdyner—rozkazał mi go przyjąć do dworu, i oznajmił, że ma tu zostać.

— Ja *jeszcze* o tém nic nie wiem—odpowiedziała hrabina—ale proszę spełnić polecenie mojego męża...

Biebrzycki wyszedł, nie rzekłszy słowa.

— A więc to już jakaś systematyczna emancypacya—powiedziała sobie po cichu żona.— Zobaczymy! zobaczymy! Rządzi się w moim domu bez żadnéj, jak widzę, ceremonii.

Tymczasem Jermaszka wyszedł z pokoju śmiało i poprosił grzecznie pierwszego spotkanego lokaja, aby mu wskazał, gdzie się ma podziać. Spisek na biedaka utworzył się w jedném mgnieniu oka, a Jermaszka też instynktowo go odgadł, i zamiast się przestraszyć lub oburzyć, postanowił wielką krwią zimną zwyciężyć. Pierwsze wystąpienie było dla niego największéj wagi. Na męztwie mu nie zbywało.

— Co pan raczy rozkazać? spytał go lokaj.

— Prosiłbym pana o wskazanie mi pomieszczenia.

— Pokoje dla pana gotowe, odparł lokaj; poprowadził go do sieni, otworzył drzwi od dużego pieca, i ręką zaprosił do czarnego wnętrza.

Jermaszka popatrzał, kiwnął głową, nic nie rzekł.

— Trochę to ono będzie ciasno i przyciemno, odparł po chwili; ale jak mi każą w piecu legać, to się i położę.

Zimna krew, z jaką to wyrzekł, zmieszała służbę, która się tłumnie zbiegła patrzeć na parafianina.

Jermaszka podniósł głowę, krew mu uderzyła do czoła.

— Bardzo to ono koncept ładny — rzekł powoli podpierając się pod boki—moi jaśni panowie miejscy! Ale pogadajmy-no kiedy chcecie, a raczcie mi objaśnić, czego to wam tak w smak z wieśniaka sobie stroić żarty? Czyście to wy co lepszego odemnie, żeście trochę bruków poszlifowali? czyście to nie pozostawiali tam na wsi matek i braci w takuteńkich siermięgach jak moja? albo ono myślicie, że dla szaréj kapoty człek się ma za gorszego od was? Ono to nie... Gniewać się nie mam czego, a dziwować się jest.. Pójdę do gospody, i za swój miły grosz znajdę sobie izbę i łoże, na którém wypocznę... a no potém—zobaczymy.

— Patrzcie-no jaki mowny niezdara! zawołał jeden.

— Należałoby mu sprawić frycówkę, rzekł drugi. Co to on nas tak śmiało ożogiem sięga, i gdyby sobie równych traktuje!

— E! dalibyście mu pokój! powstrzymał inny: gotowa historya i wrzawy narobicie.

— Ja wam ręczę, że paniby nic nie powiedziała, przerwał pierwszy; a że panby się podąsał, to co?

— Bardzo pana dobrodzieja przepraszamy — odezwał się z tłumu drugi — za niepiękny żart; ale ponieważ lokal dla niego nie wyznaczony, może zechcesz w kuchni ze stróżami pogościć?

Wszyscy się zaczęli śmiać. Jermaszka powoli zabrał sakwy i odparł:

— A czemu nie? albo to nie bracia nasi? O! o! z wielką ochotą!

Śmiechy, drwiny i szarpania szły daléj, gdy w téj chwili zawołano o karetę dla pani, i prawie jednocześnie, do sieni, w któréj się to działo pod wschodami, zeszła sama pani starościna, zadziwiona zebranym tłumem służby i zbyt głośną wrzawą.

— Co to jest? zapytała.

— E! to nic! to nic! — rzekł jeden z młodszych — to tak.

Jermaszka przebił się przez nich, wystąpił i skłonił się.

— Przepraszam Jaśnie panią — zawołał, do kolan jéj naginając się — to nie jest nic, ale rzecz o mnie idzie. Ja tu przyszedłem po służbie z listem do mego panicza z Wólki Brzozowéj, pan mi przykazał zostać; a ci znowu panowie, bo to tu wszyscy panują widać, pokazali mi, gdym spytał—mieszkanie w piecu, albo w kuchni.. Nie wiem jeszcze gdzie lepiéj, to się namyślam, a z tego śmiech.

Starościna spojrzała na niego bacznie, i ruszyła ramionami.

— Biebrzycki! zawołała surowo: kto tu sobie takich żartów pozwala? co to jest za nieporządek? Pan przykazał, aby go przyjęto, a służba śmie lekceważyć rozporządzenia i stroić żarty? Proszę mi zaraz wszystkich winnych ukarać.

To mówiąc chciała siąść do karety, gdy Jermaszka schylił się jéj do kolan.

— Jaśnie pani, ono to sobie był żart... a ja głupi żem się uraził i skarżył... Proszę, aby nikt za mnie nie pokutował, lepiéj sobie już precz pójdę—ot i kwita.

Starościna kiwnęła głową, nic nie odpowiadając, dała tylko znak Biebrzyckiemu, który się skłonił, i ży-

wo wsiadła do powozu. Jermaszka pozostał z kijem w ręku spokojny i niewzruszony.

— Przy garderobie pańskiéj jest od tyłu przedpokoik—rzekł kamerdyner do niego, wskazując wschody—tam WPana zaprowadzą.

Wieśniak skłonił się i poszedł w milczeniu.

— Już ja mu tego łajdakowi nie daruję! zawołał pięść podnosząc za nim jeden z lokajów: nie będzie mu tu bardzo słodko, za to ręczę!

Udał Jermaszka, że nie posłyszał, i powlókł się do kąta ciemnego, który mu z pogardą wskazano... Tak się począł pierwszy dzień jego ciężkiéj służby.

Koniec XVIII wieku, jak owo pierwsze tysiącolecie chrześciaństwa w roku 1000, oznamionowany był orgią szaloną, która zwiastowała nową epokę. Nigdy świat tak się bawić nie pragnął, tak za rozkoszami nie gonił, tak nie potrzebował rozerwać się, zapomnieć, upoić.

Nietylko nasz kraj, cała Europa chorowała na tę zaraźliwą rozpustę. W Polsce przybierała ona barwę szczególną, która wydatniejszém czyniła to obłąkane uganianie się za weselem niemożliwém, występném, dziecinném. Bale, maskarady, fajerwerki, turnieje, pijatyki szalone, zbytek niepomny jutrzejszéj nędzy, następowały po sobie, i napełnić nie mogły tego naczynia Danaid, pod którém przepaść może kopało sumienie.

Ani wiek, ani płeć nie wyłączały od téj dziwnéj choroby... Dziesięcioletnie chłopaki poprzebierane za amorki umizgały się już do dwunastoletnich dziewczynek, a starzy i siwi senatorowie Rzeczypospolitéj kochali się na zabój w piętnastoletnich aktorkach. Ludzie wszystkich stronnictw jednoczyli się przy kieliszku z tą różnicą, że jednym spadała w wino łza, dru-

gim staczał się w nie śmiech szatański; jedni w niém szukali zapomnienia, drudzy nasycenia.

Czasem w pośród tych uczt uderzał jaki piorun, zabijał jednych, rozpraszał drugich, otwierał przepaść; ale służba zaścielała ją kobiercami i tańczono na przepaści.

Ledwie kilka naliczyć było można domów, w których surowszy przechował się obyczaj: młodzież cała puściła cugle namiętnościom.

To też w rachubach partyi, w polityce, w robotach pokątnych, wielką rolę grały uczty, kolacye, podwieczorki, przyjęcia: najpoważniejsza narada nie obeszła się bez konkluzyi kielicha i wielkiego —„kochajmy się!"

Do najszaleńszych ucztowników należał ów sławny komandor, o którym mówił Maluta, tak go mocno zalecając. Postać XVIII wieku, coś z Cagliostra, coś z hrabi de Saint-Germain, istota zagadkowa, dworak, uczony, jasnowidzący, spekulant, wytworniś, mistyk, sybaryta, niedowiarek, koniec końców tajemnica. Przyjmował w swoim domu po królewsku, a źródła, z których płynął ten paktol niewyczerpany, całkiem światu były nieznane. Świadczył wiele, nosił płaszcz filantropii na ubrylantowanych ramionach i zarywał na małego Franklinika, gdy od kart wstawszy rozprawiać począł o losach ludzkości. Wielki wyznawca zasad braterstwa ogólnego ludzi, stroił się jednak tak, aby go nikt wziąć nie mógł za prostego człowieka, a choć ze szlachectwa sobie szydził, miał liberyę herbowną i ordery na szyi.

Nierzadkie były w owym czasie owe postacie dwulicowe: nie są one jeszcze osobliwością i dzisiaj. Prawda uznana, nim przejdzie w czyn, zawsze przebywa też same stadya, tych samych doznaje przeobrażeń, jest

uczutą, dowiedzioną, wypowiedzianą, staje się czynem, a na ostatku prawem. W tym peryodzie XVIII wieku jeszcze ją ledwie przeczuwano, ledwie świtała jako myśl, u dojrzalszych bojaźliwie zaczynała przeradzać się w słowa: na czyn zebrał się dla niéj chyba ktoś gorętszy, i to chwilowo. Czyniono wycieczki w tę stronę, ale z nich szybko wracano do domu.

Komandor należał do przodkujących swojemu wiekowi, ale szedł słowem nie czynem; a chcąc apostołować, musiał do pogan przemawiać ich językiem. Apostołował więc winem, uciechą i wielkiemi czczemi słowy.

Jako gospodarz wylany dla swych gości, nie miał równego.... czy spełniał obowiązek, czy karmił próżność, o tém sądzić nie będę.

W tym roku najmował kamienicę całą naprzeciw kościoła kks. Missyonarzy w końcu Krakowskiego-Przedmieścia, i przerobił ją swoim kosztem: góra cała wybita na nowo, ozłocona wspaniale, umeblowana wytwornie, była godna Krezusa.

W kraju, w którym zbytek dobréj próby nigdy nie był rzadki — świadkiem owe opisy Warszawy za Władysława IV,—niełatwo było olśnić. Pamiętano jeszcze przepych Tarnowskich, Sobieskich, Firlejów, Tęczyńskich, Herburtów, Ostrogskich: walczyć z jego wspomnieniami trudno być musiało; wytwornisie musieli na inną rzucić się drogę. Zamiast srebrnych stołów i złotych roztruchanów stawiano mebelki wysadzane misternie, drogie szkła, kunszt zastępował materyę, zbytek się idealizował, zamykając w smaku i pracy.

Dom komandora z tą myślą był urządzony; nie świecił, on zbytnio, ale był na podziw wygodny, sma-

kowny, wytworny. Podziwiano w nim prześliczne obrazy przywiezione z Włoch i Hollandyi, historyowane kobierce francuzkie, porcelany chińskie i japońskie, wielkie zwierciadła weneckie w rzeźbionych ramach, zresztą sam porządek domowy z kobiecą starannością obmyślany i niesłychaną wygodę. Wszystko, co ten dom miał, było w swoim rodzaju osobliwością, a komuby nie brakło cierpliwości, nasłuchałby się ciekawych historyj z powodu każdego sprzętu i fraszki. Każda z nich miała swe dzieje i wspomnienia, coś co ją odznaczało, czyniło drogą, szczególną, przedziwną.

Maluta malując komandora pośpiesznie, narysował postać jego dosyć trafnie; do jego obrazka to tylko dodamy, że powierzchownie był to jeden z najpiękniejszych mężczyzn swojego czasu, i mógł co do wdzięku fizyognomii i postawy walczyć o lepszą z najsławniejszymi pięknoszami epoki. Gdy ubrany jak laleczka wszedł do salonu, kształtami postaci, nogą, ręką białą upierścieniowaną a prześliczną, figurą, wejrzeniem łagodném oczu niebieskich, czarował kobiety.

Obejście jego było pańskie i poufałe zarazem; czuli jednakże bliżsi, że nikt z nich do głębi duszy mu się nie dostał: był serdecznym dla wszystkich zarówno, nie zwierzał się nigdy nikomu. Próbowali go ciekawi badać przy kieliszku, ale komandor pił co chciano, jak chciano, i ile kto życzył, a po uczcie nad ranem wychodził świeży, zdrów, przytomny, jakby był na czczo. Mówiono, że pijąc coś miał zwyczaj wąchać z jakiejś flaszeczki.

Życie jego przeszło wielce burzliwie, pełne dziwnych przygód; lecz tém się tylko zdradzało, że czasem wspominał o obcych krajach, o dalekich podróżach,

że niektóre z tych pięknych rzeczy, któremi ubrane były pokoje, widocznie pochodziły ze zdobyczy poczynionych w owych wędrówkach.

U komandora, który słynny był z kuchni i piwnicy, za stołem z podziwieniem znalazłby historyk obok istotnych znakomitości wieku, plugawe jego wyrzutki, wszystkich zarówno wesoło gwarzących i w dziwnéj z sobą poufałości...

Przed północą już zaczęły z pochodniami powozy zbierać się przed dom oświecony, a mały placyk przed kościołem wypełnił się wkrótce najwykwintniejszemi ekwipażami, które tu jakby rodzaj obozu sformowały. Ludzie pozłazili z kozłów, a gdy panowie zabawiali się w pałacu, oni też sobie ucztowali w sąsiednich szynkach.

Salony komandora były wspaniale oświecone tysiącem świec jarzęcych, które snopami przytwierdzone do ścian, odbite w zwierciadłach, tworzyły illuminacyę rzęsistą. W ich blasku obrazy, kryształy, obicia, całe czarodziejstwo zbytku nieco wymuszonego i oryginalnego jeszcze się jaskrawiéj wydawało niż we dnie. Pokoje miały różne charaktery. Salon główny był w smaku francuzkim tego wieku, ale dalsze ubrane były umyślnie jeden po chińsku, drugi z grecka, inny wreszcie stylem średniowiecznym, dosyć niedołężnie naśladowanym.

W każdym z nich był stosowny sprzęt, dobrane do niego ciekawostki i zabytki kosztowne, uzbierane po świecie.

W greckim pokoiku stał w pośrodku posąg starożytny Wenery. Oświecała go lampa alabastrowa spuszczona z sufitu i cztery podobne urny po rogach stojące na kolumnach marmurowych. Na tle ciemno-

czerwoném ścian, w tym pół-mroku lamp, posąg wydawał się jakby żywe wcielenie piękna, któremu starzy sybaryci przychodzili się przypatrywać z cynizmem, na jaki dziś tylko szalona młodzież zdobyćby się mogła.

W chińskim gabinecie pełno było kiwających się mandarynów, pagod porcelanowych, laków, bronzów i osobliwości państwa środkowego. W średniowiecznéj komnacie stali u drzwi dwaj rycerze w zbrojach, z hełmami zapuszczonemi, trzymający chorągwie herbowe, w środku pełno było dębowych szaf, katedr i stolików.

Główny salon odznaczał się świeżością i blaskiem. Nad kanapą wisiał tu portret kobiecy, który ściągał wejrzenia gości i zaostrzał ciekawość; ale o wytłómaczenie téj zagadki pytać nie było wolno. Na tle ciemném, ale przezroczystém, rysowała się w bieli urocza postać niewieścia, cała osłoniona półprzezroczystemi draperyami, które i twarz jéj pokrywały... Oko kochanka tylko mogło z za nich wyczytać rysy tajemnicze, które artysta cudownie odznaczył; on jeden widział ją przez te zasłony taką, jaką pamiętał: dla obcych była to tylko dziwaczna sztuczka i niezrozumiały wysiłek malarza.

Każdy stawał przed tym obrazem, oprawnym w przepyszne ramy, całe z lilij i liści dębowych uplecione; wszyscy szeptali spoglądając nań, i odchodzili zamyśleni. Mniéj dyskretni zapytywali komandora co to jest? a on im odpowiadał, że to osobliwszy jakiś portret, który nabył jako *tour de force...* że zresztą nie wie co wyobraża.

Gdy pan Adam wcisnął się w ten świetny tłok pełen gwiaździstych piersi i orderowych ramion, zna-

lazł już prawie całe męzkie towarzystwo stolicy zgromadzone na pokojach; gruppy powinowactwem ciągnione jeszcze się nie były potworzyły, najsprzeczniejsze postacie stykały się i ścierały o siebie w tym tłumie. Posłowie zagranicznych dworów, podróżni różnych narodowości, dworacy królewscy, szlachta bogata przybyła ze wsi, wielcy urzędnicy, a obok nich posłowie sejmowi, uboższi wieśniacy, dostojnicy miasta, artyści, kilku duchownych, słowem skupione wszystkie żywioły społeczne, które gdzieindziéj razem rzadko się spotykały, tu najdziwniéj były z sobą zmieszane.

Wszystko to ściągał jeden cel, jedna słabość szukania wrażeń i uciechy, potrzeba roztargnienia i zabawy. Niejedno czoło rumieniło się samo od myśli, że zrzuciwszy wieńce, co je opasywały, znalazło się tutaj, na prozaicznéj drodze, którą gmin przywykł chodzić do wodopoju.

Obok salonu, wielka biała sala z przystawionym w końcu chórem wspartym na kolumnach, przeznaczona była na muzykę najprzód, potém na grę, która była jedną z namiętności wieku. Grano zapamiętale na ówczas i zgrywano się do koszuli.

W chwili gdy pan Adam wchodził, witany przez gospodarza, a pilnowany i przeprowadzany przez Malutę, który wziął na się być dla niego sternikiem wśród tych fal—w białéj sali właśnie rozpoczynał się koncert, i część towarzystwa wychodziła, by go słuchać. Inni rozprawiali głośno, śmieli się, rozsypywali po kątach dla cichych jakichś narad i facyend kryjomych, zwierzeń i wymówek; czuć było w powietrzu po przelatujących słowach, krzyżujące się sprawy różne.

W salonie białym, na fotelu aksamitnym, królowała jedyna tu przytomna kobieta, gospodyni chwilowa,

ulubienica komandora, otoczona gronem wielbicieli, sławna Leonina Tantolini, włoskie dziewczę z Sorrenta, dziwnéj urody, jakby wykradzione z obrazu Tycyana.

Adam, który jeszcze był sobie nie dobrał towarzystwa, coby go w pochodzie wstrzymało, kierowany tylko nieco przez Malutę, zbliżył się do drzwi wiodących do sali białéj, i w nich jak w ramach ujrzał to zjawisko urocze, chciwe w niém topiąc oczy.

Leonina siedziała wsparta na ręce, trochę zmieszana wystrzałami tylu oczu skierowanych na nią, trochę dumna blaskiem, jaki ją otaczał, ale w postawie tak wdzięcznéj, że nawybredniejszy znawca nieby jéj artystycznemu układowi zarzucić nie mógł. Rzekłbyś, że się jéj gdzieś wyuczyła w pracowni rzeźbiarza, służąc mu za wzór do Psychy.

Wydawała się tak młodziuchną, tak świeżą! Ubrana była dnia tego biało, włosy miała zaczesane po grecku i maleńki w nich tylko dyadem; ale były to włosy owéj barwy gorącéj, złocistéj, którą dawne Wenecyanki z taką pracą i znojem wyrabiały sobie dziwnemi sposoby; włosy przy świetle nawet jaśniejące tonami bronzu, nieporównanéj obfitości, połysku i piękności. W ich oprawie wyglądał owal biały regularny, spokojny, oświecony dwojgiem oczu jak węgle czarnych, ogromnych, poważnie patrzących, a tak przeszywających człowieka, jakby mu się do dna duszy dostać chciały. Dodajmy kibić Psychy, rękę cudownych kształtów i całą postać z pod téj sukni leciuchnéj dającą się odgadywać zbytecznie: była to moda wieku, chodzono po grecku, prawie nago. Ci, co mieli słuchać muzyki, wlepiwszy oczy w Leoninę, stali spętani, osłupieli jéj pięknością, niemi, oczarowani, odurzeni, nie wierząc prawie oczom, że mieli przed sobą żywą istotę.

I jak Wenerę w greckim gabinecie chciało się wziąć za żyjącą, tak Leonina wydawała się ożywionym przez Pigmaliona posągiem.

— Ale to obraz Tycyana! wykrzykiwali jedni..

— Ale to figura skradziona z Pawła Weroneńczyka! wołał ktoś drugi.

— To portret Van-Dyck'a!

— To Madonna Francii!

Adam podszedł, zapatrzył się, stanął, i trzeba przyznać, że pozostał jak wkuty. Pierwszy może raz w życiu widział tak nieposzlakowaną piękność, w któréj oko próżno szukało błędu, niedostatku, uchybienia ogólnéj harmonii, skazy na tym dyamencie pełnym blasku.

Śmiałość naiwna i ujmująca słodycz, coś w wejrzeniu ciekawego, wyzywającego, czyniły ją jeszcze ponętniejszą; zdawało się, jakby wczoraj dopiero przybyła z nad brzegów czarownego krateru, na chłodny ląd piaszczysty ziemi obwianéj mgłami.

Kapella złożona z najprzedniejszych wirtuozów stolicy, nie tak liczna ani tak huczna jak dzisiejsze, ale dobrana, rozpoczęła uwerturą Rameau; potém popisywał się słynny skrzypek z koncertem, potém flecista niemiecki, potém grano symfonię Haydn'a; naostatek piękna Leonina, któréj przy klawikordzie towarzyszył stary Włoch w popielatym fraczku, zaśpiewała aryę włoską. Była bowiem niegdyś pierwszą śpiewaczką opery króla JM. neapolitańskiego.

Gdy pierwsze tony tego czystego a silnego głosu młodzieńczego rozbiegły się w powietrzu, nagle szmery ustały, zrobiła się cisza, wszyscy wrośli do ziemi i dech w sobie zatrzymali, aby jednéj nóty nie stracić. Dźwięki instrumentu, który jéj towarzyszył, zdały

się jakby klekotaniem suchém i nieznośném, przy téj pieśni, co tak ognistym życia strumieniem buchnęła.

Był to głos jaki tylko z piersi młodéj Włoszki dobyć się może: jasny, czysty, pewny siebie, wonny młodością, giętki, dla którego nie ma trudności, w którym nie czuć nauki, ani sztywności metodycznéj. Najwyższa sztuka musi być największą naturalnością. Łączył się z tém jakiś wyraz żywota i siły, porywający swą potęgą.

Śpiewała pieśń jakąś wesołą, i w duszach wszystkich zrobiło się jasno, jakby wniósł lampę w ciemności; potém zaszła w smutek, boleści, w łkanie i jęki, i powlokła za sobą rozrzewnionych słuchaczów, aż się im płakać zachciało; a gdy z tych ciemności wydobywając się na świat powoli wróciła, jakby wychodząc z Pauzylipu na słońce i pogodę wesela i nadziei, wszyscy wybiegli z nią razem uszczęśliwieni, ocaleni. Ostatnia nóta pełna radości, o mało nie wywołała echa w ustach przytomnych... chciało się im z nią zaśpiewać: *Evoe!*

Grzmot oklasków wstrząsł całą salą; niektórzy aż popłakali się słuchając, sami nie wiedzieli czego, inni nócili ciesząc się szalenie. Tak pieśń każdemu z nich powiedziała coś innego, z każdego dobyła co krył i chował, co chciał zapomnieć, co pielęgnował i żywił w głębi siebie, co kto miał najdroższego żałobą i weselem. Jeden znalazł w niéj swą młodość, drugi miłość, inny straconą poczciwość, ów uczucie uronione po drodze: bądź co bądź, nie było człowieka, któryby nie uczuł, jaką potęgą jest sztuka, gdy ją tłómaczy prawdziwy artysta i uczucie prawdziwe.

— Bravo! bravissimo!

— Cudownie! bozko! niezrównanie! wołali starzy i młodzi.

Leonina skłoniła się lekko, podniosła oczy, i widać było na jéj twarzy, że ona także śpiewając była gdzieindziéj: może na wybrzeżach niebieskiego morza swego, może w Wenecyi, gdzie się kształciła późniéj, na Canal Grande, może płynęła na Lido, może z okien domu zwieszonego ze skał nad morze, spoglądała na Neapol wieńcem rozłożony z przeciwnéj strony, lub na rumieniące się w oddali Capri... To pewna, że latała gdzieś czarownica, że ci ludzie bez skrzydeł zerwali się ją gonić, i popadali na ziemię. Wyglądali też teraz wszyscy jak rozbici.

P. Adam w czasie śpiewu, choć w operze paryzkiéj słyszał najsłynniejsze prima-donny owego czasu, stał także osłupiały i przejęty. Czuł jak mu dreszcz zimny przelatywał od mózgu po plecach, jak w niego lał się strumień to lawy gorącéj, to lodu rozpuszczonego i mrożącego... Nie wiedzieć dla czego stanęły mu w myśli kościół farny w Białéj, i pierwsze spotkanie z Julią, jakaś scena wieczorna... potém pogrzeb w Wólce Brzozowéj... On, co nigdy nie marzył, poleciał także w swój świat na skrzydłach fantazyi, uniesiony muzyką.

— To coś nadzwyczajnego... rzekł trąc ręką po czole jakby chciał przywołać przytomność: nie rozumiem siebie.

— Prawda? rzekł wspinając mu się do ucha Maluta: to słowik włoski... to śpiew z innego świata! Czuć od niego woń rozkwitłych pomarańcz i jaśminów. Cudownie! cudowna *diva! diva!*... a powiem panu w tajemnicy, że pan nie wiedząc przyczyniłeś się do te-

go wykonania... Leonina wzrok miała w pana wlepiony.

— We mnie!

— Ale cyt! to tajemnica! dodał mały—to tajemnica!

Brawa nie ustawały, proszono o coś jeszcze, Leonina się opierała. Czuła, że takich dwóch pieśni jednego wieczoru pierś wynócić nie zdoła, bo nie ma w człowieku dwóch dusz, a całą wylać potrzeba na taki śpiew.

Ale gdy jakiś stary amator muzyki ukląkł przed nią, a stojący bliżéj naśladować go zaczęli, i ujrzała przed sobą cały szereg peruk pochylonych, rozśmiała się z tych upudrowanych głów, szepnęła coś Włochowi, i przy bardzo prostym akompaniamencie naśladującym gitarę, poczęła prostą neapolitańską Canzonę.

Była to piosnka dziewczęcia młodziutkiego, roztrzpiotanego pod tém słońcem Południa, które krew czyni kipiątkiem, rozśmieszonego, wesołego jak ptaszę; śpiew leciuchny, szczebioczący, szyderski, przy którym chciało się cień gonić, ściskać mury i całować ciepły wiatr wiejący z gór, kasztanowemi lasy porosłych.

Szał doszedł do najwyższego stopnia, a Leonina widząc swych wielbicieli w tém rozgorzeniu, zakręciła się, rozśmiała ruladą jak sznur pereł świetną... i uciekła.

I zrobiło się w sali ciemno, chłodno i pusto; wszyscy poczuli, że ona była życiem i słońcem... Pan Adam nawet doświadczył dziwnego uczucia tęsknoty, jakiego w sobie nie znał: żal mu się zrobiło steranéj młodości.

— A! rzekł mimowolnie do Maluty — czy ona się już nam nie pokaże?

— Zdaje mi się, że przyjdzie... Poszła tylko spocząć, odpowiedział zacierając ręce p. Floryan. Choćby dla zobaczenia jeszcze z blizka pana starosty...

— Mnie? spytał pan Adam.

— Ale tak! tak! śmiejąc się dodał kusiciel — to wiem autentycznie.

Komandor stał niedaleko przy drzwiach, słuchał i mógł usłyszeć; pan Adam trącił łokciem Malutę, i umilkli. Po chwilce gospodarz, który bardzo wydawał się zimny, zbliżył się i zapytał starosty:

— Jakże się panu śpiew jéj podobał?

— Nie mogę nawet powiedzieć, czy mi się podobał... bom pijany od niego,—rzekł p. Adam.

— Głos to istotnie przedziwny, rzekł chłodno gospodarz: tysiące ich słyszałem, a nigdy podobnego, któryby tak działał na człowieka. Ale ona dopiero żyje gdy śpiewa, całe jéj życie w tym głosie: zresztą pospolita, chłodna nawet istota. Zkąd się tam bierze ten szał, ten urok, ten wyraz, to pojąć trudno. Jéj śpiew jest jak wejrzenie wielu kobiet, które więcéj mówią oczyma, niż potrafią usty powiedzieć.

To rzekłszy, gospodarz wcisnął się w tłum i odszedł. Muzyka, która potém zagrała, skrzypiała tak w uszach słuchaczów, że się powoli z białéj sali porozchodzili; nie było można wytrwać przy niéj po śpiewie, choć w istocie była wyborna.

Był to tylko pierwszy akt tego dramatycznego wieczoru, niby otwarcie jego; zaraz potém lokaje pokazali się we drzwiach, kamerdyner drzwi do jadalni odemknął, i goście poszli na kolacyę. Zastawa stołu, który cały był w zieleni, w zwierciadłach i porcelanowych figurkach, zdumiewała oczy, ale woń jéj przyjemniéj jeszcze połechtala nerwy smakoszów. Zapach

kwiatów mieszał się z ulatującemi wyziewy potraw, które odgrywały także w powietrzu pewnego rodzaju koncert dla nosów i podniebień publiczności.

Jakkolwiek wielki był tłum, sala, stoły i stoliczki starczyły na pomieszczenie wszystkich wygodne; cisza żarłoctwa przerywana tylko brzękiem widelców i łyżek, rozpostarła się po sali, i trwała aż do pierwszych kielichów, które usta otwarły—uśmiechem.

Dzieje wszystkich uczt podobnych są jednakie. W godzinę połowa gości co przyszli dla wieczerzy tylko, wysunęła się po cichu; reszta zabierała się do walki z koszami pełnemi butelek, przy których szturmie mogła nocować. Kielichy dobywano coraz okazalsze i większe; gospodarzyli gorąco przykładem zachęcając przyjaciele komandora, on sam po trosze, słudzy nawet. Pijatyka poszła okrutnie szybko, namiętnie, z przerażającą gwałtownością.

Uszczupliło się tylko grono bachusowych dzieci, gdy niektórzy poczuli, że w sali białéj gra się rozpoczyna, część znaczna odbiegła do kart.

Tu na zieloném suknie świeciły się kupy złota, blaskiem swym pociągając serca i oczy.

Maluta, który ciągle miał w opiece starostę i wodził go z sobą wszędzie, pilnując, aby wszystkich rozkoszy skosztował,—patrzał w oczy, śledził każde jego wrażenie, ale nie znalazł w chłodnym owym człowieku takiego zapału, jakiego się po niewytrawnéj jego młodości spodziewał.

Stanęli wreszcie przy stolikach gry, od któréj dotąd p. Adam się wstrzymywał. Nie mógł nawet grać, bo w kieszeni miał zaledwo kilkanaście czerwonych złotych, a stawki były grube i wstyd było z kilku dukatami wystąpić.

— Cóż to, nie probujesz pan szczęścia? zapytał go Maluta.

— Ja nie grywam, rzekł starosta sucho.

— Jeżeli pana hrabiego wstrzymuje jaka okoliczność chwilowa, paręset czerwonych złotych zawsze się znajdzie w kieszeni jego sługi na rozkaz, a nie postrzeże nikt jak je panu podsunę.

— Ale nie, nie gram, odparł p. Adam.

— To do woli... tylko zrobię uwagę, że możeby wypadało grać—szepnął mały,—to jakoś należy do dobrego tonu, żeby nie było śmiesznie...

— Nawet nie umiem, przyznaję się.

— Gdybyś JW. hrabia pozwolił sobie pomódz.

— Ale nie.

— Juściż tu się zgrać nie można.

— Grasz pan, panie starosto? spytał w téj chwili nadchodzący gospodarz.

— Ja, nie, jestem nowicyuszem w téj sprawie, zwykle nie grywam.

— A! to prześlicznie! jedną słabością mniéj... to już wygrana! Jest to na nieszczęście słabość, mierzenie się i walka z losem namiętna... Jak to! starosta nie grałeś nigdy?

— Dotąd, nigdy.

— A! to dla saméj ciekawości wartoby spróbować szczęścia swego, rzekł gospodarz. Nikt siebie nie zna, kto nie grał. Jest to studyum własnego charakteru. Miałem się zawsze za bardzo cierpliwego, ale istotnie gra dopiero cnoty mnie téj nauczyła.

Adam czuł się dziwnie pociągniony ku temu człowiekowi. Komandor miał dla niego urok niewytłómaczony. Uśmiechnął się, zbliżyli się jakoś ku stolikowi.

— Prosimy o miejsce! zawołał gospodarz: oto

przybywa człowiek, który ślepemu fatum przynosi po raz pierwszy ofiarę!... Dziewicza stawka! Ile panie starosto?

— Ja? rzekł zmieszany Adam: jak pan sądzi?

— O! co bądź! fraszkę! pięćdziesiąt dukatów?

W téj chwili poczuł starosta, jak do jego kieszeni przechodziły dwa rulony, z których jednego zaraz dobył. Zawierał widocznie sto dukatów.

— Oto jest co mogę przynieść na ofiarę—rzekł wyrzucając rulon: nic—więcéj.

— A więc od razu cały w paszczę potworu! odpowiedział śmiejąc się komandor, i rzucił rulon na kartę.

Po chwili milczenia:

— Brawo! wygrana! zawołano dokoła. Pan Adam nie widział i nie rozumiał co się dzieje.

— Niech idzie daléj, na dwieście? spytali.

— Tak, na dwieście, rzekł pan Adam.

Karta wygrała znowu.

— Na czterysta!

Starosta obałamucony krzykami zgadzał się na wszystko.

Nowa wygrana.

— A! to już musisz pan trzymać na ośmset: prawdziwe szczęście nowicyusza! zaczęli wołać wszyscy.

— Na ośmset! baczność, na ośmset!

Jeszcze raz karta przeszła, nastąpiło milczenie.

— Cuda!

— Trzymasz pan na tysiąc sześćset? spytał z ukłonem bankier.

P. Adam chciał się okazać, obawiał się i żałował ośmiuset wygranych dukatów, ale kiwnął głową zezwalając.

Stawił na asa... as w następnym pasie wyszedł dla niego.

— Zadziwiające szczęście! wołano wkoło. Gdyby był umiał z niego korzystać!

— Jesteś pan predestynowany! zaśmiał się komandor, odchodząc żywo od stołu. Bierz pan dukaty i na dzisiaj basta... Ale strzeż się: nic niebezpieczniejszego i bardziéj uwodzącego nad pierwszą wygraną.

P. Adam pod naciskiem wrażeń, których raz pierwszy w życiu doznawał, zabastował sam nie wiedząc jak; nie umiał poradzić sobie z pieniędzmi, których mu ponapychano pełne kieszenie, tak, że suknie obrywały. Maluta widząc go zakłopotanym, podjął się odnieść mu je do domu.

Chociaż nie stawił już więcéj, p. Adam nie odszedł od stolika gry aż dopiero nad ranem; karty go zajmowały, patrzał, rozpalał się, niepokoił, policzki mu płonęły, w piersi kipiało. Muzyka, wieczerza, wygrane dukaty, natłok rozmaitych myśli i uczuć rzuciły go w odmęt dziwny; czuł jakby nowe jakieś rozpoczynał życie... Niepokój i żądza nieznana siadły mu na piersi i ssały je z szyderskim uśmiechem.

Gdy rano do domu powrócił, kładąc znużoną głowę na poduszkach, rzekł do siebie w duchu:

— Przecięż to się musi życiem nazywać!

W snach trochę gorączkowych przelatywały stoliki, karty, stosy złota, bukiety i kobiety... Julia unosiła się nad nim z rozpuszczonym warkoczem, obwinięta nim cała, jak gdyby w płaszczu ognistym... śpiew jéj rozlegał się szeroko i wrzał mu w piersi jak wrzątek.

Gdy oczy otworzył bardzo późno na dzień, ujrzał

przy sobie siedzącego Malutę, i leżący na łóżku zielony woreczek z tysiącem sześciuset dukatami... Z drugiéj strony stał Jermaszka z założonemi na piersiach rękami, ze spuszczoną głową, w cieniu, i przypatrywał się paniczowi z wyrazem głębokiéj boleści.

Ledwie miał czas wstać i przyodziać się, gdy kamerdyner oznajmił mu, że pani z nim widzieć się pragnie. Chociaż przykro mu to przypominało jego poddaństwo, musiał pożegnać Malutę, który z niego ciągnął spowiedź wrażeń wczorajszych, i poszedł do żony....

Pani przyjęła go wcale nie tak jak się spodziewał, lecz z wesołą twarzą i swobodnym na pozór umysłem; spojrzała na niego bacznie, wzrok jéj dłużéj spoczął niż zwykle na chmurném jego czole, i spytała:

— A cóż? dobrzeście się bawili wczoraj?

— Doskonale! rzekł starosta, ośmielając się powoli i przybierając ton swobodniejszy niż dawniéj, mniéj uległy; bawiliśmy się wybornie, alem dziś trochę niewyspany...

— A! bo też zapomnieliście się do dnia.

— A! tak jest.

— Grałeś zapewne? dodała żona z trochą niepokoju....

— Musiałem...

— Wiem, wygrałeś nawet tysiąc czy półtora tysiąca dukatów, *c'est un joli denier*.

— Wiesz więc wszystko! odparł mieszając się starosta: miałem widać szpiegów za sobą...

— Szpiegów? Nie! ale dużo moich i twoich przyjaciół. Powiem ci więcéj: byłeś zachwycony śpiewem téj nędznéj chłopki włoskiéj rudowłoséj—dorzuciła czerwieniąc się żona. Mogłabym ci prawie wyliczyć ile kieliszków wina wypiłeś, i ile razyś się obejrzał, wyglądając, czy panna Leonina nie wróci.

— Nadzwyczaj to mi pochlebia, że się raczysz tak mną zajmować, odparł starosta z trochą gniewu; ale zarazem jest to upokarzające... Nie mam więc w niczém woli własnéj? nie mam rozsądku do pokierowania sobą, potrzebuję dozoru... zawsze jak małe dziecko?...

Starościna uśmiechając się ruszyła ramionami.

— Wiesz, rzekł pan Adam, że to w końcu najcierpliwszego człowieka znużyć musi.

— A gdy znuży? zapytała spokojnie starościna.

— Ha! to może nabrać ochoty wyłamać się z tych więzów...

— A gdy się wyłamie? odparła znowu żona.

— No! to będzie wolny! zawołał gniewnie starosta — i koniec! Chcesz więc stanowczéj rozmowy?

— Pragnę jéj bardzo! odpowiedziała kobieta miarkując się, ale z gniewem w oczach.

— Od dawna chciałem ci zrobić uwagę, że sposób życia, jaki prowadzę, jest upokarzający dla mnie.

— Dla czego?

— Nie mam woli, jestem sługą nie mężem.

— Mogłeś to przeczuć, gdym ci oddawała rękę! zawołała dumnie starościna. Brałam cię ubogim chłopcem, gdym daleko świetniejsze znaleźć mogła zamężcie; uczyniłam to nie z miłości, bo o młodego, przystojnego mężczyznę nie było mi tak trudno, ale rachując na

twój rozsądek i powolność. Chciałam mieć w mężu posłusznego wykonawcę méj woli, i mieć go powinnam. Ofiara tu wzajemna. Ja ci daję mój wpływ, opiekę, rodzinę, stosunki, majątek; mogę przecię za to wymagać trochę posłuszeństwa i zastosowania się do mych żądań. Żeniąc się ze mną, alboś mnie chciał oszukać, alboś nie zrozumiał, że nic na świecie nie przychodzi darmo.

Tak jasno postawiona kwestya zdumiała Adama, który zżymnął się tylko.

— Dotąd myślałem—rzekł—iż w małżeństwie są równe prawa obojga małżonków.

— Gdzie równe są ich położenia i ofiary—odparła kobieta.

Przypomnienie było upokarzające. Adam spuścił oczy....

— Nie sądzę—mówiła daléj—byś się chciał ważyć na nieroztropną wojnę: do prowadzenia jéj nie masz ani sił, ani sprzymierzeńców, ani umiejętności. Nie sądź, bym była dobroduszną i zawojowaną Julią. Znasz może takie jak ona kobiety, ale nie takie jak ja. Po tych ofiarach, jakie uczyniłam dla ciebie, nie sądź, bym obojętnie dała się porzucić lub podbić. Nie wiesz chyba, czém jest zemsta kobiety i prześladowanie obrażonéj: ono cię może w proch zetrzeć. Przedemną nie znajdziesz schronienia, kąta... pokoju... ukrycia!.. Ale istotnie nie mam cię za tak nierozważnego chłystka, abyś się na to chciał narażać.

Adam pobladł z gniewu i upokorzenia. Zbity, zdeptany nogami przez tę nielitościwą kobietę, spuścił głowę jak przed ognistym mieczem archanioła, winowajca. Młodość nie dała mu dosyć uczucia miłości własnéj, dość wiary w siebie i energii, aby z obu-

rzeniem potargał natychmiast więzy, które go oplątywały....

— Mówię to wszystko—powolniéj nieco kończyła starościna—nie żebym ci chciała grozić, bo rzeczy nie zaszły tak daleko, bym mogła przewidywać coś podobnego; ale dla twéj przestrogi spowiadam ci się z mojego charakteru... nic więcéj. Chcę, ażebyśmy jasno pojmowali nasze położenie.

— Tak, ja je pojmuję teraz bardzo jasno—odezwał się pan Adam z bolesnym uśmiechem:—przyjęty zostałem do posługi.

— Nie, na powolnego towarzysza—podchwyciła starościna. Nie zapieram się rachuby, oszukaną na niéj być nie chcę. Jeżeliś sądził, że mnie zawojujesz jak tę biedną Julię, myliłeś się mocno: ja jestem z tych kobiet, co szalenie kochają, ale dla których ludzie nie szaleją.... Teraz się już doskonale rozumiemy....

Po chwili milczenia dorzuciła:

— Widzisz, że wszystko wiem, że się przedemną nie ukryjesz z niczém, że myśl nawet twoją odgadnę, że cię znam do głębi. Nie jesteś stworzony do walki, nie powinieneś walczyć, bo będziesz zwyciężony.

— Prawdziwie—odparł Adam—powiedziałby kto, że mnie wyzywasz.

— Nie, bom twoja żona, rzekła chłodno starościna; wiem, że się zrozumiemy i pogodzimy.

Opoliczkowany przez nią w sposób taki, jakiegoby nikt inny znieść nie potrafił, zbolały, upokorzony sam przed sobą, zachwiał się pan Adam, pot zimny wystąpił mu na czoło, ale zmilczał. Nie miał dosyć charakteru, aby zerwać natychmiast, obawiał się złamać całą przyszłość swoją, był razem godzien wzgardy

i politowania.... Pani starościna uczuła, że depcząc go, zaszła za daleko: uśmiechnęła się łagodniéj; pochlebiło jéj to łatwe zwycięztwo.

— Uspokój się, rzekła: między małżonkami podobne sceny są zwyczajne; są to drobne przechodzące po niebie obłoczki. Nie miéj mi za złe szczerości mojéj. Tacy przyjaciele jak Maluta, wiodą cię na bezdroża; ja pragnę powstrzymać i opamiętać. Nie ścierpię, ażebyś mnie oszukując, tarzał się w błocie jak drudzy.... Miałam już jednego męża, który zgnił w mych oczach, zjedzony rozpustą i wyżyciem: nie puszczę cię na zgubę; tyłe jeszcze cię kocham, że nie dozwolę ci zbezcześcić się i przepaść.

— O! mój Boże! zawołał w duchu przejęty bolem Adam: cóż to za pomsta Niebios mnie ściga! Jak ta kobieta obchodzi się ze mną!

— Nie sądzę, ażebyś WPan chciał rozbratu i zemsty, dodała kobieta; ale masz zawsze do wyboru: albo tę zemstę, albo posłuszeństwo, które ci przecię ujmy na honorze nie czyni. Świat tego za złe nie bierze, gdy kto kochając jest posłuszny: potrzeba tylko umieć kochać, a choćby dobrze odegrywać wielką miłość dla ocalenia honoru mężczyzny.

I śmiała się szydersko, chodząc po sali, i przyglądała się sobie w zwierciadłach, wlokąc za sobą ogon sukni, poprawując to rozpuszczone nieco włosy, to szal spadający z ramion... Podobna była do zwycięzkiéj Junony, któréj tylko brakło pawia z rozpuszczonym ogonem...

Pan Adam stał znękany, napróżno chcąc się zdobyć na jakąś siłę. Cierpiał oplwany wzgardliwie przez nią, a wybuchnąć nie mógł, wiedząc, że ona byłaby

najmniejszego sprzeciwienia się nie zniosła, i zgniotłaby go jeszcze nielitościwiéj.

Wszystko w tym domu do niéj należało; dwór, sługi, aż do téj sukni, którą on na sobie nosił.... Mogła go swoim ludziom kazać za drzwi wyrzucić, odarłszy do koszuli; a po jéj charakterze, nawet podobnego wybryku w chwili gniewu spodziewać się było można.

Adam poczuł, że chwila dłużéj, a może skonać z bolu i ucisku....

Machinalnie zaczął szukać kapelusza i myślał uciec; zdawało mu się, że tym jednym sposobem uniknie ostateczności. Usta jego drżały, a obawiał się wyrzec słowa, twarz malowała straszliwą walkę, i wyrażała takie przerażenie, taką boleść dojmującą, że nareszcie i ta arystokratyczna Ksantyppa ulitowała się nad zgnieconym przez siebie człowiekiem.

— Dla czegoż milczysz? spytała go: jam szczera.

— Nie mam nic do odpowiedzenia, rzekł cicho pan Adam, ciągle szukając kapelusza

— Radabym posłyszeć co masz w sercu?

— Powtarzam—rzekł mąż—nie mam nic do odpowiedzenia, nic, nic!

— Przecięż nie powinienbyś się gniewać na mnie? dodała niemal szydersko.

Adam uśmiechnął się; ręce mu drżały. Znalazł wreszcie kapelusz i gniótł go tak, że poszarpany rozpadł się w kawałki.

— Czy to jest odpowiedź? wskazując na niego spytała żona.

— Droga Krzysiu—rzekł blady pan Adam, podnosząc nareszcie głowę—idąc ścieżką nieraz ci się pewnie

trafiło zgnieś robaka na drodze: nie uważałaś też kiedy, że zdeptana istota podnosi wówczas głowę bezsilną, szukając obrony? Nie trzeba do rozpaczy przywodzić nawet robaków.

Dziwny uśmiech przeleciał po trzęsących się jego wargach. Wyszedł żywo, zostawując ją samą, ale z jakiemi w duszy uczuciami! Zbiegł po wschodach płonąc od wstydu, bo niemal był pewien, że scena ta miała podedrzwiami słuchaczów. Zamknął się w swoim pokoju.

Tu padł na łóżko, i w rozpaczy porwał oburącz rozognioną głowę, bijąc nią o mur zimny. Znieważony, wyszydzony, gdy myślą sięgnął po niezależność, po ucieczkę z tego domu, rozbijał się o własną zniewieściałość, o obawy, o stratę wszelkich nadziei, na których przyszłość swą budował. Młodość zeszła mu na marzeniach, sił nie wyrobił w sobie żadnych, prawdziwe nieszczęście znajdowało go nieprzygotowanym, samego siebie się wstydzącym.

Ile razy myśl wpadła na rachubę następstw, jakie zerwanie z tą kobietą pociągnąćby musiało za sobą, przestraszał się walką, osamotnieniem, własną nędzą moralną. Czuł, że temu nie podoła, że okuty musi zostać niewolnikiem.

Przeleżał tak kilka godzin, walcząc z sobą daremnie... gdy nagle nastręczyła mu się myśl zobaczenia się z Julią. Serce jéj było dla niego dziś jedyne, do którego mógł zakołatać, przed którém czuł, że się użalić może. Ale strzeżony we własnym domu, nie mógł nawet wynijść, aby go nie śledzono i nie szpiegowano; każdy krok jego był natychmiast doniesiony, wiadomy żonie.

Miało się już ku wieczorowi, gdy twarz poczciwego

Jermaszki pokazała się już może po raz dziesiąty we drzwiach przedpokoju. Pan Adam pierwszy raz ją teraz spostrzegł. Zaglądał on ciągle ku paniczowi, ale wnijść nie śmiał.

Starosta ujrzawszy go nareszcie, pomyślał, że mu los daje choć słabego sprzymierzeńca. Skinął na niego, wskazując mu, by wszedł po cichu, był bowiem pewien, że go pilnują teraz ściśléj jeszcze niż kiedy.

— Słuchaj, rzekł do niego: potrzebuję wyjść z domu tak, by mnie nie widziano. Nie pytaj czemu? Chcę, żeby ludzie myśleli, że śpię, żem chory; nie wpuszczaj tu nikogo, pilnuj sypialni, ja się tyłami może wymknę niepostrzeżony.

— Wymkniecie się paneczku, a no prędko,—odpowiedział Jermaszka: oni teraz wszyscy na obiedzie.... w bramie nie ma nikogo.

Starosta narzucił płaszcz na siebie, i ostrożnie wyśliznął się przez mroki bramy w ulicę.... W istocie nikt go nie spostrzegł. Wziął najbliższy powóz i pojechał do Julii. Szczęściem zastał ją w domu, ale była chora. Nakreślił kilka słów na karteczce, posłał przez służącą, i w parę minut wpuszczono go do jéj buduaru...

Hrabina istotnie była cierpiąca, a na twarzy jéj niedzisiejsza boleść coraz głębsze ryła ślady. Smutna, chwiejąca się na nogach, postąpiła przeciw niemu pełna wzruszenia i litości.

— Cóż cię tu sprowadza? spytała cichym głosem: co? Jużciż nie pamięć o mnie, nie litość nademną, mój drogi Adamie! Nie! ja się łudzić nie chcę: ty musisz cierpieć, a jam ci potrzebna, bo wiesz, że kocham ciebie!

Łzy potoczyły się po jéj zwiędłéj twarzy; wskazała

ręką portret Adama, który stał przed nią na stoliku, na który patrzała gdy przyszedł, karmiąc się wspomnieniami....

— Siadaj tu—rzekła—i poskarż mi się, dziecko moje. Ja dziś mocniéj niż zwykle jestem cierpiąca, z powodu tego wczorajszego nieszczęsnego wieczoru może. Wiem gdzie byłeś, każdy krok twój śledzę... Słyszałeś śpiew Leoniny i byłeś uniesiony... A! jam jeszcze zazdrosna! nie o tę kobietę, która się zowie twoją żoną, bo ty jéj kochać nie możesz, ale o tę Włoszkę, za którą tak tęsknym gnałeś wzrokiem.

— Jak to? już ci doniesiono!... i tu...

— Nie, widziałam to sama własnemi oczyma. Byłam skryta na chórze... bom wiedziała, że ty tam będziesz. Patrzałam na ciebie i omdlewałam z zazdrości! A! ty na nią tak patrzałeś chciwie temi oczyma mojemi!.. O!..

I wstrzymała się, piersi uciskając rękami.

— A! ja ani myślę o tém! zawołał Adam. Posłuchaj mnie. Ten wieczór był przyczyną okropnéj sceny między mną a Krystyną. Przychodzę ze skargą i po radę... Julio! ratuj mnie! Tyś mnie wyrwała z téj ciszy wiejskéj i rzuciła w ten świat okropny, przeciwko któremu stoję dziś bezbronny!

— A! inne ja dla ciebie marzyłam szczęście i życie!

— Tak! jam moją winą wpadł w tę przepaść! Ratuj mnie! Ta kobieta nie ma serca, nie zna litości; nie tai się, że mnie chce mieć tylko niewolnikiem swym i sługą. Wszystko co może obrazić, co może zgnieść bezbronnego człowieka, wylała na mnie i rzuciła z szyderstwem za próg, urągając mojéj bezsile... Powiedz, co mam począć? Zniosłem to, wycierpiałem, ale przebaczyć nie mogę, i znosić dłużéj nie potrafię!

Załamał ręce. Julia stała zadumana.

— Ona więc śmiała posunąć się do tego! krzyknęła — do tego!

— Więcéj niż ja powiedzieć, niż ty się możesz domyślić. Jam zniósł to jak żebrak, którego psami z podwórza wyszczują za wrota.

Julia chodziła wielkiemi krokami, chwytając się za głowę i serce.... potém uklękła przed nim, i chwilę płakała milcząca.

— Tak! zawołała wstając: masz słuszność! Jam jedna winna... jam pokutować skazana za nas oboje... jam obowiązana radzić i ratować. Jam cię porwała dzieckiem z pod cienia tych drzew, któreby były ciche ci osłaniały życie i kołysały do szczęścia spokojnego, niezmąconego. O! ja! ja! ja! —dodała, bijąc się w piersi—ja znam Krystynę: ona gotowa na wszystko gdy się zemścić pragnie, gdy ścigać postanowi. Potrzeba milczeć, mam środki, obmyślę, poradzę, dam ci oręż przeciwko niéj.... Ale powiedz mi—rzekła po chwili—maszże ty siłę, aby ją porzucić i walczyć z nią?. Byłaby to wojna, o którą mogłaby się rozbić cała przyszłość twoja. Jéj rodzina tak związana, tak jedna, ścigałaby cię nielitościwie... Milcz! czekaj, daj mi zdobyć te środki... przygotować ci oręż. Ja także mam z nią rachunek, ale przedewszystkiém szczęście twoje... Jak się scena skończyła?

— Wyszedłem wściekły, upokorzony, przybity.

— Czy wie, lub może dojść, że byłeś u mnie?

— Nie! wymknąłem się niepostrzeżony.

— Co myślisz czynić jutro? spytała Julia.

— Będę jéj unikał i milczał.

— Nie, potrzeba chwilowéj zgody, zawołała hrabina: nie należy obudzać podejrzeń. Jutro, jeśli będzie

można, przyjdź do mnie. Dałabym życie, aby cię ocalić; ale jak Bóg nie zbawi tego, który nie pragnie być zbawiony, tak ja nie ocalę cię, jeżeli nie znajdziesz w sobie siły do walki.

Adam i tu znów upokorzony, spuścił głowę.

— Masz słuszność—rzekł—jam winien, bom słaby. Czuję to, i siły sobie dać nie umiem; wszystkie pożarła ta żądza wydźwignienia się, wielkości, blasku. Jest to szał, namiętność. Żałuj mnie, ale nie pragniéj, bym zwyciężył siebie.

— Pomyśl—odparła po chwili Julia, z uśmiechem serdecznego współczucia—pomyśl, czy w obiorze drogi do tego celu nie omyliłeś się. Miłość taka jak moja jest często jasnowidząca.... Czyż tylko przez ludzi i wpływy dosięgnąć można szczytu? czy się nie dochodzi bezpieczniéj do niego o własnéj mocy i zasłudze—przebojem, walką talentu, który w końcu uznany być musi i właściwe w świecie uzyskać stanowisko?

— Być może—zawołał Adam—jest to prawdą zapewne gdzieindziéj: u nas i teraz, nie. Trzeba opieki, pleców, stosunków lub zaprzedania. Jam skazany na tę niewolę, ale nie maszże środka na pokonanie jéj, na pokonanie téj tyranii? Ty ją znasz?

— Znam ją, i sądzę, że nic jéj złamać nie potrafi, odparła smutnie Julia. Są może środki, ale dla ciebie niedostępne; jest jeden niepewny, o którego zdobycie starać się będę. Jest to charakter silny, śmiały, niecofający się przed chwilowym wstydem jak inne kobiety: miałeś tego dowody. Znałam istoty, które, by nie dotknąć łojowéj świecy, wolały dać zgorzeć domowi: Krystyna wcale jest inna. Gdy pragnie czego, pragnie całą duszą, gromadzi środki, rozbija zapory, nic nie szczędzi.... Takby kochała, gdyby mogła

kochać; ale tak pewno nienawidzieć będzie, gdy się w niéj nienawiść obudzi.... Mógłbyś z nią wieść walkę powolną, cichą, chłodną, nieustającą, wytrzymałą, podkopującą, wycieńczającą ją powoli; ale tyś do niéj niezdolny, a Krystyna nie wiem czy czego ulęknąć się może, prócz upadku z téj wysokości, na któréj ją mieści urodzenie, majątek. Myliłbyś się sądząc, że tracąc cię, uroni łzę po tobie: mścić się zażąda, ale żałować nie będzie.

— Skuty więc jestem z potworem! zawołał Adam, łamiąc ręce.

— Gdybyś nie był człowiekiem ambicyi nienasyconéj, powiedziałabym ci: zerwiéj wszystko, porzuć ją— odparła Julia—uciekajmy za światy! To, co ja własnego mieć mogę, starczy na życie ciche, na kątek zielony choćby w drugim świecie, za oceanami. Sprzedam wszystko, zabiorę swoje, wezmę cudze—dodała namiętnie—jeżeli zechcesz pójść ze mną. Mnie tu nic nie wiąże. Wspomnienia, to zgryzoty.... nadziei żadnych... blask, to rozpalona korona, co pali skronie... świat, to męczeństwo na łożu Prokusta, na którém codzień inaczéj wyciągają cię jego zwyczaje i tyrania, jego fantazye... A! gdybyś chciał! gdybyś mnie kochał!

Adam spuścił głowę przybity. W sercu jego było pusto; była litość, przywiązanie nałogowe, wdzięczności nawet iskierka, ale nie było tego uczucia, co wszystko rzuca w ogień, byle się przy nim ogrzało....

Julia nie pytała go więcéj, milczenie było odpowiedzią....

— Wracaj—rzekła,—niepotrzeba ażeby się domyślano stosunków pomiędzy nami. Bądź ostrożny; ja z mojéj strony pracować będę, by ci dać oręż na nią. Nie mogę mówić dzisiaj nic więcéj. Nie zrywaj, nie

czyń kroku stanowczego, nie naradziwszy się ze mną. Krystyna jest zręczna: da ci jakąś pastwę, abyś o ranie zapomniał; ale jutro ciaśniéj jeszcze skuje twe kajdany, gdy o baczności zapomnisz.

Adam skłonił się, pocałował jéj rękę gorącą, uczuł jéj usta przylgłe na chwilę do czoła, i wyszedł znękany, niepewny, ale z jakimś brzaskiem nadziei. Zawlókł się tak do domu powoli, nie myśląc już ukrywać się z powrotem, bo mu tylko szło o to, aby nie wiedziano dokąd chodził.

Przyszedłszy do mieszkania, zastał tam Jermaszkę na straży u drzwi, rozogniónego widać oporem, jaki w obronie powierzonego mu stanowiska stawić musiał.

— Ono to proszę JWPana, pani przysyłała dwa razy po panicza, ale powiedziałem, że śpi; chcieli budzić, ale nie dopuściłem. Mało się biedy nie narobiło z tym wielkim kamerdurnerem, bo mnie sfukał, a ja znowuż tego nie lubię. To się mu dostało jak należy, i dali mi pokój.

— Dawno to było?

— A może trzy *Ojcze nasz* temu, odparł Jermaszka.

— Jeżeliby znowu kto nadszedł, daj mi wiedzieć, rzekł Adam.

I począł myśląc chodzić wielkiemi krokami po pokoju. Ważył pierwszy raz w życiu położenie swoje, i nie widział z niego wyjścia. Był sam, bezsilny, a miał przeciwko sobie nieprzyjaciela, kobietę-żonę, intrygantkę i wszechmocną w Warszawie. Pierwszy raz dało mu się też uczuć zaprzedanie. Ściskał pięści, łamał sobie głowę napróżno. Nie było wyjścia z tego rozpaczliwego położenia.

Gdy tak dumał, spostrzegł, że kilka razy uchylono drzwi, jak gdyby go kto szpiegował, i poznał w nich

poczciwego Jermaszkę, który w istocie śledził jego ruchy, przeczuwał jakieś strapienie i frasował się, że nie wiedział jak paniczowi poradzić na nie. Ale cóż znaczył ten sprzymierzeniec w łapciach przeciwko wielkiéj pani w paryzkich trzewiczkach? Kaliban wiejski przeciwko królowéj czarownic?... Przypomniał mu wszakże wieś, cichą młodość, stracony spokój.

— Po co mi było pragnąć zbyt wiele! rzekł w sobie: czyżbym tam nie był szczęśliwszy?... czybym tam nie był królem u siebie... gdy tu jestem sługą sług dworaczych? Ale dziś, wygnanemu z raju, niepodobna do niego powrócić... tysiąc przepaści mnie od niego dzieli... nie należę do niego! sprzedałem się! sprzedałem!...

Słabość wyradzała zemsty pragnienie. Zaciskał pięści; ale wkrótce opadały mu ręce, czuł się bezsilnym.

Szmer w przedpokoju i rozmowa z Jermaszką przerwały jego marzenia i gniewy; po chwili wszedł prawie przebojem kamerdyner Biebrzycki, niosąc na tacy wielki list.

Skłonił się i rzekł:

— Od JW. Pani.

A podawszy go staroście, odszedł nie czekając odpowiedzi...

Adam trzymał go długo w ręku, nie śmiejąc pieczęci rozłamać. Dziwnie to miało pozór urzędowy, i nie mogło być biletem od żony do męża: była w tém widocznie jakaś niespodzianka tajemnicza. Na wierzchu tylko stał napis z pośpiechem skreślony:

Mon cher Adam.

Zwykle Krystyna pisząc do męża, dodawała ten przymiotnik niezbędny, który po rannéj scenie dziwnie się jakoś wydawał.

Starosta zbliżył się do świecy, rozłamał pieczęć, i dobył najprzód kartkę, na któréj stały te słowa

„Ja za złe, dobrém płacę... Gdy *cher Adam* karmił mnie takim smutkiem, myślałam tylko, by mu zrobić przyjemność; a w dowód, żem nie zmieniła uczuć, że nie chcę na jedną chwilę pozbawiać się téj satysfakcyi, jaką moja drobna ofiara uczynić ci może, oto ją masz... *Bonne nuit!* *Christine.*"

Koperta zawierała w sobie tegoż dnia podpisaną przez króla JMości nominacyę urodzonego i wielce nam miłego hrabiego Adama O.... na wakujące kasztelaństwo, wprawdzie *in partibus infidelium*, ale dające tytuł piękny, miejsce w senacie i szczebel do dalszych honorów.

Trzeba przyznać, że wyrobienie tego tytułu, i rzucenié go tegoż dnia w nagrodę za doznaną z rana boleść, było mistrzowskie. Adam uczuł się związany, przykuty, zawstydzony i upokorzony témbardziéj, że się o to wcale nie starał, iż jéj tylko wpływom winien był tę niespodziankę... i musiał dla niéj mieć wdzięczność.

Adam był połechtany przyjemnie: nie marzył tak rychło o tak dostojnym tytule, który go stawił od razu na równi z pierwszymi dygnitarzami Rzeczypospolitéj, dając mu głos i położenie poważne. Wprawdzie wydatki, na jakie nowy ten blask mógł narazić, czyniły go jeszcze zawiślejszym od żony, i to widocznie było z jéj strony rachubą; ale miłość własna została zaspokojona... Dała mu uczuć Krystyna, mocniéj niż kiedy, że on bez niéj nic nie znaczy, że w zgodzie i posłuszeństwie iść tylko może i bezpiecznie stąpać po świecie. W tém pogłaskaniu czuć było lwią łapę, która pieszcząc nawet, rozdziera do żywego.

Wypadek ten rzucił go w większą jeszcze niepewność, co począć z sobą, jak daléj postępować? Ale po chwili rozwagi, przyszło postanowienie przejednania się z żoną, czekania, milczenia i noszenia cierpliwie tych więzów, któremi był skuty, dopóki ich czas i okoliczności pomyślniejsze nie skruszą.

Połechtana duma stawiła mu przed oczy obrazy, które dozwalały na chwilę zapomnieć o ucisku, o upokorzeniu. Wracały one jednak z nową siłą i brzemieniem obarczały duszę... Naprzemiany zajęty swém kasztelaństwem i niewolą, szczęśliwy z pierwszego, rozbijał się o drugie, i tulił w dłonie czoło wstydem okryte... Wielkość jego nawet obojętnego świata złudzić nie mogła... była pożyczana i wyżebrana.

Widzenie się z żoną nowo kreowanego kasztelana było jedną z tych scen, które na wielkim świecie nie są wcale rzadkością. Ona była tryumfująca, więc łagodniejsza; on powstrzymujący się, pomieszany, upokorzony i chłodny.

— Spodziewam się, żeś zadowolony,—rzekła Krystyna, kładąc mu rękę na ramieniu poufale. Nie będę się przechwalała ile mnie to kosztowało, nie mówię już pieniędzy, ale zachodów, kłopotu, starania... Mieliśmy trzech współzawodników zamożnych i dość znaczących, ze trzech stron zaparte drogi; czwarta niedostrzeżona stała otworem dla mnie, i tą się wśliznęłam... *Cher Adam* pamiętać powinien zawsze co napisano na dukacie, a co mi niegdyś wytłómaczył pewny rozumny professor: „Zgodą się idzie daleko, wojna niszczy i rozprzęga.“ Nie wymagam wiele, ale bronię cię od fałszywych przyjaciół i nieochybnéj zguby.

Małżeństwo pogodziło się pozornie. Krzysia tyle była kobietą i tyle miała doświadczenia, że uśmiechu męża nie wzięła za bardzo dobrą monetę; ale spodziewała się, że go ukołysze powoli, że strach, jakiego doznał, powstrzyma go od rzucenia się w życie swobodniej-

sze, którego wpływów się obawiała. Jedną rzecz byłaby może tolerowała dla przyszłości: większe zbliżenie się do świata i ludzi; ale młodość Adama, niedoświadczenie, niewyburzone namiętności, raczéj wstrzymane niż okiełznane, czyniły i to niebezpieczném.

I ona też miała niepokój w duszy: bo utrzymanie młodego męża w takich klubach, niepospolitém było zadaniem, wymagało z jéj strony nieustannego czuwania.

Na pokoje nowego kasztelaństwa zjechał się zaraz cały świat winszować im dostojeństwa; karety następowały jedne po drugich, komplementa kwaśne, cukrowe, mdłe, stęchłe, szyderskie, przełykać było potrzeba, choć większa ich część była bardzo niesmaczna i dławiła. Kasztelan nowy czuł mimowoli, że winszując mu godności, którą otrzymał, uśmiechano się z niego po cichu, że zwrócone nań tym wypadkiem oczy tłumu, dobywały z głębi zapomnienia wszystkie prawdy i plotki o jego przeszłości, młodości, pochodzeniu i t. p.

Zapomniane nieco wracały teraz z przyrostem i dodatkami świeżemi.

Między innymi gośćmi była i Julia. Adam się jéj widzieć nie spodziewał: zdumiał się przekonywając, ile miała mocy nad sobą; wiedział ile cierpiała, jak musiała być niespokojna, jakie w duszy nosiła piekło, a jednak przygnana formami świata, przybyła z pogodną twarzą, uśmiechnięta, prawie wesoła, udając zobojętniałą i znudzoną. Nikt w świecie z jéj powierzchowności nie mógłby się był domyślić, że drżała od stop do głowy, jakby rzucając się w otchłań piekielną. Była tak panią siebie, tak pewną! Z Krystyną uściskały się jak dwie siostry najczuléj się kochające:

im draźliwsze były ich stosunki, têm żywiéj obie podwajały względem siebie grzeczność i oznaki przywiązania. Julia wszakże zabawiła tylko chwilkę, a gdy ją do wschodów odprowadzał Adam, wskazując kwiaty i udając rozmowę o kwiatach, szepnęła mu ostrożnie:

— Jutro, wieczorem, mam coś do powiedzenia. Jestem na drodze zdobycia tych środków, o których wspominałam—znajdę oręż przeciw niéj.

Potém zwróciła się jeszcze, przyjaznêm skinieniem głowy żegnając Krzysię—i wyjechała.

— A! jakże się strasznie zestarzała! odezwał się chór niewieści po jéj zniknięciu, przez pochlebstwo dla gospodyni. Ale to nie do uwierzenia! W roku przeszłym była jeszcze lub przynajmniéj wydawała się tak świeżą; a teraz co za zmarszczki! jakie czoło poorane! co za żółtość, zmęczenie! Biedna kobieta! musi cierpieć!

— Ale *jeszcze* prześliczna! przerwała te okrzyki gospodyni.

— A! ponętna—odezwał się ktoś starszy—wydaje mi się tak jak dobra młodziuchna aktorka przymuszona grać rolę staruszki... Z pod téj przybranéj fizyognomii wygląda życie i namiętność.

— Któż tam teraz panującym? cicho spytała pani podczaszyna tryumfującéj Krystyny.

— Tajemnica niezbadana! Jeżeli nie pułkownik, to książę... obaj stoją od dawna w szeregach wielbicieli, więc na któregoś koléj przyjść musiała. Książę jest młodszy jeszcze i zakochany widać w ruinach... *il est antiquaire*; pułkownik niedowidzi... Ale cicho! nie godzi się obgadywać: ja ją, *mimo to wszystko*, tak serdecznie kocham!

Na têm skończyła się rozmowa.

Pan Adam przez dzień cały był w odmęcie. Jeździł dziękować królowi, który popatrzawszy nań jakoś z ukosa, szydersko nieco, prawie z politowaniem, wybąknął jakąś grzecznostkę zwyczajną; potém sam roznosił prezenta i różne opłaty, przyjmował winszujących, musiał dziękować i odpowiadać na listy. Wracając do domu z jednéj z tych wycieczek, spotkał Malutę, który powóz jego w ulicy zatrzymał.

— Ja jeszcze kochanemu kasztelanowi nie powinszowałem—rzekł z rozczuleniem—a Bóg widzi, otworzyć proszę serce moje, jak jest przejęte! To tylko podnóżek do czegoś większego, wart jesteś więcéj! Ale nie mógłbym parę słów pomówić? rzecz *magni momenti!*

— Panie Floryanie siadaj, pojedziemy w aleje; powiem ci późniéj, dla czego cię z sobą do domu zabrać nie mogę... Zabieraj się ze mną do powozu! a żywo!

— Mnie nic tłómaczyć niepotrzeba—zawołał Maluta po cichu—to się wie. Pani się na mnie gniewa, miałem tego dowody, obawia się o kasztelana. Ale to zwykłe dzieje żon zazdrosnych, póki się nie ostrzelają: zważać na to niepotrzeba zbytnio. Co innego mam kochanemu kasztelanowi powiedzieć, że bodaj... bodaj czy nie dwa na raz szczęścia go spotkały.

— Dwa! cóż drugiego?

Maluta się rozśmiał.

— Jeżeli—dodał—szczęściem to nazwać się godzi. Trzeba wiedzieć—rzekł ciszéj—że ja jestem u komandora tak jak domowy, i w najlepszych stosunkach z tą bestyjką Leoniną: ona się w panu kasztelanie formalnie kocha.

— Co znowu pleciesz! Raz mnie widziała z daleka! rzekł śmiejąc się kasztelan.

— Ale nie płotę! Dziewczyna *habet*, jak to mówili Rzymianie: już ja to wiem, oczarowałeś ją.

— Już nie wiem jak.

— Niemal mi się przyznała; dopytywała o szczegóły.

— Raz-em ją w życiu widział bliżéj.

— Ale ona pana dziesięć razy: wie wszystko, śledzi, goni—oszalała doprawdy.

Adam dziwnie potrząsł głową; łechtało to miłość własną, ale serce było zastygłe.

— A! daj mi tam pokój! odparł — czyż ona mi w głowie?

— A przypatrywałeś się jéj pan?

— Mało, ale bardzo ładna! śpiew czarujący...

— Co to ładna!—podchwycił Maluta—mało powiedzieć, dyabeł nie dziewczyna. Głos, coby umarłego z grobu wywołał; wdzięki, jak żyję nie widziałem podobnych; rączka dziecięca, noga niepostrzeżona.

— Gdzieżeś się tak w niéj rozpatrzył?

— Codzień ją prawie widuję.

— A komandor przecię musi być zazdrosny.

— O! bynajmniéj: kocha jéj głos, zresztą—to człowiek rozumny!

Adam westchnął. Był ubogi, wiedział dobrze, iż takie Leoniny nie mogą kochać darmo, że rozpieszczone, nawykłe do zbytku, nie rozumieją innéj miłości prócz oprawnéj w złoto. Pozór dostatku, jakim był otoczony kasztelan, łudził Włoszkę; lecz pan Adam nie czuł się na siłach walczenia o lepszą z Tepperami i komandorem.

— Nie żartuj sobie, rzekł powoli do p. Floryana: śliczna ona jest, ale to drogie cacko, nie dla mnie.

— *Perche?* spytał Maluta.

— Zastanowiwszy się, sam sobie odpowiesz—dodał kasztelan.

— Zastanowiłem się i odpowiedzi wynaleźć nie umiem... Ale zresztą to się sobie tak gadało; jak chcecie. Miałem obowiązek ostrzedz drogiego kasztelana, bo to gratka niepospolita. Drudzyby to niewiem jaką ofiarą chcieli opłacić, a wam samo się rzuca w objęcia.

Nowinka ta mimo pozornie małéj wagi, uczyniła pana Adama niespokojnym, i po rozstaniu z Malutą, choć starał się Leoninę wybić sobie z głowy, ciągle o niéj myślał, nie mogąc pozbyć się natrętnego jéj obrazu. Był to dla niego podwójnie zakazany owoc, a przez to stokroć ponętniejszy.

Nazajutrz wieczòrem potrzeba było pójść do Julii. Kasztelan wymyślił jakąś wizytę w domu obojętnym, wymknął się ztamtąd konie zostawując przed bramą, i pobiegł kryjomo do hrabiny. Musiał tego nędznego użyć środka, aby nie być wyśledzonym.

Julia czekała nań w swoim gabinecie, znowu smutna, bo sama, ze zwieszoną głową; była ubrana w szal, miała kapelusz, konie jéj stały gotowe w bramie—wyjeżdżała.

— Na dziś—rzekła—mam ci tylko jedno słowo powiedzieć: bądź dobréj nadziei, jestem na drodze wielkiéj i ważnéj zdobyczy, która ci spokój i swobodę zabezpieczyć może, da ci ją w ręce upokorzoną i drżącą. Na teraz więcéj powiedzieć nie mogę; jadę—muszę—dam ci znać gdy się uda; jeśli mi się nie powiedzie, zamilczę. Ale nadzieje mam wielkie.

— Nie śmiem o nic pytać, rzekł Adam zaciekawiony.

— Nie mogę mówić, nic, nic! zawołała Julia. Nie

wiem, nie powiem, proszę mnie nie badać, ale bądź dobréj nadziei panie kasztelanie...

A cóż? dodała po chwili: po swéj nominacyi poznałeś przecię tę kobietę!

Adam nic nie odpowiedział, westchnął tylko.

— Zręczna! rzekła Julia—ale są równie zręczni i drudzy. Koniec końców, nie wszystko się zawsze udaje... Do widzenia...

Podała mu rękę wzdychając, ale widocznie weselsza.

— I kochaj mnie choć troszeczkę—szepnęła—gdy ci na to odrobina serca zostanie.

Adam wyszedł, a tuż za nim kareta hrabiny potoczyła się po bruku, i za bramą Krakowską znikła gdzieś w ciemnych uliczkach Starego Miasta.

Każdemu się trafiało w życiu, po kilkudziesięciu latach rozstania, spotkać znowu twarz sobie znajomą dawniéj, i znaleźć ją zmienioną ze świeżego kwiatka wiośnianego na stary grzyb jesienny.

Jakże tam dziwnie na niéj wypisało się życie! Jak ją poorały ciężary, które po niéj przeszły! Cóż się to stało z temi oczyma, co tak jasno w świat patrzały! z tego czoła, tak gładkiego jak niezapisana jeszcze tablica marmurowa, z tych ust świeżych jak dojrzały owoc, który się roztworzył na słońcu, z téj całości tak świeżéj, harmonijnéj, pełnéj!... Ruina mchami porosła, w któréj każda ściana innemi patrzy cegłami.

Rzadko kto jest tak wyciosany od razu, że się prawie nie zmienia; po większéj części dłużéj zachowują się ludzie zimni, krócéj trwają ci, co się szarpią z sobą walką wewnętrzną.

Najdziwniejszym ze skutków starości jest, że człowiek jak stara kłoda dębowa, na któréj pleśnie, mchy, grzyby i porosty wychodzą nie wiedzieć zkąd—pokrywa się także mnóztwem wyrastających dziwnie plam, znamion, brodawek, które młodość umiała pochłonąć i pokryć, a starość wypycha, zolbrzymia, uwydatnia.

W młodości były to znamiona piękności, ziarna wdzięku; na starość są to nasiona zniszczenia, oszpecające dziwacznie. Znajdziesz takie stare twarze, na których ta wegetacya jesienna buja z dziwną siłą. Brwi rozrastają się krzaczysto, uszy pokrywa mech bujny, zewsząd wytryskują brodawki, nareszcie guzy, i to oblicze, które miało charakter jakiś będąc świeże, ginie pod warstwą pasorzytów.

Z uczuciem, które rodzi ta przykra metamorfoza człowieka, patrzała Julia siedząc w małéj izdebce, na starego w szaréj kapocie jegomości, trzęsącego się, zgrzybiałego, a nieśmiejącego usiąść przed nią jeszcze.

Nie było smutniejszéj ruiny nad tego starca.

Wyłysiała jego głowa, ledwie puszkiem białym pokryta, zwieszona była na piersi; gdy chciał spojrzeć, nie mogąc jéj podnieść, dziwnie musiał wykręcać; od tego wysiłku skurczona, zdawała się ledwie trzymać na karku pofałdowanym, po którym sine i wyprężone występowały żyły. Cała też twarz od choroby i wieku dziwnie była przekształcona, zczerniała, rozpuchła. Brwi na niéj ciemne, zrosłe w pośrodku zarostem zdziczałym, przykro odbijały przy gładkiéj czaszce; na policzkach rosły krzaki na kępinach różnego koloru... Dodawszy dosyć długie wąsy, obwisły podbródek, lica obrzmiałe i osunięte, wargę dolną nieprzymykającą się już jak zepsuty kuferek — można mieć niejakie wyobrażenie téj zdezelowanéj twarzy starca. Postać cała nie była od niéj wdzięczniejsza: plecy przygarbione, nogi obwinięte grubo i opuchłe, ręce nabrzmiałe, czerwone, trzęsące się i widocznie bezwładne.

— O mój Boże, cóż się to z wami stało! mój kochany cześniku! wołała Julia. Chory jesteś? czemużeś się nie radził doktorów, nie dał wiedzieć o sobie?

Ten, którego dawniéj znała Julia zdrowym i młodym, pan cześnik, równie ciężko mówił jak stał o swéj sile; słowa z ust jego wychodziły poprzedzane bełkotaniem, niewyraźne, jakby je co wewnątrz zatrzymywało. Naówczas oczy i tak wypukłe otwierał jeszcze bardziéj z wysilenia, głowa zaczynała się trząść mocniéj, ręce dygotały i nogi nawet zdawały się chcieć pracować na wydobycie głosu, który nareszcie odzywał się stłumiony, niewyraźny i nierówny. Cześnik nie mówił, ale wybuchał: wyrazy to się rzucały szybko, to jakby grzęzły w gardle, i dopiero gdy się tam coś odetknęło, wychodziły jak płyn wzburzony z butelki nagle otworzonéj. Rozmowa z tym biednym była dla niego i dla słuchacza męczarnią.

— Ale siadajże cześniku, nie możesz stać: proszę cię, siądź — odezwała się Julia nalegając.

Za chorym starcem stał wyrostek lat dziesięciu. Obejrzał się cześnik, bo bez jego pomocy ani wstać, ani usiąśćby nie potrafił; dał mu znak, ażeby go posadził, i z pomocą tą padł w wielki swój fotel wydeszony i otłuszczony kilkoletniém siedzeniem. Ten mały ruch już go zmęczył, zakaszlał się, zadychał, łzy mu z oczu pobiegły, musiał się otrzeć. Dał potém znak chłopcu, aby odszedł, co też tamten jak najprędzéj spełnił, rad, że się choć na chwilę na swobodę wyrwie.

— Jakże mi też pana żal! mówiła Julia.

— Ale ja—rzekł uderzając ręką po krawędzi krzesła cześnik—nie jestem tak chory, siły czuję, i gdyby nie te nożyska przeklęte, jeszczebym poszedł tańcować.

Julia się uśmiechnęła.

— Tatar, który mnie leczy, powiada, że na przyszłą

wiosnę, gdy mi zada zioła pewne, to wszystko ze mnie wynijdzie przez łaźnię—a Bóg miłosierny.

Jak wszyscy chorzy, cześnik wierzył już w końcu w baby, w zamówienia, w Tatarów i ich sekreta, w rozmaite sposoby tajemnicze, w leki owczarzy i w przyszłą, od lat dziesięciu, wiosnę.

Izba, w któréj się ta scena odbywała, zdradzała najdolegliwsze ubóztwo: była brudna, ciasna, ciemna, istna komnata szpitalna, w któréj i łoże niedaleko, i kominek pełny garnuszków z ziółkami i flaszek z lekarstwy, i wszystko było na podoręczu, czego stary niedołęga potrzebować może. Przez jedno okno wązkie wpadało do niéj światło szare, odbite od murów podwórka, do którego nigdy słońce nie zaglądało. Fizyognomia tego kątka była ponura, powietrze w nim zamknięte, przesiąkłe stęchlizną, do któréj łączyły się zapachy różnych medykamentów tatarskich i niedawno wyniesionego jadła. Julia przywykła do lżejszéj atmosfery wonnych salonów, z ciężkością oddychała w lazaretowéj; ale udawała wesołość i swobodę, chcąc starca rozkołysać, choć nieustannie chustką ocierała twarz, aby nie omdleć z tego zaduchu.

Cześnik, był to stary sługa domu, z którego niegdyś wyszła na świat piękna, dziś straszna pani Krystyna. Zwano go niegdyś cześnikowiczem, potém na późniejsze lata cześnikiem jakimś. Marszałkował przy dworze jéj rodziców, wieszał się potém przy kasztelaństwie O..., naostatek gdy go słabość złamała, schronił się do miasta i dożywował dni swoich w tym kącie nędznym, w nadziei wynalezienia baby lub Tatara, któregoby recepta nareszcie go uleczyła. Cześnik spędził żywot dosyć burzliwie. Za młodu bijąc się po różnych świata kątach, gdzie tylko bić się było można,

potém dworując z szablą zawsze gotową przy magnatach, sejmikując pod ich sztandarami; a że owo życie pracowite nie folgowało człowiekowi, który i chłód, i głód, i razy, i strawę, i napoje różne musiał znosić bez szemrania, z tego wszystkiego wywiązała się w końcu owa choroba, która była wprost podagrą, rozposażoną gdzie tylko umieścić się mogła, a niedobijającą może dla tego, że jéj siły rozdzielone były na ręce, na nogi, po kolanach i stawach, i nie miała jeszcze czasu wziąć się do szlachetniejszych organów.

Byłać tam winna temu i dola owa szlachecka, co gdy raz człeka w służbę rzuciła taką, miotała nim bez litości; ale był winien i człowiek może, który jéj okiełznać nie umiał. Cześnik miał jedną srogą wadę: był skąpy straszliwie, był kutwą, a choć nie miał, ani żony, ani dzieci, ani nawet bliższych krewnych, dla którychby zbierał tak uparcie, wiązał się do grosza z zapalczywością wzrastającą z laty. Przeszło to już prawie w manię, żył może siłą téj passyi, która go przykuwała do stojącego w głowach, wszrubowanego w podłogę, okutego kuferka, od którego klucze na piersiach nosił.

Udawał nadzwyczaj ubogiego, choć nikt dobrze nie wiedział co tam było w jego szkatule zamczystéj, która się nigdy w dzień nie otwierała. Gdy kto sobie z niéj pozwolił zażartować, gniewał się i dąsał, zżymał, utrzymując, że tam chowa tylko ważne papiery familijne, że wszystek majątek przepadł mu na świstkach, rozpożyczony ludziom i tak jak stracony. W istocie cześnik nikomu grosza nie dał, miał znaczniejszy kapitał dawniéj ulokowany jeden u Prota Potockiego, drugi u Sapiehów, a procent opłacany

w obrączkowych czerwonych złotych, nocami dołączał do gotówki leżącéj w skrzyni.

We dnie przez ostrożność nigdy nie otwierał swego skarbca, ale późno w noc, gdy chłopca odprawił, drzwi pozaryglowywał, okiennice pozamykał i dobrze się upewnił, że go nikt ani podpatrzyć, ani podsłuchać nie może, mimo trzęsących się rąk, przysiadał się do kuferka, odmykał wieko i napawał się likiem tego, co przez życie uciułał. Począł był w istocie od kilku talarów wyniesionych w węzełku z rodzicielskiego domu; każdy grosz dla niego przedstawiał jego znoje, ofiary, głody, przebyte biedy, przestękane dni; było to życie zmienione na pieniądze, i może dla tego one się stały tak cenne.

— Dla czegoż cześnik nie sprowadzisz sobie doktora? spytała Julia.

— Co to... co to... tam doktory! odparł stary. Czy poradzą czy nie, a wyduszą z człowieka grosz ostatni. Ot i tak ledwie jest już z czego żyć... Wszyscy zawodzą, bankrutują, krwawica idzie z dymem.

— Ale jabym ci mojego przysłała lekarza, toby cię nic nie kosztowało—odparła kobieta.

— I! nie! nie! te doktory to szarlatany... Dziękuję mojéj dobrodziejce, niechaj już tak przekawęczę do wiosny. Tatar byle zioła uzbierał, pomoże mi pewnie; ale one rzadko gdzie się znajdują, i daleko po nie w góry jeździć potrzeba... Zioła to najskuteczniejsza rzecz: sam Pan Bóg je preparuje dla człowieka!

— I będziesz zdrów, dodała Julia przypochlebiając mu się: widać jeszcze, że jesteś silny.

— Pewnie, że jestem silny, rzekł cześnik; cała bieda w tych nogach. Jakby mi je odzyskać, jeszcze wszystko będzie dobrze.

— Z kimże się tu widujecie ze starych znajomych? spytała po chwili kobieta.

— A! z nikim! z nikim! nie chcę ich znać! odkaszlnął stary: to wszystko wydrwigrosze, a człek ubogi i niezabawny. Nie przyjdą oni do mnie darmo; czasem na maryasza kto z dawnych przydybie, ale to rzadko! A ktoby tam do starego niedołęgi chciał się wlec! Ja dalibóg słów znaleźć nie mogę na wyrażenie mojéj wdzięczności, że JWPani byłaś tak łaskawa... czyżem ja się mógł tego szczęścia spodziewać!

— Byłabym wcześniéj, ale Pamela dopiero pozawczoraj was odszukała, mój cześniku... Ot i wiecie z czém przychodzę i co myślę wam proponować?

— A cóż droga pani moja? zawołał rozczulony starzec.

— Ty tu pewnie najmujesz to mieszkanie i płacisz je drogo?

— A! drą mnie bez litości! toż to sto złotych na kwartał!

— Jabym ci dała i lepsze, i jaśniejsze, i zdrowsze darmo u siebie; jest ich tam dosyć próżnych, miałbyś u nas stół bez kosztu i lepszą usługę.

— Bóg zapłać! moja ty dobrodziejko — zawołał składając trzęsące się ręce cześnik — o! Bóg zapłać! Ale bo to wynosić się z temi mojemi rupieciami...

— E! toby ci się do tego dopomogło.

— O! złote wy macie serce, Bóg niech wam nagrodzi. Było mi u was tak dobrze, że człek nie zapomni do końca życia, nie tak jak u Krystyny, od któréj człek salwując życie uciekać musiał.

Julia snadź wiedziała, jak się cześnik rozstał z rodziną jéj współzawodniczki, rachować musiała na to, i podchwyciła zaraz:

— Nigdyście mi też nie rozpowiedzieli, jak to było?

Stary okrutnie trząść się zaczął; widać było, że chciał na raz wszystko z siebie wyrzucić, a sił mu tém więcéj brakło, im bardziéj się śpieszył. Zdusiło go przypomnienie gniewu i żalu, obudzonego przykrém wspomnieniem.

— Długa to historya—rzekł—a nie ciekawa.

— Wiecie też co mnie uczynili? spytała Julia.

— Nie, coś mi tam gadano—odparł stary — alem ja tego nic zrozumiał.

— Wystawże sobie cześniku... westchnęła kobieta—ja przed tobą nic ukrywać nie będę, tyś stary przyjaciel naszego domu... My z kasztelanem wzięliśmy ubogie chłopię jego imienia, raźne i zdatne, na wychowanie; mieliśmy zamiar, nie mając dzieci, przybrać go późniéj za syna; wychowywaliśmy go w Paryżu oboje, a ja szczególniéj przywiązałam się do tego młodego człowieka, jako do dzieła rąk moich. Będąc w Paryżu, oddałam go na opiekę Krzysi, żył jeszcze naówczas jéj mąż. Wystaw sobie, że zbałamuciła mi chłopca, oderwała go od nas i—poszła za niego.

— Ah! a!—stęknął cześnik — kasztelanowo dobrodziejko, znacie ją lepiéj odemnie, com ją dzieckiem na rękach huśtał... Piękne to było jak aniołek, a wyrosło na istnego dyabła.

— Wszystko to jeszcze nic, com powiedziała—dodała wzdychając Julia — słuchajcie do końca. Poszła za niego, zrobiła go orderowym, starostą, a wczoraj, czy pozawczoraj kupiła dla niego jakieś kasztelaństwo; ale ten nieszczęśliwy człowiek, słaby, delikatny, jest znękany i uciśnięty, jest biedniejszy od żebraka. Ona nim pomiata, łaje i trzyma w okrutnéj niewoli.

— A! moja mocia dobrodziejko!—wybuchnął cześnik, który patrzał oczyma okrutnie wyszczerzonemi na kasztelanową, sapał i słuchał jéj opowiadania z ciekawością wielką—jeśli też mężczyzna kołki sobie na głowie strugać daje, co on wart?

— Tak to ci się zdaje, pochwyciła Julia. Człek od dzieciństwa rozpieszczony przezemnie, sam na świecie, cóż ma począć z tym szatanem?

— A no, porzucić czarownicę—zawołał cześnik—porzucić.

— Nie, jeszcze tego zrobić nie może, odparła Julia; ale ująćby ją w kluby powinien czémś i poskromić.

Tu kasztelanowa przysunęła się z krzesłem bliżéj, prawie do ucha starca.

— A! pomóż mi mój cześniku—szepnęła—my we dwoje uratować go możemy: pozwól mi mówić.

Cześnik się straszliwie przeląkł.

— Ale, na miłego Boga!—krzyknął—co ja? ja nic nie mogę, stary nieszczęśliwy niedołęga!

— Słuchaj—rzekła kasztelanowa—ja wiem wszystko, ze mną powinieneś być otwartym. Byłeś świadkiem wielu spraw i rzeczy, wiem że XX. prześladowali cię i ścigali za jakieś pochwycone dowody ich domowéj sromoty. Gdybyś ty te dowody miał jeszcze!

Cześnik dziwnie przerażony, cały pobladł, słowa wymówić nie mógł, ale rękami trzęsąc i miotając się gwałtownie, protestował przeciwko domysłowi.

— Przecz czy nie przecz.. ja wiem co wiem dodała kasztelanowa. Prześladowania od nich nie masz się co lękać, bo ja cię biorę w opiekę... Nikt wiedzieć o tém nie będzie co mi zwierzysz, bo nie użyję tego, aby ich zniesławić, ale dam człowiekowi w ręce

oręż do obrony... Mnie to nie jest potrzebne do zaczepki, ale dla ocalenia. Zresztą — dorzuciła zręcznie — tyś ubogi, ja to wiem, tyś bardzo ubogi... (to przypuszczenie nader staremu pochlebiało); ja za ten oręż dam ci co zechcesz.

Oczy cześnika straszne, żabie, zaczerwienione zawsze, nabiegły krwią jeszcze bardziéj; skraje jego nabrzmiałych, powywracanych powiek czerwieńsze jeszcze się stały; począł głową kiwać i trząść się cały. Milczał chwilę.

— O! o! rzekł w końcu—to oniby mię zabili.

— Oni ci nic zrobić nie mogą — szybko zawołała Julia—te dowody familijnych sromot i występku Krystyny... ty jeden masz... prawda?

— Ale nie! nie! nie! bronił się cześnik.

— Oni ci je przecię odebrać chcieli gwałtem, grozili życiu twemu... Mówią i głoszą, żeś im to chciał za pewną summę ustąpić.

— Ale już nie mam... nic! nic!... rzekł starzec ponuro.

— Jak to? cożeś z tém uczynił? wszakże zerwali potém układy, nastraszywszy cię, prawda? Papiery zostały przy tobie; czuli, że ich nie użyjesz? Dzisiaj nic nieważne, bez niebezpieczeństwa możesz sobie na starość kawałek chleba zapewnić, a spełnisz jeszcze dobry uczynek. Uratujesz poczciwego człowieka. Mogę ci dać na piśmie i poprzysiądz, że nigdy z tego użytku publicznego nie uczynimy.

Nikt tak zręcznie kusić nie umie jak kobieta, gdy gwałtownie czego zapragnie.

Wiedziała Julia jak trafić do starca, i zachodziła ze wszystkich jego słabych stron. Dawała mu zręczność pomszczenia się na ludziach, do których czuł nienawiść;

dawała pieniądze, zysk, bezpieczeństwo wszelkie... Znać było na twarzy cześnika, że mimo obawy, która go przejmowała na samo wspomnienie wypadków omal nie opłaconych życiem, chciwość powoli nim owładywała. Zatrzymał w myśli słowa kasztelanowéj:

— Dam ci co chcesz!

I rozmyślał.

— Wiesz cześniku,—dodała Julia — nie ma ofiary, któréjbym nie uczyniła dla ulżenia losu temu wychowańcowi naszemu. Myśmy bezdzietni, o grosz mi nie chodzi; tyś niemajętny... mógłbyś sobie dobry fundusik pozyskać na starość. Chciéj mi tylko dopomódz, myśl! myśl!

— Ale kiedy nie mam nic! nie mam nic!... rzekł broniąc się jeszcze stary, który głos spuścił i oczy schował.

— A! to szkoda! zawołała Julia z uśmiechem: bo dla zdobycia mu niezależności, dałabym co tylko mogę. Tu wcale nie idzie o zawstydzenie jéj, bo ona jest jego żoną, wstyd spadłby w części na niego, owszem zachowalibyśmy najgłębszą tajemnicę; ale gdyby on miał w ręku dowody jéj przeszłego życia, jéj winy, onaby musiała przed nim uledz, zrzec się panowania, poddać, nie znęcałaby się nad nieszczęśliwym.

Cześnik słuchał zadumany. Julia czuła, że wpływa powoli na zmianę jego przekonania, na zmniejszenie obawy, i dorzuciła jeszcze:

— Cześniku! myśl—nic nie ważysz.

— Ale ja, ja! — rzekł powoli—o małom raz już życiem nie przypłacił, że mi się to do rąk dostało. Znasz moja dobrodziejko tych ludzi, dla których nic świętego nie ma: oni gotowi...

— Będziesz u mnie, cóż oni ci zrobią?

Cześnik dumał.

— Mów, ile chcesz, a uczyń tę ofiarę dla mnie! błagała kasztelanowa.

— Ale ja nic nie mam, nic nie wiem — bełkotał znowu stary coraz ciszéj, miotając się w krześle z widocznym niepokojem człowieka, którego panująca namiętność poruszona została.

— Słuchaj cześniku, dodała Julia: za wiadomość szczegółową o tym wypadku, który ty znasz najlepiéj, o którym tylko głuche chodziły wieści, za jakikolwiek dowód przeciw niéj, ofiaruję ci tysiąc dukatów natychmiast, gotowych, brzęczących, daję ci pomieszczenie, stałe wygody, obronę, doktora mojego, lekarstwa. Nikt wiedzieć nie może i nie będzie, od kogo wychowaniec mój dostał papiery i szczegóły tego wypadku. Daję ci słowo i uroczyste zaręczenie, że téj broni nie użyjemy publicznie ani przeciwko niéj, ani przeciw jéj rodzinie.

Cześnik stękał, trząsł jeszcze głową, ale myślał głęboko. Zakaszlał się mocno, otarł wysiłkiem załzawione oczy, i odepchnął ręką cisnącą się pokusę.

— Tysiąc dukatów dla ubogiego człeka, piękny to grosz—rzekł jakby sam do siebie,—ale cóż kiedy ich nie mam jak zarobić!

— Tysiąc dukatów, cześniku, gotówką, nie na papierku... dodała kasztelanowa znowu. Jeszczebym ci dobrała takich obrączkowych, jakich w życiu nie widziałeś, co nie znały rąk i nożyczek, ani zielonego sukna, ani flaszki.

Cześnik aż się uśmiechnął, podniósł znowu oczy wytrzeszczone i krwawe.

— A zkąd teraz takich niewiniątek wziąć? rzekł wzdychając.

— Wprost z mennicy lub banku hollenderskiego, dodała kasztelanowa powoli.

— Wprost z Hollandyi! hm! — powtórzył stary. — I są takie dukaty poczciwe?—spytał z uśmiechem.

— Ja je mam.

Pokusa była straszliwa.

— Ale cóż — dodał po chwili — kiedy ja nic nie mam!

— Mogłabym jeszcze przypuścić z biedy—odparła Julia uśmiechając się—że nie masz w ręku dowodów na poparcie historyi Krystyny, choć o tém wątpię bardzo. Uwierzyć zaś, że nic nie wiesz, niepodobna mi. Przypomnij sobie, żeś mi sam powiedział, iż jedno słowo twoje mogłoby ją zgubić. Ale my wcale gubić jéj nie chcemy, nie myślimy; chcemy tylko ratować z ich szpon nieszczęśliwego człowieka, którego los litości jest godzien. Ta kobieta wyrwawszy go mnie, znęca się, gnębi, gniecie, tryumfuje. Idzie tylko o to, aby ją uczynić pokorniejszą.

Cześnik już nie odpowiadał, że nic nie wie; dumał.

— Ale to potrzeba—rzekł z wolna i cicho—potrzeba wielkiego starania i czasu, nim się takich tysiąc dukatów zbierze.

Nadzieja wstąpiła w serce Julii; starzec miękł widocznie.

— Ale ja je mam, całe... wszystkie! odezwała się żywo. Mąż mój pożyczył w hollenderskim banku summę dosyć znaczną; ja z niéj dla zabawki wybrałam sobie tysiąc takich cudownych dukatów.

— Co to za grosz miły! rzekł zakaszlując się stary; co to za śliczny grosz!

Oczy cześnika coraz bardziéj czerwieniały, obracał niemi straszliwie, a że były niepomiernie wypukłe, miały kształt oczu ropuch, i osadzone były w powiekach czerwonych, miejscami obwisłych i krwawych, przeto wejrzenie jego nabierało tak straszliwego wyrazu, gdy strzelał z pod czarnych nawieszonych krzaczystych brwi, że Julii słabo się robiło, ile razy je na nią obrócił.

— A! a! rzekł w końcu cześnik—może ja sobie co... powoli jakoś przypomnę; ale to nie dla tego, uchowaj Boże, abym za jakimś zarobkiem gonił... tylko gorąca chęć usłużenia JWPani... jedynie... choć jeszcze sam nie wiem... a istotnie mało co pamiętam, i tak mi się w głowie pomieszało.

— Wszakżeś te papiery, o które oni cię ścigali, zachował, dodała Julia; wszak choć wymogli na tobie zeznanie, żeś je zniszczył, masz je pewnie ukryte.

Cześnik zamilkł jak ściana, odwrócił się z trudnością ku drzwiom, spojrzał na nie, i nic nie odpowiedział, dając do zrozumienia, iż podsłuchywać ich mogą.

— Niechże też JWPani—rzekł—z łaski swéj i dobrotliwości przyszle trochę malinowego syropu, choćby małą flaszeczkę, bo Tatar mój powiada, że nie ma zbawienniejszéj rzeczy na moje cierpienie nad wodę z syropem, a tu po tych cukierniach nic się nie dokupić... i fałszują wszystko... czystego nie ma nic.

— Jutro albo ci go przywiozę sama, albo przyszlę przez Pamelę.

Stary dał znak kasztelanowéj, ażeby się zbliżyła, i rzekł:

— Każcie jutro warty postawić za drzwiami,—

a potém dodał: — i dajcie mi tam izdebinę u siebie, moja dobrodziejko.

— Zabieram cię zaraz — rzekła uszczęśliwiona kasztelanowa—przyszlę jutro jeżeli chcesz, i zaraz cię przewiozą do nas.

Cześnik uderzył się po głowie.

— Zapłacono z góry moja dobrodziejko!—zawołał!— jeszcze miesiąc do kwartału, trzydzieści złotych marnie przepadnie. Gdyby czas, możeby się udało komu odstąpić, choćby się parę złotych straciło.

— Już ja ci każę wyszukać kontrahenta, który powróci te trzydzieści złotych. Wyniesiesz się zaraz do mnie.

Cześnik trząsł głową uradowany.

— A jak się będę wynosił—dodał żywo—żeby też ta moja mizerya nie zwracała uwagi, moja dobrodziejko. Gdybyś była łaskawa szkatułkę sama kazała wziąć do karety, i żeby jaki wierny człek wynosił, bo to tam te papierzyska...

Mrugnął na kasztelanową, która się domyśliła, że w owéj szkatułce mogły być tajemnicze dowody sprawy zatartéj, teraz jéj do ratunku i zemsty tak potrzebne.

— Bądź spokojny, rzekła skwapliwie: jutro się ułoży wszystko.

Pożegnawszy go, Julia wyniosła się co rychléj z izdebki. Cześnik wstał cudem o swéj sile, aby ją uczcić przyzwoitym respektem, ale się trzymał krzesła, bo mu się ze znużenia, wzruszenia i wysiłku nogi gorzéj trzęsły niż kiedy.

Uśmiechem żegnała go piękna pani; wybiegła z mieszkania, i pełną piersią odetchnęła, wydobywszy

się z téj atmosfery zgniłéj, w któréj ledwie wytrzymać już mogła.

Cześnik upadł na fotel i zadumał się, zadumał... przyjścia nawet swego chłopaka napowrot nie usłyszał, a gdy wyrostek począł sprzątając coś stukać, zadrgał ze strachu, tak był przejęty wypadkiem, który go spotkał.

Dawno zapomniane dzieje przyszły mu na myśl, nić ich snuła się w lata młodsze, dobywając treści życia, na którego mogile wiele już ziemi zsypały lata, wiele bujnych chwastów porosło. Stare te wspomnienia spoczywały od lat długich prawie zapomniane, a uczucia, które budziły, zgasły też przytłumione obawą o życie i cierpieniem. Teraz wszystko to na raz występowało znowu żywe, starzec miotał się w walce z przykremi pamiątkami przeszłych dni, do których wrócić było potrzeba, aby je sprzedać... rzucając znowu na szalę teraźniejszości.

Wszystko, co mu opowiadała Julia, powtarzało się w głowie: ważył, dumał, myślał czy jéj uwierzyć można, czy bezpiecznie może podnieść ów kamień grobowy, którym przywalona była tajemnica.

Z historyi owéj świat mało lub nic nie wiedział, zatarły ślady jéj lata, późniejsze życie zamazało resztki. Starsi ludzie coś szeptali o młodości Krystyny z oburzeniem i szyderstwem; ale winy tego rodzaju w ogóle znajdowały zbyt łatwe przebaczenie. Grzechami młodości chrzczono zwykle miłostki płoche, których naówczas nikt nie brał za złe, bo wszyscy prawie przechodzili przez nie w tym świecie niemającym serca i zastępującym je zmysłami.

Nazajutrz z całą możliwą ostrożnością odbyła się installacya dawnego domownika kasztelaństwa do

ich pałacu, a że Julia sama szczególną nad starcem chciała mieć pieczę, postawiono go na dole od dziedzińca, w pokoiku, do którego ona łatwo znijść mogła. Ludzie wychwalali, pod niebiosa wynosząc jéj anielskie serce, jéj miłosierdzie dla starego chorobą złamanego człowieka, którego gdzieś ginącego z biedy odszukała. Szkatułka cześnika pojechała z Julią, i bardzo wierne ręce wniosły ją i postawiły przy nowém łożu chorego.

Cześnik wszakże był niespokojny, że jakoś ciężką się wydawała.

— To stare żelaziwo—rzekł do służącego, pokaszlując.

Przenosiny nie przeszły bez kłopotu, bo człowiek taki jak cześnik niełatwo się rusza. Skąpstwo tysiące rodziło w nim niepokojów; obawiał się, aby najmniejszy szczątek po nim nie został, nie zginął; zabierać kazał flaszki od lekarstw, chciałby był niemal zabrać śmieci z izby w obawie, aby się tam w nie coś mogącego mieć jakąś wartość nie wmieszało. Przed rokiem zatoczył się był trzygrószniak nowy, gdy płacił komuś, pod sprzęty; szukano go przez dwa tygodnie i nie znaleziono. Wychodząc teraz z mieszkania, cześnik na nowo kazał po uprzątnieniu szukać jeszcze tego trzygroszniaka, i niepokoił się, aż mu Julia kazała inny podrzucić... Rozpatrując się w nim, dostrzegł wszakże, iż był innego stempla i roku; ztąd nowy niepokój i zgryzoty, że trzygroszniaki tak po ziemi się walały... Szukano jeszcze.

Mała to była próbka biedy, jaką z nim miano; ale nareszcie wszystko aż do potłuczonych butelek przewiozło się, ustawiło, i wyrostek ucieszony przemianą, dowodził, że tu im daleko lepiéj będzie. Julia przyszła obejrzeć, przysłała mu syropu malinowego, życzyła

dobréj nocy, i tego wieczoru nie wyciągała go już na opowiadanie, bo starzec istotnie był zmęczony niezmiernie.

Dobicie sprawy zostawiono na jutro.

Uprzedziła sługi kasztelanowa, że stary ma pisać testament, iż mu chce dopomódz... Przykazała, aby nikt nie śmiał wchodzić, i zamknęła się z nim na godzin parę.

Nie wiadomo było nikomu, jak się to długie posiedzenie zakończyło; słychać tylko było drżący głos starca, to podnoszący się, to słabnący, potém otwieranie szkatułki, szelest przebieranych papierów, wykrzyki kasztelanowéj i znowu szepty ciche.

Nareszcie Julia wyszła, mając na twarzy wypieczone plamy czerwone, zmęczona, poruszona, niosąc w rogu szalu jakiś zwitek papierów, który, wróciwszy do sypialnego pokoju, starannie w skrzyneczkę angielską, opatrzoną zamkiem sztucznym, a niegdy listy pewne zawierającą, zachowała. Chodziła potém długo po pokoju samotna, siadała, wstawała, wstrząsała się, płakała, nakoniec uklękła, co się jéj rzadko trafiało, do modlitwy, i twarz ukrywszy w dłonie, godzinę tak może spędziła na dziwnéj jakiéjś zadumie.

Wieczorem nie przyjmowała nikogo, ale Pameli poleciła, aby zwykłą droga tajemną dała bardzo ostrożnie znać panu Adamowi, iż nazajutrz go czeka u siebie.

O naznaczonéj godzinie przybył Adam; drzwi były dla innych gości zamknięte; uprzedzono go zawczasu, aby przybył pieszo; wpuszczono do gabinetu... i tu znowu parę godzin trwała cicha rozmowa.

Wyszedł z niéj kasztelan z dziwnym na twarzy wyrazem; postał w progu, oddychając świeżém powietrzem, a po chwili powrócił jeszcze do Julii, do któréj

drzwi zapukawszy, zastał ją znowu przy klęczniku we łzach na modlitwie.

— Przebacz — rzekł wchodząc powtórnie — alem jeszcze tak niepewny co mam począć. Po tém, czegom się dowiedział, lękam się téj kobiety jeszcze mocniéj; ona gotowa jest na wszystko. Mów, radź, co mam robić!

Julia popatrzała na niego, zbliżyła się i smutnie zwiesiła głowę.

— Żywy grzechu życia mojego—rzekła—jakże mi żal, że cię młodość twa nie nauczyła męztwa, nie uzbroiła w siłę! Dałam ci oręż, od ciebie zależy jak go użyjesz... Cóż ja wiem? Masz w ręku straszliwą broń, nie chwytaj jéj dopóki cię ostateczność do tego nie zmusi, używaj jéj ostrożnie, nie wyczerpuj od razu. Półsłowami samemi bronić się możesz długo, nie wyrzekając ostatecznego.

— A jeśli się ona domyśli, i uczyni to ze mną, co z innymi próbowała? spytał Adam trwożnie.

— Jesteś mężczyzną! zawołała Julia. Ja lękam się o ciebie i modlę, ty powinieneś czuwać nad sobą. Będziesz mógł na najmniejszą oznakę niebezpieczeństwa odsunąć się groźny. Cóż więcéj, Adamie, poradzić ci mogę? Otrząśniéj się z niedołężności — bądź sobą!

— A! nigdym sobą nie był i siebie nie miał! odparł z westchnieniem kasztelan. Dla tego gdy mi pierwsze, śmielsze przychodzi stawić kroki, drżę i waham się.

Julia spojrzała na niego z politowaniem, przyszła, pocałowała go w czoło, głowę wsparła na jego piersi i zapłakała. Adam odszedł milczący. Na twarzy jego widać było srogą niepewność, tysiące uczuć zmieszanych, natłok myśli i wrażeń nie dawał mu oprzytom-

nieć, szedł nie wiedząc dokąd idzie, nie słyszał co się działo wkoło, stawał, śpieszył, oglądał się znajdując nie tam, gdzie być sądził... opuściła go pamięć... Tak dowlókł się nareszcie do rogu domu, przy którym stały jego konie; ale musiał wyszukiwać furmana i lokajów, którzy się rozpierzchli. Woźnica pił z innymi, lokaje grali w halbecwelbe zapamiętale. Był już wieczór, deszcz kropił drobny i niebo zasunęło się całe chmurą ołowianą.

Smutno jakoś było na świecie, a tchnąć ciężko. Miasto poczynało się oświecać powoli, ulice ożywiały jakby śpiesząc dożyć, dorobić resztek dziennéj pracy przed nocnym spoczynkiem. Tu i owdzie z przymkniętych drzwi szynkowni słychać było muzykę prostą, cymbały, skrzypki lub pomrukującą basetlę. Kasztelan spędziwszy nareszcie ludzi, którzy go zwykle nie nazbyt słuchali, miał już wsiadać do karety, gdy poczuł, że go ktoś schwycił za rękaw i przytrzymał.

Był to znowu Maluta, otulony płaszczem, niechcący się dać poznać przed ludźmi pana Adama. Stał on tu pod ścianą od godziny, czekając na przyjaciela; dopiero teraz go postrzegł, i pochwycił właśnie, gdy ten już się zabierał odjeżdżać.

— Cyt—rzekł—słówko, pilne, kochany kasztelanie. Nie wsiadaj jeszcze, odpraw ludzi, powiedz im, że tu jeszcze chwilę zabawić musisz.

— Cóż znowu? dla czego?

— Mam cię z sobą wziąć w pewne miejsce; nie powiem dokąd, ale jechać ze mną musisz.

Kasztelan zawsze miękki, skinął na ludzi, radych z tego postanowienia, bo mogli do rozpoczętéj gry powrócić, a sam wszedł do ciemnych sieni z Malutą.

— Już dalibóg nie wiem, dla czego to czynię —

rzekł ściskając go p. Floryan — dalibóg sam siebie nie poznaję, ale tak kocham drogiego kasztelana, tak go szanuję! a ta waryatka taką ma moc nademną...

— Kto?

— Ale ta—szepnął cicho—Leonina.

P. Adam, któremu inne myśli wcale ciążyły na głowie, obruszył się prawie zniecierpliwiony.

— A! cóż mi tam do niéj! daj mi z nią pokój!

— Przecięż choćby ją zobaczyć warto z blizka! rzekł Maluta. Nie jest to grzech śmiertelny, a dziś to się składa jak nigdy.

— Co się składa?

— Wyjdziemy ztąd drugiemi drzwiami, albo i temi samemi, jeżeli ludzie odeszli, siądziemy do powozu, jedziemy. Zastaniemy ją samą w domu. Chcesz kasztelanie jechać czy nie?

— Dokąd?

— Do Leoniny,—jedziesz czy nie?

Adam zniecierpliwiony, znękany, milczał; ale troska, którą niósł z sobą, pchnęła go do użycia jakiéjś rozrywki, i odezwał się machinalnie:

— No, to jedziemy!

Maluta poskoczył pierwszy, ciągnąc go za połę, wrzucił do stojącego opodal powozu, szepnął coś woźnicy i pojechali na ulicę Długą. Tu stanęli przed dosyć oświeconą kamienicą.

Pusto jednak było przed nią, i jeśli się w niéj spodziewano gości, jeszcze przybyć nie musieli. W sieniach, do których naprzód weszli, panowała erebowa noc; dopiero na wschodach znaleźli światełko dymiącéj się lampki, która bezpieczniéj ku górze wdrapać się dozwoliła. Maluta zadzwonił u drzwi, a po chwili strojna dzieweczka, może dwunastoletnia, otworzyła je

uśmiechając się. Weszli w jakąś atmosferę ciepłą, przejętą woniami. Nie można się było omylić, odgadując w niéj kobietę.

Maluta z palcem na ustach stąpał cichutko i przeprowadzał pana Adama. Przeszli parę pokojów pustych, niezbyt wytwornie przybranych; w trzecim świeciło się jaśniéj, a z za draperyj we drzwiach widać było dwie postacie niewieście i słychać brząkanie na klawikordzie, któremu smętny głos towarzyszył jakąś piosenką zdrzemaną.

Po dźwięku poznał kasztelan głos Leoniny. Tam wśród blasku salonu, wśród muzyki, woni, wrzawy, brzmiał on całą siłą młodości, lał się jak potok z gór wiosenny; tu ukryty, smętny, brzęczał dziwnym urokiem jakimś rzewnym i łzawym. Kasztelan wstrzymał się w progu i wsłuchał się w to nócenie jakby gazami osłonionego głosu.

Ale z pośrodka pokoju postrzeżono przybywających, i kobieta siedząca naprzeciw drzwi przy stoliku, wstała zbliżając się na palcach ku nim. Była to druga Włoszka, którą przezwano Beatrix Cenci, z powodu wielkiego podobieństwa do znanego portretu; śliczne stworzenie, któremu nic nie brakło oprócz... duszy.

Porcelanowa ta piękność zawracała głowy wszystkim, co ją widzieli z daleka; ale kto się do niéj zbliżył, kto ją ze snu jéj i dziecinnego trzpiotalstwa usiłował rozbudzić, odchodził rozczarowany. Cacko to nie miało nic w piersi i nic w główce, prócz smutnéj czczości. Beatrix śpiewała w teatrze, latali za nią ludzie, szaleli za nią z kolei i zrażali się tak prędko, że biedne dziewczę bardzo było życiem strudzone i znudzone. Ale że z tego wszystkiego zawsze wynikała dosyć jeszcze wygodna dla niéj dola, a ona ani

się troszczyć o jutro, ani czuć teraźniejszości mocno nie umiała, poziewała więc tylko nieboga i ruszała ramionami.

Zobaczywszy przybyłych, Beatrix położyła palec na ustach uśmiechniętych, różowych i skłaniając główkę przed kasztelanem, dała mu znak, aby wszedł ostrożnie. Maluta chodził zawsze jak kot cicho, nie trzeba go było przestrzegać. Leonina tak była zajęta swą piosenką, że nic nie posłyszała; usiedli zaraz przy drzwiach.

Piękne dziewczę w białéj sukience marzyło przy klawikordzie; rączki jéj stąpały delikatnie po klawiszach, ostrożnie, jakby własnego snu przerwać się bały, a usta nóciły jakieś wspomnienie młodości. Z pośrodka mniéj wyraźnych westchnień występowało czasami *amor mio*, *sospiri*, *dolente poveretto*... a ostatni wyraz powtarzał się ciągłą zwrotką. Wszyscy uważnie słuchali... lecz powoli dumanie zwyciężyło muzykę, struny instrumentu drgać przestały, usta snuć tę przędzę cieniuchną.

— *Bravo! bravo!* — odezwał się nagle i głośno Maluta.

Leonina zerwała się z krzykiem przestraszona, odwróciła i postrzegła kasztelana, który patrząc na nią, bił w dłonie... Cofnęła się, ujęła za klawikord, ale pomieszanie trwało krótką chwilę. Roześmiała się i zbliżyła do gościa, pytając go, czy umie po włosku? Szczęściem dla p. Adama, wyuczono go w Paryżu tyle tego języka, ile opera i świat wymagały. Nie rozumiał Danta, ale mógł się rozmówić z ładną dziewczyną! Język ten uchodził zawsze za jeden z najmilszych w świecie, tak nim słodko mówi się o uczuciu! tak dobrze śpiewa i szepce!

Jak gdyby go znała od wieków Leonina, poczęła rozmowę sadząc kasztelana przy sobie. Maluta skorzystał z chwili swobodnéj i zbliżył się do Beatryczy, która gotowa była słuchać kogo bądź, byle jéj mówił co wesołego.

Z blizka Leonina była piękniejszą jeszcze może niż w oddaleniu; oczy jéj strzelały piorunami, po twarzy chodziło uczucie nie osłaniając się. Jakby od dawna spragniona była widzieć tego, którego miała przed sobą, wlepiła w niego wejrzenie rozpłomienione z naiwnością dziecka, gdyż przypuścić nie godziło się przy tych rysach zalotności bezwstydnéj. Ujęła go za rękę, jakby przy sobie przytrzymywała, poczęła śmiać się i szczebiotać.

Pan Adam tak miał ciężki kamień na piersi, że ta pieszczota nie zrobiła na nim żadnego prawie wrażenia; doznał tylko przykrego uczucia, nie mogąc choćby uśmiechem odpłacić jéj tego serdecznego, jakiegoś sympatycznego pociągu, jaki mu okazywała.

— Wieszże—rzekła—dla czegoś mi się podobał?

— Nie wiem czy się podobam nawet! odpowiedział uśmiechając się pan Adam.

— O! bardzo nawet! ale czemu? Miałam tam za górami, w kraju laurów i winnic... kogoś, co mnie pierwszy kochał, gdym nie była ani ładną, ani tak ubraną, anim tak śpiewać umiała... *On* był bardzo do ciebie podobny.

— O! był niezawodnie piękniejszy! rzekł pan Adam.

— Tak, był piękniejszy, bo mnie kochał—odparła Włoszka puszczając rękę — kochał mnie bardzo; ale jego już nie ma na świecie... Matka Bozka przyjęła jego duszę czystą i oddała ją Chrystusowi.

Milcząca długo się w niego wpatrywała.

— O! bardzo, bardzo podobny! — rzekła cicho—ale tamten był ogorzały i czarny, tyś biały i smutny... Carlo się uśmiechał, ty jakbyś chciał płakać. Cóż ci to? ciężko ci idzie życie?

Adam westchnął mimowolnie, ale się zmusił do uśmiechu.

— Wiesz—rzekł—że śmiech i płacz nie przychodzą po naszéj woli. Spadają z nieba jak słońce i burza.

— *E vero! e vero!* czasem czuję—rzekła Leonina—jak mi deszcz spada na duszę, zimny, jesienny... jak mi na serce słońce zaświeci...

Zadumała się.

Maluta z dala spoglądał, szepcząc na ucho kasztelanowi, odskoczywszy od Beatryczy:

— A cóż? nie bóztwoż to ta piękność?

Ale pan Adam pozostał zimny. Leonina też więcéj na niego patrzeć chciała niż mówić do niego i zbliżać ku niemu.

Prosili jéj, żeby śpiewała.

— O! dziś ja śpiewać nie mogę — powiedziała — chyba którą z tych moich starych wiejskich piosnek, a tych wy nie zrozumiecie.

— Śpiewaj jednak... rzekła druga.

— Dobrze, ale niech *on* tu usiądzie naprzeciw mnie, w cieniu. Zdawać mi się będzie, że to cień *Carla* mnie nawiedził, że żyję znowu w tym naszym innym, cieplejszym kraju, nie pod tém niebem szarém i zamglonem... wśród snujących się dymów.

Kasztelan usłuchał, Leonina usiadła, powiodła rękami po klawikordzie, szukając sobie tonu do piosenki, i zanóciła jedną z piosnek neapolitańskich, które na

Santa Lucie rozlegają się wieczorami. Śpiewając wciąż patrzała na niego, a pieśń rozpoczęta głośniéj, powoli marła, cichła, oddalała się, ulatywała, kończąc się jakimś niewyraźnym szmerem.

Leonina krzyknęła i rozpłakała się... zerwała się z krzesła i pobiegła płacząc do drugiego pokoju. Beatrix przestraszona wyleciała za nią. Wróciła jednak wkrótce nadąsana, przepraszając za przyjaciółkę, która się uczuła chorą i musiała spocząć.

Pan Adam zrozumiał, że powinien odejść. Siedział tu przedstawiając jakąś marę przeszłości dosyć kwaśny, choć Włoszka mu się podobała; nie był rad nawet, że do jego Antinousowskiéj figury jakiś nieboszczyk śmiał być tak bardzo podobnym. Maluta zmieszany był również tą tak dziwnie zakończoną sceną. Beatrix pożegnała ich ziewając, i rzuciła się na krzesło przeglądając się w zwierciedle.

Zeszli milczący, Maluta nie śmiał pytać.

— Mieliśmy po co kręcić karki! rzekł pan Adam: dziewczyna ma ćwieki w głowie..

— A jednak! to najpierwsza piękność w stolicy.

— Smutna, rozpłakana.

— O! o! osuszyłbyś pan te łzy, gdybyś chciał.

— Wątpię.

— Ja, nie. Miłość różne miewa początki — rzekł Maluta, — dobrze kiedy się łzami inauguruje.

— Ale koniec zawsze ma jeden! zawołał kasztelan—to sęk... a powinnaby trwać i być bez końca.

Rozeszli się ziewając i niekontenci z siebie. Maluta odstąpił już był parę kroków, lecz zawrócił jeszcze do pana Adama.

— A! jeszcze słowo... rzekł: pozwól mi pan uczynić sobie jedną uwagę, zapewne zbyteczną, ale z głęboko dla niego przejętego serca pochodzącą. Nie wiem czy pan znasz obyczaje tego świata... do którego tylko przez ciekawość kiedy niekiedy zaglądasz. Jest to wprawdzie drobnostka...

— Mów otwarcie, bez przedmowy.

— Gdy mi wolno było zrobić małą uwagę.

— Wolno i rób.

— Otoż powiem, że gdy się wygra półtora tysiąca dukatów, należy dla formy przynajmniéj stanąć do rewanszu.

— Sądzisz WPan? rzekł pan Adam—a jeżeli wygram znowu?

— Przecięż to do nieskończoności nie obowiązuje; ale po pierwszéj i dosyć znacznéj wygranéj, mnie się zdaje...

— Może masz słuszność, rzekł z wolna kasztelan.

Nie chciał wyznać, że się żony obawia.

— Wstąpmy na chwileczkę do komandora, dziś u niego grają... Ja pana zawiozę, postawisz cokolwiek... a przegrawszy parę set dukatów, będziesz mógł odjechać.

Stali w ulicy, pan Adam tarł czoło, wreszcie rzekł zbierając się na męztwo:

— No, więc jedziemy na kwadrans, nie jest jeszcze zbyt późno.

Maluta zdawał się bardzo uradowany, poskoczył sam przodem drzwiczki powozu otworzyć, kazał jechać żywo; nie spostrzegli się, gdy stanęli przed mieszkaniem komandora. Tym razem nie było tu tak tłumno, nie wszystkie salony oświecone, całe życie skupiało się

w białéj sali przy zielonych stolikach; grano zajadle, już trzeci dzień nie wstając prawie.

Komandor przy głównym stoliku sam trzymał bank, i powitawszy gościa tylko skinieniem głowy, zajęty grą, zostawił go własnemu przemysłowi.

Wiemy jak namiętnie grano naówczas! Ta passya gry jak we wszystkich namiętnych chwilach, szarpanych, niepewnych, w których życie ze swych granic normalnych wychodzi, pochłaniała niemal wszystkich, była powszechną. Za stolikiem komandora siedzieli ludzie, którychby się tu nikt nie spodziewał, nawet kilku duchownych, lub przynajmniéj noszących suknię tego stanu. Nie brakło także wysokich urzędników i wielkich imion. Gra była ogromna, wytężała na siebie uwagę wszystkich; sławny ówczesny zapaśnik, co się codziennie z losem ucierał, starosta miał na karcie piętnaście tysięcy czerwonych złotych—summę daleko naówczas znaczniejszą niżeli się dzisiaj wydaje... Odważnie puszczał ją na trzydzieści, a blada twarz jego ani drgnęła, uśmiechał się dosyć obojętnie.

Jakkolwiek przywykli do jego zuchwalstwa w grze, widzowie i bankier w milczeniu trwożném zdawali się chcieć go odwieść od tak ryzykownéj stawki. Starosta przeszedł był wprzódy sześć razy, siódmego szczęścia trudno się było spodziewać.

Komandor chłodny, położył karty na stole, przycisnął je złotą tabakierką i zupełnie się do szeptów i narad nie mieszał... trzymał ile chciano. Starosta, któremu ze wszech stron szeptano, aby zszedł ze stawki, namyślał się, ale w twarzy jego znać było, że może mniéj przywiązywał wagi do téj kupy złota, niż do wrażenia, jakie mu walka z losem robiła. Był to co się zowie *beau joueur*, na którego twarzy nigdy

straty ani zyski nie robiły widocznéj zmiany. Nie szło mu właściwie o pieniądze: one były dla niego tylko narzędziem do otrzymania tego elektrycznego wstrząśnienia, które zamarłą naturę jego poruszało. Los był dla niego jakby tajemniczym przeciwnikiem, którego starał się zwyciężyć.

— Nie pojmuję was, odezwał się powoli starosta: wszyscy jesteście starzy gracze, a nie rozumiecie tego, że gdy idzie, to się powinno ze szczęścia, z weny korzystać; gdy nie idzie, naówczas tylko stchórzyć się godzi. To raz, powtóre, powiedz mi ot pan — spytał zwracając się do Adama, który stał milczący z innymi za jego krzesłem—co pan mi radzisz?

— Ja się na grze nie znam, odparł kasztelan—ale... bądź co bądź, cenię odwagę, i jeśli pozwolicie, przystawiam na tę kartę mój grosz wdowi: dwieście czerwonych złotych.

Na nietrafnie użyte wyrażenie „grosz wdowi,“ przypominające, że pan Adam ożenił się z bogatą wdową, kilka ust się uśmiechnęło.

— Zatém idzie! zawołał starosta rzucając karty: ciągniéj komandorze.

Gospodarz może odrobineczkę zbielał, zdjął powoli tabakierkę, ujął karty i pomału począł odsłaniać.

Stawka była na damie, z tego powodu żartowano dokoła.

— *Souvent femme varie, bien fol qui s'y fie!* rzekł ktoś przypominając Franciszka I-go.

— Mnie żywe często zwodziły—odparł starosta,— o to mniejsza; ale malowane dopisują. A tobie kasztelanie?—dodał jakby od niechcenia.

Pytaniu temu znowu, znana historya młodości i óże-

nienia pana Adama tak dziwne dawała znaczenie, że po twarzach rozbiegały się jeszcze raz źle tajone ironiczne uśmiechy.

— O! mnie—odparł rumieniąc się zagadnięty—bywało różnie!

Wyrzekł to cały gorejąc od wstydu, czując, że byłby starostę zdusił, gdyby mógł, bo widział, że zapytanie rzucone było nie bez zamiaru ukłócia.

Zawrzało mu w piersi z upokorzenia.

W téj chwili prawie dama — wygrała. Komandor uśmiechając się pokłonił przed starostą, wskazując mu kupę dukatów... Szczęśliwy gracz poziewnął.

Panu Adamowi podsunięto dwieście dukatów, którychby był wolał nie wygrać, bo usłyszał po za sobą szept:

— Ten zawsze z babami szczęśliwy!

— A no! jeśli tak—zawołał—to jeszcze czterysta na damę!

— Dobrze, a ja do twoich kasztelanie dokładam wszystko co wygrałem. Tak wierzę w twoje szczęście do dam—rozśmiał się starosta.

— O! tego już nie trzymam! rzekł komandor.

— Czego? moich trzydziestu dwóch tysięcy? Wstydź się, to nie po rycersku! a przecię jesteś komandorem maltańskim, i zląkłeś się 64 tysięcy dukatów!

— Nie, ale się lękam damy, z nałogu, z tradycyi, i dla tego, że przeciw wam idę — zaczął gospodarz.

Żarciki szły dokoła, jakby grano o fraszkę... Starosta cofnął trzydzieści, ale postawił pięć tysięcy. Nastąpiła cisza długa; po kilku passach dama wygrała.

— Cóż u licha! rzekł pan Adam — już nie rozumiem co to znaczy?

— To znaczy, odpowiedział starosta: że kto w karty szczęśliwy... a no! przyznaj się, coś ci się w serdecznych stosunkach musiało niefortunnego przytrafić?

— Chyba przytrafi, bo dotąd i stosunków tego rodzaju mi braknie.

— Idźmy raz jeszcze na damę!

— Na ostatnią.

— Damy są wszystkie pierwsze—nie ma ostatnich.

Komandor ciągnął kwaśno, stawki drobne przybiegały ze stron wszystkich. Ostatnia dama uparła się i wygrała. Gra się na tém skończyła.

Scena ta, któréj główne tylko oznaczyliśmy rysy, trwała dosyć długo; zaraz potém kasztelan wymknął się pośpieszając do domu. Maluta podwiózł go do oczekujących na niego na słocie koni, ale tu pojazdu nie znaleźli. Od kogoś w ulicy dowiedzieli się, że rumaki pana Adama spłoszone pochodniami jakiegoś przejeżdżającego państwa, poniosły powóz i potłukły w kawałki. A że woźnica i lokaje siedzieli w szynkowni, ledwie marszałkowscy złapali rozhukane konie na Nowym Świecie, z resztkami karety, która się potrzaskana rozleciała. Stało się to już przed parą godzin. Kasztelan wziął dorożkę i pociągnął do domu trochę niespokojny.

Było już dobrze po północy, czekał na niego jednak w bramie kamerdyner, i w imieniu Jaśnie Pani prosił na górę. Prośba znaczyła tyle co rozkaz. Pan Adam poszedł na wschody z przykrém wrażeniem swojego poddaństwa.

Historya téj kobiety, która zwała się jego żoną, świeżo mu opowiedziana, musiała być wielce dramatyczna, gdyż na twarzy kasztelana malował się jakby przestrach, ale zarazem silniejsze niż wprzód postanowienie.

Zawahał się, namyślił mając drzwi otworzyć, wszedł nareszcie dosyć śmiało. Krystyna chodziła po salonie, świeżo zapewne powróciwszy z miasta. Miała na sobie czarną aksamitną suknię ze złotemi sznurami i ozdobami, z głowy zdjęła już była dyadem, warkocz splątała w węzeł niedbale, na twarzy jéj bladéj malowało się silne jakieś uczucie.

Pan Adam zbladł także zbliżając się do niéj, i uczuł dreszcz przechódzący po ciele. Pierwszy raz wydała mu się tragicznie straszną. I była taką: brew jéj namarszczona, usta zaciśnięte, oczy jaśniejące dziko, zdradzały wewnętrzną jakąś burzę.

— A! witam! zawołała zwracając się ku niemu w postaci królowéj—witam! tak późno?

— W téj chwili powracam, rzekł Adam.

— Zkądże to? jeśli mi wiedzieć wolno?

— A! z miasta.

— Domyślam się, że nie ze wsi. A więcéj zapewne nie powinnam wiedzieć?

— Czyż zawsze z każdego mam się spowiadać kroku? odparł kasztelan.

— Nie, na dziś obejdę się bez rapportu, bo wiem gdzie byłeś. Najprzód...

Spojrzała na niego groźno, ale stał śmielszy widocznie niż wprzódy, i to ją nieco zmieszało.

— A! więc najprzód, gdzie byłem? proszę!—rzekł—przypomni mi to samemu!

— Co? zapytała kobieta marszcząc brwi.

— Słucham z pokorą.

— Najprzód! no, byłeś u Julii, długo, bardzo długo. Rozmowa snadź musiała się wydać zajmującą? Nie prawdaż?

— Tak, kładliśmy pasyans z kasztelanem.

— Nieprawda: kasztelan był u ex-podkomorzego.

Pan Adam ruszył ramionami; złapano go na niezręczném kłamstwie.

— *Et l' on revient toujours!* uśmiechnęła się Krystyna. Mniejsza o to, nie czynię jéj tego honoru, żebym o nią była nawet zazdrosną. Przypatrz się tylko: ma siwe włosy, jak ja! — dodała śmiejąc się—bo z łaski twéj i ja już siwieję! To ci miłą może uczynić nadzieję rychlejszego pogrzebu i owdowienia; ale się nie łudź, nie umrę, żyć będę, abyś cierpiał.

Kasztelan patrzał w zwierciadło obojętnie.

— Od Julii pojechałeś z p. Floryanem do Beatryczy, u któréj była Leonina: prawda? Którąż z nich pan wybrałeś sobie dla zabawki?

— Dotąd żadnéj, rzekł Adam.

— To *dotąd* jest wyborne — wyborne!

Krystyna zaczęła się śmiać dziko.

— Wyborne; ale zdaje mi się — odparł mąż — że jeśli w domu wiecznie spotykać mnie będą wymówki tylko, żale, gniewy i sceny podobne, naturalnie pokoju, odpoczynku, wytchnienia szukać będę musiał choćby u jakiéj Leoniny.

— A! to już tak! już tak jesteśmy z sobą! zaryczała trzęsąc się Krystyna—tak! ty, ty mi to śmiesz mówić!

Kasztelan zamilkł ruszając ramionami.

— Na uwieńczenie tak dobrze użytego dnia — dodała żona — poszedłeś grać w karty do komandora.

— Chciałem mu oddać wygraną, rzekł spokojnie Adam: przyzwoitość kazała.

— Gra cię bawi?

— Niebardzo.

— Ale to raz przecię skończyć się musi! zawołała Krystyna; dla tegom cię przywołała tutaj. Ja nie zniosę takiego życia, nie chcę, nie pozwalam... Wiesz WPan com mu mówiła niedawno.

— Wiem, rzekł kasztelan posępnie — pamiętam, ale dziwię się, że pani, co masz tak łatwe sumienie dla siebie, tak troskliwa jesteś o cudze.

Krystyny oczy strzeliły ogniem jak piorunem. Blada pobladła jeszcze, zaczęła się trząść i wyjąkała niewyraźnie:

— Proszę jaśniéj mówić.

— Jeżeli sobie zaczniemy robić wymówki, to zadaleko zajść możemy, odparł Adam.

— Idźmy jak najdaléj, śmieléj rzekła żona: chcę wiedzieć, jak też to nas daleko zaprowadzić może? dokąd?

— A gdyby przyprowadziło aż do młodości, aż do lat zatartych, zapomnianych... do...?

Kasztelanowa przerwała mu głośnym śmiechem:

— A! rozumiem — rzekła — do niedorzecznych potwarzy.

— Są w istocie wypadki, dodał ożywiając się kasztelan — które się aż nieprawdopodobnemi potwarzami wydają, tak są poczwarne.

To mówiąc spojrzał na nią. Krystyna zatrzęsła się, zmieniła głos, i postępując ku niemu, zapytała:

— Adamie! co to jest?

Chciała go ująć za rękę, cofnął się przerażony.

— To jest — odparł — że powinnaś być dla drugich pobłażającą, sama wiele potrzebując pobłażania.

Zdobywszy się na odwagę wypowiedzenia tych wyrazów, chciał się cofnąć, ale Krystyna zapierając mu drzwi, wyjść nie pozwoliła.

— Na tych dwuznacznych półsłowach — rzekła gwałtownie—nie może się skończyć między nami. Widzę, że ktoś, nie wiem, nie chcę się domyślać, posiał między nami ziarno niezgody, które wyrosnąć może na straszliwą ostateczność dla obojga. Trzeba to złe wytępić od razu. Mów mi zaraz, za co ja mam żądać przebaczenia? za co?

Pan Adam wcale nie miał zamiaru zajść od razu tak daleko, zmieszał się, wyczerpał już odwagę całą, a nie miał zręczności w użyciu tego co mu zostało powierzone. Stał znowu złamany i niepewny. Oko żony śledziło każdy ruch jego, dobywało z niego co miał w głębi duszy; znać było, że badała niespokojna, pragnąc dośledzić, jak dalece był wtajemniczony.

— Mów — powtórzyła — nie wiesz jakiéj ostateczności dopuścić się mogę; mów, co mi świat i ty macie przebaczyć? Chcę wiedzieć, chcę słyszeć; nie wyjdziesz ztąd, dopóki mi się do ostatka nie wyspowiadasz.

— Dla czego chcesz to koniecznie słyszeć z ust moich? nie pojmuję — odparł Adam — obojgu nam to przyjemności nie zrobi... Ja—rzekł stanowczo—*wiem wszystko.*

Kobieta roześmiała się znowu śmiechem suchym,

przerażającym, na którego odgłos najśmielszy zadrżećby musiał... Śmiech ten rozległ się po pustym salonie jak szatańska ironia.

— Patrzcie!—zawołała — on wie *wszystko!* wszystko! A! raczże mi to przypomnieć, jam z połowę zapomniała!

— Ustabym skalał — krzyknął Adam, i szybko rzucił się do drzwi, unikając dalszego tłómaczenia, gdy Krystyna jak wściekła porwała go oburącz za suknię.

— Nie pójdziesz! rzekła. Mówisz, że wiesz moją tajemnicę? O! tém gorzéj dla ciebie! Zdawało ci się może, iż broń przeciwko mnie nabyłeś... ja się nie lękam potwarzy! To, co ty wiesz, mogą wiedzieć wszyscy... ale gdzież na to dowody? gdzie dowody?

— Dowody — odparł pan Adam powoli cedząc po słowie — dowody są w moich ręku... To, co zginęło, czego poszukiwano, co zapomniano wreszcie, sądząc, że nie istnieje... jest w moich ręku — u mnie...

Krystyna zacisnęła usta, ale milczała.

— Nie jestem tak nieroztropny — dodał—abym tu, gdzie nie jestem pewien: ani zamka, ani schronienia, ani ludzi, trzymał tak drogi skarb. Złożyłem go pod dobrą strażą... nie wydrzesz mi go.

Na te słowa Krystyna puściła jego suknię, twarz jéj się zmieniła, zapłonęła, padła na ziemię płacząc... Tarzała się po podłodze, rękami bijąc o nią, bijąc głową o posadzkę.

— Stój! — zawołała — stój! w twoich oczach jam grzesznica, jam występna... winnam! masz dowody...

przyznaję, wszystko zdaje się świadczyć przeciwko mnie. Ale przystałoż tobie, któremu podałam rękę i wyciągnęłam z kałuży, rzucać mi w oczy tą haniebną, a tak dobrze usnutą potwarzą? Tobie? Czegożem chciała od ciebie? twojego własnego szczęścia; od czegoż chroniłam cię? od zguby! Szalona! szukałam przywiązania i cnoty, gdzie nic czystego pozostać nie mogło... Sądziszże, iż czysta i niespotwarzona szukałabym w tobie męża, że nie znalazłabym stu ponętniejszych, coby mi się taniéj sprzedali, gdyby na głowie méj nie ciążyło to brzemię złości ludzkiéj, to piętno występku... ta pamięć dni strasznych! O! dobrzem ukarana!...

Mości panie — dodała — po téj rozmowie nic między nami wspólnego już być nie może. WPan masz, jak powiadasz, jakieś dowody moich występków? A więc jak wszystko twoje są na sprzedaż? Cóż za ten towar? Kupuję...

— Nie są do zbycia — rzekł głucho, dławiąc się pan Adam.

— Jak to! czegożbyś ty nie sprzedał? zawołała—cześć żony, własną, siebie, sumienie; frymarczysz wszystkiém. Alem jeszcze dosyć bogata, by ci się opłacić... Nie wahaj się, nabywca dobry... namyśl się, nie będę się targowała, płacę gotówką.

A gdy on stał jak wkuty i milczący, dodała:

— Idź precz z moich oczu! precz! precz!

Przerażony kasztelan cofnął się powoli ku drzwiom. Krystyna padła na kanapę, nie mówiąc słowa... Ścisnęła dłońmi czoło, zapłakała, a po chwili w milczeniu, słaniając się, powlekła ku sypialni.

Zwycięzca w walce podobniejszy do zwyciężonego

wyszedł chwiejąc się i jakby upojony. W duszy własnéj nie widział jeszcze jasno, czy cieszyć się miał, czy obawiać? Przyszłość stała chmurą nieodgadnioną; czuł tylko, że zbyt szybko postąpił i doszedł do ostateczności, która się cofnąć nie dozwalała. Przepłynął Rubikon.

Nazajutrz ku wieczorowi rozeszła się po mieście wieść głucha, jeszcze w kształcie nieuzasadnionéj i dobrze nierozwiniętéj plotki, że pan kasztelan Adam O... miał się rozstać z żoną. Jedni powiadali, że wyjechał z Warszawy; drudzy, że się wyniósł ze wspólnego mieszkania; inni przeczyli jeszcze rozsianéj pogłosce, utrzymując, że wszystko jest fałszem.

Było jednąk jakieś prawdopodobieństwo w téj gawędzie, gdyż bramy domu stały cały dzień uparcie zamknięte i nikogo nie przyjmowano: ani sama pani, o któréj mówiono, że chora, ani pan, o którym powiadano, że go w domu nie ma.

Nie dziwiła tak bardzo nikogo ani sprzeczka małżeńska, ani nawet prawdopodobne rozstanie się małżonków, bo naówczas rozwody były pospolite i weszły w obyczaj wieku. Wiemy, iż zawierając kontrakta małżeńskie, miano zawsze na widoku nietylko możliwość złamania ich, ale prawie nieuchronne zerwanie; opisywały się więc obie strony bardzo troskliwie na ten wypadek. Zresztą samo to małżeństwo dosyć dziwacznie skojarzone, należało z natury swojéj do tego rodzaju związków, które nie mają w sobie podstawy

do trwania: wyglądało na dogodzenie fantazyi z jednéj strony, na rachubę z drugiéj, z żadnéj na sakrament. Sposób życia dwojga małżonków, ich nietajne stosunki i sympatye w dwóch przeciwnych obozach, nadawały rozwodowi wielkie prawdopodobieństwo. Ale że naówczas łączyły się i zrywały małżeństwa dla pokrycia i uprawnienia choć w części miłostek i słabości powszednich, szukano zaraz ze strony pani i pana powodów do rozstania.

Co do pani, znaleziono mnóztwo kandydatów do jéj serca, bo się wcale zalotności nie była wyrzekła, a otoczona była starymi i świeżymi różnych stopni czcicielami. Była tam i młodzież namiętna, dla któréj patent dojrzałości stanowił romans z tak znakomitą pięknością, i starsi, co się bawili w miłostki z osobą przyzwoicie wychowaną, znudziwszy się łatwemi pokątnemi miłostkami z najpiękniejszemi może, ale nie tak wycywilizowanemi a biegłemi w sztuce, byli i piękni mężczyźni, którzy ofiarowali się w widokach protekcyi, karyery i losu... i t. p.

Ze strony męża nie słychać było o niczém; domyślano się tylko powrotu dawnych uczuć jego dla Julii, może fantazyi jakiéj mniéj widocznéj, a obrażającéj żonę, bo i tego rodzaju stosunki się trafiały.

Rzecz ta była dla ciekawych łamigłówką, zagadką, z któréj sobie sprawy zdać nie mogli; a że w próżniaczych salonach zawsze pragną nowości i każdą kostkę rzuconą na pastwę ogryzają skrzętnie i chciwie, boć coś przecię robić potrzeba, od tego wieczoru, gdy pierwszą wieść od ucha do ucha sobie podano, zaczęto nad nią najdziksze czynić kommentarze, rozesłano gońców na wsze strony, i praca około odkrycia prawdy, z usilnością godną lepszéj sprawy, rozpoczęta

została na wielką skalę. Każdego przybywającego w wieczór do salonów, a mającego stosunki z domami, które w tę sprawę wmieszane były, wypytywano i badano jak najumiejętniéj. Nic się jednak jaśniejszego zdobyć nie udało; potwierdzała się tylko pogłoska, że coś zaszło ważnego między małżeństwem, że w wigilię wieczorem stać się to musiało, bo z rana już bramy były zamknięte i niezwykły jakiś ruch w domu panował. Odkryto także, iż w przeddzień był kasztelan u Julii, że potém potajemnie gdzieś jeździł, że grał i wygrał u komandora. Głębiéj sięgnąć nikt nie mógł, ale pole dla obszernych domysłów i bajek stało otworem, i puszczano się na nie z odwagą niesłychaną... nie zrażając się daremnemi często wycieczkami.

Słabość hrabiny Julii, która tego dnia także nigdzie nie wyjeżdżała, potwierdzała wnioski, że i ona mogła mieć jakiś udział i rolę w tém zawikłaniu.

Dzień przeszedł na domysłach, w oczekiwaniu czegoś stanowczego; nazajutrz już w stolicy wiedziano na pewno, że kasztelan O... wyjechał z Warszawy, a sama pani jest mocno chora... Na tém nić się zerwała, a dalsze badanie odłożone być musiało na późniéj... Nie zaprzestano jednak zajmować się tą sprawą, gdyż na nieszczęście żaden inny skandal świeższy nie odciągnął umysłów od historyi powaśnionego małżeństwa.

Kilka śmielszych osób zapukało do drzwi hr. Julii, i po dwóch dniach zastało je otwarte. Julia była nieco słaba, smutna, ale spokojna. Skarżyła się na ból głowy i dreszcze; twarz jéj wyrażała wielkie, ale przezwyciężone cierpienie... Na zapytanie ostrożne tyczące się kasztelana Adama, odpowiadała bardzo naturalnie, nie okazując zbytniego wzruszenia, że o niczém

nie wie... Pytała ciekawie, czy co zaszło? Zdawała się zupełnie obcą wypadkom.

Dnia tego pani Adamowa nie przyjmowała u siebie, ale karetę jéj widziano uwijającą się po mieście. Rozeszła się pod wieczór pogłoska, że parę osób spotkało ją i mówiło z nią nawet, ale nie śmiejąc dotknąć drażliwego przedmiotu; wyczytały tylko z jéj twarzy ślady przecierpianego bolu, ukrytego gniewu i jakiegoś silnego, odważnego postanowienia.

Tajemnica pozostawała niezbadaną tajemnicą. Kasztelana nie było w mieście. Dopytywania u ludzi saméj pani do żadnych nie doprowadzały wniosków, prócz tego, że się coś kryło w ich nienaturalném milczeniu upartém. Nie dawali się nawet upoić, aby z nich cokolwiek nie wyciągnięto.

W takich razach, gdy najmniejsza pomroka okrywa jaką sprawę, ciekawość bywa zwykle jeszcze silniéj drażniona, przeszkody ją zaostrzają, zachęcając do przełamania; brukowi plotkarze mają sobie za punkt honoru rozjaśnić upartą zagadkę. Sława tego co pierwszy potrafi rozbić mroki, wynagradza sowicie jego pracę. Jest to kilkodniowy tryumf: szczęśliwy zdobywca wieści jest lwem salonów na dni kilka, wszyscy z ust jego pragną posłyszeć opowiadanie, następują zaprosiny, grzeczności, i często jeden taki krok szczęśliwy stawi człowieka w tym świecie na poważnym stopniu... Kilku zapaśników stanęło do tego boju z ciemnością, a wszyscy rozbili się o głuche milczenie, o zapory nieprzezwyciężone, o jakiś żelazny opór zapowiadający, że to, co tak starannie zamknięto, musi być bardzo szacowne.

Rozdrażnienie rosło co chwila, gdy naostatek powrót pana Adama do stolicy dostarczył chciwym

a głodnym nowego pokarmu. Kilka osób go widziało na własne oczy; powrócił istotnie, a co miało znaczenie wielkie, najął osobne mieszkanie, urządził dom dla siebie oddzielnie. Wieści o rozwodzie były więc już uzasadnione. Niedaleko zamku najęto dla niego pierwsze piętro kamienicy. Maluta zajmował się urządzeniem nowego gospodarstwa i dworu kasztelańskiego bardzo skromnego i niepokaźnego.

Wiadomość o tém piorunem się rozeszła po stolicy, tak, że pani de Rive poleciała już wieczorem do pani Adamowéj umyślnie, aby raz stanowczo dotrzeć do prawdy i zbadać co się święci.

Świat, w którym żyła ta pani, wiele się po jéj zręczności i takcie spodziewał; stosunki jéj z kasztelanową dozwalały wprost pytać i żądać objaśnień dla jéj własnego interesu, w imię przyjaźni i t. p. Drżała dojeżdżając do drzwi pani de Rive, aby jéj nie odprawiono z niczém; kazała powiedzieć, że ma pilną potrzebę widzenia się i została wpuszczona po krótkiém a niespokojném oczekiwaniu. Po raz pierwszy od lat wielu biło jéj serce, gdy na wschody wchodziła, układając, jak ma począć rozmowę, nastroić ją i ciągnąć indagacyę z obwinionéj. Wiedziała, że będzie miała do czynienia z nielada zapaśnikiem; potrzeba się było dobrze na niego uzbroić.

Znalazła kasztelanową w małym saloniku, ubraną bardzo skromnie, w stroju, który badawczemu oku kobiety zwiastował, że pierwsze chwile gorączkowe walki i rozpaczy przeszły. Ubranie dla tych, co w niém czytać umieją, sposób, w jaki suknie i szal są zarzucone, zaczesanie włosów, dobór barw, wszystko to są cechy stanu duszy i zdradzają wiele. Inaczéj w tęż samą suknię ubiera się kobieta szczęśliwa, inaczéj

zrozpaczona, inaczéj niepewna jutra, zakochana lub gniewna. Pewne zaniedbanie oznacza uczuć gwałtowność, drobne starania wskazują czasem spokój ducha, czasem potrzebę podobania się i kłamania obojętności. Pani de Rive zastała swą kochaną, najdroższą Krzysię, bladą, zamyśloną, ale zupełnie uspokojoną, jakby już wszystko było skończone. Po pierwszych kilku wyrazach o chorobie, o zdrowiu, o pogodzie, o tém i owém, p. de Rive zbliżyła się do niéj poufaléj, przysiadła, wzięła ją za rękę i przystąpiła do *medias res*.

— Moja ty droga królowo, wiesz zapewne nieco, jakie plotki po mieście krążą o was obojgu. Trzebaby temu nadać jakiś kierunek. Ludzie są tak źli, tak chciwi skandalu... Powiedz mi szczerze, co ja mam mówić? Czy to prawda, żeście się rozstali z panem Adamem?

— Byłam pewna, że o tém już mówią w mieście, odparła zimno Krystyna; ale to są plotki nieuniknione. Westchnęła.—No, więc powiem ci szczerze—dodała: nie mogliśmy żyć z sobą, rozeszliśmy się grzecznie i przyzwoicie. Mój pan małżonek leżał mi u nóg, prosząc o zlitowanie, ale napróżno.

— A! więc to prawda.

— Popełniłam omyłkę idąc za mąż, rzekła kobieta; świat mi ją darować może: gorsze spotykamy codziennie.

Pani de Rive obawiała się odetchnąć nawet, aby nie przerwać zwierzeń.

— Pan Adam był dla mnie za młody, ja dla niego za nadto wielką panią; humory nasze i obyczaje się nie zgadzały. Oddaję mu tę sprawiedliwość, że czynił co tylko mógł, aby wyżyć ze mną; ja także nie szczędzi-

łam ofiar z méj strony... ale nadaremnie. Ty wiesz moja droga, jak często w małżeństwie zawodzone bywamy...

— A! któż tego nie wie!

— No! rzecz bardzo prosta, trafiło się nam co się trafia mnóztwu innym. Zostajemy dobrymi przyjaciołmi, nie mogąc być dobrymi małżonkami.

— Ty to mówisz tak chłodno!

— Z zupełną rezygnacyą, odparła uśmiechając się Krystyna. Cóż chcesz? to nasz chleb powszedni. Wątpię, czy raz trzeci narażę się na próbę, która mi się po dwakroć tak nie powiodła. Mam już tego wszystkiego dosyć. Jestem znowu swobodną, panią méj woli, i taką chcę pozostać.

— No, a kasztelan? Czy to jakie miłostki? spytała ostrożnie p. de Rive.

— O! nie! to człowiek marmurowy, zimny... Nie wiem co z sobą pocznie, nie pytałam go, *il n'a qu'à s'arranger comme il voudra.* Sądzę, że go któraś weźmie; życzę jéj szczęścia.

Mówiła to tak swobodnie, tak zimno, że się de Rive pod tą zasłoną nieprzejrzystą nie mogła nawet domyślić ukrytego dramatu. Krystyna umiała pokryć głęboką boleść i chęć zemsty jak najumiejętniéj odegraną obojętnością. Nie zaspokoiła się tém wszakże indagatorka i rozpoczęła na nowo ubolewania.

— O! ci mężczyźni—rzekła—ci mężczyźni! Jest to ród przebrzydły. Zawsze z nimi toż samo: wieczne zawody i cierpienia... Pewna jestem prawie, że pan Adam...

— Ani gorszy ani lepszy od innych! przerwała Krystyna. Nie mówmy już o tém. Ludzie, jak słyszę, bardzo się o nasz los troszczą, dziwnie są ciekawi...

— Niezmiernie... to prawda! Po bytności u ciebie będą i mnie badali pewnie, co mam mówić?

— O! tak jak najprościéj, coś widziała, co słyszałaś odemnie. Zresztą nie wątpię, że przez przyjaźń dla mnie ubrać to potrafisz przyzwoicie, i nie przedstawisz dla mnie krzywdząco.

Nastąpiły żywe gorące oświadczenia czułości i przyjaźni, uściski, westchnienia, ubolewania. Krystyna jednak zawsze ostrożna, nie rozczuliła się do zbytku i nie dała sercu otworzyć się do głębi.

Napróżno zręczna de Rive zabiegała ze wszystkich stron, pragnąc się czegoś od niéj ciekawszego dowiedzieć; Krystyna grała swą rolę chłodno, dumnie, z rezygnacyą zadziwiającą. Całą więc zdobyczą téj rozprawy było potwierdzenie wiadomości o rozejściu się małżeństwa i sprawie rozwodowéj wniesionéj do konsystorza.

Ciekawość ludzka nienasycona tém, zwróciła się na obie owdowiałe postacie, które tak same przecię, obyczajem wieku, pozostać nie mogły. Ze zbliżenia się kogoś do nich lub ich do kogoś wnosić się gotowano, co spowodowało to tajemnicze zerwanie. Na wszystkich przesmykach zasadzeni łowcy, chciwi prawdy, pokrytéj dziwnie grubą zasłoną, czekali ich z nabitemi ciekawością oczyma, ale musieli oczekiwać długo.

W domu Julii nic się nie zmieniło. Słudzy, pierwsi szpiegowie, widzieli ją trochę słabą, ale dopełniającą ściśle wszelkich obowiązków towarzyskich, oddającą wizyty, przyjmującą gości, troskliwą o zdrowie męża, zresztą obojętną. Pan Adam ani razu do niéj nie przyszedł, na co także bacznie zwrócono uwagę.

Nazajutrz po bytności pani de Rive, która rozsiała po mieście treść swéj rozmowy z Krystyną, ale nie mogąc wiele z niéj udzielić światu, udawała się zmuszoną do tajemnicy i wiedzącą więcej niż mówiła,— Warszawa wiedziała tylko, że Francuzka posiada sekret, ale go odkryć nie chce... lub nie może. Rolę tę grała zręczna pani, aby nie zostać upokorzoną, niewiele będąc lepiéj z wypadkami obeznaną od drugich; wolała udawać tajemniczą, niż przyznać się do niepowodzenia.

Zdziwiła się też bardzo hr. Julia, gdy jéj o niezwykłéj rannéj godzinie oznajmiono przybycie hrabiny Krystyny. Zadrżała, pobladła, ale po chwili niespokojnego namysłu, kazała ją przyjąć.

Współzawodniczka weszła dobrze przygotowana do walki, poważna, smutna, ale całkiem pani siebie; podała w milczeniu rękę Julii, potrząsła głową i usiadła.

— Nie mam ci nic nowego do powiedzenia, rzekła: wiesz wszystko.

— A! wiem! słabym głosem odparła Julia.

— Nie obwiniam nikogo prócz siebie, dodała Krystyna. Tak być było powinno, przewidywałam ten koniec. Pan Bóg skarał mnie za ciebie, jak ciebie ukarał za ojca i matkę, może znowu chcąc ją uczynić świętą i męczennicą. W tém wszystkiém jest ręka jakiéjś niezbłaganéj sprawiedliwości. Ale teraz, gdy się to już nieodwołalnie spełniło, kochana Julio, muszę ci powiedzieć wszystko.... wszystko!... Ten człowiek, to potwór bez serca, niegodny ani twojéj miłości dla niego, ani mojego przywiązania i dobroci... Jam go nie kochała, podobał mi się, chciałam z niego uczynić człowieka i dogodne narzędzie. Za wszystko, com dla niego zrobiła, odwdzięczył mi się najniegodziwszą zdradą... Skorzystał z tego, czego się mógł gdzieś o mojém życiu dowiedzieć, aby się wyrwać odemnie, i sprzedać mi moją wolność i dobrą sławę. Jak się sam był sprzedał raz i drugi, tak dziś sprzedał raz trzeci już nie siebie, ale moją spokojność!... Nic serca!.. nic uczciwości! nic wstydu!... O! to okropnie! I Bóg na tę duszę skamieniałą włożył taką twarz śliczną.... takie oblicze spokojne, łagodne, miłe!.. Mogłażem się spodziewać?... Julio—szepnęła—znasz mnie, i ja nie jestem święta, ale ten człowiek bez serca przeraził mnie!... To istota, nad którą podlejszéj wymarzyć niepodobna.

Gdy Krystyna mówiła tak żywo, mierząc ją oczyma półgniewnemi, napół łzawemi — Julia bawiła się muślinowym końcem chustki, i spuszczonych oczu podnieść na nią nie śmiała. Dobrze jednak umiała utrzymać się w pozornym spokoju i obojętności.

— Nie mów mi tego, odezwała się po chwilce: wiem wszystko, znam go, ale cóż skargi pomogą?

— A! nie bierz mię za egoistkę, nie przyszłam do ciebie ze skargą, rzekła Krystyna. Chciałam, jeśli jest jeszcze w twém sercu resztka jaka miłości dla niego, wyrwać ci ją i oswobodzić cię. Takiego potwora kochać niepodobna... to występek!...

Julia wstała uśmiechnąwszy się dziwnie, twarz jéj ożywiła się, z goryczą jakąś tęskną odpowiedziała:

— Krzysiu, posłuchaj! nie mów nigdy o miłości: jest to jedyna rzecz w świecie, o któréj ty sądzić nie możesz... Czy myślisz, że może powstrzymać od kochania to, że przedmiot miłości nie jest nas godzien?... Ślepa, namiętna, bezrozumna, cożem ja winna, że kocham? Widzę wady, brzydzę się charakterem, lituję nad ułomnością, a kocham; więcéj ci powiem, pogardzam i kocham, gniewam się a kocham. Mogę pracować nad sobą, by o nim zapomnieć: próżnobym usiłowała tę miłość zamienić w obrzydzenie i wstręt.... Czyż ja go nie znam?

— Nie! tak jak ja, ty go jeszcze nie znasz! Był dzieckiem gdyś go wzięła ujęta jego wdziękiem; teraz jest mężczyzną i postępuje z rozmysłem: gotów ciebie, mnie, świat, podesłać sobie pod nogi, byle iść coraz wyżéj a wyżéj!

— Lituję się, Krzysiu, ale wiesz jak to się kocha? Być dla niego ofiarą, być mu podnóżkiem, to rozkosz jeszcze!...

— To jest po prostu szaleństwo! odparła Krystyna: ja się będę mściła tylko! Tak! to nie jest czcze słowo. Rozstaliśmy się czyniąc umowę, któréj warunków dotrzymam; ale nie obowiązałam się do tego, że mu przebaczę, i nie przebaczę!

Słowa te wyrzekła z przerażającą zaciętością.

— Chcesz, ofiaruję ci przymierze! dodała. Ty i ja mamy żal do tego człowieka; weźmyż się za ręce, aby go zgnieść. Niech padnie, niech się rozbije, niech żebrze litości, abym mu mogła drzwi zamknąć i rozśmiać się z jego nędzy!

— Krzysiu! zawołała przerażona Julia: za cóż ty na nim mścić się będziesz? za swoją własną omyłkę?..

— Za co? ja wiem! krzyknęła Krystyna namiętnie ze wzrokiem ognistym: za to, że chciał mnie upokorzyć i zwyciężyć. Znasz kobiety naszego domu?... znasz ten ród nasz, który wszystkiemi drogami umie dążyć do celu?.. Nie skłamię mojéj krwi, nie postąpię inaczéj. Jak ty nie możesz zaprzestać kochać, ja nie potrafię przebaczyć!... Mierz moją namiętność swoją własną, one są do siebie podobne: ty tak kochasz, jak ja nienawidzę.

Obie zamilkły.

— W tém wszystkiém—zaczęła znowu po chwili Krystyna—jest dla mnie jeszcze niezbadana tajemnica, którą odkryć muszę. Ktoś, nie wiem jeszcze kto, dał mu oręż przeciwko mnie, myśl i środki do wykonania tego pięknego planu; on był tylko czyjémś posłuszném narzędziem.... Kto? nie wiem dotąd—mówiła Krystyna—kto? czy ten pan Floryan, który pierwszy mi go bałamucić zaczął? czy ludzie, co go za jakieś narzędzie polityczne użyć chcieli, a wiedzieli, że w moich ręku mojém tylko jest, i służyć im nie będzie?.. Pozostaje mi dojść jeszcze kłębka téj nici czarnéj.

Rzuciła bystrym okiem na Julię, jakby jéj chciała dać do zrozumienia, że ją posądza także, ale to przemówienie milczące nie zostało zrozumiane; Julia nie wzięła go do siebie, i odparła zimno:

— Znasz lepiéj jego stosunki, nie trudno ci to będzie odkryć...

— Odkryję i pomszczę się—dodała Krystyna. Ten głupiec nadto ufał swym siłom... poszedł z niemi, nie utrzyma się, zginie.

To mówiąc wstała, i zdawała się gotować do odejścia....

— Co myślisz z sobą? spytała Julia: jedziesz?

— Ja? jechać? chybaby on wyjechał... Przywiążę się do jego śladów, gonić go będę, iść za nim: zemsta mój cel i myśl jedyna.

— Tak! dziś! rzekła Julia... ale jutro?

— Jutro i do śmierci! Jam wytrwała! zobaczysz... zawołała Krystyna.

— Żal mi cię! dodała z cicha kasztelanowa: z tém uczuciem i żyć jest ciężko, i zaspokojone, jeszcze dręczyć cię nie przestanie. Niesie ono nieszczęście, ale je w około rozlewa; jest jak naczynie z ukropem, które w czasie oblężeń zlewano na głowy oblegających, ale niém sobie i oblężeni ręce parzyli.

— Cóż mi ręce? roześmiała się Krystyna... jam sobie sparzyła życie, ja mam przed sobą tylko to jedno. Chcesz iść ze mną? spytała.

— Nie! stanowczo odparła Julia. Jak ty mojego, ja twego nie rozumiem uczucia. Drogi nasze są różne, Krzysiu moja: zostawże mi choć tę pociechę, żem się uczuciem występném, ale gorącém oczyściła, podniosła, uspokoiła prawie.

— Tyś dziecko i nie zestarzejesz nigdy! zawołała Krystyna.

I dosyć zimno pożegnały się z sobą przyjaciołki.

Jak w istocie skończyli z sobą małżonkowie, tego nawet opowiadający te smutne dzieje, mimo poszuki-

wań czynionych w tym przedmiocie, ściśléj określić nie może...

Nazajutrz po owéj scenie wieczornéj była długa narada, czy targ przy drzwiach zamkniętych. Po rozmowie, wyszła żona z twarzą rozpłomienioną aż do chorobliwéj czerwoności, pan Adam blady jak trup. Przywołany po obiedzie prawnik, spisał jakąś tranzakcyę na dwie ręce, która pozostała tajemnicą. Tegoż wieczoru pan Adam wyjechał z Warszawy, a gdy powrócił, nie udał się już do domu, który zajmowała żona, ale do kamienicy pod Zamkiem, najętéj dla niego przez pana Floryana.

Jermaszka sprowadzony z rzeczami swojego pana, przy pomocy dwóch sług najętych, zajmował się urządzeniem nowego lokalu, który wcale wspaniałym nie był. Pan Adam czuł potrzebę wielkiéj oszczędności, mimo wygranego grosza i tego, jaki mu z układów był przyrzeczony; rozgospodarowywał się tak, aby mieszkanie ściśle odpowiadało położeniu i nie narażało go na niemożliwe wydatki... Dwór był bardzo szczupły, a nawet wątpiono, gdy do Warszawy powróci, czy będzie trzymał konie i stangreta.

Wyjazd pana Adama z Warszawy niby na wieś, był tylko nieco dłuższym kręgiem dla przyzwoitego przeniesienia się z ulicy na ulicę. Gdy powrócił, zastał swoje nowe pomieszkanie w zupełnym chaosie; panu Floryanowi polecono czekać, i nic też nie przygotował. Jeden pokoik przyrządzono tak, aby w nim mógł się przespać, mebli jeszcze nie było, izby stały chłodne i puste, smutne, ciemne... wszystko jeszcze do zrobienia. Gdy p. Adam wysiadł z powozu i wszedł na wschody, przywykły od dawna do wygód i zbytku, do spuszczania się na opiekę drugich, gdy się obejrzał

dokoła, przejął go jakiś chłód cmentarny i smutek.... Mieszkanie było dosyć obszerne, ale ponure i zatęchłe; jakaś atmosfera złowroga zdawała się wypełniać je i ciążyć nad niém. Po dawno wyszłym ztąd, podobno z trumną, lokatorze, zostały tylko pamiątki we wbitych gwoździach, w plamach na ścianach, w dziurach i zniszczeniu... Trzeba było z tych gruzów świat nowy utworzyć, zrobić wszystko, zakupić, obmyślić, urządzić...

W przedpokoju zastał poczciwego Jermaszkę ze zwieszoną głową, ze złamaną postawą, skrzyżowanemi rękami, oczekującego na swego panicza.

— A! to wy! chwalić Pana Boga! rzekł mu po cichu, całując go w nogę sługa. Już jesteśmy u siebie... to i dobrze.

Spojrzał na kasztelana, który był posępny i nie słyszał jego przemówienia.

Jermaszka wprzód prześladowany, tu się czuł jakoś panem, i uśmiechał się do swobodniejszéj przyszłości....

Uprzedzony p. Floryan, nadbiegł zacierając ręce.

— No! *tabula rasa!* zawołał na wstępie: ale z tego zrobimy godne pana pomieszkanie.

— Prawdę mówiąc szkaradna dziura... odparł pan Adam, ruszając ramionami.

— Czekaj pan! przerwał Maluta. Dziura to, nie przeczę, ale są okoliczności nas usprawiedliwiające... Mieszkanie to dla blizkości zamku zajmowali dygnitarze, jest znane z tego, ujmy nie czyni temu, który je najmuje, uświęcone zostało pobytem wielu znakomitych i dostojnych osób. Tłómaczy je zbliżenie się do osoby królewskiéj, do izby sejmowéj, do ogniska politycznego życia. To pierwsze. Zresztą wydaje się ono ohydne,

ale trochę sprzętu, a przystroi się do niepoznania... Byłem już w kilku magazynach mebli, są drogie, ale gotówką płacąc, otrzymamy je ze znaczném ustępstwem... Tapicer zgodzony... za pięć dni będziesz pan tu mógł przyjąć kogo zechcesz, będzie skromnie, ale *de bono gusto.*

— A stajnie? a wozownie? spytał kasztelan.

Nadeszły kwestye ważne koni, powozów, kucharza, dworu... Obliczywszy się ściśléj z Malutą, pomiarkowali oba, że mimo oszczędności, utrzymanie się na stopie przyzwoitéj w tych czasach ogólnego zbytku nie było tak łatwe, jak się zdawało z początku. Kasztelan nie chciał się wydawać zupełnie ubogim, choć takim był w istocie, obawiał się robić długów, a nie było innego sposobu, tylko od niepewnéj trochę zapożyczać się przyszłości. Do późnéj nocy roztrząsano budżet... Maluta dziwnie jakoś ośmielał i napędzał do wydatków nieopatrznych.

— Panie Floryanie, rzekł długo wytrzymawszy kasztelan: muszę ci nareszcie odkryć całą prawdę... Ja mam bardzo niewiele, żona moja obowiązała się płacić mi pewną pensyę, ale ta, jak widzisz, nie starczy... Starostwo moje jest rzeczą lichą i niewiele przynoszącą; majątek ojcowski ledwie na życie starczy matce.

— Pozwolisz mi pan równie być szczerym—odezwał się Maluta, ściskając go i całując powyżéj brzucha, gdyż wyżéj usta jego i głowa nie dosięgały.

To mówiąc, wybiegł, opatrzył drzwi, odciągnął pana Adama na środek pokoju, i począł bardzo zniżonym głosem:

— Nie mamy co w bawełnę obwijać, trzeba być otwartym. Świat jest zepsuty, na nieszczęście bardzo zepsuty; ktoby do zbytku chciał być skrupulatnym....

Tu się zakrztusił, badając, jak to zwierzenie zagadkowe przyjmie kasztelan; ale pan Adam ani mrugnął, a Floryan wziąwszy to za dobry znak, mówił daléj:

— Czasy są ciężkie, bardzo ciężkie, okoliczności dziwne... trudne... Pan należysz do patryotów?... nieprawdaż? dodał cichutko.

— Cóż to pan zowiesz tém nazwiskiem? spytał kasztelan. Należałem z kolei do Hugonotów, do Prusaków, do tych i do owych, wszyscy mieniamy i tracimy barwy co chwila... to zależy...

— Jestem właśnie tego zdania, że barwa powinna być zależna. Wypada i panu szukać siły i podpory, wcielając się do jakiegoś stronnictwa, oddając mu się duszą i ciałem, nie patrząc na nic prócz własnego interesu...

— Naiwnie i otwarcie mówisz w istocie! zawołał uśmiechając się pan Adam.

— Ale z serca! ale z serca! rzekł bijąc się w piersi mały człeczek. Położenie pańskie dotychczasowe łączy go ściśléj z reformatorami.... jest to obóz chwilowo tryumfujący, ale krucho stoi w przyszłości... Jak się panu zdaje?

Pan Adam myślał, kiwnął głową, nic nie odpowiedział; nie miał mocnych, a raczéj żadnych przekonań.

— Trzeba wybrać jedno z dwojga, rzekł kusiciel: albo mrzeć z głodu i stoicyzmem się karmić o suchym chlebie, goniąc za sławą bohatera, znosić prywacye, lub... lub...

— Radzisz mi więc zmienić barwę? spytał ostrożnie pan Adam.

— Nie! rzekł Floryan... ale mieć nogę w obu obozach, zapewniając sobie przyjaciół i protekcyę w mocniejszym; radziłbym po prostu menażować wszystkich.

Nie jest to rzecz bezprzykładna: są bardzo godni ludzie, którzy nieinaczéj czynią.

— Ale ja przecię jestem dobrze ze wszystkimi?

— Nie dosyć: trzeba być dobrze ze swymi, a bardzo dobrze z innymi... jąkał się pan Floryan. Ale pocóż o tém wszyscy wiedzieć mają? Trzeba bywać i tam głośno, i gdzieindziéj po cichu; a protekcya posłów i mocarstw zagranicznych... to rzecz jest potężna.

Pan Adam się zachmurzył.

— Wolałbym, rzekł, przejść otwarcie do królewskich....

— Otwarcie, to się na nic nie zdało, odparł Maluta. Co pan im przynosisz? nic nad jedną osobę więcéj, a oni tam figur mają dosyć. Tymczasem skrycie działając, jesteś pan drogi.

— Więc po prostu radzisz mi zdradę?

— A! co za słówko szkaradne! miły kasztelanie! obruszył się Maluta. Co za słówko grubiańskie! Nie godzi się tak surowo obchodzić z przyjacielem. Zdradę? zdrada jest wcale czém inném: toż to jest manewr polityczny, dozwolony, przyjęty... Polityka, widzi pan, nie znosi ciasnych prawideł zwykłéj moralności; ona ma swą księgę praw, w któréj stoi: „Patrz gdzie ci lepiéj!“

Pan Adam już nic nie odpowiedział.

— Wszyscy biorą pensye—rzekł Floryan powoli—dla czegożbyś pan jéj brać nie miał? Hetman, wojewoda, ten, ów... są dobrze płatni; król JMość nawet nie gardzi tym sukursem... takie czasy... *Beatus qui tenet*....

— A sprawy kraju?..

— E! rzekł mały szatanek: to rzecz, która od ludzi nie zależy. Napróżno pochlebiają sobie, że oni

na nie wpływają; idą jak im prawo ogólne przykazuje i kwita. Nam potrzeba swoje robić, a o sobie pamiętać!...

Pan Adam nie oburzył się wcale, zamyślił się tylko; snadź p. Floryan dobrze wprzód zbadał grunt, na który rzucał ziarno.

— Potrzeba—rzekł, kując gorące żelazo—pozawiązywać ściślejsze stosunki.

Tu ująwszy go pod rękę i wspinając się do ucha, począł szeptać bardzo po cichu.

Wieczór zszedł na tajemniczéj rozmowie; ale znać było po twarzach obu, że Maluta wyszedł z niéj zwycięzko. Czoło pana kasztelana okryło się lekką chmurką, ale był to raczéj obłok głębokiéj zadumy, niż smutku lub zgryzoty. Sumienie spało w tym człowieku; ubóztwo i duma dobijały targu przy jego łożu.

Nazajutrz najęta tymczasowo kareta od Dangla, wiozła pana kasztelana do zamku na przyjęcie uroczyste....

Był to dzień galowy u dworu. Pierwszy raz pan Adam pokazywał się tu po wielkim kataklizmie, który jego położenie odmienił. Pokoje zamkowe były przepełnione, tłum wielki... Przywykły do spotykania twarzy przyjaznych i grzecznie uśmiechniętych, zdziwił się nieco i zmieszał pan Adam, spostrzegłszy zaraz na wstępie, iż się od niego odwracano, unikano go, udawano zajęcie, by się od spotkania i rozmowy z nim usunąć. Przyparci koniecznością, witali się z nim zimno, i co prędzéj śpieszyli w inną stronę pod pozorem pilnych interesów. Gdziekolwiek stanął na chwilę, próżnia robiła się w koło. Pan Adam pobladł, ale uśmiech wymuszony skrzywił mu usta: nadrabiał miną.

Ci nawet, z którymi był najbliżéj i najlepiéj, nagle czegoś zlodowacieli...

Gdy Najjaśniejszy Pan wyszedł na pokoje, a pan Adam wysunął się przed jego oblicze, postrzegł z boleścią, że król się odwrócił, i tak zajął się rozmową z jakimś Anglikiem, iż niepodobna było nawet przesłać mu uniżonego pokłonu.

Kasztelan kłaniał się kilka razy napróżno, nie odbierając żadnéj na swą grzeczność odpowiedzi.

Położenie stawało się co chwila draźliwsze. Znali go wszyscy, ale był jak zarażony powietrzem: nikt do niego przybliżyć się nie śmiał. Jeden nawet z posłów zagranicznych, ku któremu podszedł pan Adam, dotąd najgrzeczniejszy i uprzejmy dla niego, ledwie raczył kiwnąć głową, i odwrócił się.

Dłużéj od innych pozostał na pokojach, ale darmo polował na najskromniejsze znajomości swoje; wszyscy mu się bardzo zręcznie wymykali.

Dla człowieka, który na jedną kartę postawił los całego życia, przegrana wszystkich nadziei jest jakby śmierci wyrokiem. Pan Adam czuł dreszcz zimny przebiegający po ciele, zimny pot oblewał mu skronie, drżącym krokiem dostał się do powozu, który go odwiózł do pustego mieszkania. Czekał tu na p. Floryana, który mu się był przyobiecał na godzinę oznaczoną po audyencyi. Ale pierwszy raz nawet Maluta się nie stawił.

Było to także coś wielce znaczącego.

— Mieliżby mnie tak nagle wszyscy opuścić? pytał się sam siebie, drżący, wylękły i przybity swém nieszczęściem. Miałażby ta jedna kobieta mieć tyle władzy, wpływ tak wszechmocny, tak nieubłaganą

chęć zemsty?.. Czyż nie ma już sposobu żadnego oparcia się jéj, zwalczenia? Miałżebym być skazany na zgubę, dla tego tylko, żè niewolnikiem być nie chciałem? Nie! to niepodobna! fałszywie widzę i przesadzam wszystko... widzę zbyt czarno... może pragnę od razu zbyt wiele!

O dobrą spóźniwszy się godzinę, nadszedł wreszcie pan Floryan; ale na pierwszy rzut oka, kasztelan dostrzegł w nim nawet niesłychaną zmianę. Mały ów, grzeczny, nadskakujący, zręczny, wylany na usługi i pokorny człowieczek, który mu się uśmiechał zawsze i stawał mniejszym jeszcze niż był, przez potulność—wyrósł nagle i skwaśniał widocznie w ciągu kilku krótkich godzin.

Z zafrasowaną twarzą, na którą próżno wdział jakiś uśmiech pożyczany, szedł tym razem bez pośpiechu, znamionującego zwykle wszystkie jego ruchy, ciągnął się, wyglądał zakłopotany, jakby przynosił z sobą ciężar jakiéjś niespodzianéj a złéj wiadomości, któréj wypowiedzieć nie śmiał, z czego mu się wyspowiadać było ciężko a potrzeba.

Pan Adam pośpieszył sam na jego spotkanie z wykrzykiem:

— Czekałem cię, czekam!

— Nie mogłem być wcześniéj! zawołał p. Floryan: jak Pana Boga kocham, nie mogłem! Miałem interes cudzy, ważny, pilny, proszę mi przebaczyć, nic nie winienem.

— Cóż ci się stało?

— Ale nic, to rzecz osobista.

— Byłem u dworu—przerwał kasztelan, mierząc go oczyma, aby dobadać, czy już o wszystkiém wie p. Floryan.

Z jego zakłopotanéj twarzy poznał zaraz, że mu nic nowego nie powie, że on już dobrze naprzód wie całą historyę przyjęcia na zamku.

— Wiesz już? zapytał.

— Nic! nic! jak Boga kocham! odparł mały.

— Jak to?

— Cóż się stało? zapytał zimno pan Floryan, zaniechawszy nawet zwykłych oświadczeń przyjaźni i wylania....

— Skutkiem zapewne zabiegów mojéj szanownéj małżonki—mówił pan Adam—zostałem przyjęty tak zimno, tak dziwnie... Co mnie najwięcéj oburza—dodał—to moi, ci, z którymi dzieliłem przekonanie, którym służyłem, którzy mi dotąd okazywali jeżeli nie gorącą przyjaźń, to przynajmniéj uprzedzającą grzeczność. Nie rozumiem co się im stało... Ale bądź co bądź, pomszczę się. Mówiłeś wczoraj o nogach w dwóch obozach: dobrze... włożyłbym je w trzy, gdybym miał trzy nogi, gdyby był jaki obóz trzeci... Jadę gdzie chcesz, do posła... do dyabła... robię co radzisz... żartuję sobie z nich...

Pan Floryan stanął jeszcze bardziéj zakłopotany, opuścił głowę, wzrok utopił w ziemię, zdawał się na niéj szukać jakichś tajemniczych do odczytania znaków.

— Co mówisz? zapytał kasztelan.

— A! nic! odparł Maluta—nic...

Pan Adam przechadzał się wielkiemi krokami, poruszony, gniewny.

— Tak—dodał—potrzeba myśleć o sobie, o niczém więcéj. Tak oni wszyscy robią, tak i ja uczynię: myśleć o worku, o intrygach, o zyskaniu grosza, o schwytaniu łupu... Resztę! niech tam dyabli biorą jeśli chcą.

Zdanie to zdawało się tak zgodném z niedawno objawianém przez pana Floryana, iż pan Adam spodziewał się gorącego potwierdzenia; ale Maluta stał niemy, poprawiał wysoką fryzurę, przestępował z jednéj nóżki na drugą.

— Cożeś i ty dziś taki zakuty i milczący? spytał zniecierpliwiony pan Adam.

— A cóż już mam mówić, kochany kasztelanie?.. odparł Floryan: a cóż mam mówić? słucham.

— Byłeś u posła?

Chwila milczenia nastąpiła złowroga.

— Otoż to, że byłem, rzekł wahając się Maluta: byłem, i nie jestem z niego kontent!

— No? dla czego?

— Bo mnie tak odprawił omal, jak pana dziś odprawiono na zamku—rozśmiał się, ruszył ramionami— i już nie chcę nawet powtarzać.

— Ale gadajże mi wszystko... wolę od razu wypić wszystko do dna... Co ci powiedział?

— Co? co tam!.. at! głupstwo! szepnął Maluta.

— Mów.. mów! stanowczo tupiąc nogą krzyknął pan Adam.

Ale owo tupnięcie, które przed kilku dniami byłoby w ziemię wbiło pana Floryana, teraz jakiś przesmykujący się uśmiech tylko wywołało na jego usta. Okręcił się, otarł chustką, i rzekł powoli:

— Kochany kasztelanie, zmartwisz się, gdy ci powtórzę, co powiedział.

— Powtórz.

— Gdym mu przyniósł propozycyę, uśmiechnął się, i rzekł: „E! kłaniam uniżenie... nie staję do licytacyi!“

Kasztelan poczerwieniał, ale zjadłszy przykrą wiadomość i rozrachowawszy, że p. Floryan w nieszczęściu

nie będzie mu wielką pomocą, odwrócił się prawie pogardliwie od niego.

Dostrzegłszy tego śmiałego ruchu, którego znaczenie nie mogło być wątpliwe, mała figurka spojrzała na kasztelana prawie z podziwieniem. Zmiarkował Maluta, że nazbyt szybko zwinął chorągiewkę, i począł ubolewania.

— Któż to nie zna ludzi!.. rzekł ciągnąc powoli. Tak to zawsze: póki doli, póty ich przyjaźni i życzliwości; niechże się noga powinie...

— Ale komuż to się noga powinęła? krzyknął gniewnie kasztelan. Komu? gdzie? kiedy? jak? Opuściłem żonę, jestem tym com był wczoraj.

Pan Floryan skrycie ruszył ramionami. Jąkiś teraz stał się całkiem inny; spojrzał, czy litość go wzięła, czy wstyd jakiś. Zbliżył się do pana Adama, i oglądając się dokoła, szepnął po cichu:

— Nie oceniasz pan jeszcze dobrze coś uczynił... Myślałem, że rozstając się z panią, obwarowałeś dobrze: coś tu musiało się jakiegoś bąka ustrzelić... Widzę, że jejmość zajadłą zemstę gotuje; a to nie przelewki! to nie przelewki! Znasz pan tę możną rodzinę, do któréj ona należy... Tylko na miłość bożą, nie zdradź mnie pan: ona w całym kraju ma rozciągnięte sieci, szlachtę po wszystkich ziemiach, możnych po zamkach, duchowieństwo po klasztorach, zamek w ręku, posłów za nadrą, króla JMci w kieszeni. To są ludzie straszni, gniazdo os....

— Jużciż—odparł kasztelan—gdyby nawet tak władnęli krajem, sama ich potęga robiłaby im nieprzyjaciół: znajdę ich i połączę się z nimi.

— W tém się mylisz, kochany kasztelanie! Oni się tak urządzili, że nawet w nieprzyjacielskim obozie

swoich mają. Niejeden, co gardłuje i krzyczy przeciwko nim, robi to tylko, aby się lepiéj zamaskować, a w istocie im posługuje... W obozie nieprzyjaciół zdradzony będziesz niechybnie.

— Więc cóż? przepadłem i zginąłem! rzekł gwałtownie pan Adam.

— Ale ja tego nie mówię! przerwał Maluta. Nikt nie przepadł póki żyje; coś można i potrzeba radzić.

— Radź! rzekł sucho kasztelan.

— Gdzie tam moja głupia głowa na to poradzi!... począł cicho, założywszy ręce Maluta. I mnie już, przyznam się panu, strach bierze: bo jak nie można po koniu, biją po hołoblach; a ja się boję być hołoblą.

— Masz słuszność! odparł kasztelan. Za cóż ty masz cierpieć lub zginąć dla mnie. Zapewne, każdy o sobie myśleć powinien, na to nie ma rady.

Maluta stał jeszcze i dumał.

— Panie kasztelanie—rzekł—trzeba się jakoś zbliżyć. Ja interesu tego nie rozumiem, i dla tego radzić nie potrafię. Wiem, żeście się państwo rozstali, ale jest tyle sposobów zrywania: mogęż zgadnąć z czego? dla czego? jak? co tam się pomiędzy państwem stało? jak do tego przyszło? Kobieta widać wściekła, a zemsta niewieścia....

Maluta westchnął ciężko.

— O! zemsta niewieścia! powtórzył.

Obaj na chwilę zamilkli.

Wieczór nadchodził... Kasztelanowi przyszło na myśl, że mógł jeszcze spróbować szczęścia, i pojechać gdziekolwiek, dla samego przekonania się, jak go też przyjmą.

Nic już nie mówiąc, kazał sobie podać karetę; zaproponował nawet Malucie, by z nim jechał. Ale gdy

dawniéj byłby to sobie pan Floryan za największe szczęście poczytał, teraz wymówił się niezręcznie jakąś pilną sprawą. P. Adam nie ponowił zaproszenia, przebrał się żywo, i ruszył do pani starościny XX., któréj dom i wieczory ściągały całą Warszawę.

Był to salon neutralny, na którego gruncie spotykały się z sobą wszystkie stronnictwa i barwy w chwilowym rozejmie. Sama pani, osoba w wieku, która nigdy nie była ładną, a pośród ogólnego zepsucia potrafiła wytrwać zacną i czystą, szanowana była i lubiona przez wszystkich, uznana jako wysokiego rozumu, wielkiego dowcipu i serca pani. Nie starając się wcale, umiała sobie zdobyć w społeczeństwie jedyne stanowisko, o które z nią nikt nawet współubiegać się nie śmiał.

Nie była to już owa matrona dawnéj Polski XV i XVI wieku, u wiejskiego ogniska modląca się z czeladzią, i nieznająca innéj księgi nad modlitewnik i żywoty Św.; był to typ już odmienny, nie dzisiejszy, nie prastary—pośredni. Zachowała ona zasady dawne, ale przybrane w formę nową; sercem była to jeszcze owa przedwiekowa polska niewiasta, choć mowa i obyczaj czyniły ją córką wieku. Umysłu niepospolicie wykształconego, chciwa wiedzy i nauki, starościna przeszła przez ogień życia oczyszczona w nim jak złoto, i przez szały wieku, nieporuszona w zasadach, spokojna, pełna godności i powagi. Ale musiała przemawiać językiem, któryby był zrozumiany; natura dała jéj dowcip, nauka i pamięć przyozdobiły jéj umysł bogato. Trochę niewinnego szyderstwa miała w usposobieniu: przy największéj więc grzeczności i wstrzemięźliwości, niekiedy chłostała słówkiem ostrém wydatniejsze wady wieku; słynna była nawet z wypowiadanéj naiwnie,

niespodzianie prawdy w oczy tym, do których się to ściągało. Za oczy za to broniła ich żarliwie. Przycinki owe zawsze sprawiedliwe, przyjmowano od niéj z pokorą; bo nikt nawzajem niczém ostrém odpowiedzieć jéj nie mógł: cnota dawała jéj prawo wojowania prawdą.... Wszystkie ówczesnéj Warszawy odcienie schodziły się w tym skromnym wdowim saloniku, w którym przyjęcie nie było wytworne, ale pańsko skromne, zkąd nikt zszarzany nie wyszedł bezkarnie, ale też pokrzywdzony niewinnie być nie mógł, a każdy za zaszczyt miał przestąpić jego progi. Starościna zwykle przyjmowała swych gości niewiele się o nich troszcząc na pozór, bez zbytecznych ceremonij, równając ich grzecznością dobrego tonu dla wszystkich jednaką. Siedziała na swéj kanapie z bonończykiem na poduszce u nóg, i prowadziła rozmowę robiąc pończoszkę przez cały wieczór. Ubiór jéj przyzwoity, staranny, ale niewytworny, był zawsze ciemny, popielaty lub czarny, skrojony tak, że ani elegancyą raził, ani też zaniedbaniem zbyteczném rozśmieszał.

Przed tą kanapką co wtorek i piątek przesuwało się co Warszawa miała najdostojniejszego, a sam król JMość, choć starościny za prawdę, którą w delikatny sposób i jemu podawać umiała, nie zbyt lubiał, przychodził tu czasem ucałować rączkę zacnéj staruszki.... Starościna miała lat z górą pięćdziesiąt; twarz jéj nie była nigdy piękna, ale starzejąc dziwnie się stała poważną, wypogodzoną, prawie wdzięczniejszą niż była za młodu. Siwy włos srebrzysty gładko uczesany, i para takichże loczków na czole, bardzo jéj były do twarzy...

Oprócz starościny i jéj synowéj, pięknéj pani owdowiałéj z kilkorgiem dzieci, których wychowaniu cał-

kowicie była oddana, milczącéj i mało zajmującéj się towarzystwem, dom składał się z rezydentki ospowatéj i złośliwéj, trzymanéj na wodzy powagą pani, i jednéj z wnuczek, młodéj dzieweczki jasnowłoséj, wesołéj, miłéj, ale straszliwie przez babunię rozpieszczonéj.

Pan Adam, który był pozyskał prawo bywania u starościny, i nigdy go dotąd nie stracił, chociaż zbyt mile tutaj go nie widziano, przyjmowany był grzecznie. Tym razem pojechał w nadziei, że ocierając się o świat, lepiéj się przekona, czy w istocie został już bannitą.

Wszedł na pokoje starościny, które jak zwykle pełne były kobiet siedzących dokoła, i mężczyzn poskupianych w małe gruppy pośrodku. Nadając sobie pewność, jakiéj nie miał, czuł, że mu się paliły policzki, ale się uśmiechał wśród téj moralnéj tortury. Przywitał parę osób po drodze, z których przyjęcia nic wnieść nie potrafił, i pośpieszył ku tronowi saméj starościny.

Ta spojrzała na niego bardzo przelotnie, oderwawszy na chwilę oczy od pończochy, kiwnęła z lekka głową, ale tak szybko potém wróciła do rozpoczętéj wprzódy rozmowy z siedzącą przy niéj marszałkową L...., że pan Adam uczuł się boleśnie dotknięty prawie wzgardliwą obojętnością, która obojętną być nie mogła, bo każdy ruch i słowo pani domu były obrachowane. Zostawiony sam sobie, podszedł do kilku znajomych pań, które mu także na jego ukłon odpowiedziały głowy skinieniem, ale żywo zajęte sobą, nawet się nie odwróciły ku niemu. Jedna z nich, do któréj w rozpaczy przystąpił bliżéj, popatrzała na niego szydersko, zmierzyła go od stop do głowy oczyma pełnemi jakiéjś ciekawości dziwnéj, i odpowiedziaw-

szy mu na pytanie półsłówkiem, wstała i odeszła, chcąc widocznie uniknąć dłuższéj z nim rozmowy.

Mężczyźni prawie tak samo sobie z nim postępowali, gdy się do nich przysuwał. Mówili do siebie, nie zwracając na niego wiele uwagi; a gdy się mieszał do rozmowy, unikali jéj przedłużenia, rozsypując się lub zbywając go chłodem wyraźnym.

Położenie stawało się coraz przykrzejsze, i pan Adam już prawie nie wiedział co począć z sobą... gdy dobrze znany mu niegdyś głos odezwał się, śmiało przywołując go do siebie.

Była to Julia, któréj twarz pokraśniała od gniewu, na widok tego okrutnego obejścia się ludzi z jéj ulubieńcem. Nie mogła wytrwać i przemódz, aby się nie zwrócić do niego, i nie starać przynajmniéj dodać mu odwagi, nie spróbować przechylić kapryśnego usposobienia towarzystwa na jego stronę. W świecie dzieje się to często, że wszyscy idą za ogółem, nie wiedząc dobrze dla czego, i dają się z drogi sprowadzać równie łatwo jak na nią weszli. Jedno czasem słowo śmieléj rzucone, nagły zwrot w usposobieniach wywołać może.

Julia czuła, że była powinna poświęcić się dla niego, i odważnie dopełniła obowiązku. Oczy wszystkich zwróciły się na nią: widać w nich było zdziwienie, ale zarazem poszanowanie dla tego męztwa niewiasty, która ściągała na siebie podejrzenia i sarkazmy, byle ukochanego ocalić.... Kilka osób zaraz inaczéj już spojrzało na pana Adama, widząc, że nie jest jeszcze opuszczoną przez wszystkich ofiarą.

Kobiety zaczęły szeptać zakrywając się wachlarzami, i z ukosa rzucając wejrzenia na kobietę, która sama jedna śmiała stanąć przeciw uknutemu spiskowi.

Głos Julii, na który całą siłę, jaką miała, wyszafowała, był śmiały, pewny siebie, prawie wyzywający.

— Zbliż się tu, panie kasztelanie—zawołała do niego—mam ci coś powiedzieć.

Pan Adam z wdzięcznością przysunął się do kasztelanowéj, która uśmiechając się, rzuciła mu tylko do ucha:

— W Imię Boże, odwagi! śmiałości! zuchwalstwa!

A głośno dodała:

— Długa to historya, a nawet prośba.... Chodź pan, muszę mu to rozpowiedzieć... pilno mi.

To mówiąc przeszła z nim powoli przeciskając się przez zgromadzenie aż do drugiego salonu, w którym kilka także grupp uszykowanych było po kątach; a tu przechadzając się, poczęła półgłosem rozmowę, którą tak umiejętnie plątała rzucanemi na głos wyrazami odmiennéj treści, i bez związku, że przysłuchujący się jéj, nic z niéj pochwycić ani zrozumieć nie mogli.

— Stajesz do walki—rzekła mu—oblicz się naprzód, osnuj plan jakiś, spodziewaj się wszystkiego, umiéj przewidzieć i odeprzeć.... Wiem już co się dziś stało na zamku... Dalszym ciągiem rozpoczętego prześladowania jest ten wieczór. Można to było z góry przewidywać, trzeba się było gotować na to.... Dobrze zrobiłeś, żeś miał tu przyjść odwagę.... To pierwsze napady nieprzyjaciela: jeżeli się nie cofniesz, i nie ulegniesz im... kto wie? po twojéj stronie może być zwycięztwo.... To pewna, że na jednego sprzymierzeńca, na mnie rachować możesz... śmiało... Ale cóż ja mogę!...

— Ja także nie wiem, czy téj śmiertelnéj walce podołam, rzekł pan Adam: siły są nierówne.

— Tak! i dla tego bój ponętniejszy! odparła Julia. Tam spisek szeroko zakreślony, tu zimna odwaga przeciwko niemu. Od czegoż jesteś mężczyzną? Twoja żona ma także nieprzyjaciół skrytych, potrafimy ich rozbudzić... Co myślisz?

— Dotąd nic, jestem osłupiały... rzekł pan Adam.

— To źle! stokroć źle! odparła Julia. Trzeba się otrząsnąć z wrażenia; ja na to nie pozwalam... Nie godzi się tracić tak wcześnie nadziei zwycięztwa... należy myśleć i działać.

— Gdy wszyscy mnie opuścili!

— Nie, bo ja się za coś też liczę—przerwała kasztelanowa.

— Ale z jakąż ty stajesz bronią? zapytał Adam.

— Z najpotężniejszą w świecie, odpowiedziała ciszéj Julia: ja kocham, jest to walka nienawiści i miłości. Nie wątpię, że ostatnia zwyciężyć musi.

Kasztelan milczał, głowa jego spadła na piersi. Julia postrzegła smutne jego oblicze i zawołała:

— Na miłość Boga! wesołą, szyderską, bezczelną przybierz postać; wyglądasz jakbyś z góry już uznawał się za zwyciężonego, dajesz się dobrowolnie na pośmiewisko. Nie uznawać się pobitym, to połowa zwycięztwa. Rozjaśnij czoło gwałtem, tak jakbyś odemnie w téj rozmowie dowiedział się czegoś radosnego. Jestem pewna, że to zrobi zamieszanie w obozie przeciwników... a jeżeli kto cię jutro badać będzie, udawaj nadzwyczajną wesołość, dobrą myśl, nadzieję, żartuj sobie z nich... Dłużéj mówić nie mogę... Przemów jeszcze do kogo, a potém odejdź śpiewając, nie patrząc, żywo, jakbyś się śpieszył... A! trzebaż stary pieszczochu, abym ja to mówiła tobie, ja cię tego uczyła, jak stara intrygantka jakaś!

Rozśmiała się boleśnie; ale wśród goryczy, która się przebijała przez ten uśmiech, czuć było wysiłek woli i serca, by się ludziom nie dać pojąć i pochwycić.

Widząc pana Adama dość jeszcze zakłopotanym i niepewnym, dokończyła umyślnie głośno:

— Proszę cię kasztelanie, idźże zaraz i spełnij moje polecenie. O skutku nie wątpię, w tak dobre ręce powierzając mój interes... Mój mąż ci sam jutro podziękuje, ale usilnie naglił, abym cię o pośpiech prosiła.

Wszyscy słyszeli te słowa, i prędkie odejście kasztelana zostało w ten sposób wytłómaczone. Skutkiem rozmowy z Julią było zaraz to, że w progu, gdzie już mniéj kto widział co się działo, parę osób zbliżyło się do kasztelana, który cały swój humor jakoś jeżeli nie odzyskać, to pozornie przynajmniéj przywdziać potrafił.

Są w życiu ludzkiém chwile stanowcze, które nowy zwrot nadają nietylko losowi, ale nawet charakterowi człowieka.

Pan Adam był dotąd niesamoistną istotą, rzuconą wypadkami, słabą, niepewną. W głębi jego duszy kryło się jednak nieco energii niezużytéj, śpiącéj, która w danéj godzinie pod bodźcem niedoli obudzić się musiała. Była to właśnie chwila, w któréj poczuł się igraszką, pośmiewiskiem, istotą jakąś słabą, zależną, wzgardzoną. Instynkt zachowawczy, miłość własna, dobyły z niego dotąd zapartéj, niezużytéj siły.

Wychodząc z tego wieczoru u starościny, który go oblał gorączką, wstydem i gniewem, a uczuciem wdzięczności dla jednéj kobiety, co się nad nim ulitowała, kasztelan poczuł nareszcie, że potrzeba mu samemu myśleć o sobie. Widział już, iż na nikogo

rachować nie może, nawet na tych, których dotąd miał za przyjaciół, którym służył i zdawał się potrzebny. Powiedział sobie, że należy stać się ludziom albo niebezpiecznym, albo użytecznym, aby być przez nich uszanowanym.

Powróciwszy do domu, zamknął się i zadumał nad sobą głęboko... Widział się na rozstajach życia. Jedna z dróg wiodła do góry, do owych blasków, których tak pragnął, druga na dół, do przepaści. Spokojnego gościńca, który prowadził do szczęścia, nie domyślał się nawet: bo szczęście dla niego malowało się zawsze ubrane w purpurę i złoto.

Wskazówki dane mu przez Floryana przypominały, że ze swego dawniejszego położenia mógł skorzystać, odrywając się od przyjaciół i przenosząc do przeciwnego obozu. Mówiliśmy już, że nie miał przekonań, że brakło mu zasad, powodował nim prawie wyłącznie interes własny. Postanowił więc zmienić obóz z zimną krwią i bez zgryzoty sumienia.

Nie on jeden naówczas tak rachował; wielu z nim było, co nieinaczéj sobie postępowali.

Jakkolwiek zimno przyjęto go w pierwszéj chwili z téj strony, któréj chciał ofiarować swe usługi, nic to jeszcze nie stanowiło. Nie wiedziano, ile mógł być użytecznym, przenosząc z sobą wiadomość o planach i środkach do ich spełnienia obmyślanych. Potrzeba się więc było zbliżyć, dać poznać i ocenić. Wiedział, że daleko mniéj nad niego znaczących i udarowanych ludzi chwytano dla zwiększenia stronnictwa.

Po długich rozmysłach, kasztelan nie używając już za pośrednika pan Floryana, na którego wiedział, że się spuścić nie było można, postanowił sam działać, zawiązać bliższe znajomości i ofiarować swoje usługi,

zrywając zupełnie z tymi, którzy go opuścili w krytycznéj chwili. Kasztelan przedewszystkiém zajmował się sobą i swoją przyszłością, która mu się groźnie przedstawiała.

Gdy rozgorączkowany myślami własnemi chodził tak po po pokoju, snując plany przyszłości i zemsty, przez rozwarte na pół drzwi ujrzał wyglądającą, smutną i dziwnie skrzywioną twarz Jermaszki, śledzącego każdy ruch swojego pana.

Biedny sługa, jakkolwiek jeszcze nie obyty ze swym panem i jego położeniem, prostym rozsądkiem i sercem wieśniaczém odgadywał po trosze ciężkie położenie swego pana, i po swojemu chciał go ratować. Szło mu tylko o to, jak do niego przystąpić i szczere wywołać wyznanie.

Kilka razy Jermaszka szedł i powracał, chciał rozpocząć rozmowę i nie śmiał, rzucał się ku panu widząc go cierpiącym, potém wstrzymywał się obawą, że go nie rozumie; nareszcie widok tej walki ostatniéj, która tak jasno malowała się na obliczu kasztelana, w jego ruchach, zadumie, westchnieniach, pchnęła sługę ku niemu, otworzył drzwi, wsunął się powoli i z pochychyloną głową stanął, wlepiając w niego oczy ciekawe.

— Ono by to... zaczął nieśmiało.

— Chcesz czego odemnie? spytał pan Adam.

— Ono to nic... rzekł Jermaszka — alebym prosił pana, jakby my z sobą pogadali? Choć to ja sługa i biedak—dodał—ale to u nas na wsi, choćby i ojciec pański nieboszczyk, czasem o wszystkiém zemną pogawędał, a i u prostego człowieka, to się tam coś znajdzie we środku...

Kasztelan popatrzał uśmiechając się na niego.

— Mój kochany, odezwał się: cóż ty mnie poradzić możesz?

— Zapewne, zapewne... przebąknął Jermaszka — ale choćby największemu rozumowi, z boku zawsze człowiek coś poddać może. Czy to ja nie widzę co się święci?... proszę JWPana, ono to się rozumie...

— Cóż? jak ci się zda? zapytał kasztelan: myślisz, że tak źle dla mnie rzeczy stoją?

— Źle, ale nie, odrzekł sługa; tylko JWPan nie wie jeszcze jak one pójdą, to cała rzecz, a po ciemku wszystko straszne... Ale prosiłbym JWPana, wszak to prawda, że jak se człek pościele tak się wyśpi, a to pora słać, i na tych, co nam ścielą nie spuszczać się. Czy to ono się oczu nie ma?—dodał—albo co? Toć to się widzi, że z tego cała bieda, że JWPan zerwał z JWPanią! Pani się dąsa, a ma przyjaciół dużo, i oni naturalnie za nią ciągną, a mścić się pragną. Już to przepraszam, że ja się w to wdaję, ale ja stary sługa domowy, a w sercu mam okrutny żal...

— No, cożbyś ty zrobił na mojém miejscu? rzekł uśmiechając się mimowolnie kasztelan, który stanął i począł słuchać dosyć ciekawie.

— E! co jabym zrobił, tego JWPan nie uczynisz, odparł sługa; ale tu idzie o to, żeby wymyślić co JWPanu robić potrzeba!

— A cóżbyś ty począł?

— E! ja! jabym plunął do czorta za pozwoleniem— rzekł Jermaszka — na ich dwór, na ich miasto, na wszystkie ich roboty, a powrócił na wieś zagon orać, i ani myślał o tém; ale tego przecię to JWPan nie zrobisz? A! a toby było najlepiéj! Może i nie wypada JPanu tak uciec? Powiedzieliby, że go przestra-

szyli, choć ja, jabym się śmiał z ich głupiego gadania. Co mi tam!

Kasztelan potrząsł głową.

— A jednak—dodał Jermaszka — oj! oj! człek się kręci a szuka czegoś około siebie, a co ma, tego mu nie dosyć! Hej, hej! na czémby to ono zbywało na wsi? Nie bogato, nie dworno, ale zaciszno i zdrowo, i spokojnie, a stara nasza jejmość takby była szczęśliwa! Niechby sobie oni pletli, że nas ztąd wypędzili, coby to nam szkodziło, kiedyby się tam żyło po bożemu!

— Nie! rzekł pan Adam: o tém mowy być nie może...

— A! no, to się wie, że o tém mowy nie ma, odpowiedział smutnie sługa; ono to się wie, i toć bieda cała, że nam innéj trzeba szukać rady.

Chwilkę milczeli.

— Ej! ej, panie, dodał Jermaszka ocierając oczy: po co to, z pozwoleniem, człowiek się marnie miota i rzuca na różne strony, szukając nie wiedzieć tam jakiego szczęścia po za sobą, kiedy ono przy nim rośnie, kiedy je sobie można wszędzie zamiesić, upiec i niém się nakarmić! Co tu ich do tego miasta wiąże, trzyma?... co tu jest lepszego?... czy ja wiem?

Ruszył ramionami.

— Gdyby pan powrócił na wieś—dodał po cichu—gdybyśmy wrócili, o! toby się dopiero jejmość ucieszyła!... a jakby nam tam było dobrze i spokojnie!

— A tuby tryumfowano, żem ze strachu przed nimi uciekł! rzekł kasztelan. A cóżbym ja robił w Wólce?

— Co? to, co robił dziad pański i ojciec... rzekł Jermaszka,—i byłoż im gorzéj niż panu?

Westchnął biedny i łzy potoczyły mu się po twarzy.

— Trzebaż to wiele człowiekowi do szczęścia! Jednego serca a trochę pracy, i dokołacze się do końca jako tako; bo czy tak, czy owak, umrzeć potrzeba zawsze.

— Gdybyś to pan chciał powrócić do domu!... dodał ciszéj raz jeszcze.

— Nie! rzekł kasztelan: mówić o tém daremnie; to być już nie może, już się raz poszło tą drogą, schodzić z niéj niepodobna. Potrzeba iść daléj!

— A no! to idźmy — westchnął Jermaszka — to idźmy! ale śmiało a ostro! i—z Bogiem!

Ostatnie to „z Bogiem,“ które dla prostego człowieka wyrażało wszystko, dla pana kasztelana było wcale niepojęte. W prostocie swéj, sługa przez to ,,z Bogiem“ rozumiał wszystko jasne i dobre na ziemi, cnotę, poczciwość, poszanowanie siebie, sumienie; w tém słowie zamykał wszystko, czego inaczéj wypowiedzieć i określićby nie potrafił. Bóg dla niego stał jako cel, jako najwyższa światłość, do któréj droga jasną też być musi, iść górą po nad ziemią, jéj celami drobnemi i troską maluczką!

Dla kasztelana, można rzec, nie było ani tego Boga, ani tych myśli, które ubogi ów człek uosabiał; było tylko jedno *ja*, stojące po nad wszystkiém: piramida ofiar, a na jéj wierzchołku on sam.

Rzucona myśl utkwiła jak strzała w piersi człowieka, któremu jéj dotąd ani młodość, ani późniejsze nie wszczepiło życie. Ale ostudzony wychowaniem, dumą oziębiony, nie przyjął jéj, wyrwał, odrzucił. Przywykł był wszystko widzieć po ludzku i znać tylko człowieka.

Wedle pana Adama, który od dzieciństwa widział w sobie jakąś uprzywilejowaną istotę, Opatrzność, jeżeli była jaka, winna się była nim opiekować, pieścić go, nosić na ręku, wybaczać mu wszystkie jego występki, wszystkie kroki fałszywe naprawiać, i głaskać go za to, że raczył żyć i czegoś od niéj zażądać. Nie czuł się obowiązanym do niczego, ale wymagał za to wiele. Sfałszowane pojęcia, ostygłe serce, nie dawały mu dostrzedz prawdziwych przeznaczeń człowieka; burzył się na to, co mu przeszkadzało, nie umiał za nic być wdzięcznym.

Bywa tak zawsze z tymi, których los na ręku ponosi i od kolebki upieści. Jermaszka widząc jak się p. Adam zadumał, pocałował go w rękę po cichu, łzy mu się potoczyły po twarzy.

— A! panie! panie! dodał: tu nic dobrego nas nie czeka... Idźmy ztąd, uciekajmy... Kawałek chleba czarnego nie gorzki gdy swój własny, a dach słomiany stanie za ich blachę. Na cóż nam więcéj?

— Ty nic nie rozumiesz! zawołał kasztelan.

— Ono to się nie rozumie, prawda... rzekł wzdychając Jermaszka; ale cóż daléj tu robić? czy głową mury przebijać?

— Tak — przerwał pan Adam — albo mur pęknąć musi, albo głowa!

I pięścią w stół uderzył.

— Idź spać i zostaw mnie samego.

Pozostawszy sam z sobą, kasztelan siadł i napisał długi i szeroki list do króla, wyspowiadał się ze swych losów i oddał się pod jego opiekę, a najpierwéj prosił o osobne posłuchanie.

Nazajutrz rano, pan Floryan przeciwko swemu zwyczajowi, po raz już drugi nie nadszedł; list został

wysłany, odpowiedź przybyła dopiero w wieczór przez pazia, oznajmiająca, że nazajutrz w rannéj godzinie przyjęty będzie przez króla pan kasztelan. Na tém posłuchaniu pan Adam wszystko budował, i przez dzień cały, przygotowując się do niego, z domu nie wychodził.

Nazajutrz po wieczorze u starościny, na którym Julia tak stanowczo w obronie swego wychowańca wystąpiła, bramy jéj domu były zamknięte, nie przyjmowała nikogo. Około południa zatoczyła się przed nie kareta, i choć służący przyniósł odpowiedź siedzącéj w niéj pani, wysłano go po raz drugi z przygotowanym bilecikiem na górę. Na kartce stały te słowa:

„Chère amie! Niezmiernie ważny interes zmusza mnie narzucić ci się koniecznie i prosić o chwilę rozmowy. Nie odmówisz jéj twojéj Krystynie."

Lubo teraz wielki wstręt czuła Julia do dawnéj swéj przyjaciołki, nie było sposobu jéj odmówić; musiała otworzyć drzwi, choć niezupełnie skończona toaleta w obawę ją wprawiała, aby potém o niéj zbyt niekorzystnych nie szerzyła wieści.

Krystyna weszła z rozpłomienioną twarzą, nie rzuciła się jéj w objęcia jak dawniéj, stanęła, obejrzała drzwi i zaczęła drżącym głosem:

— Julio! raz jeszcze pomówmy szczerze, może to raz ostatni... Stajesz obok mnie jako przyjaciołka, krewna, czy przeciwko mnie z nieprzyjacielem? mówi

— Cóż to jest? spytała kasztelanowa, zbliżając się do niéj powoli. Prawdziwie nie rozumiem cię.

— Ten człowiek—mówiła daléj Krystyna—ten potwór ślizki i zimny jak wąż, obie nas zdradził. Powinnyśmy podać sobie ręce, aby go zgubić; a ty, ty go bronisz przeciwko mnie, ty mu dodajesz siły i odwagi!

— Ja?

— Tak! wczoraj u starościny... coś zrobiła? Ocaliłaś go! Ty mnie wyzywasz!

— Krzysiu! odparła Julia spokojnie: wyzwanie nie od wczoraj istnieje. Ty wiesz, że go kocham i bronić jestem obowiązana... Nie wojnę ci wypowiadam, ale napastawana w nim, bronić się muszę i będę.

— Przeciwko mnie?

— Przeciwko tobie i wszystkim! przeciw światu, ludziom, bratu, ojcu memu, gdyby żył, przeciw losom!

— A! więc tak! krzyknęła Krystyna. Dobrze. Jasno więc położenie nasze określmy. Stajesz z nim przeciwko mnie Julio: to rozważ dobrze. Z rówieśnicy, krewnéj, przyjaciołki młodości, przechodzisz na wroga? pomyśl... i dla kogo!

— Nie mamże powodów? spytała Julia.

— Nie masz: on cię zdradził.

— Jam przebaczyła.

— Myślisz może, iż do ciebie powróci? ze śmiechem dzikim odparła Krystyna. On! to człowiek bez serca. Kupisz go sobie zapewne, ale w téj piersi nigdy nic bić nie będzie.

— Cóż kiedy w mojéj serce bije dla niego? szepnęła Julia.

— Moja droga—zapalając się coraz mocniéj wołała Krystyna—kocham cię, szacuję, zdumiewasz mnie,

ale cię przestrzegam: jestem niezbłagana. Jeżeli bijąc jego, uderzę ciebie, nie będę winna.

— Nie będzie to pierwszy cios... odparła Julia z uśmiechem.

— Nie lękasz się więc mnie? urągasz?

— Owszem, i lękam się, i żal mi ciebie, że sobie trujesz życie.

— Życie nigdy nie jest słodkie: leję w nie ukrop nienawiści, aby po niém jak po ciepłéj wodzie nie womi... krzyknęła Krystyna, rzucając się gwałtownie.

Julia zbliżyła się ku niéj, a widząc ją drżącą z gniewu, ujęła za rękę; z oczu jéj płynęły łzy ciche; przyklękła przed nią, objęła.

— Krzysiu — zawołała — droga moja! pamiętasz, myśmy razem dziećmi niewinnemi biegały w cieniu drzew na Latoszynie... myśmy usypiały ze spojonemi pocałunkiem ustami, myśmy z sobą były szczęśliwe... W imię tych lat świętych, anielskich... przebacz mu! przebacz mnie! Słuchaj, chcesz ofiary—oto ją masz... łatwą i uległą. Prześladuj mnie, zrób ze mną co ci się podoba, zabij—ja już życia nie cenię... ale jemu przebacz! przebacz! Jam wszystkich tych nieszczęść przyczyną! jam jedna winna!

— Widziałaś kiedy, żeby kobieta przebaczyła? odparła podnosząc ją Krystyna. Przyrzekała niejedna darować winę, ale nie darowała jéj żadna! I jabym ci przysiądz mogła i zdradzić przysięgę! Żółć poleje mi się ustami, bom jéj pełna, nie—nie mogę! Tyś heroina—to pięknie; ale jam pospolita, dzika istota, jam barbarzyniec co przebaczyć nie umie, ja nie chcę, ja nie mogę zapomnieć!

— Jestżeś chrześcianką? wszak Chrystus przebaczył!

— O! jam tylko zła kobieta! nic więcéj; nie potrafię być inną!—zawołała Krystyna—to darmo! Nie przekonasz mnie, ani zwyciężysz!

Julia wstawszy odstąpiła na parę kroków z dumą chłodną.

— A więc? spytała.

— Więc chcesz wojny?

— Nie żądam jéj, ale ją przyjmuję. Mylisz się Krystyno, sądząc się wszechwładną; mylisz się wierząc, że rodzina twoja może co tylko zechce. Znajdą się i w niéj tacy, których tak można kupić jak drugich. Macie nieprzyjaciół, macie zazdrosnych: wojna każda jest niebezpieczną.

— Ja wiem co czynię, odparła Krystyna: możecie przedłużyć walkę moją z nim, ale ja zwyciężę. Zgniotę was... i kto mi stanie na drodze, biada mu!

— Tak! to znaczy mnie!

— Choćby tobie—nikogo nie oszczędzę!.

— Siadajże Krzysiu, rzekła Julia powoli i zimno; masz chwilę czasu?

— Cały dzień, jeśli chcesz! Dni, noce poświęciłam zemście, nią żyję, o niczém inném nie myślę.

— Może potrafię, jeśli nie zmienić twych przekonań, to związać ci ręce: posłuchaj.

— O! słucham cierpliwie!

To mówiąc, porwała Krystyna wodę stojącą na stole i szklankę jéj wypiła duszkiem; potém rzuciła się na sofę i dumnie spojrzała na przeciwniczkę.

— No, mów! zawołała.

— Jeśli jest kto winny, to ja... tylko ja—odpowiedziała Julia. Chcesz zemsty, mścijże się na mnie jako jedynym winowajcy. Wszystkiego złego jam przyczyną i moja miłość dla niego.

— Dawno o tém wiedziałam, to nic nie zmienia.

— Bardzo wiele... Pamiętasz Krzysiu młodość naszą?

— Dzieciństwo! ja nie chcę jéj pamiętać.

— Wolisz więc dzieje późniejsze? spytała Julia.

Krystyna mimowolnie zarumieniona spuściła oczy.

— Pamiętaj, że jak ty mścisz się na nim, Bóg może mścić się na tobie: tyżeś bez grzechu?

— Cha! cha! a ty? spytała Krystyna.

— O! ja się przyznaję i czuję cały ciężar win moich.

— Faryzejko! szepnęła Krystyna ruszając ramionami: mów coś mi mówić miała, słucham.

— To ja—dodała Julia — ja, widząc jak dręczysz tego człowieka, jak upokarzasz, za oręż do obrony dałam mu twoją przeszłość. Jam szukała dowodów przeciwko tobie, jam je znalazła i kupiła, jam mu nastręczyła.

Krystyna spojrzała na nią oczyma rozpłomienionemi.

— Dalej! rzekła.

— Dowody są w moich ręku! dokończyła Julia.

— A! to dobrze wiedzieć! Cóż chcesz za nie? spytała Krystyna.

— Spokoju dla niego. Dopóki on będzie spokojny, ja będę milczała; przysięgam ci, że je zniszczę, jeżeli...

— Mnie już o siebie teraz nie chodzi! zawołała Krystyna; pociągniéj mnie choćby pod pręgierz, bylebym się pomściła. Rodzina moja wyrwie mnie nawet z pod pręgierza.

— Ale nie z pod sądu świata.

— Cóż mi ten sąd! On wyrok wydał od dawna, a każdy rok ścierał z niego literę. Cóż dziś pozostało? zamazana karta—posypana złotym piaskiem.

Krystyna może z gniewu, może ze złości zapłakała, a otarłszy łzy, pomyślała chwilę.

— Znasz moją historyę—rzekła—tak jak ją znają ludzie, co mnie potępili, ale nie jak ja ją znam... Chcesz? wiedzieć będziesz prawdę całą; nie utaję grzechu, osądzisz czym była taką zbrodniarką, za jaką mnie osądzono. Powiem ci wszystko, uczynisz potém co ci się podoba.

Julia milczała. Krystyna wziąwszy to za zgodę, rozpoczęła opowiadanie powoli. Była to jakby spowiedź przed sobą samą, przerywana łzami. Nie patrzała prawie na przyjaciołkę, mówiła z przeszłością. Twarz jéj zmieniona, z gniewnéj stała się smutną, łagodną i prawie litość obudzającą.

— Znałaś mnie, Julio, dziecięciem jeszcze, szczęśliwém, rozpieszczoném u boku matki, pod jéj skrzydłami opiekuńczemi. Potém rozstałyśmy się i ledwie rzadko widywały się z daleka; słyszałaś o mnie tyle i to co drudzy, kochałyśmy się jak się kochają ci, co się nienawidzieć nie mogą, nie zaglądając do głębi serc swoich, zgadując je. Któż wie, czy ty mnie kiedy znałaś dobrze, czy ja ciebie znałam?.. Kto wie, czy nie fałszywe świat o mnie dał ci pojęcie? Przekonasz się o tém, gdy ci to biedne życie moje opowiem.

A powiem ci wszystko, bez kłamstwa, bez opuszczeń, jak ta, co już nic do stracenia nie ma, a nie wiele dba czy co zyska.

Po świecie pletli o mnie—dodała ruszając ramionami—co się im podobało, jakieś bajki niedorzeczne, jak o strachach niańki prawią. Wiele w nich było prawdy może, ale więcéj jeszcze złośliwości i fałszu, narzuconego przez próżniaczą fantazyę ludzką, która czasem szuka złego, jak pewne robactwo zgnilizny, i tworzy je umyślnie, gdy go znaleźć nie może.

Ludzie już dziś zapomnieli o tém wszystkiém, ale w mém sercu żyje przeszłość i stoi ciągle przytomna,

bo w niéj jest całe życie moje. Reszta, to... to zemsta, to zabawka, to igraszka zmęczonego serca i rozdrażnionéj duszy.

Ty wiesz jak mnie kochała matka, czém ona była dla ludzi, czém dla mnie; ty jéj jak ja nie pamiętasz, a może też ją inaczéj ci odmalowano niż była. Matka moja był to anioł w ludzkiém ciele, dziecię pańskiego domu, które nigdy nie zaznało nieszczęścia, świata nie pojmowało innego nad ten, który widziało przez okna salonu, wykołysane szczęściem, dobre i słodkie jak ono. Pieszczoty i pomyślność zrobiły z niéj anioła. Piękna idealnie, nie miała czasu zestarzeć ani sercem, ani ciałem, zeszła do grobu z westchnieniem, ze łzą, z błogosławieństwem na ustach.

Gdyby ona była żyła!... a! i ja może stałabym się była do niéj podobna, inne byłoby życie moje, inna dola, inne serce urosłoby we mnie.

Po jéj zawczesnéj śmierci pozostał mi ojciec tylko, którego ty także niewiele pamiętać musisz. Senator wysoki Rzeczypospolitéj, człowiek dobry i zacny, ale słaby, więcéj kosmopolita niż Polak, trochę Sas przez przywiązanie do Augustów i nasze z ich rodziną stosunki: postać, która mi się dziś jeszcze przypomina w paradnym stroju, z orderem na piersiach, upudrowana, ufryzowana, uśmiechnięta, a pańska. Ile razy mnie ściskał, choć po śmierci matki biorąc mnie na kolana, nieraz miał łzy na oczach, zdawał się mimo nich pamiętać nadewszystko, aby pieszczotami zbyt żywemi nie nadwerężyć fryzury i nie zmiąć ubrania.

Ludzie go szanowali, był łagodny, ale powagi wielkiéj, od losu nieco zepsuty, przywykły do szczęścia i przekonany, że Pan Bóg dając dostatki i znaczenie,

wypłacił mu tylko część należnego z powodu urodzenia długu.

W rok po śmierci mojéj matki, którą serdecznie opłakiwał, przyjaciele i rodzina, jakem się późniéj dowiedziała, z powodu iż nie miał syna i dziedzica imienia, namówili go na drugie małżeństwo. Zaledwie wyrastając z dziecka, nie wiedziałam wcale o tém co się koło mnie działo, prawie do chwili, aż gdy panny służące szczebiocząc i płacząc na przemiany, ubrały mnie w białą sukienkę, zawinęły loczki i niebieską włożyły przepaskę... Wszyscy znajdowali mnie prześliczną, ale ja byłam gniewna i smutna przeczuciami jakiemiś.

Przyprowadził mnie sam ojciec do wielkiéj sali, i postawił drżącą przed kobietą otoczoną kołem mnóztwa wystrojonych gości i rodziny naszéj. Kazano mi ją uścisnąć i nazywać mamą. Ona rzuciła się do mnie dosyć żywo, ale brylantowa śpilka, którą miała u piersi, mocno dosyć zadrasnęła mi czoło. Pierwszy jéj uścisk był dla mnie bolesną raną.

Była to moja macocha.

Nie wystawiaj jéj sobie tylko tak, jak ją pospolicie lud nasz pojmuje i maluje. Tyś ją też podobno widywała, ale późniéj, gdy już nie była tak piękna i szczęśliwa jak w tym dniu. Mimo pieszczot nieznajoméj, mimo najczulszych wyrazów, poczułam do niéj nieopisany jakiś wstręt i odrazę, za to szczególniéj, że śmiała chcieć nazywać się matką moją i tego drogiego anioła zastępować.

Nigdy nie zapomnę, jak mnie od pierwszego wejrzenia uderzyła jéj piękność surowa, zimna, ostre rysy, płomieniste oczy i zaciśnięte wargi wązkie. Po-

między brwiami zarysowanemi jak penzlem chińskiego artysty, za najmniejszém wzruszeniem rysowały się dwie przecinające czoło prostopadłe marszczki, dwie fałdy, dziwnie wyglądające na téj białéj i jak marmur gładkiéj przestrzeni. Była w istocie bardzo piękna, majestatyczna, wzrostu więcéj niż średniego, ale już wówczas nie pierwszéj młodości. Zdaje mi się, że idąc za mojego ojca, mogła mieć więcéj niż lat trzydzieści. Puszek dziewiczy na jéj twarzy zastąpił meszek ciemny, nadający jéj wyraz prawie męzki. Olbrzymich kształtów, budowy posągowéj, ruchów powolnych i obrachowanych, macocha moja mogła się podobać, ale nie umiała do siebie przywiązać. Coś od niéj odpychało, odstręczało, wiał chłód jakiś, choć pod temi lody i śniegami gorzała skryta, długiemi marzeniami wykołysana namiętność. Umysłu mało wykształconego, z głową pustą, charakter miała zacięty, upór nieprzełamany. Gdy się rozgniewała, nie czerwieniała jéj twarz, ale przeraźliwie bladła.

Tego dnia cała była okryta klejnotami, i zabłysła mi wpośród rzęsistych świateł, obok mojego biednego ojca, patrzącego na nią z uwielbieniem i strachem zarazem, jakby zlana rosą dyamentów. W dyademie, naszyjniku, kolcach, bransoletach brylantowych, w sukni oszytéj sznurami dyamentowemi, wyglądała jak jakie bóztwo indyjskie. Prześliczne kształty jéj popiersia i rąk, wysoka szyja utoczona, biała, postawa monarchiczna, czyniły ją majestatyczną. Ledwie mnie ze swych objęć wypuściła, odskoczyłam od niéj z krwawą plamką na czole, przerażona, czując, że mnie żadnemi pieszczotami nie zyszcze.

Odtąd była ona dla mnie dobrą, ale zimną; wy-

chowywała starannie, ale wcale nie serdecznie; byłam dla niéj dzieckiem krewnych, sierotą biedną, nic więcéj.

Dwa te lata, które z nią żył mój ojciec, zostawiły mi po sobie wspomnienie męczarni, niedającéj się opisać.

Nie było w istocie na co się poskarżyć, ale dla serca brakło wszystkiego czém ono żyje. Musiałam płakać, a z łez tych wytłómaczyć mi się nie było podobna; męczyłam się choć miałam wszystko com mieć była powinna, ale brakło miłości—usychałam.

Ojciec po tych dwóch latach pożycia z nią, zapadł mocno na zdrowiu, jakby jéj uścisk i jemu także zadał ranę śmiertelną. Posłano go do wód za granicę. Miałam rok piętnasty, gdy mi po nim kazano przywdziać żałobę.

Płakałam jeszcze mocniéj, przeczuwszy zupełne moje osierocenie. Byłam w istocie tém bardziéj osierocona, że babka, która mnie od dawna do siebie wziąć chciała, prawie w tymże czasie zmarła; a ciotka, u któréj mogłam się umieścić, wyjechała do Włoch bezpowrotnie i poszła tam za mąż za jakiegoś księcia włoskiego. Bliższéj rodziny nie miałam nad macochę, która będąc cioteczną siostrą mojéj matki, była dla mnie teraz naturalną opiekunką.

Zostałam więc przy niéj, z czego ona może była rada, bo ze mną został jéj dochód znaczny przez moich opiekunów na wychowanie i utrzymanie przeznaczony.

Nie kochałam jéj już za życia ojca; poczęłam nienawidzieć po jego śmierci. Sądzę, że ona także z lichwą mi to oddawała. Ale nigdy ta zobopólna niechęć nasza na jaw nie wychodziła: okrywał ją chłód przy-

zwoitości jak warstwa lodu. Stosunek mój do macochy był zimny, krył odrazę wzajemną, o którćj wiedziałyśmy obie, aleśmy jćj nie objawiały, i owszem macocha przy obcych udawała dla mnie nadzwyczajną troskliwość, prawie miłość, a gdy nie było świadków, obchodziła się ze mną surowo i ostro. Zostawszy sam na sam, nigdy nie mówiłyśmy do siebie: ona mi dawała rozkazy przez trzecich; jam się cieszyła, ile razy mogłam ich nie spełnić. Formy świata nie dawały na zewnątrz wybuchnąć nienawiści, która się codziennie wzmagała.

Macocha była zimna, zamknięta, traktowała mnie dorosłą umyślnie zawsze jak dziecko; ja unikałam jćj, nie sprzeciwiałam się wręcz, ale czekałam jak oswobodzenia z niewoli chwili, którąby mnie od tćj kobiety uwolniła na zawsze.

Zostawiona sama sobie z nauczycielką Francuzką, pędziłam długie godziny na czytaniu, na marzeniach, niecierpliwieniu się na mój los nieznośny. Siedziałyśmy po większćj części na wsi, w rezydencyi dziedzicznćj mojćj macochy; a ja choć bogata panna, w istocie wyglądałam tu jakby wychowanka i rezydentka na łasce. Macocha, starzejąc, stała się gospodarną do zbytku, skąpą i chciwą; szczędziła sobie i mnie wygód i najpierwszych potrzeb, aby z czasu mojćj małoletniości korzystać majątkowo. Mówiono głośno, że znaczne dochody moje szły do jćj kieszeni, choć koło mnie było ubogo, prawie biednie, a nieraz dawały mi się słyszeć żale na utrapienie, jakie ze mną miała, na mój charakter zimny i skryty, na upór nieprzełamany i t. p.

Doszłam tak do lat szesnastu, byłam piękna i świeża, a to może obudziło ku mnie większą jeszcze nie-

nawiść kobiety, która czuła, że jéj wdzięki więdły, gdy moje codzień rozkwitały. Nie mówię już nawet o tém, że mnie ubierano umyślnie tak, abym się nie wydała czém byłam, że mnie chowano i ukrywano przed ludźmi. Na zimę pojechałyśmy do Warszawy, ale mnie pod pozorem dokończenia wychowania oddano jeszcze z domu do PP. Wizytek i zamknięto za kraty. Nie wiedziałam co się działo na świecie.

Jednego poranku, kareta macochy zajechała przed fórtę; wywołano mnie ze niéj do sali; oświadczyła mi, że wyjeżdża na wieś i mnie z sobą zabierze, jeśli nie czuję powołania dłużéj za kratami pozostać... Do tego wcale nie miałam ochoty, klasztor wydawał mi się niewolą.

— Ale wiesz już zapewne moja Krzysiu — dodała z uśmiechem—że musiałam pójść za mąż.

O tém nie wiedziałam wcale, ale na tę wiadomość jakiś mnie dziwny gniew ogarnął: poczułam krzywdę pamięci ojca wyrządzoną, spuściłam oczy, nie odpowiedziałam nic. Tegoż wieczoru poznałam męża mojéj macochy... Był to znacznie młodszy od niéj człowiek, wychowany za granicą, ubogi, widocznie ożeniony z nią przez rodzinę dla pieniędzy, dla majątku.

Mimo uprzedzenia, jakie miałam przeciwko niemu, pomimo gniewu, jaki na widok jego uczułam, od pierwszego wieczoru człowiek ten mnie oczarował.

Nie chcę nic taić przed tobą... Tak! był to jedyny mężczyzna, któregom ukochała namiętnie, może niegodny téj miłości, ale przeznaczony, aby całe moje życie pochłonął... Były chwile, gdym się nim brzydziła, żem go nienawidziła; ale głos jego, ruch każdy, wejrzenie czyniły mnie niewolnicą posłuszną. Odchodziłam od pamięci, gdy na mnie spojrzał; słabłam, gdy

mnie ujął za rękę. Gniewałam się na te czary, alem ulegać im musiała. Słusznego wzrostu, oczu ciemnych, miał wiele podobieństwa do Adama, ale był nadeń daleko wyższą ze wszystkich względów, doskonalszą nierównie choć podobną mu istotą. Ten nigdy nie miał serca, tamten był żyw, miał chwile namiętności, kochał.

Pierwszego wieczoru, gdym weszła do salonu z gniewem w piersi, gotowa do walki, uśmiech, którym mnie powitał, wejrzenie, które rzucił na mnie, podbiły serce mimo oporu. Jeszczem chciała nienawidzić, a jużem go kochała.

Jużem ci mówiła, że był ubogi, a młodszy daleko od méj macochy, z którą ożenił się dla jéj pieniędzy. Niewiele go to zalecało, ale nie dziwiłam się, że ta kobieta skąpa, chciwa, zimna, pokochała go i poddała mu się, bo nie można mu było się oprzeć. Miał urok fatalny rzeczy zgubnych, których przeznaczeniem jest na podobieństwo owych oczu wężowych najprzód oczarować, aby pochłonąć.

Od naszéj podróży na wieś rozpoczął się ten straszny dramat. W drodze już Albert zbliżył się do mnie... do mnie, com jeszcze była na pół dziecięciem, dla któréj świat był zagadką, a miłość tajemnicą uroczą, upragnioną: obudzić ją naówczas w sercu wyschłém od pragnień było tak łatwo! Macocha była zazdrosna, ale nie mogła się nawet domyślać jakiegokolwiek między nim a mną stosunku. Zręczny i przewrotny Albert, przed nią i przy niéj obchodził się ze mną jak z dzieckiem, często nawet trochę ostro; czuléj zbliżał się do mnie po cichu, w chwilach, gdy ona ani tego przypuszczać, ani go o to posądzać mogła.

Rozpoczęło się to z jego strony od grzeczności

i małych przysług; ale oczy więcéj mówiły niż usta, a nierychło nieme te wyznania zmieniły się na słowa, na westchnienia, na wyraźne oświadczenia miłości. Długo milczał, bał się, wahał, bojował. Położenie jego było ciężkie, ale namiętność silna; świeżo ożeniony, wzdrygał się zostać uwodzicielem dziecka powierzonego ich opiece. Na to zdobyć się mógł tylko zimno zepsuty lub szalenie rozkochany człowiek. Takim on był. Nie kochał dotąd nigdy; dwa serca nasze spragnione tego uczucia, rzuciły się ku sobie gwałtownie, nic nas powstrzymać nie mogło. Ale potrzeba było nadzwyczajnych ostrożności, ażeby nikt w świecie posądzić nas nawet nie mógł. Często tygodniami całemi słowaśmy do siebie nie potrafili przemówić, oboje otoczeni mnóztwem szpiegów, wiedząc, że najlżejsze posądzenie wywołać mogło straszliwą katastrofę.

Nie—tych dni pierwszych życia nie potrafię i nie chcę opisywać... Mimo wiszącego nad moją głową miecza Damoklesa, byłam szczęśliwa... Szczęście nasze ożywiały, może czyniły droższém jeszcze nieustanny postrach, przerażenie, tajone łzy, niepokój uśmiechem pokrywany, kłamstwem, naostatek walka z sobą i z sumieniem, którego głos głuszyła namiętność niepamiętna jutra.

W tym szale dojrzałam. Tak mi upłynął rok. Miłość naszą doskonale tajoną, pokrywaliśmy nieustannemi sporami, które się kazały domyślać prawie nienawiści. Rosła ona codzień... Ale każdy dzień odkradziony zbliżał nas do wrot piekielnych, które najmniejszy wypadek mógł otworzyć, i przepaść czuliśmy pod stopami... Żadna chwila nie była pewna, każda zdawała się zbliżać nieuniknioną katastrofę... Rozstając się na godzinę, potrzeba było żegnać się na zawsze.

Macocha była blizka słabości. Stan jéj zdrowia w wieku, w którym spóźnione macierzyństwo bywa niebezpieczne, obudzał wielkie obawy; zalecano jéj spokój, odosobnienie, byliśmy trochę swobodniejsi niż dawniéj. Ciężko mi to wyznać, ale i ja i on może rachowaliśmy na tę chorobę, na niebezpieczeństwo, na śmierć jéj, czując, że ona tylko może nam szczęśliwą zapewnić przyszłość.

Widzisz, przyznaję ci się szczerze nawet do myśli zbrodniczéj, do niegodziwych nadziei, których trumna była podstawą. Nie tłómaczę się, nie oczyszczam... obwiniam się sama, — ale słuchaj daléj.

Macocha nad wszelkie spodziewanie przebyła to szczęśliwie. Zaraz po narodzeniu syna i ozdrowieniu matki, wyruszyliśmy do Warszawy. Stan jéj wymagał jeszcze pewnych ostrożności, podróż odbywaliśmy powoli, stawaliśmy po dniu i więcéj w różnych miejscach dla wypoczynku. Albert był smutny, chmurny, namiętny, widocznie ukrywał coś w sobie.

— To życie—powiedział mi na noclegu, gdyśmy się jakoś potrafili wyrwać na przechadzkę—codzień staje mi się nieznośniejszém; nie widzę przed sobą nic... Muszę zerwać ten łańcuch, choćbym go swoją lub cudzą krwią miał oblać. Ta kobieta dusi mnie swoją czułością, nęka zazdrością i przywiązaniem. Krzysiu— uciekajmy oboje.

— Ja? dokąd? o czém? spytałam.

— Ty pytasz! zawołał—i to jest miłość? Jak? pieszo; dokąd? gdzie oczy poniosą; z czém? z dwojgiem serc i rąk, byle razem, byle raz być na swobodzie. Uciekajmy!

— Ale cóż świat, co ludzie powiedzą? rzekłam zlękniona.

— Co mi świat! na co mi ludzie? Ja nie wiem, czy jest świat i czy znam ludzi! Jeżeli nie uciekniemy, czuję, że się mogę czegoś straszliwego dopuścić!

Targał włosy na głowie, rzucał się w gniewie i szale.

Ledwie go jakoś potrafiłam uspokoić, sama już niepomnę jakiemi obietnicami na przyszłość. Wrócił jednak do gospody z głową spuszczoną, przybity, zrozpaczony, z zaciśniętemi usty. Z przestrachem patrzałam nań przeczuwając coś okropnego, próżno starając się na nim wymódz choć trochę cierpliwości.

Bliższa była katastrofa niż sądziłam.

Macocha nie dając tego poznać po sobie, podejrzewała już nas oboje od dni kilku: nie wiem kiedy pierwszy raz schwytała wejrzenie i uśmiech, co ją nagle oświecił o naszych stosunkach. Nic nie wiedząc, domyśliła się wszystkiego.

Mimo najtroskliwszych zabiegów, nie potrafiliśmy się tak ukryć, aby nas ludzie nie wyszpiegowali, ale dotąd milczeli. Często oboje szydziliśmy już z niebezpieczeństwa, owładnieni szałem, który zaślepia.

Po wyjściu na tę przechadzkę, które było może umyślnie dozwolone podstępnie, macocha wzięła do siebie starą sługę i silnie na nią natarła o odkrycie całéj prawdy, któréj się tylko domyślała, zapewniając ją, że wie o wszystkiém. W czasie niebytności naszéj wyznała ona i opowiedziała co tylko wiedziała, a mogła wiedzieć wiele, bośmy się w ostatku i źle i mało taili. Albert nieraz wychodził odemnie po północy, nieraz późno i rano znajdowano mnie u niego; tłómaczyliśmy to niezgrabnie, lub nie wymawialiśmy się wcale.

Gdyśmy weszli prawie jednocześnie do izby gościn-

néj, w któréj przy oknie siedziała macocha, i ja i on poznaliśmy po jéj twarzy straszliwy na nas wydany wyrok. Ujrzeliśmy ją bladą, z oczyma od płaczu czerwonemi, ale już oschłemi z łez, ręce jéj drżały... Bojąc się wydać zapewne, słowa jednego nie rzekła, zmuszała się do obojętności, do udawania spokoju. Wieczór upłynął w téj obawie nieusprawiedliwionéj: spodziewaliśmy się co chwila wybuchu, nie odezwała się wszakże; mówiliśmy o rzeczach obojętnych, macocha ciągle prawie była milcząca. Milczenie to jednak czuliśmy oboje jak straszną groźbę; wiedzieliśmy, że ta kobieta przebaczyć nie potrafi, że w ciszy knuje coś okropnego.

Izdebka, którą mi przeznaczono, przedzielała dwie inne: jedną zajętą przez macochę z dzieckiem, drugą przez Alberta. Zgasiłam wcześnie światło u siebie, i nie chcąc być słyszaną, poczęłam boso po pokoiku przechadzać się, myśleć i płakać.

Był to widocznie ostatni dzień naszego szczęścia; nie wiedząc co nas czeka, czułam grożące niebezpieczeństwo blizkie.

Z obu stron było cicho, ale przez szczeliny ścian karczemnych padały smugi światła do izdebki. Mimowolnie prawie przyłożyłam oko do jednéj z nich, szukając jego, chcąc go zobaczyć, odgadnąć jego myśli, bom i jego rozpaczy się obawiała.

Było już po północy. Albert chodził jeszcze, gryzł palce, targał włosy, brew miał najeżoną, był straszny... Z drugiéj strony, przez źle zamknięte drzwi ujrzałam macochę nad kolebką, tak straszną ze ściągnionemi brwiami, podpartą na ręce, z wyrazem takiéj rozpaczy, że mi się zdała Medeą gotową zamordować swe dziecię. Po niejakim czasie wstała, westchnęła i poszła do

szkatułki podróżnéj, szukając w niéj czegoś żywo,— żywo przerzucając wszystko... Z pod spodu dobyła pudełeczko, z niego flaszeczkę z jakimś płynem, i pochwyciła ją gwałtownie, wlepiając w nią oczy, aby dojrzeć przeciwko światła, czy się w niéj co znajduje. Tknęło mnie coś, że się chce otruć; patrzałam milcząca, osłupiała; ale nie znałam téj kobiety... Flaszeczkę wrzuciła za gors, uspokoiła się nieco, zaczęła pisać, zajrzała do kołyski, i nadedniem położyła się spać. Świeca zagasła... milczenie złowrogie.

Z drugiéj strony chodził jeszcze Albert, szamocząc się ze zgryzotą, z obawą. Znał on dobrze żonę i wiedział co gniewne jéj łzy obiecywać mogły; ten, na którego płakała, nie mógł się spodziewać przebaczenia.

Po chwili Albert porwał się jakby myślą i postanowieniem jakiémś stanowczém ukojony, uderzył się w piersi i rzucił pół nieżywy, nie rozbierając na łoże. Pilnując go oczyma, dotrwałam do białego dnia, zmęczona, osłabła czuwaniem i cierpieniem. Zsunęłam się aż na podłogę, i tak na jakiéjś skrzyni żydowskiéj zdrzemnęłam nareszcie.

Gdy mnie służące zbudziły, był już wielki dzień. Jasność jego otrzeźwiła mnie nieco; zaczęłam się ubierać, wstydząc się niemal moich gorączkowych strachów nocnych, śpieszyłam, bo mieliśmy wyjeżdżać zaraz.

Ale zaledwie mnie samą z sobą zostawiono, pobiegłam znowu do drzwi Alberta; przez szparę postrzegłam go, chodził blady po izbie i myślał.

Na stole w jego pokoju przygotowano ranną kawę dla nich obojga, na którą macocha natychmiast przyjść miała... Albert przechadzał się około stołu z dzikiém jakiémś wejrzeniem: stawał, wahał się, oglądał, nareszcie ujrzałam z podziwem i przerażeniem, jak do

jednéj z filiżanek wsypał coś szybko z papieru, który dobył z pugilaresu, i żywo odskoczył do okna. W tejże chwili drzwi zaskrzypiały, i macocha weszła blada, milcząca, uskarżając się na ból głowy, pochodzący z bezsenności.

Usiadła prędko przed tą właśnie filiżanką, do któréj Albert coś był wsypał, spojrzała na męża i wysłała go do sieni, aby przyśpieszył wyjazd. Wybiegł on raczéj niż wyszedł, oglądając się po za siebie oszalały. Widziałam po nim, że go coś nazad ciągnęło, że był przerażony zbrodnią swoją, ale już cofnąć jéj nie mógł. Rzuciłam się co żywo do pokoju; ale w chwili gdym wybiedz miała, spojrzałam jeszcze przez szparę, i zobaczyłam macochę, która z pośpiechem do drugiéj filiżanki nalała coś z flaszeczki dobytéj z za gorsu. Struchlałam przerażona; nie było chwili do stracenia.

Udając śmiech i wesołość dziwną, wbiegłam jak szalona do pokoju, gdzie przygotowana była kawa, którą już macocha brała do ręki, i dosyć zręcznie jak na taką chwilę tragiczną, ściągnęłam serwetę, wywróciłam filiżanki, obaliłam stolik... Wszystko porozlewane stoczyło się na ziemię.

Macocha powstała na mnie z wielkim z razu gniewem i zapalczywością; ale gdym ją zmierzyła oczyma, w których wyczytała, że wiem wszystko, pobladła, zaczęła drżeć i zamilkła.

Przez otwarte w téj chwili drzwi wpadły dwa ulubione psy Alberta, i rzuciły się na porozlewane szczątki śniadania, od których napróżno starałam się je odpędzić...

W chwilę późniéj skonały oba w straszliwych konwulsyach...

Byłam tak drżąca, przejęta, obłąkana, że ani wiem

już co się późniéj stało; czułam tylko silne ściśnięcie dłoni Alberta, gdy mnie wsadzał do powozu, i odepchnęłam rękę jego z oburzeniem.

Dwa psy wydały tajemnicę śniadania, któraby może ukryła się była przed dworem, gdyby nie mdłości, choroba i łzy macochy. Dojechaliśmy do Warszawy w ponurém milczeniu. Na trzeci dzień potém, po krótkiéj słabości, macocha zmarła; konając odepchnęła mnie, a pomieszane wspomnienia zgryzot własnych i wypadków, z ust jéj dobyły słowa, które na mnie niewinną rzuciły podejrzenie o truciznę. Co gorsza, w ostatnim liście, który czując się już chorą, zaraz po przybyciu skreśliła ręką drżącą, obwiniała *mnie*, przez zemstę, o zamiar otrucia jéj... prawie o dokonanie téj zbrodni!

Byłam naostatek w położeniu tém przykrzejszém, że ukrywać się musiałam, aby dać życie dziecięciu, które ledwie godzin kilka przepłakało na świecie... Obwiniono mnie także o odebranie mu życia umyślne, kładąc wszystko na te barki złamane.

Wszystko to staraniem możnéj rodziny zatarte zostało. Alberta widzieć nie chciałam więcéj; oddalił się natychmiast na zawsze. Jam została przy rozkwicie życia jak kwiat wyschły na łodydze, sama, zbezczeszczona, odarta ze złudzeń, przelękła, w rozpaczy... Wydano mnie za mąż jak chciano; nic mnie już nie obchodziło, bo nie wierzyłam w nic na świecie.

Oto masz—dodała Krystyna—wierną spowiedź z mojéj przeszłości... Mogliście dostać list, lub kopię listu macochy. Prawdopodobieństwa wszelkie są przeciwko mnie, ale zaklinam się na tego Chrystusa, w którego ty wierzysz, żem niewinna... Winą jedyną, winą

moją jak twoją była miłość wielka, szalona, niepohamowana, którą noszę w sercu jak żałobę.

Tak jest, nie taję nic, byłam występna... Ten człowiek uniósł z sobą resztę moich nadziei; zostałam trupem... Sądź mnie i rzuć kamieniem jeśli chcesz... wiele ich już wytrzymały te piersi rozbite...

Ujrzawszy Adama, który mi przypomniał Alberta, nie pokochałam go jak ty, alem chciała tym cieniem przeszłości rozbudzić zgryzotę, wspomnienia i choćby boleść dawną, byle z nią życie dawniejsze; alem się boleśnie zawiodła tylko: przeszłość nie powraca... Trafiłam na istotę bez serca, bez uczucia i bez sumienia. Nie mamże się pomścić? O! nie znasz serca ludzkiego: pierwsza miłość jak pierwszy ból przebacza może; ostatnia, nigdy! Po za nią nie ma już nic! nic!

Obie przyjaciołki długo po tém wyznaniu milczały.

— Nie, kochana Krzysiu, odezwała się po chwili Julia: ja ciebie jeszcze nie pojmuję, tak jak nie pojmuję nigdy rozkoszy zemsty... Zemsta to dowód siły, którą pogardzono i zaparto, to dowód miłości i żalu po tém, co ją wywołuje... Ty go ani kochasz, ani żałujesz, i cóż ci ona przyniesie? na co ci się ona zdała? czy cię ona uspokoi?

— Nie, ale wzdrygam się myśląc o tym człowieku; chciałabym tę potworę usunąć z oblicza ziemi... upokorzyć go... On śmiał chcieć mnie zwyciężyć! mnie!

Julia uśmiechnęła się.

— Droga moja—rzekła—spytaj lepiéj serca twego; ono samo nie wie czego pragnie, chcąc zemsty.

— Jak to! zdradę, podejście, niewdzięczność miałabym mu darować? Nigdy! nigdy!

Julia nic nie odpowiedziała, twarz jéj oblała się

krwią, usta ścięły, stanęła naprzeciw dawnéj przyjaciołki i odezwała się powoli:

— Tak... winnam ci spowiedź za spowiedź, jeszcze raz. Adam nie przewinił przeciwko tobie: ja, ja tylko! Mścijże się na mnie. Tych dowodów ja mu dostarczyłam... Jeżeli cię ma nasycić czyje nieszczęście, masz gotową ofiarę, która ci się opierać nie będzie, bylebyś go nie prześladowała.

Krystyna spojrzała i rozśmiała się szydersko.

— Wiem to wszystko od dawna, rzekła; nie było to dla mnie na chwilę tajemnicą. Ale ty odpłaciłaś mi tylko cios tobie zadany: nie mogę się mścić na tobie; na nim—muszę.

— Nie! odparła Julia — mścić się na silnym, to jeszcze rozumiem, ale na słabym? On co się nie potrafi oprzeć! chceszże gnieść robaka?

— Zgniotę choćby był tylko robakiem... Ani słowa więcéj o tém... Jesteś ze mną czy przeciwko mnie?

— Jestem zawsze z nim, z nim zostanę, choćby przeciwko całemu światu. Idźmy każda swoją drogą, ty zemsty, ja obrony: zobaczymy po czyjéj stronie będzie Bóg.

— Bóg! rozśmiała się z dzikim wyrazem Krzysia, obwijając się szalem i zabierając do wyjścia — Bóg!

W tym jednym wyrazie, powtórzonym kilka razy z niewysłowioném szyderstwem, był cały ów wiek... Dreszcz przejmował słysząc, jak go wymawiały usta kobiety, istoty wdzięcznéj, młodéj, któréj serce bić jeszcze mogło do Nieba i niebiańskich myśli.

Julia cofnęła się, zbladła. Występna, znękana, wychowana w obojętności, była jeszcze do tyla kobietą, że czuła Boga nad sobą; przeraził ją ten uśmiech dziki, który towarzyszył wymówionemu słowu.

— Jakichże środków myślicie użyć przeciwko mnie? zapytała Krystyna.

— Wszystkich, jakie się nam ku obronie nastręczą.

Krzysia ruszyła ramionami.

— Nie opuścisz go? spytała raz jeszcze.

— Nigdy!

— Chcesz z nim ginąć?

— Byle z nim razem.

Krystyna była już na progu, gdy Julia jeszcze się ku niéj rzuciła z błaganiem.

— Krzysiu, na Boga! na litość! na przyjaźń! rzuć te myśli zgubne! odepchniéj to uczucie! przebacz! Ja mu zamknę usta... on się oddali...

— Tyś wyrzekła swoje: nigdy,—i ja powtarzam ci moje: nigdy! Obieśmy kobiety! Bądź zdrowa.

I wyszła.

Od strony Wisły przed pokojami królewskiemi był balkon, pokryty lekkim daszkiem nakształt namiotu na lato. Tu Stanisław August spędzał czasem poobiednie godziny w poufałém towarzystwie.

W chwili gdy na tym chłodzie, w wygodnym fotelu oparty siedział zamyślony i samotny, znajdujemy go znękanym i smutnym. Oblicze to było łagodne, rozumne. Usta uśmiechały się, bo były przywykłe do uśmiechu, ale bez uczucia pociechy i radości; blady ten promyk, co je rozjaśniał, nie mógł oszukać nikogo: chmurna jak późny dzień jesieni omglonéj twarz była w sprzeczności. Obu rękami wsparty na poręczach krzesła, z głową na piersi spuszczoną, siedział tak chwilę, wpatrując się w ogród przed sobą, bez myśli, zdrętwiały i zastygły, jakby pragnąc a nie spodziewając się odpoczynku. Lekki szelest od przytykającéj do ganku sali, obudził go, zmusił do przybrania innéj fizyognomii, weselszéj nieco, pogodniejszéj, bardziéj urzędowéj. Zwrócił oczy na drzwi: stał w nich szambelan służebny i szeptał, że przyrzeczona audyencya hr. Adamowi O...... miała przerwać jedyną wolniejszą chwilę spoczynku.

— Czy już przyszedł? spytał król.

— Jest i czeka.

— A no, to go wprowadźcie, proszę,—odparł Stanisław August — i nie wpuszczajcie tam już nikogo, dopóki się go nie pozbędę.

To rzekłszy, król ujął się za czoło, jakby się namyślał i frasował, co pocznie z natrętem? Ale nim miał czas powziąć jakiekolwiek postanowienie, kasztelan wszedł i z ukłonem stanął przed nim. Na twarzy jego widać było cierpienie dni kilku; król je postrzegł i uczuł politowanie.

— Proszę cię, siadaj kasztelanie, rzekł król wskazując krzesło. Szczęściem jesteśmy sami, możemy się poufnie rozmówić. Ubolewałem mocno nad rozerwanem WPana małżeństwem; domyślam się, że mi tu o niém chcesz mówić.

— Najj. Panie, odparł kasztelan: już mi nie idzie o żonę, ale o prześladowanie, jakiego od niéj doznaję. Skutki jego są nadto widoczne, niepodobna się łudzić. Jestem z powodu tego rozwodu wypchnięty z towarzystwa, wszyscy mnie odstępują; skryte jakieś działanie wymierzone przeciw mnie, niedające się pochwycić ani odeprzeć, grunt mi pod stopami podkopuje.

Król spojrzał i pokiwał głową.

— Cóż ci mogę na to poradzić? spytał cicho.

— Opieka otwarta W. K. Mości, chociaż mało zapewne zasłużyłem na nią, mogłaby mnie osłonić skutecznie.

— Moja? rzekł Stanisław August z uśmiechem bolesnym: moja?

— Panujesz N. Panie...

— Tak! tak! przerwał król: panuję, to prawda;

ale słowo szlacheckie, niewielem ja silniejszy od WPana! wierzaj mi. Jak ty, nie mam przyjaciół; jak ty, otoczony jestem niechętnymi. Czegoż chcesz odemnie?

— WKMość słowem jedném położyć możesz koniec temu prześladowaniu.

— Ja? ja?... i znowu król się uśmiechnął spuszczając głowę na piersi—ja? Widać kochany kasztelanie, żeś nowicyusz na dworze... Cóż ja mogę? Wszyscy są mocniejsi nademnie; a rodzina, którą sobie naraziłeś...

Tu król zatrzymał się nieco.

— N. Panie, właśnie przeciwko téj rodzinie opieki twéj się dopraszam.

— Ale cóż ja mogę! co ja mogę! powtórzył Stanisław August, wstając i poczynając się przechadzać po balkonie. Patrz WPan tylko nieuprzedzonemi oczyma, co mnie otacza? kto mi daje siłę? kto jest za mną? Kilku poczciwych ludzi, ale myślących żal się Boże, nietyle o mnie co o sobie, nietyle o kraju co o sobie. Podparł mnie kto kiedy szczerze? Proszono mnie o wiele, nikt nie był dla mnie przyjacielem prawdziwym.

— N. Panie, moja wdzięczność... przebąknął kasztelan.

Król spojrzał na niego tylko, jakby mu dawał czuć, że tu wcale nie o nim i jemu podobnych mowa, i ciągnął daléj:

— Co ja mogę! co ja mogę!

— Słowo królewskie N. Panie—rzekł p. Adam—będzie miało wielkie znaczenie, wstawienie się twoje. N. Panie, gdybyś przyjął ofiarę ubogą, gotów jestem życie na usługi WKMości poświęcić.

Król znowu spojrzał na niego milczący.

— Nie gardzę wcale ofiarą dobrego serca WMoś-

ci, rzekł po chwili; ale jużem się nauczył nie wierzyć w poświęcenia bez miłości i interesu. Miłości Waszéj, panie kasztelanie, nie mogłem pozyskać, znasz mnie za mało; interesu mieć nie możesz. WPan przecię należałeś do tych... — Tu przerwał sobie król i dodał: — Byłeś podobno do redakcyi nowych praw użyty, znasz Zamoyskiego, Ignacego Potockiego, Małachowskiego, Sapiehę, Kołłątaja.

— N. Panie, byłem przez nich użyty nie do redakcyi, ale do tłómaczenia, i to krótko. Dziś jestem wolny od tych stosunków, które się same rozwiązały.

Król znówu chodził zamyślony.

— Byłżebyś WPan gotów służyć krajowi — dodał ciszéj — wedle méj myśli i wedle możności?

— Jest to moje najgorętsze życzenie.

— No, tak — rzekł król — spróbujemy czy się co zrobić nie da.

— Zdaję się w zupełności na to, co się WKMości podoba uczynić dla mnie i ze mną... odpowiedział kasztelan. Widzę z przestrachem, że ginę... Dostojeństwo, którém raczyłeś mnie WKM. zaszczycić, imię, które noszę, zresztą sama niewinność moja, powinnyby mnie osłonić od prześladowania, które dotykając mnie, dotknie zarazem to, co ja w sobie przedstawiam.

Król na te frazy ruszył ramionami.

— Cóż mi WKMość rozkażesz i jaką dasz nadzieję? spytał kasztelan.

— Nic WPanu nie każę, rzekł Stanisław August: bo ja prócz moich sług, nikomu tu nie rozkazuję, a często się trafia, że oni mnie, nie ja im dysponuję... Co do nadziei, pomówię z N. N., jeśli się podejmie pośrednictwa i ukołysania rodziny obrażonéj. Ale po-

wiedz mi tak otwarcie, co zaszło między tobą a kasztelanową?

Król stanął i patrzał mu w oczy.

— N. Panie—rzekł p. Adam—tylko przed WKMością spowiedź tę odbyć mogę. Położenie moje, niewola, w którą popadłem, były tak nieznośne, żem w przeszłości mojéj żony szukać musiał broni dla wywalczenia spokojności domowéj postrachem.

Król brwi namarszczył.

— Co! tknąłeś WPan zapomnianych dziejów! nastąpiłeś na gniazdo os!

— Zdawało mi się, że to był jedyny środek odzyskania niepodległości.

— Myślałeś, że się ciebie zlękną? spytał król uśmiechając się; a tylko śmiertelnie ich uraziłeś! Co za krok fałszywy! Kobieta nigdy nie przebacza takiéj zbrodni, chęci panowania nad nią! Co za błąd! co za niezręczność. Kto ci to mógł doradzić!

Z politowaniem popatrzał król JM. na kasztelana, który stał przed nim zmieszany.

— Aleście się przecie pojednali rozstając, na pewnych warunkach? rzekł Stanisław August.

— Tak jest, NPanie, alem ja osobiście ubogi. Starostwo, które winienem łasce WKMości, niewiele mnie bogaci; to, co mi żona płacić się obowiązała, na uczciwe utrzymanie domu nie starczy. Choćbym zresztą oszczędnie i skromnie żył, cóż poczn꧀, kiedy widocznie jest spisek, aby mnie ztąd wygnać! kiedy ludzie wszystkich stronnictw, przekonań, przyjaciele i niechętni, jak od zapowietrzonego odsuwają się odemnie!

— Ha! w istocie, odezwał się król: położenie trudne, bardzo trudne, nie wiem czy na nie zaradzić po-

trafimy, ale pomyślimy... spróbujemy... Zechcesz że WMość pamiętać mi to przynajmniéj, żem go chciał ratować?

— Życie moje składam u stop WKMości.

— Stój, stój, panie kasztelanie. Formułę tę słyszałem niejeden raz od tych, co mnie późniéj poświęcili przy pierwszém niebezpieczeństwie... Powiedz lepiéj, że mi dasz w potrzebie poczciwe słowo i rękę, na któréjbym się mógł oprzeć... to wolę... Bez egzageracyi! Jutro przyjdź WPan do mnie—rzekł w końcu.

Właśnie odchodził od króla pan Adam, zmieszany i smutny, gdy ujrzał karetę żony zataczającą się przed małą bramę zamkową. Lokaj pobiegł do znanych sobie dworaków, aby swéj pani wyjednać chwilę posłuchania na osobności.

Na wschodach skrzyżowali się z sobą: kobieta, w któréj oczach pałała nienawiść, i mężczyzna, na którego twarzy widać było obawę, zniechęcenie i upadek ducha. Tryumfująco uśmiechnęła się, spoglądając wzgardliwie na niego. Zdawało się przez chwilę, że się zatrzyma, jakby słowem jakiémś, niby policzkiem chciała go uderzyć; lecz potém nagle odwróciła się niby go widzieć nie chcąc, i nie oddała mu nawet skinieniem ukłonu, którym ją przywitał.

Pan Adam zbladły, gniewny, zszedł powoli i odjechał do domu. Tymczasem drzwi gabinetu otworzyły się dla pani, a Stanisław August, któregośmy widzieli przed chwilą zafrasowanym i smutnym, witał ją z galanteryą młodzieńczą, blady, ale uśmiechnięty, na pozór wesoły i swobodny.

W obyczaju wieku była zalotność płci obu. Nieprzyjaciele nawet umizgali się do siebie w przerwach wojny zaciętéj. Ten rodzaj pochlebstwa był oznaką

dobrego wychowania, był hołdem oddawanym piękności, a gdy ona znikła, słodko ją przypominał. Wydawałoby się to dziś śmiesznie dla nas, cośmy przywykli obchodzić się z kobietami poufale, grubiańsko lub obojętnie, ale ta komedya barwę szczególną dawała epoce.

Młodzi, starzy, stare i młode udawali zalotnych, jeżeli z natury nie byli takimi, tak jak puder sypano na włosy, aby dla wszystkich siwemi uczynić. Należało do dobrego tonu być niezmiernie czułym i okazywać kobietom miłość i żądze płomienne; udawano namiętność nie mając jéj, paliły się nie serca, ale głowy.

Najwywiędlejsze wdzięki pań, których róż i bielidło krajały napróżno wyciągane zmarszczki, uśmiechały się do skrzepłych adonisów, wysznurowanych i wyperfumowanych; dzieci umizgały się do dzieci, miłość była godłem społeczności, która wcale kochać nie umiała.

Król, który wśród zepsutéj Polski jak sułtan w seraju uśmiechał się secinom podbitych piękności, do których dla rozrywki wzdychał z kolei, w każdéj z tych twarzy uśmiechniętych do niego znajdował wspomnienie. Zbliżył się do kasztelanowéj z gracyą podstarzałego adonisa.

— Jakaż szczęśliwa gwiazda — rzekł — sprowadza tu kochaną panią do mnie? Czemużem winien chwilę tak miłą?

— NPanie — odpowiedziała żywo Krystyna, rzucając się na krzesło z wyrazem prawie gniewu, — odgadujesz WKM. łatwo przyczynę mego przybycia po tym, który mnie tu poprzedził przed chwilą. WKMość przyjmujesz tego człowieka? myślisz się nim może opiekować? znaszże WKMość tę... poczwarę?

— Droga kasztelanowo dobrodziejko — rzekł król siadając przy niéj i biorąc jéj białą drżącą rączkę w swe dłonie miękkie i blade — nie unośmy się! Cóż on WMości winien? To człek godny tylko litości, że skarbu, który mu losy dały, ocenić nie umiał.

— A! i zdeptał go nogami! dodała kobieta. Nie litości on godzien, ale wzgardy... Czy WKMość wiesz co uczynił?

— Nie, domyślam się tylko.

— Więc nie znasz rany, jaką mi zadał za to, żem go wyciągnęła z nicości?

— Kochana kasztelanowo, niewdzięczność jest w porządku spraw codziennych naszego życia; potrzeba być zawsze do niéj przygotowanym. Ale dlaczegoż nie chcesz przypuścić, że on się opamięta? że żałuje swéj winy? że mógł być podmówiony?

— To bynajmniéj nie zmniejsza winy. Człowiek, który śmiał targnąć się na kobietę, co dla niego była wszystkiém, powinien zniknąć, ustąpić... przepaść... Ja nie chcę go widzieć!

— Gdybyś umiała po łacinie — rzekł król literat z uśmiechem—powiedziałbym ci:

„Tantaene animis coelestibus irae?“

Godziż się tak pragnąć zemsty?

— Godzi się, gdy obraza jest tak wielka jak moja!

— Kasztelanowo, ja muszę przemówić za nim...

— NPanie, ja przyszłam się skarżyć na niego.

— Jak to! ty pani nie dałabyś się przebłagać?

— Ja? Nigdy!

— Zostawże go przeznaczeniu... dosyć jest ukarany, że taki skarb postradał.

— O! o!—zawołała z szyderskim śmiechem kobieta— nie on serce ocenić potrafi. Nie miał go nigdy.

— Mylisz się pani: on jest w rozpaczy...

— Bo się lęka! odpowiedziała kobieta.

— Żałuje za winę swą i cierpi.

— A! tém lepiéj, ale to nie dosyć. WKMość musisz mi podać rękę i przyrzec, że się nim zajmować nie będziesz, że go zmusisz, aby stolicę opuścił.

— Słówko tylko—przerwał król chłodno: — to zła rachuba kochana kasztelanowo. Zmuszasz go do oddalenia... poniesie z sobą po świecie żal i urazę, rozgłosi ją, rozpowie... może coś przedsięwziąć. Tu masz go na oku, wiesz, że nie jest niebezpieczny, możesz go pilnować, potrafimy mu zamknąć usta. Zostaw go lepiéj pod tym dozorem...

— Nie, NPanie! uchybiłabym sobie i mojéj rodzinie, gdybym bezkarnie dała się obrażać. Jeśli ja mu przebaczę, nie darują mu moi...

— Ale cóż chcecie od niego!... Juścić nie poszlecie mu rozkazu, aby sobie śmierć zadał?

— Niech zejdzie nam z oczu i wroci na śmieci, z których wyszedł.

— Ale cóż ten człowiek pocznie z sobą?

— Niech sobie poczyna co chce, niech włoży sukmanę i orze zagon pana rodzica, z którego nie powinien był nigdy się oddalać.

Gdy to mówiła, oczy kasztelanowéj pałały, twarz jéj gorzała, łono się podniosło, brwi marszczyły. Król cofnął się nieco przestraszony gwałtownością tego gniewu, a przynajmniéj ostygły.

— Jesteś nieubłaganą, rzekł po chwili; przejdzie wszakże to pierwsze zemsty uczucie. Ja widząc, że czas lepiéj odemnie potrafi tę sprawę załatwić, umywam od niéj ręce...

— To nie dość, przerwała wstając Krystyna: WKMość dasz mi słowo...

— Mościa pani, rzekł król obrażony trochę: spodziewam się, że po mnie żadnych zobowiązań wymagać nie macie prawa. Inne mam obowiązki jako człowiek, większe jako panujący. Tam gdzie pierwsze z drugiemi się godzą, wiążę się chętnie przyrzeczeniem; gdym niepewien, mam za prawidło zostawić moje postępowanie przyszłości, która mu drogę dalszą wskaże.

Słowa te wyrzekł Stanisław August prawie z energią. Kasztelanowa uczuła, że ją zapał zbyt zawiódł daleko, i zamilkła gryząc usta. Popatrzyła w okno, po ścianach,—oboje byli w przykrém położeniu. Nareszcie ochłonąwszy, kobieta zwróciła się do króla uśmiechnięta, odzyskała władzę nad sobą.

— Mam więc słowo WKMości—dodała,—że przynajmniéj jako człowiek nie weźmiesz strony naszego nieprzyjaciela. Zresztą na monarszą Jego sprawiedliwość się spuszczam.

Król milcząco skłonił głowę i uznał za właściwe wrócić do zalotnéj roli.

— Piękna dziś jesteś—rzekł do kasztelanowéj— jak Juno lub Minerwa. Łatwo ci będzie oczarować kogo zechcesz, pociągnąć za swym wozem zwycięzkim tłumy wielbicieli; cóż znaczy strata jednego śmiertelnika, dla takiéj jak ty bogini? Bóztwa są wspaniałe, przebaczają...

— Jam tylko kobieta i nie umiem—odparła cicho kasztelanowa — chciałabym, nie potrafię... mszczę się, nienawidzę, ale mam za sobą niejeden przykład Junony i Minerwy, do których WKMość tak niewłaściwie porównać mnie raczyłeś.

I skłoniwszy się zdala ceremonialnie, zabierała się wynijść, gdy Stanisław August zbliżył się i szepnął po francuzku:

— *Chère Castellane!* proszę, nie miejże do dawnego a wiernego wielbiciela twych wdzięków urazy. Oddaję ci twego zdrajcę... *pieds et poings liés*, rób z nim co chcesz, a mnie w serduszku swém zachowaj kącik przytułku...

— WKMość tyle masz podobnych schronień w sercach swych poddanek, że ten kącik, zdaje mi się, stałby pustkami, bobyś do niego nigdy nie zajrzał—odpowiedziała Krystyna z trochą urazy.

W chwili rozstania, na obu twarzach, mimo uśmiechów, znać było niepokój, a może nawet odrazę wzajemną; ale król przeprowadził kasztelanową do drzwi z ukłonami, pocałował ją w rękę i pożegnał z pozorami najgorętszéj życzliwości. Dopiero gdy się za nią drzwi zamknęły, wstrząsnął się i usiadł w krześle znużony i zamyślony.

Kasztelanowa powróciła do domu. Na wschodach po cichu, oględnie, szepnął jéj kamerdyner, że ktoś na nią oczekuje na górze. Z samego tonu, jakim te słowa wymówił, znać było, że osoba oczekująca nie była pospolitym gościem.

Z widoczném zadowoleniem skinęła głową pani, i pośpieszyła do salonu.

— A! WPan tutaj! drogi hrabio! — zawołała rzucając się żywo ku mężczyźnie nie pierwszéj już młodości, w cudzoziemskim stroju, oczekującemu na nią przy oknie—jakże się cieszę!

Rysy twarzy gościa ogorzałe, orli nos, włos na wąsach czarny, typ fizyognomii od razu dawał w nim poznać Francuza, rodem z południowych prowincyj.

Nie był on pięknym wcale, ale wiele namiętności i ognia opromieniało tę twarz pospolitą i mocno przywiędłą, na której wyraz odwagi mieszał się z trochą szyderstwa. Znać było, że w piersi jego wrzała jeszcze resztka młodzieńczego ognia, obok niewiary i sceptycyzmu, które w nią wniosło życie, że umiał kochać chwilami i wątpić o sobie i kochance. Przedwcześnie oblicze, to w pracy czy namiętności przepalone jak w ogniu, straciło młodości znamię, ale je odzyskiwać umiało. Życie nie uciekło z niego jeszcze, ale się kryło jak słońce za grubą mgłą i obłokami.

Nie piękny, nie był przynajmniéj podobny do wszystkich. Miał fizyognomię i odznaczał się w tłumie.

— Ty tutaj! — zawołała kasztelanowa podając mu obie ręce z uśmiechem niekłamanéj radości — ty tu kochany Ludwiku! w tym kraju lodów i niedźwiedzi!

— Jak mnie pani widzisz, ja sam, żyw i cały! rzekł przybysz. Szczególniéj dla tego przybywam umyślnie, aby przed mojém bóztwem czołem uderzyć.

— A! pamiętałeś jeszcze o mnie?

— Ja? możnaż o was zapomnieć?

— Doprawdy, to i wdzięczności i podziwu jest godne — odpowiedziała kasztelanowa, — zwłaszcza, że szybki twój wyjazd, zaraz po śmierci mojego męża... dał mi twe serce w podejrzenie...

— Mój Boże! odparł Francuz: rozkaz króla powołał mnie nagle w odległe kraje, do Gwadalupy, byłem w służbie.

— Wiesz o moich losach? przerwała Krystyna rzu-

cając się na kanapę i wskazując mu miejsce przy sobie—słyszałeś?

— Jedno tylko wiem, có mnie najsrożéj zabolało, żeś pani powtórnie poszła za mąż.

— A! i srodze za to odpokutowałam... ale już z tym zdrajcą nie żyję. Wypędziłam go.

— Jak to? — zapytał pułkownik, a dziś nie vicehrabia, ale hrabia de St.-Géron, dawny kasztelanowéj ulubieniec:—mąż pani?...

— Rozstaliśmy się.

— Rozwodem?

— Jest właśnie sprawa w konsystorzu; była to potwora.

Zamilkła i zamyśliła się chmurno.

— Biedna kobieto! rzekł Francuz: ucierpiałaś więc wiele.

— A! nad wyraz! odparła cicho. Wyciągnęłam tę istotę z błota, dałam mu wszystko, złożyłam w nim nadzieje moje. Człowiek ten niegodzien imienia ludzkiego, najpodléj mnie zdradził.

— To kara za to, żeś o mnie i mém sercu zwątpić mogła! szepnął St.-Géron.

— Pozory! odpowiedziała kasztelanowa.—A zresztą mogłażem ufać, że będąe dzieckiem kraju najpłochszego w świecie, potrafisz kochać stale i pamiętać?

— I krajowi mojemu, i mnie czynisz pani krzywdę, rzekł Francuz z westchnieniem. Jesteśmy płosi w obyczajach, ale stali w uczuciach.

Krystyna czule spojrzała na niego, ścisnęła mu rękę, uśmiechnęła się smutnie, i po cichu rozpoczęła opowiadanie znanych już nam wypadków. Hr. de St.-Géron słuchał z wielką uwagą i gorącém współczuciem, dając znaki oburzenia i zgrozy; a kasztelanowa

widząc go na nowo rozpłomienionym dla siebie, nie szczędziła wszystkiego, co uczucie jeszcze podbudzić mogło.

Po godzinnéj prawie cichéj, poufnéj rozmowie, Francuz wstał z siedzenia gniewny.

— Przybywasz mi w samą porę, dodała Krystyna: możesz mnie uratować Ten człowiek nie ma kropli odwagi w sercu. Ja na niego patrzeć nie mogę... Zaopiekujesz się słabą istotą, będziesz mi radą i podporą. Z twoją pomocą będę mogła może pozbyć się téj natrętnéj twarzy...

— Rachować możesz pani na mnie, jestem na jéj rozkazy! zawołał Francuz gorąco; uczynię co zechcesz!

— Czekaj! szepnęła kasztelanowa: na początek potrzeba, ażebyś wszedł w towarzystwo nasze, abyś się w niém dał poznać, porobił sobie przyjaciół i stosunki; reszta przyjdzie sama. U nas cudzodziemcy są wielce lubieni i przyjmowani mile; każdym z nich cieszymy się i chwalimy, i nic łatwiejszego niż stać się gościem stolicy rozrywanym na wszystkie strony. Król się nudzi: dla niego każda nowa postać z dalekich przybywająca krajów jest pożądana i miła; cóż dopiero człowiek taki jak ty hrabio! Za królem idzie miasto, kraj; nie wątpię, że cię wszyscy wkrótce chwytać i wydzierać sobie będą... O! tylko i ty mnie nie zdradź, gdy tyle piękniejszych oczu nad moje polować na ciebie zacznie!

— Piękniejszych! co za szyderstwo! rzekł Francuz. Alboż są na świecie piękniejsze nad te dwie gwiazdy mojego życia! Sąż, któreby mi mówiły tyle co twoje o szczęściu minioném z obietnicami przyszłości? w którychbym czytał tyle, co w tych czarnych źrenicach?

Po zapale, z jakim to mówił Francuz, łatwo było poznać, że Krystyna miała u stop swych gotowego na rozkazy szermierza. Sprzymierzeniec ten przybywał jéj w samą porę; nigdy potrzebniejszy jéj nie był. Opuszczona przez męża, zyskiwała w nim najprzód świadectwo potęgi swych wdzięków, potém obrońcę, rycerza i poddanego swym rozkazom zapaśnika.

— Bacznie! powoli! odezwała się żegnając go. Na długo przybyłeś do Warszawy?

— Ja! jestem wolny, choćby na zawsze — zawołał Francuz. To, co się w naszym kraju teraz dzieje, niepodoba mi się. Wyjechałem, aby nie patrzeć na gotujący się zamęt, któremu zapobiedz nie mogę; szukam służby wojskowéj.

— Znajdziesz ją tutaj najłatwiéj, żywo przerwała Krystyna; ale nic nie mów o projektach, bądź z razu ciekawym tylko podróżnym, nie zwierzaj się nikomu, zostaw mnie starania. Nie ty powinieneś żądać i prosić, ale oni starać się o ciebie... Czy widziałeś już kogo?

— Nikogo, prócz naszego rezydenta.

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem, poznajomię cię z moją rodziną, z krewnymi, dam ludzi, co cię poprowadzą. Potrzeba się zaprezentować królowi, być u ważniejszych urzędników, wiele się pokazywać w pierwszych domach, a mało zwracać uwagi na mnie... Przed obcymi powinniśmy być zaledwie dobrymi znajomymi. Widywaliśmy się w Paryżu, nic więcéj... nie prawdaż?

Francuz przystał na wszystko. Na twarzy kasztelanowéj, któréj z nieba czy z piekła spadł ten sprzymierzeniec, malowała się radość piekielna, tém większa, że przychodziła niespodzianie, że dawała jéj w rę-

ce posłuszne narzędzie i pomagała zemście, którą wywrzeć chciała.

Ile razy los sprzyja chwilowo choćby najczarniejszym zamysłom, w duszy tych, co je powzięli, rodzi się uczucie dziwne zwycięztwa i dumy; zdaje im się, że niebo opiekuje się nimi. Uzuchwaleni, rozpasani, idą daléj, często do niepostrzeżonéj przepaści.

Gdy się to działo u kasztelanowéj, p. Adam wezwany karteczką przesłaną mu przez Julię, pośpieszył wieczorem do niéj... Była sama, spłakana, drżąca, przelękła; od rana czuła jakieś dziwne dreszcze, senność, ból gardła, symptomata słabości nieznanéj, którą przypisywała wzruszeniu. Doktor wezwany wśród dnia, nie mógł się dobadać co to było; ale widząc gorączkę, przepisał spoczynek i środki ochładzające. Julia czując się potrzebną, mimo coraz zwiększającego się cierpienia, upornie trzymała się nie chcąc położyć w łóżko... Wśród dnia sam nawet kasztelan, porzuciwszy na chwilę pasyans, przybiegł się o jéj zdrowie dowiedzieć; ale to były odwiedziny urzędowe, ceremonialne, chłodne. Stary popatrzał na żonę nie widząc jéj, oczyma roztargnionemi, spytał co ją boli, poradził jéj swojego doktora, zaręczył nie wiedzieć na mocy czego, że z tego nic złego wyniknąć nie może, i wyszedł ziewając... Spełnił obowiązek: żona się zawsze dowiadywała o jego zdrowie, gdy cierpiał; potrzeba było tąż samą grzeczności monetą jéj odpłacić.

Gdy pan Adam przestąpił próg pokoju, uderzyła

go zmiana twarzy Julii, rozgorączkowanie jéj, czerwoność, głos ochrypły i niepokój malujący się w oczach zaognionych.

— Jestem jakoś chora... odezwała się, siadając z dala. Chciałam cię widzieć koniecznie; jakieś przeczucie, obawa odejmuje mi siły; sama nie wiem dla czego przerażam się tém niezdrowiem... O! nie idzie mi o życie, dawno mi ono cięży; ale potrzebuję żyć, aby walczyć z tą kobietą...

Adam wziął ją za rękę chcąc pocałować, ona mu ją wyrwała.

— Któż wie — rzekła — może to co zaraźliwego: nie dotykaj mnie, nie zbliżaj się do mnie...

I pochwyciła się za głowę, w któréj coraz większy ból czuła.

— Widziałam się z nią, rzekła: nie ma co spodziewać się od niéj przebaczenia i zgody; trzeba stanąć do nierównéj walki, staniemy. Wyznałam jej, żem sama tylko winna: nic to nie pomogło, ona pragnie zemsty... Należałoby może, abyś się z jéj oczu na jakiś czas usunął; ten gniew się uśmierzy wiele się rzeczy zapomina... Jedź za granicę... unikniemy zemsty... Wrócisz, gdy inne uczucie w jéj piersi ten szał zastąpi...

— Ale dokądże się udam? spytał kasztelan.

— Nie wiem, jedź dokąd chcesz, choćby na wieś... za granicę, gdziekolwiek... gdzie zamarzysz. Trzeba uciekać. Ani ty, ani ja, ani my wszyscy razem nie podołamy téj kobiecie. To furya zemsty...

Mówiła to Julia przerywanym głosem, chwytając za skronie, przerażona gwałtownie wzrastającém cierpieniem. Adam się także przestraszył: ostatnią opiekę, jaką miał, mógł utracić. Nie tyle miłość co obawa

przybliżyła go do niéj; z wyrazem boleści przyszedł a twarz jéj mimo cierpienia rozpromieniała... Ten ruch troskliwy, serdeczny przypomniał jéj szczęśliwsze chwile, złudził ją wyrazem przywiązania; objęła go za szyję i zaczęła płakać i jęczeć.

— Uciekaj! zawołała: uciekaj, schroń się przed tą kobietą, zostaw mnie samą jéj na pastwę. Ja czuję, że Bóg za grzechy wymaga ofiary, że śmierć moja jest blizka w chwili, gdy dla ciebie najbardziejbym żyć chciała, drogi mój. Gdy umrę, niech w twéj pamięci zostanie dla mnie choć szczupłe miejsce. Daruj mi swój los nieszczęśliwy, przebacz winy moje. Oderwałam cię od spokoju i szczęścia, uprowadziłam w ten świat zgnilizny i zepsucia, strułam ci życie... Winnam... przebacz! a pamiętaj o mnie! Gdybyś ty wiedział, jak to serce, które wkrótce może bić przestanie, kochało ciebie, jak je ta miłość występna, szalona oczyściła, jakie chwile szczęścia prześniłam przy tobie! O! jak mi ciężko będzie porzucić świat i ciebie, teraz...

Tu oddech się jéj zatrzymał, a rozpłomieniona twarz zalana łzami w mgnieniu oka zapałała jakby odrodzoną młodością. Stała się idealnie piękną... Adam upadł przed nią na kolana, a choć nie był czułym wcale, i on zapłakał pochwycony jéj cierpieniem.

Julia zadzwoniła żywo.

— Doktora! doktora! zawołała do kamerdynera, który się we drzwiach pokazał. Niech natychmiast jadą po doktora... czuję się gorzéj...

Widać było jak rozpaczliwie czepiała się życia, którego strata napełniała ją obawą. Chodziła po pokoju, biorąc na przemiany to wodę zimną, to krople, to różne napoje, jakie znalazła pod ręką, przeglądając

się w zwierciadłach, przykładając dłoń do serca, które biło coraz gwałtowniéj.

— Nie, ja nie mogę umrzeć! wołała; ja żyć muszę, póki ciebie nie ocalę, dopóki nie odpokutuję... póki o los twój jestem niespokojna...

— Idź! idź! ja się muszę położyć, siły mię opuszczają, gorączka się wzmaga, powrócisz późniéj... Chciałabym widzieć cię jeszcze... co mówię?... ja jutro muszę być zdrowa!

— Pozwolisz mi zaczekać na doktora?

— Nie, idź do domu, myśl o sobie, dam ci znać... zostaw mnie samą.

Adam odszedł powoli, a ona długo jeszcze patrzała za nim złożywszy ręce jak do modlitwy... Zaledwie drzwi się zamknęły ostatnie i szelest kroków jego ucichł, siły ją opuściły, pochyliła głowę, a szum w niéj zwiastował, że choroba przemożona na chwilę, znowu odzyskiwała przewagę... W skroniach biły pulsa jakby krew je przerwać i wytrysnąć z nich miała, gorączka ukropem oblewała twarz i piersi, ręce i nogi stygły... W oczach latały czarne i jasne płaty, jakby powietrze napełniło się przebiegającemi je istotami niewyraźnych kształtów; myśl nareszcie nieowładnięta już wolą, wybiegła na manowce, szalejąc w świecie marzeń nieujęta.

Gdy doktor wszedł, hrabina już prawie była bezprzytomna. Na chwilę tylko poznawszy go, chwyciła za rękę i krzyknęła:

— Wszak mnie uratujesz?

Lekarz stary odpowiedział coś niewyraźnie i począł badać stan jéj, wcale mu dotąd niezrozumiały.

Po chwili jednak tajemnica téj dziwnéj choroby się odkryła rzutem oka na ręce, które jakieś czerwone

poczęły okrywać wyrzuty zaskórne... Łatwo w nich było poznać ospę, która się objawiła z niesłychaną gwałtownością.

Panowała ona naówczas w Warszawie, napadając zarówno starszych jak dzieci; w późniejszych tylko latach nierównie była do przebycia trudniejsza... Nie bez trwogi upewnił się lekarz o rodzaju choroby, ale zamilczał o niéj przed hrabiną, kazał tylko położyć się w łóżko, uspokoić, zalecił spokój, ciepło i cierpliwość.

W sieniach czekał nań Adam, niecierpliwie chcąc się dowiedzieć o chorobie hrabiny.

— Co to jest? spytał niespokojnie.

Stary lekarz z pod brwi zwisłych rzucił nań wzrokiem surowym.

— Nie wiem, rzekł; zdaje się to być ospa, z któréj jeżeli wyjdzie, za co ręczyć niepodobna, twarz przynajmniéj nosić będzie straszne ślady... Byłby cud, gdyby ocalała... a na cuda nie zwykliśmy rachować.

— Ospa? powtórzył zdziwiony kasztelan.

— Tak jest, ale o tém mówić nie potrzeba: może się mylę jeszcze... Czekajmy do jutra; zostawić ją trzeba w spokoju.

— Ale ospa w tych latach bywa niebezpieczna? spytał Adam.

— Bywa śmiertelna — potwierdził powoli doktor z obojętnością właściwą powołaniu, zażywając tabaki,— bywa śmiertelna...

Adam pobladł; palec boży zdawał się wypiętnowany w téj nagłéj chorobie.

W chwili gdy gorączka Julii przenosiła ją w światy fantazyi i marzeń, w salonie Krystyny, hrabia de St.-Géron opowiadał zgromadzonym gościom o Francyi, o stanie umysłów, o symptomatach ducha wieku, jed-

nając sobie oklaski i uwielbienia, któremi kasztela nowa rosła i dumniała.

Nazajutrz miał tyle zaprosin natrętnych, że przy najlepszéj chęci połowie ich podołaćby nie mógł. Świetna jutrzenka powodzenia zdawała się rokować mu w Polsce losy, których we własnym kraju nigdy się nie mógł spodziewać.

W pokoju choréj wszystkie firanki były zapuszczone; cisza i ciemność otaczały ją. Wśród tego głuchego milczenia, straszniejsze jeszcze były wyrywające się z ust jéj niekiedy wyrazy, gorączkowe wspomnienia przeszłości, to wesołe, to smutne, to rzewne, to rozpaczliwe, modlitwy i uśmiechy, miłosne szepty i płacze.

Ta przędza różnobarwna wyobraźni na czarnym wątku grobowego milczenia, tém jaskrawiéj odbijała; przytomny lękarz domowy, mąż siedzący z dala w kątku z chustą zlaną wonnościami, bo się lękał zarazić, pan Adam i Pamela rozpłakana, nie mogli słuchać bez bolu tych ostatnich oznak dogasającego życia, z których łatwo było odgadnąć mnogie cierpienia przeszłości, udręczenia, i walki, i błyski utraconego szczęścia.

Stary lekarz wsparty na lasce, miał postać chmurną zrozpaczonego bezsilnością swoją człowieka; poruszał ramionami, myślał, jak gdyby szukał jeszcze w głowie jakiejś rady, gdzie w istocie nie było żadnéj: natura tylko zwyciężyć mogła samą siebie, Bóg jeden uratować chorą.

— Czy nie odzyska na chwilę przytomności? pytała po cichu Pamela—posłalibyśmy po księdza?

— Nie wiem, odparł doktor; bardzo wątpię. Dalszy bieg choroby przewidzieć się nie daje; lękam się uderzenia na mózg. Potrzeba czekać cierpliwie, sztuka jest tu bezsilna.

Mąż, zawsze z chustką na ustach i nosie, oddalił się na palcach, zlany potem z przestrachu o siebie; reszta pozostała u łoża. Chora wołała napoju; obawiano się go jéj podać, przynoszono ciepły i oszczędnie. Gorączka zdawała się wzmagać.

Po kilku wesołych, dzikich śmiechach, które jak piorun rozległy się i urwały krzykiem boleści, nastąpiło długie milczenie: chora zdawała się usypiać. Widocznie następowało jakieś przesilenie, którego końca przewidywać nie było można. Wszyscy pozostali na miejscach nieruchomi, tylko lekarz wysunął się do innych pacyentów, zapowiadając powrot rychły, a w razie pilnéj potrzeby wskazując, gdzie go szukać miano.

Był wieczór, w dali po kościołach biły dzwony powoli, grobowe dzwony na pacierze za umarłych; w pokoju panowała ciemność i snu ciężkiego oddech tylko jakby ostatniemi pulsami życia oznaczał chód powolny czasu. Godziny wlekły się żółwim krokiem leniwe; do północy, dla czuwających przy łożu boleści zdawało się, że wiek cały upłynął. Ilekroć w walce ze śmiercią bije się człowiek, a towarzysze i świadkowie jego doli czekają zwycięztwa lub klęski ostatniéj,— czas zdaje się naumyślnie w pochodzie nieubłaganym wstrzymywać, minuty przeistaczają się na lata.

Od zmierzchu do północy, dla Adama, wśród tego milczenia i ciemności przewlekła się jakby wieczność tęsknych myśli. Ciężkie westchnienie przerwało wreszcie tę nieskończoną ciszę, i głos słaby, zmieniony, zabrzmiał powolnie:

— Gdzie ja jestem?

Przebudzona z pół-snu Pamela zbliżyła się, pytając:

— Jak się pani teraz czuje?

— Co się ze mną stało? szepnęła Julia.

— Jesteś pani trochę słaba.

— Jakże to długo trwało? Cała się czuję zbolała, skóra na mnie jakby jedna rana bolesna. Gdzie doktor?

Pytania te zwiastowały przynajmniej powrot do przytomności; ale głos był słaby, ledwie z blizka dosłyszany. Po chwili dodała:

— Nie! nie! po cóż doktora? Czuję, że żyć nie mogę: poproście lepiéj księdza. Kto to jest przy mnie? Nikogo więcéj? nikogo?

— Jestem ja... rzekł Adam z cicha.

— A! ty! o! dobrze, dziękuję ci, zbliż się... ale nie, nie! nie przystępuj: to musi być jakaś straszna zaraźliwa choroba... Pamelo... na chwilkę oddal się, zostaw nas samych, a poszléj po księdza. Mam coś jeszcze powiedzieć. Wszak nie ma tu więcéj nikogo? Czy ciemno, czy ja nic nie widzę?

— Jest ciemno, jesteśmy sami... odpowiedział Adam głosem drżącym.

— A! chciałam cię tylko pożegnać raz jeszcze, prosić, abyś mi przebaczył.

— Nie myślcie o niczém złém... choroba się przesiliła.

— Tak, i śmierć nadchodzi—przerwała Julia,—życie ucieka, gorączka powróci jeszcze i dobije. Korzystać potrzeba z ostatka przytomności, z chwili ostatniéj. Papiery i to, com przygotowała dla ciebie, mój

Adamie, weźmiesz ze stoliczka pod oknem. Wszystko jest razem w tém pudełku, które znasz, które ja tak lubiłam. Weźmiéj to zaraz, i pamiętaj o nieszczęśliwéj, co cię bardzo kochała. Bóg chciał może skarać mnie jeszcze na ziemi cierpieniem, abym mniéj miała do odpokutowania na tamtym świecie. Żegnaj mi, żegnaj... ale nie łudź się, uciekaj ztąd, nie walcz z tą kobietą. Ona ci nigdy nie przebaczy, a ja ci w pomoc nie przyjdę, chyba duchem.

Adam zapłakał.

— Nie płacz—rzekła—wierzmy, że co Bóg uczynił, jest dobre. Wspomnij czasem dawne szczęścia chwile... Gdzie on?.. gdzie kasztelan?

— Był tu niedawno, i kazał dać znać, gdy się pani przebudzisz.

— A! nie! nie! dajcie mu spoczywać, cóżbym mu w ostatniéj powiedziała godzinie? chyba wszystkie winy moje. Która? noc czy dzień? przerwała żywo—czy to wczoraj jeszcze czy jutro? A ksiądz? ksiądz? czemu nie przychodzi?

Głos podniesiony i pośpiech zdradzały gorączkę powracającą. Prawie w téjże chwili otwarły się drzwi powoli, i wpuszczony przez Pamelę staruszek ksiądz zbliżył się do łoża. Wszyscy ustąpili.

Spowiedź trwała dosyć długo, a gdy razem z Sakramentami wniesiono światło i wzrok przytomnych mógł paść na twarz choréj, okrzyk mimowolny wyrwał się z ust wszystkich: szlachetne jéj rysy zmienione straszliwie przerażały, oblicze było jedną krwawą raną. W gorączce i niepokoju zdarła z siebie skórę zbolałą, piękności jéj nie pozostało śladu, bo rysów nawet rozpoznać nie było można.

Rozkazawszy Adamowi zabrać co dla niego przeznaczyła, chora jeszcze raz głosem cichym odezwała się, aby poproszono kasztelana.

Ruch się zrobił w ciżbie, która otaczając łoże płakała, a po chwili obudzony ze snu, przywlókł się mąż do niéj, zawsze z chustką na ustach, blady, drżący i wylękły. Wejrzenie na żonę tak go przeraziło widokiem skutków choroby, któréj się obawiał dla siebie, że się cofnął prawie nieprzytomny.

— Mój drogi—rzekła zwracając się nieco ku niemu—jeszcze nim umrę, mam cię prosić o przebaczenie win moich. Były one wielkie, były ciężkie: zapomnij, pomódl się za mnie, a zachowaj w sercu trochę litości i przywiązania dla twéj Julii.

Kasztelan, jakkolwiek zimny i obojętny, zapłakał; ale scena ta wprędce przerwana została przez lekarza, który przypomniał, że chora potrzebuje spoczynku. Wszyscy po cichu wysuwać się zaczęli z pokoju, i znowu cisza, i znowu ciemności ogarnęły umierającą.

Pamela i Adam sami tylko jeszcze przy łożu pozostali; lampka nocna w oddalonym kąciku gorejąca, blado rozświecała tę posępną, grobową scenę boleści.

Julia kazała przed sobą postawić krzyż, którego już w zbolałe ręce ująć nie mogła, i szept jéj cichy świadczył, że się modliła... Adam siedział jak wkuty do krzesła, ale o niego nie spytała już więcéj, ani się ku niemu zwróciła.

Po krótkiéj chwili wypoczynku i skupienia ducha, zawołała pić. Żądanie to zdradziło powracającą gorączkę. Z uśmiechem odezwała się do Pameli:

— Nie prawdaż? jaki on piękny? Tak śliczne rysy nie mogą pokrywać złéj duszy i zepsutego serca!

I nie czekając odpowiedzi dodała:

— Pojedziemy do Włoch z nim razem, za Alpy, za Apeniny, daleko, tam aż nad brzeg Sinego morza, do kraju kwiatów i słońca, nad szumiący cicho Adryatyk... Wśród gaju pomarańcz i cytryn, pod cieniem laurów kwitnących siądziemy marzyć i przemarzymy lata aż do starości,—sami, sami... Nie trzeba tylko mówić Krystynie, dokąd się przed nią skryjemy. Przeleciałaby przez Alpy i przez Apeniny, spadłaby na nas jak jastrząb, i serceby nam wyjadła. Pamelo! każże prędzéj zaprzęgać cztery wiatry do białéj chmury... Kasztelan ciągnie pasyans, nie odwróci głowy i nie zobaczy gdy wyjedziemy.

Potém chciała zaśpiewać jakąś dziecinną piosenkę, ale zabrakło głosu w rozranionéj piersi: rozśmiała się i rozpłakała... Potém okrzykiem boleści i zgrozy strasznym rozległ się pokój, zatrzęsło się łoże, chora porwała się jakby chciała uciekać i upadła na pokrwawione poduszki... I było długie milczenie; silny oddech je przerywał czasami, jakby stłumionym płaczem utrudniony. Chciała krzyczeć, nie było siły... rzuciła się jeszcze, i zdrętwiała... Życie płochości, cierpień, nadziei, miłości, skończyło się jedném westchnieniem bolu...

Ani Pamela, ani Adam nie domyślali się jeszcze tego, siedzieli z dala; cisza zdawała się im odpoczynkiem, może nowém i błogosławionem przesileniem choroby... Długich kilka godzin, w ciągu których już ani oddechu, ani głosu dosłyszeć nie było można, upłynęło w niepewności. Nareszcie stara sługa zbliżyła się powoli do łoża, i wiedziona przeczuciem jakiémś, dotknęła ostrożnie zastygłéj już ręki. Krzyknęła... klękła i zaczęła się modlić.

Z drugiéj strony łoża padł na kolana Adam i uderzył czołem o podłogę. W jego duszy nareszcie otwarło się także zamknięte dotąd źródło boleści; poczuł, ile w niéj utracił... Jedyna przychylna mu dusza uleciała, zostawiając go samotnym i bez opieki na szerokim świecie.

Leżał tak jeszcze na ziemi, gdy poczuł, że go ktoś targnął za rękę i głos cichy szepnął mu:

— Chodź pan! chodź...

Był to Jermaszka wierny, który nań czekał w przedpokoju noc całą, a widząc po ruchu w domu, że wszystko już skończone, odważył się wcisnąć, by swego pana wyrwać. Adam nie wiedział sam jak wyszedł osłupiały pod ciężarem bolu i uczucia osamotnienia.

Łzy lały mu się po twarzy, myśl nie mogła spocząć na niczém, leciała niepowstrzymana w przeszłość, szalała, zwijała się jak ptak raniony.

Jermaszka wiódł go pod rękę, chcąc uprowadzić do domu, i przeciskał się przez ciżbę ludzi ku drzwiom wychodowym, gdy nagle nad uchem Adama dał się słyszeć głos rozkazujący:

— Za pozwoleniem, niech-no się pan zatrzyma...

Przedpokój pałacowy w chwili zgonu kasztelanowéj pełen był ludzi, których śmierć zawsze przyciąga. Gwarno w nim było i tłumno: wszystka służba dworu dość liczna, ksiądz, który jeszcze nie miał czasu odejść, kobiety zapłakane, sąsiednich domów mieszkańcy zwabieni ciekawością i pobożnym obowiązkiem modlitwy, gromadzili się tu rozpytując i szepcząc, przypatrując się i ubolewając. Kilka świateł tu i owdzie rozproszonych rzucało blask słaby na tę scenę zamieszania. Słychać było opowiadanie przerywane, szepty, szlochania, wes-

tchnienia, nawet uśmiechy tłumione, a niekiedy głośniejsze nieco wyrywały się narracye gadułów i w téj chwili nieumiejących powstrzymać języka... Dziwnie tu odbijała wsparta na kulach, załzawiona, rozpaczająca postać owego podagryka chorego, którego przytuliła Julia... Zwlókł on się z łoża z pomocą chłopca, aby o swém nieszczęściu się dowiedzieć.

Adam prowadzony przez Jermaszkę już miał wyjść z sieni, gdy nad uchem zabrzmiało mu owo:

— Niech-no się pan zatrzyma!

Podniosłszy głowę odrętwiałą, postrzegł kasztelan męża Julii w oddaleniu z chustką przy twarzy, podtrzymywanego przez dwóch kamerdynerów i mającego u boku jakiegoś nieznajomego, o wywiędłéj, kościstéj twarzy, z oczyma świecącemi blaskiem dzikim. Wdówiec wywijał niecierpliwie ręką, którą miał wolną, a na odsłonionym skrawku jego twarzy widać było i gniew i niepokój... Powtarzał za owym chudym towarzyszem swoim szybko i niewyraźnie:

— Niech-no się pan zatrzyma... ale zatrzymajcież go...

Z razu wychodzący już Adam nie mógł sobie tego wytłómaczyć; ale nagle krew mu oblała czoło, gdy przypomniał, że za suknią miał owo pudełko, które umierająca zabrać mu kazała koniecznie i odesłała natychmiast przez Pamelę. Jakiś instynkt ostrzegł go, że tu zapewne idzie nie o niego, ale o to, co mu nieboszczka ofiarowała. Nie wiedział z pewnością co było w pudełku, ale ciężar kazał się domyślać więcéj niż papierów i listów. Tłum świadków, w obec których zatrzymano go jak gdyby uchodzącego, zwiększał jeszcze przykre téj sceny wrażenie. Adam mimowol-

nie sięgnął do boku, szukając broni, i postrzegł, że jéj nie ma... Głosy, któremi go zatrzymywano, były natarczywe i nieprzyjazne.

— Niechże się pan zatrzyma! wołał suchy jegomość.

— Zatrzymajcie go! dodawał tupiąc kasztelan.

Niepodobna było iść daléj, bo tłum obstąpił ich i cisnął dokoła. Jermaszka osłupiał, nie rozumiał nic, pobladł tylko jak ściana i trząsł się podnosząc pięści.

— Czego chcecie? pan mój chory, prowadzę go do domu, rozstąpcie się! wołał.

— Za pozwoleniem! odpowiedział chudy: nic się twojemu panu nie stanie; słówko tylko powiedzieć mamy.

— Tak jest, słowo tylko, powtórzył kasztelan, gospodarz domu; niech mu pan powie o co chodzi.

— Możebyśmy odeszli na osobność, przebąknął Jermaszko, rzucając wzrokiem po otaczających.

— Co? po co? na co? zawołał wdowiec żywo. Ja się nie potrzebuję kryć z tém co robię; nieboszczka była nieprzytomna, gdy...

— Za pozwoleniem! rzekł przerywając gospodarzowi jego towarzysz: świętéj pamięci nieboszczka miała podobno umierając wręczyć panu kasztelanowi klejnoty domowe i rozmaite familijne precyoza; my się o nie, jako o należące do spadku, upominamy.

Kasztelan oprzytomniał od gniewu...

— Mości panie! zawołał trzęsąc się: nieboszczka, dla któréj mam obowiązki wielkie, przed zgonem zaufanéj swéj przyjaciołce rozkazała mi wręczyć, jak sądzę, papiery, dla mnie przeznaczone. O żadnych pre-

cyozach nie wiem, a papiery są moją własnością, i tych nikomu w świecie wydrzeć sobie nie dam...

— Tu nie o żadne papiery idzie! z dziecinną natarczywością, tupiąc nogami, przerwał kasztelan, którego energia nadzwyczajnie wezbrała, — nie o żadne papiery... Bierz sobie asindziéj papiery, ale oddaj moje precyoza... Gdzie jest to pudełko, które mu wręczono? gdzie? gdzie?

— Na Boga! zakrzyknął Adam: za kogoż to mnie pan masz?... Ja od was nic nie chcę... godziż się napastować mnie w ten sposób?

— Wszystko się godzi, gdy idzie o odzyskanie swojéj własności!—zawołał kasztelan—to spadek! to moje! ja sobie też wydrzeć tego nie dopuszczę!...

— Za pozwoleniem! słodziéj dodał chudy jegomość: prosilibyśmy tylko o tę skrzyneczkę; opieczętujemy ją jako depozyt, a arbitrowie polubownie wybrani osądzą komu się ona ma dostać.

— Zgoda na to, rzekł Adam; ale papierów ani arbitrom, ani nikomu do przezierania nie dam...

— Jakto... nie dam? zakrzyczał przyskakując gospodarz.

— Ale pozwól! przerwał nieco go powstrzymując suchy: to się ułoży.

— Nie mam przyjemności znać pana, rzekł Adam; z jakiego tytułu pan tu stajesz?

— Z tytułu umocowanego od rodziny hrabiów O... zawołał suchy, któremu oczy się iskrzyły, z akcentem szyderskim. Moim tytułem najlepszym jest wola przytomnego tu kasztelana, który w swym domu jest panem.

— Ale to przemoc niesłychana! to gwałt!

— Wszak przeciw niemu są trybunały! odparł suchy. Pan możesz pozywać, skarżyć, procesować... nie sprzeciwiamy się...

— Tak! i z grobu tę biedną, zacną niewiastę wyciągać.

— Ha! jeżeli mu się podoba.

— Panie kasztelanie — dodał dotknięty Adam— jeżeli w pudełku, które mam przy sobie, są jakie klejnoty, ja je panu z chęcią oddaję...

— Są! są! naszyjnik brylantowy, spadek po babce wartujący pół miliona, i wielki soliter familijny, za który poszedł klucz nad Dniestrem...

— Więc wejdźmy do pokoju, zobaczymy... śpiesznie rzekł Adam...

— Co to do pokoju? po co? tupiąc nogami z niecierpliwości i ściskając pięści krzyknął gospodarz, mimo wieku przypominający rozgrymaszone dziecko: daj mi to zaraz co niesiesz... dawaj!

W koło stojąca ciżba słuchała i patrzała; byli tacy, co się uśmiechali. Jermaszka nie puszczał pana, ale załamał ręce i płakał.

— Panie mój! wołał: oddaj im co zechcą, oddaj wszystko. Ludzie patrzą—uciekajmy.

Pan Adam upierał się.

— Siłą chyba wydrzecie mi to, co dla mnie stanowi pamiątkę! zawołał. Nie dam obcym oczom ani obcym rękom robić inwentarza uczuć zmarłéj mojéj opiekunki.

— Niech mi zaraz oddaje! krzyczał kasztelan; wydrzeć mu! Dosyć się ja nacierpiałem, póki żona żyła, od tego jegomości; jeszcze mi będzie klejnoty zabierał! A to co? jeszcze czego!

— Życzę i proszę nie dopuszczać do ostateczności,

dodał suchy zimno i stanowczo: jesteśmy przeważnie silniejsi.

Tu i owdzie parskały szyderskie śmiechy w ciżbie naciskającéj się do koła. Pan Adam czuł, że uległszy w oczach wszystkich, da na siebie oręż nieprzyjaciołom, więc uparł się.

— Albo siły użyjecie, przeciw któréj bronić się będę do ostatka, albo odejdziemy gdzieś w przyzwoitsze miejsce dla ukończenia téj sprawy, profanującéj świeżym zgonem uświęcony dom.

— Na rany Chrystusa Pana! odezwał się ksiądz, który dotąd stał z dala: panie kasztelanie, zwłoki obok spoczywają, nie czyńcież skandalu, nie uwłaczajcież pamięci nieboszczki! Nie wiem o co wam idzie, ale się nie godzi!

Gospodarz, który w wielkiém wzruszeniu chustkę od twarzy odjął, zwrócił się nagle, pochwycił za rękaw pana Adama, i sam go pociągnął gwałtem do sąsiedniego pokoju. Bezprzytomny z gniewu i przestrachu, nie opatrzył się, że go wprowadził z sobą do sali, w któréj leżały zwłoki umarłéj; aż gdy stanęli w pośrodku i ujrzeli ciało martwe, około którego sługi się krzątały zajęte ubraniem, kasztelan wylękły cofnął się, puściwszy Adama.

Ale zaraz w progu oprzytomniał, pochwycił znowu zbiega i pociągnął do drugich drzwi. Odbyło się to w mgnieniu oka. Poczciwy Jermaszka na krok nie odstępował pana. Popychano go, starano się ich rozdzielić, on oddawał sturchańce heroicznie, nie patrząc komu się dostawały, i cisnął się bojąc, aby pan jego nie pozostał na łasce nieprzyjaciół.

Drugi ten pokój, do którego weszli, pełen był jeszcze lekarstw, zapachu kadzideł, spirytusów i przyborów,

jakie ciężka choroba wiedzie za sobą. Jedna świeca jarzęca żółta, z fizyognomią grobową, paliła się na stole, zarzuconym szarpiami, flaszkami i słoikami.

— No! dawaj! naszyjnik i solitera! zakrzyknął kasztelan, znów tupiąc nogami.

Pan Adam dobył pudełko z zanadrza, rzucił je na stół, ale popatrzał ostro na zbliżających się, grożąc tym, coby przystąpić śmieli.

— Klnę się — rzekł — uczciwém słowem szlacheckiém, że nie wiem co się tam znajduje; przysięgam na to... A teraz (nacisnął sprężynę, i wieko odskoczyło) patrzajmy.

Najprzód wypadł papier złożony we czworo, potoczył się po stole, i kasztelan pochwycił go chciwie. Chudy stanął za nim czytać.

Była to poświadczona kopia ostatniéj woli nieboszczki Julii Z... O..., sporządzonéj tajemnie, ale przy wiarogodnych świadkach, któréj oryginał złożony był w rękach duchownego... Rozporządzała w niéj całą swą własnością osobistą na rzecz wychowańca Adama O.., legując mu wszystko aż do najdrobniejszych ruchomości, klejnoty, precyoza i t. p. Kasztelan pobladł i począł bełkotać.

— To nieważne! nieważne! *subrective*, *dolose* zrobione! Tak? spojrzał na suchego.

Suchy miał minę chłodną i milczał, ale kwaśny był jakoś.

W pudełku, które przed sobą trzymał spadkobierca, widać było istotnie klejnoty, a pod spodem papiery, ale gospodarz obawiający się procesu tknąć ich nie śmiał mimo chciwości, jaka w jego oczach błyskała. Poczuł, że nie miał słuszności, że napastował i zelżył człowieka, który jeśli niedelikatnie, to prawnie swą własność odbierał.

— Gdy ś. p. nieboszczka pisała to—wybełkotał,—nie była przytomna... w chorobie, wiadomo wszystkim, zwaryowała, było delirium...

— Testament—szepnął suchy—jest na miesiąc przed chorobą sporządzony, ale może być antidatowany.

— Tak! oczywiście! antidatowany!

— Tylko że są świadkowie—dodał poradca, chcąc kasztelana wycofać i trącając go łokciem.

Kasztelan rzucił o stół papierem ze złością.

— Testament jest ważny! zakrzyczał burząc się z gniewu pan Adam; jest ważny i święty!... Pójdziemy z nim przed sądy, a gdy go sądy uznają, bo muszą, naówczas ja go sam zedrę, bo nic od was nie chcę, prócz żebym ztąd wyszedł czysty... Nie przyjmę daru żadnego i nie potrzebuję.

To mówiąc wyrzucił na stół naszyjnik brylantowy, spinkę z soliterem jak orzech laskowy i inne kosztowności, wytrząsł pudełko, w którém zostały tylko papiery, zamknął je, odebrał testament i dodał:

— Temi precyozami, panie kasztelanie, rzucając o stół, rzuciłem ci w twarz—policzkuję cię niemi! Słyszysz?

Wszyscy umilkli, rozstąpili się, a Adam z Jermaszką powoli, z powagą, jakiéj nigdy nie miał w dobréj doli, wyszedł z pokoju... Po drodze spoglądający nań ludzie nie śmieli się już, ale truchleli...

— Niech go tam dyabli wezmą tego chłystka! odezwał się z płaczem zdziecinniały kasztelan—ja nic nie chcę! oddajcie mu to, zanieście za nim! To impertynent, grubianin, on mnie będzie prześladował i nękał. Gońcie za nim!

Ale nikt się tego podjąć nie chciał, i gospodarz zapłakany wysunął się do swych pokojów, wyrzucając

suchemu doradcy, że go w taką biedę wprowadził i na wstyd naraził.

Chociaż z honorem wyszedł z tego p. Adam, scena wszakże różnie bardzo opowiadana i tłómaczona rozeszła się po mieście, a nieprzyjaciele Adama starali się mu zaszkodzić opisem wypadku... Większa część łatwowiernych utrzymywała, że klejnoty, które potajemnie zabrał i unosił po śmierci Julii, siłą mu odebrano.

Na pokojach Krystyny tego wieczoru właśnie było świetne zgromadzenie, zawsze z powodu przybycia dostojnego gościa hrabiego de St.-Géron. Wszystko co miał dwór i miasto najokazalszego, najświetniejszego, zebrało się na kolacyę do kasztelanowéj. Kolacye były naówczas bardzo w modzie we Francyi i w Polsce.

Pani domu od dni kilku wyglądała jak odrodzona, jaśniała znowu młodością, wdziękami, dowcipem i umysłem, dla którego najpoważniejsze kwestye nie były niedostępnemi. Podziwiano ją i szeptano sobie, że z temi darami łatwo potrafi sobie męża utraconego zastąpić kim zapragnie. Było już nawet kilku wzdychających, ale dawny ulubieniec jako przybylec z pewnemi prawami pozyskanemi do serca bogini, wszystkich teraz wyprzedził i odsunął. Pierwszeństwo, które mu dawano, było widoczne. Zazdrośni wzdychali, patrząc na piękną Krzysię, która tak się zdawała spokojną i wesołą, jakby wąż zemsty nie opasywał i nie gryzł jéj piersi. A w téj saméj chwili uśmiechając się do gości i kochanka, myślała tylko o zemście; jéj

piękność, blask oczu, odmłodzenie, wszystko to rodziło się z tego ognia namiętności, co ją trawił.

Po długiéj i ożywionéj rozmowie o krajach obcych, o podróżach, zwyczajach ludów, w któréj hrabia dowiódł ile widział, przeżył, przewędrował i jak dowcipnie opowiadać umiał, najmniejszéj drobnostce nadając charakter właściwy i znaczenie,—zeszli jakoś na współczesne sprawy, na stolicę, dwór, znajomych. Ktoś się odezwał z nowiną o niebezpiecznéj słabości kasztelanowéj Julii.

— Biedna zagrożona jest, co najmniéj zupełną stratą wdzięków, albo może nawet życia...

Krystyna spytała sąsiada, dosłyszawszy tych wyrazów:

— Cóż to takiego? ospa? Ale czyż to być może! Któż może na ospę chorować?

— Masz pani słuszność, odrzekł głos męzki z daleka: na ospę w tym wieku już się nie choruje, ale umiera.

— O! mój Boże! na cóż tak straszne przepowiadać rzeczy!

— Nie jest to już przepowiednią! zawołał ktoś z cienia niepostrzeżony.

— A cóżby to było? spytała z uśmiechem gospodyni.

— Jest to fakt spełniony... Hrabina Julia przed godziną żyć przestała...

Wiadomość o każdéj śmierci przeraża, tém bardziej gdy przychodzi niespodzianie wśród wesela; natenczas bywa cebrem zimnéj wody wylanéj na głowy rozgrzanym swawolą.

Głuche milczenie ogarnęło salon przed chwilą jesz-

cze tak ożywiony; anioł śmierci przezeń przeleciał, i chłodne za nim po sercach powiało powietrze.

— Jak to być może! drżącym głosem ozwała się Krystyna spuszczając oczy; ależ jeszcze dziś rano...

— Jeszcze żyła przed godziną... dodał głos z kąta.

Oczy wszystkich zwrócone były na panią domu, która zarumieniwszy się z razu, pobladła... Goście poczuli, że po tym dzwonie pogrzebowym wszelka dalsza rozmowa będzie niepodobieństwem, i w milczeniu rozchodzić się zaczęli.

Krystyna zadumana pozostała na kanapie.

Gdy po chwili obejrzała się w koło, zobaczyła tylko jednego opodal u okna stojącego hrabiego St.-Géron'a, który zdawał się oczekiwać na odprawę.

Wstała żywo z siedzenia i podeszła ku niemu.

— Palec boży! zawołała jakby w gorączce: ostatniego obrońcę Pan Bóg mu odbiera; teraz go zgnieść i upokorzyć potrzeba... Pamiętaj—dodała—dałeś mi słowo, oto ręka moja... Nazajutrz po jego śmierci jestem twoją na wieki; ale on musi zginąć, albo zniknąć i pójść precz z tego świata, w którym ja żyję.

— Dość mi twojego rozkazu, rzekł Francuz z dziwnym uśmiechem; spełnię com przyrzekł, ale na to potrzeba czasu. Jestem tu człowiekiem nowym, nie mogę wprost przyjść do niego i położyć mu miecz na gardle; rzecz byłaby nadto widoczna, zbyt wyraźna, żeś pani mnie nasłała na niego. Przygotuję trochę, naprowadzę... zresztą przyjść powinno samo.

— Przyjdzie samo! przerwała Krystyna: bijesz się jak nikt, a o pojedynek łatwo.

— W istocie biję się nieźle! uśmiechając się rzekł Francuz—ale potrzeba wynaleźć powód do spotkania.

— Chciéj tylko...

— Będę go szukał...

— Masz rękę moją... serce od dawna do ciebie należy...

— Bądź spokojna... człowiek ten także umarł dzisiejszéj nocy...

Nazajutrz, gdy po bezsenności ciężkiéj na łożu, które nazwać było można istotnie łożem boleści, dźwignął się pan Adam, ujrzał z podziwieniem u nóg swych na ziemi siedzącego Jermaszkę, z książką od nabożeństwa, a oczyma w niego wlepionemi. Sługa poczciwy czuwał i płakał.... Ta postać pokorna, niepozorna, prawie śmieszna swą naiwnością i prostotą wiejską, pozostała sama jedna przy odepchniętym i pomiatanym człowieku, który już nikogo nie miał na świecie, prócz oddalonéj i zapomnianéj matki. Adam poczuł, że jedyne dziś węzły, co go jeszcze łączą ze światem, z życiem, są te właśnie, które on sam potargał; jedyném dla niego schronieniem był dom rodzicielski, jedynym przytułkiem łono odepchniętéj macierzy. W szczęściu, w powodzeniach, zapomniał był o niéj; teraz ta postać sługi, wysłańca cichego domu, przypomniała mu całą straconą i zatartą przeszłość. Zastygły, zobojętniały, poczuł jakby promyk słońca rozgrzewający mu serce. Czego dokazać nie mogło szczęście, zrobiła niedola: człowiek ten zaczynał czuć i kochać. Wczorajszy gniew i doznane upokorzenia wyrwały go z fałszywéj kolei, wyrzuciły ze świata obcego mu, i choć jeszcze nowych dróg dla siebie znaleźć nie umiał, już ich myślą szukał.

Z wejrzeń Jermaszki widać było, że poczciwy sługa zgaduje myśl swojego pana. Przy najniewdzięczniejszéj postaci, która w nim pokrywała umysł żywy i łatwo przenikający, Jermaszka miał złote serce. Niewtajemniczony w życie swego pana, z drobnych oznak potrafił je odgadnąć: wiedział o zadanych mu ranach, patrzał na upokorzenia, na prześladowanie, nie śmiał się odzywać nigdy, ale z prostotą serdeczną szukał na to lekarstwa i znajdował, że jedno wiejskie zacisze, wyrzeczenie się widoków ambitnych, mogły pana uleczyć. Ale między nim a panem przestrzeń była ogromna: nie śmiał się odezwać, uważano go zawsze w domu za wcale podrzędną istotę, dobrą do posługi, ale głupowatą. Powierzchowność nieszczęśliwa źle o nim uprzedzała; zaczynał od tego każdy, że się z jego niezgrabności naśmiewał. Trzeba było żyć z nim, patrzeć z blizka, aby dobyć z téj bryły nieokrzesanéj drogi kruszec, który we środku był zamknięty.

Kasztelan pierwszy wcale go nie odgadywał: wierzył w serce, nie domyślał się nawet rozsądku i przenikliwości w tym słudze, dla którego świat większy, ludzie téj sfery musieli być nierozplątanemi zagadkami... Trafia się to nieraz na świecie, że ludzie różnych pojęć zmuszeni są żyć obok siebie, i ze swego stanowiska sądzą o towarzyszach podróży; bywa często, że niżsi nietrafnie wyrokują o rzeczach przechodzących ich wyobrażenia, ale szkielet domowego życia, ogólny plan jego, oni często widzą jaśniéj niż ci, co go tworzą. Z wysokich stanowisk życia o niższych sądzi się fałszywiéj, niż z nizkich o wyższych—dla czego? bo na dole sądzi się wedle instynktowych ogólnych zasad i praw natury ludzkiéj, gdy z wysoka bierze się rzeczy raczéj z umówionych konwencyonalnych punktów

widzenia. Skala ta ledwie starczy na to, do czego jest zrobiona, a do innych spraw zastosowana, miarą jest całkiem fałszywą. Jermaszka mógł zrozumieć kasztelana, gdy Adam nie był w stanie pojąć swego sługi.

Blady, drżący wstał z łoża p. Adam; przypomnienie wypadków dnia wczorajszego piekło go straszliwie, rumieniło mu czoło, rzucało sercem w piersi, jakby ją rozszarpać miało. Po tém, co się stało, niepodobna było pozostać w Warszawie; ale wprzód należało hardo postawić czoło potwarzy, i uchodzić z placu dobrowolnie, obronną ręką, nie zaś wypędzonemu haniebnie. Adam czuł potrzebę wygadania się, użalenia; potrzebę kogoś, komuby się zwierzył, kogoby spytał, z kimby położenie swe rozważył... Zostawał mu jeden tylko Jermaszka — niestety!

Spojrzał na niego. Bojaźliwy wzrok sługi spotkał smutny wzrok wywołańca.

— Czyś nie chory panie? spytał po cichu.

— Nie—rzekł Adam—alem znękany i zesłabły.

Westchnął, trąc ręką czoło.

— Nie był tu wczoraj pan Floryan?

— A gdzieżby on teraz przyszedł! odezwał się Jermaszka. Ci miejscowi przyjaciele, to do półmiska dobre: idzie to na dymek kuchenny, ale od cierpiącego ucieka. Ani pana Floryana, ani żywéj duszy nie było.

Obaj zamilkli, mierząc się oczyma.

— A! panie mój, panie! rzekł po chwili Jermaszka: gdybyś pozwolił po staremu sobie powiedzieć, jako wiernemu słudze—co my tu robić mamy? po co siedzieć? do czego się męczyć?

— A cóż chcesz bym uczynił? spytał kasztelan.

— Ja to myślę, onoby najlepiéj było powrócić do chaty... szeptał sługa. Małeć to swoje, ubogie, ale

spokojne. Po co panu te złociste progi i tyle zabiegów, aby sobie kupić zgryzotę? Ludzie nas nie chcą, i my ich nie pragniéjmy.

Dziwnie spojrzał pan Adam na Jermaszkę, i blady uśmiech przesunął się przez jego usta.

— Mój kochany—rzekł—nie byłeś nigdy żołnierzem!...

— Nie, ono to się nie było, proszę jegomości; ale dużo znałem i widywałem żołnierzy różnych, i ono to się nasłuchało od nich o różnych różnościach, co się tycze wojny... odpowiedział Jermaszka.

— Więc wiesz może—zawołał pan Adam—że gdy żołnierz wyjdzie na plac, a stanie do boju, choćby siły nieprzyjaciela były wielkie, nie godzi mu się uchodzić; potrzeba się bić i ginąć... a przynajmniéj szablę zakrwawić, nim się życie ocali.

Jermaszka słuchał z uwagą.

— Nieboszczyk stryj matki mojéj—rzekł—bo nikogò bliższego nie miałem, proszę jegomości, powrócił bez nogi do domu; otoż gadywał dużo o wojnie. Powiadał, że choć się bił dobrze, to nieraz uchodził, gdy nieprzyjaciel przeważał.... Onoby się też zdawało—dodał—że potrzeba nam także iść powoli odstrzeliwając się, ale rejterować, paneńku... rejterować!

Kasztelan popatrzawszy na niego, głową tylko dał znak, że na jego zdanie przystaje.

— Tak jest—rzekł—ujdziemy i my bijąc się, ale pierzchnąć z placu nie wolno.

— Ani się poddać, i z nieprzyjacielem, który ściga, wchodzić w układy.

— Bądź spokojny! odparł Adam. Ani oni ze mną, ani ja z nimi w żadne traktaty nie wejdę. Dopókim im jako ubogi szlachcic służył po pańskiéj myśli, pó-

kim im schlebiał, dworował, przyjmowali mnie za swojego; gdym zapragnął być sobą, swobodnym, popchnęli mnie!...

Kasztelan mimowoli z żalem się wygadał, ale spojrzawszy na Jermaszkę, zdziwił się sam sobie i powstrzymał. Zdawało mu się, że popełnił niedorzeczność, tak wzniosłe prawdy rzucając człowiekowi, który zrozumieć go nie mógł. Sługa dech wstrzymał, tak był szczęśliwy z tego zwierzenia; instynkt go ostrzegł o myśli pana—spuścił głowę, zamilkł, i po przestanku dopiero zebrał się na odpowiedź.

— Nieboszczyk jegomość—rzekł—zawsze mawiał, że strzelbie, koniowi, kobiecie (z pozwoleniem) i panom nigdy się dowierzać nie godzi. Jedno może wystrzelić, drugie ponosić, trzecie zdradzić, a czwarte... opaskudzić człowieka (z przeproszeniem) kiedy się najmniéj spodziewa. I daćby im już spokój!

— Tak, mój poczciwy przyjacielu, szepnął pan Adam; sam jeden, bezsilny, muszę ustąpić. Ale—dodał nawpół do siebie—pragnąłbym dziś jeszcze więcéj niż kiedy wnijść między nich, zrównać się z nimi nie wiem jaką ofiarą, aby z kolei upokorzyć — i pomścić się!...

— E! proszę jegomości, podchwycił Jermaszka: ono to zemstę lepiéj na Pana Boga zdać, a plunąć na te sprawy. Co nam z niéj przyjdzie? to szatanowi świeczka, a duszy ledwie polizówka. W świecie to ono tak idzie, że co złe, to się samo na sobie mści... Już nic nam, tylko uciekać... proszę jegomości! Albo to nam w Wólce tak źle będzie? albo to chleba a choćby i pieroga zabraknie? albo to głód, albo co? Spokój, święta cisza i swoboda; nikt tam kołków nie przyjdzie ciosać na głowie.

— Mój kochany... począł kasztelan, ale się zaraz wstrzymał. Rzekłbym ci coś, ale ty mnie nie zrozumiesz....

— To nic, proszę jegomości, niech się jegomość wygada, zawsze to lżéj, jakby się w kaszlu flegmę zrzuciło. A może ja też co i skmetuję.

— Wam, mój kochany, takie życie starczy i chleb ten smakuje; ale mnie, com już do innego przywykł, com zakosztował innego... ta cisza, i ten spokój, i te wiejskie rozkosze...

Machnął ręką pan Adam.

— Ono to się trochę rozumie, odparł Jermaszka; ono to i prawda po trosze... Ale co to, proszę jegomości! od prostych a zdrowych rzeczy to choć człek odwyknie, łatwo się do nich przyzwyczai. Na polewkach pańskich przyjdzie rychléj niesmak i znużenie, a chleb razowy zębów nie połamie i nie przeje się nigdy... Warto spróbować.

I zbliżył się Jermaszka, ściskając go za kolana prawie ze łzami.

— Człeczysko to głupie—rzekł cicho—ale są takie rzeczy, że się ono rozumie, jak nie głową to sercem, proszę jegomości. Ej! ej! posłuchajcie dobréj rady choćby od głuptaska, wracajcie na swój zagon, do staréj matki: zobaczycie, że wam się serce uleczy, a pamięć wyzdrowieje... Cożeście tu mieli za szczęście? a ile bolu!

W téj chwili zapukano do drzwi. Pan Adam zdziwiony, bo się już nikogo nie spodziewał, z jakąś iskierką nadziei zwrócił się ku drzwiom; prysnęły przed nią wszelkie postanowienia, z pośpiechem gorącym zawołał:

— Proszę!

Blady jak ściana wcisnął się raczéj niż wszedł do pokoju pan Floryan zwany Malutą, ale... o! *quantum mutatus ab illo*—jak zmieniony do niepoznania! Owo pokorne człeczę, co się w szczęśliwszych czasach tak nizko kłaniało panu kasztelanowi, w progu już znać było, że za łaskę i ofiarę miało sobie to, iż go teraz przyszło opuszczonego nawiedzić. Jakiś snadź ważny powód napędził go pod drzwi niedoli. On, co z taką wymuszoną pokorą zawsze spotykał Adama, stał teraz zafrasowany nie wiedząc od czego począć; ale gdy się Jermaszka czując, że im zawadza, wysunął—pokłonił się i odezwał głosem, którego nastroić do okoliczności nie umiał:

— Cóż się to stało *kochany* kasztelanie, wczoraj tam, u ciała nieboszczki? Jakaś brzydka awantura? Całe miasto mówi o jakiéjś scenie, ażem się tu przybiegł poinformować!.. Mówiąc szczerze, *zawsze* mnie obchodzi wszystko, co *go* dotyka.

— Nie mam ani co taić, ani się z czego tłómaczyć, odparł pan Adam. Rzecz bardzo prosta: byłem wychowańcem, jakby przybraném dziecięciem kasztelanowéj nieboszczki; powzięła ona myśl niepotrzebną zostawienia mi po sobie resztek swojego majątku, których mąż jeszcze nie zmarnował. Była bezdzietna i w prawie rozporządzania tą częścią fortuny, jaką mi legowała... W chwili jéj zgonu, oddano mi nieprzytomnemu prawie szkatułkę, którą kazała mi wręczyć natychmiast. Nie wiem kto podszczuł kasztelana, by mnie pod pozorem, iż przywłaszczam sobie jakieś jego mienie, wychodzącego zatrzymał. Stało się to publicznie i w sposób niegodny człowieka, który się tego dopuścił w obec niezastygłego jeszcze ciała swéj żony... Dobyłem sam ową szkatułkę, nie wiedząc co w niéj jest. Okazał się

formalny testament, ale go zdarłem i odrzuciłem. Nie przyjmę nic!.. nic nie chcę!...

Floryan słuchał zdziwiony i niedowierzający.

— Tak to było? zapytał z wolna.

— Tak jak ci mówię, ani mniéj, ani więcéj.

— A cóż pan myślisz począć z sobą daléj... potém?

— Zapewne opuszczę Warszawę...

— Ale dokądże?

— Tego jeszcze nie wiem; namyślę się.

Pan Floryan podumał także chwilę.

— Życzliwym jego sługą *zawsze* będąc, nie wiem co już radzić—rzekł. A król?

— Król w téj chwili nie ma dosyć siły, by jednego prześladowanego poddanego swego wyratował—odparł pan Adam.

— Więc kwitujecie z naszego świata, i nie myślicie już więcéj szczęścia próbować? spytał Maluta.

— Nie myślę, rzekł kasztelan. Ale czekajcie! nie sądźcie, abym znowu tak stchórzywszy miał uciekać... Zostanę tu jeszcze czas jakiś, pożegnam was, odejdę, gdy wybije moja godzina, którą sobie sam naznaczę....

Wyrazy te wyrzekł z pewnością siebie, która zastanowiła Malutę. Pan Floryan domyślał się pod nią skrytéj jakiéjś siły, nie mogąc zrozumieć jéj pochodzenia. Spojrzenie badawcze w oczy kasztelanowi nic go nie nauczyło. Pierwszy raz w tym człowieku dobadawszy się energii, spokorniał przed nią. Zwykł był wszelką siłę szanować.

— A no, tak! zawołał. To bardzo dobrze! to wybornie! należycie! ślicznie! Ja zawsze utrzymywałem, że pan kasztelan potrafisz z tego wybrnąć z honorem!...

— I możecie być o mnie spokojni, odparł dumnie pan Adam: potrafię się wyrzec wszystkiego i wzgardzić tém, co mi wczoraj wysokiéj zdawało się ceny.

— A nie byłożby innego wyjścia nad wzgardę? spytał kusiciel z uśmiechem.

— Nie widzę, rzekł pan Adam.

— Chwytając się tych, co ludzi potrzebują—poddał Maluta.

— Kogo? mów jaśniéj! Kto mi wyciągnął rękę? kto mi dał dowód, że na niego liczyć mogę? Nikt!..

— No! no! o tém potém, jeszcze może—zabełkotał Floryan—swojego czasu pomówimy.

Kasztelan zamilkł obojętnie. Chłód jego pozorny, ale dobrze odegrany podrażnił Floryana; nie rozumiał już nic, widział jakieś nadzieje, których odgadnąć nie umiał. Spróbował odgrzebywać, zaczepiał w rozmowie o parę rzeczy, o króla, o ambassadorów, ale p. Adam milczał posępny.

— Cóż tu tak WP. Dobrodziéj siedzieć będziesz sam w domu? odezwał się w końcu. W światby wynijść należało, jeżeli mi radzić wolno.

— Po co? zapytał kasztelan.

— A no, choćby się rozerwać i czarne myśli rozpędzić....

— Nim nawet ta, któréj winienem wszystko, została pogrzebiona?

— Zdaje mi się, że niepotrzeba, aby go ludzie posądzali czy to o żal zbyt wielki, czy o stosunki zbyt ścisłe — cicho odpowiedział Maluta.

Kasztelan ruszył ramionami.

— Niech sobie myślą i mówią co chcą... Ona stanęła przed sądem bożym, ja powinienem znieść wszystko... Zostaw mnie pan samemu sobie.

Słowa te wyrzekłszy z goryczą, kasztelan padł w krzesło, a Maluta widząc go pogrążonym w zadumie, wysunął się po cichu. Był on widocznie szpiegiem wysłanym na wzwiady, ale się o niczém nie dowiedział prócz smutku, którego się mógł łatwo domyślić, nie widząc go nawet.

Długą chwilę ciszy przerwał mały szelest, w którym się łatwo było dorozumieć Jermaszki. Po pierwszéj z nim rozmowie, kasztelan czuł dla niego jakąś ufność; on jeden jaśniejszą drogę wśród tych manowców mu wskazywał. Zwrócił się do niego, ale oczyma tylko; sługa także poglądał na niego z niewysłowioną czułością.

— Panie! ach panie mój! ozwał się po chwili: jedźmy! wracajmy!

— Pojedziemy, powrócimy! rzekł Adam. Czekaj! wybije godzina, stanie się czegoś chciał; nie-miłoby mi tylko było, aby sądzili, żem uciekł przed nimi.

— Niechby się ono sobie myślało coby chciało! westchnął sługa; a nam co po tém, co się tam tym trutniom w głowie kręci!

Zamilczał pan Adam. Sługa także zamilkł z pokorą, i po chwilce znowu się wysunął, zostawiając go w samotności, któréj potrzebował.

Łatwo się dorozumieć, jakim plotkom i powieściom wypadek w domu kasztelana O.... dał początek. Opowiadano sobie na ucho całą scenę u łoża śmierci, malując ją najjaskrawszemi barwami. Otaczający Krystynę najgorliwsi byli w roznoszeniu wiadomości przykrojonych do ich usposobień, i nie żałowali w nich Adama, którego rolę starano się jak najpoczwarniejszą uczynić. A tak niewiele potrzeba, by prawdę nawet zachowując w osnowie, zmienić jéj znaczenie!... Przyjaźniejsi Adamowi milczeli, nie mieli czém zbijać tych baśni. Żona tryumfowała.

Nadszedł dzień pogrzebu Julii, na który nawet zapraszającéj karty nie posłano panu Adamowi, ale kareta jego poszła wszakże za żałobnym orszakiem, i on sam w niéj pojechał, smutny, przybity... Widzieli go ciekawi; to dało znowu powód do różnych tłómaczeń i gawęd.

W ogóle wszystko się teraz odsuwało od Adama. Opuszczali go jedni po drugich, a staraniem Krystyny pustynia roztaczała się coraz szerzéj; codzień przekonywał się mocniéj, że mu już nikt nie pozostał prócz zajadłych nieprzyjaciół i garstki obojętnych. Od

śmierci Julii nikt do drzwi jego nie zapukał, p. Floryan przyszedł raz, chciał wybadać i nie pokazał się już więcéj.

Pan Adam siedział w domu, był parę razy w zamku, ale nie miał szczęścia oglądać twarzy królewskiéj, a na listowne domagania się audyencyi, król odpisał wprawdzie bilecikiem własnoręcznym, obwinąwszy gorzką pigułkę pięknemi słówkami, ale dał mu do zrozumienia, że nie mogąc nic zaradzić, nie chce go próżnemi łudzić nadziejami.

W przypadkowych przechadzkach spotykał ludzi, co mu się z daleka kłaniali, ale wszyscy prawie szybko uchodząc, zdawali się unikać rozmowy i zbliżenia, lub znacząco odwracali głowę, aby nawet nie oddać ukłonu....

P. Adam gorzko się uśmiechał. Zrozumiał wreszcie, że mu tu nic nie pozostało do robienia.

Tak zbiegło kilka tygodni... W gazetach holenderskich ukazał się (bez nazwisk osób wprawdzie) opis jego historyi i historyi miłości Julii dla niego, krzywdzący dla niego szczególniéj i widocznie przesłany z Warszawy. Nie wiadomo czyja ręka podrzuciła mu ten numer niby pocztą przesłany, aby poczuł cios, który mu zadano.

Rozdraźniło to Adama do tego stopnia, że natychmiast ukropem i żółcią napisaną odpowiedź przesłał do téj saméj gazety, i sowicie opłaciwszy umieszczenie, gdyż takich przysmaków druk na wagę złota okupować było potrzeba — miał przyjemność czytania wkrótce swéj odpowiedzi, któréj liczne egzemplarze sam po Warszawie rozrzucić się starał. Nie spodziewano się w obozie przeciwnym, aby mógł tak śmiało

wystąpić. Artykuł Adama podyktowała rozpacz: odsłonił on wiele rzeczy niespodzianych, i straszliwą wrzawę wywołał między przyjaciołmi Krystyny, która udawała, że o zaczepce wcale nie wie. Adam nie kryjąc się wcale z autorstwem odpowiedzi, zapisał swoją ręką egzemplarz dla żony przeznaczony, i swoją go zamknął pieczątką.

Kończył się on temi słowy: „Smutna ta i wstrętliwa historya, któréj prawdziwy rys podajemy dla odparcia zupełnie fałszywych powieści, przez interesowane do ukrycia istotnéj prawdy osoby rozgłoszonych po dziennikach. Nie dajemy jéj obszerniéj z dowodami i szczegółami tym razem; jest ona tak rozciągła i tak nieprawdopodobna, że potrzebuje być koniecznie popartą usprawiedliwiającemi aktami. Jeżeli okoliczności wymagać tego będą, aby prawda w całym blasku odkryta została, a oszczercy zawstydzeni, wydrukujemy ją naówczas w Amsterdamie, i jesteśmy ku temu przygotowani. Posłuży ona za dowód zepsucia społeczeństwa młodego, pełnego życia i gwałtownemi poruszanego namiętnościami i t. d.“

Nazajutrz po wysłaniu tego numeru gazety holenderskiéj do Krystyny, pan Adam cały dzień spędził samotnie, nikogo do siebie nie kazał wpuszczać, co Jermaszka jak najściśléj spełnił do wieczoru. Późno już dosyć zafrasowany przyszedł wszakże oznajmić panu, że Floryan domaga się gwałtownie widzenia z nim koniecznie i bez zwłoki.

Z tego jednego już wnieść było łatwo, że Maluta, który wprzódy inne miał rachuby na kasztelana, teraz przeszedł do obozu żony i stał się jéj narzędziem; zrozumiał to pan Adam, lecz postanowił udawać,

że się niczego nie domyśla... Istotnie Krystyna go znowu wyprawiła dla wyszpiegowania dalszych zamysłów męża.

Floryan chcąc się koniecznie do dawnego wkraść zaufania, wszedł pokorny; domyślał się, że pokorą z człowiekiem tak dumnym jak kasztelan, wiele w chwili opuszczenia i zaparcia przez wszystkich zrobić można.

Skłonił się po staremu bardzo nizko, począł go ściskać, wpatrywać się w jego zbladłe lice, użalać nad wymizernieniem.

— O miły Boże! jakże to pan kasztelan wyglądasz! zawołał łamiąc ręce; doprawdy, aż mi strach o jego zdrowie... Trzebaby się przejechać, rozerwać.

— Nie tylko przejechać, ale wyjechać, odparł kasztelan. Jak tylko pokończę co tu jeszcze mam do czynienia, wyruszam.

— No! a nie możnaby wiedzieć pokornemu słudze—dokąd?

— To moja tajemnica.

— A! jeżeli tajemnica, nawet dla oddanego mu całą duszą człowieka, to się już nie śmiem domagać.

Mimo tego zapewnienia p. Floryan wyglądał na dziecko, które dla tego się tylko nie napiera i mówi o swéj grzeczności, aby mu upragnione dano ciasteczko.

Oczy jego błądziły po papierach rozrzuconych na stoliku kasztelana, i padły zaostrzone ciakawością na ów numer gazety, zawierający ustęp, o którym wspominaliśmy.

— A! a! widzę, że i pan to już masz, rzekł biorąc w rękę. Dużo o tém mówią w mieście. Cóż pan sądzisz?

— Rozumiesz, iż za nadto interesowany jestem w téj sprawie, nie mogę bezstronnego dać zdania; ale cóż mówią ludzie?

— Różnie różni. Świat jest zawsze rad skandalom... to łakocie.

— Wywołano to zaczepką nieprzyzwoitą, rzekł kasztelan. Musieli się wyzwani bronić jak mogli... Nie trzeba było wilka wywoływać z lasu.

— Najwięcej wszystkich intryguje ta w końcu obietnica — dodał uśmiechając się p. Floryan — owéj książki całéj o... wypadkach już zapomnianych... Miałożby to w istocie przyjść do skutku?

— Dla czegożby nie?

— Więc to nie próżna groźba tylko?

— A na cóżby się ona przydała?

Maluta chodził po pokoju, zaglądając po wszystkich kątach niespokojny.

— Skazałeś się kochany kasztelanie na taką samotność... rzekł w końcu. Tego, jeżeli przyjmiesz moją głupią, ale serdeczną radę, nie pochwalę. Chcąc walczyć potrzeba, czoło nastawić, a nie kryć się w kącie. To zła rachuba i rzecz sama z siebie denerwująca. Ludzie zawsze łacniéj obwiniają tych, których nie widzą, którzy się im nie bronią, słuchają jednéj strony tylko. Łatwiéj ich nakłonić niż się zdaje, ale potrzeba na to popracować.

— Wiem ja to wszystko, rzekł pan Adam, alem jeszcze na sobie wymódz nie potrafił powrócić nieco do tych ludzi, którzy tak łatwo obeszli się i obchodzą bezemnie... Żywéj duszy nie widziałem, nikt się nawet o mnie dowiedzieć nie przyszedł.

— A! przepraszam, przerwał Floryan: komandor sam mi mówił, że tu parę razy kartę wyrzucił.

— Nic o tém nie wiem.

— Zdaje mi się, że ten nieokrzesany niedźwiedź litewski, którego kasztelan trzymasz na straży, odprawia wiele osób, nie dając nawet o nich znać panu kasztelanowi.

— To być może, i wdzięczen mu za to jestem, bo ten jeden niedźwiedź mnie kocha.

Pan Floryan się uśmiechnął.

— Szanowny panie — rzekł słodziuchno — jesteś niesprawiedliwym, nie mówiąc już o innych, choćby dla swojego sługi wiernego, jakim ja mam być zaszczyt...

Kasztelan odpowiedział ust skrzywieniem dwuznaczném, skłonił głowę, wiedział co trzymać o tém przywiązaniu.

— Nie śmiałem być zbyt natrętnym, ale w sercu...

— O! dziękuję, dziękuję ci, kochany panie Floryanie.

— Nó! a do komandora też nie myślicie choć zajrzeć? Mnie się zdaje, że należałoby, wypadało i potrzeba... rzekł Maluta widząc, że oświadczenia i czułości nie idą.

— Jużcić zapewne będę z pożegnaniem...

— Chodźmy dziś, jest mały wieczorek przyjacielski...

— Jakoś nie mam ochoty...

— Namawiam, rozrywka, dystrakcya, potrzebne, konieczne.

— Nie chce mi się.

— Potrzeba się przemódz.

— Późniéj... kiedyś... zobaczymy.

— Będę natrętnym, rzekł pan Floryan: przyjadę pod wieczór i zabiorę pana gwałtem. Leonina zaśpiewa, a tęskni biedaczka po panu.

— Ja po niéj nie.

— Osobliwsza obojętność! tak śliczna, urocza dziewczyna.

— Serce mam żałobą okryte.

— Kwiatek na czarném tle, doskonale się wydaje, szepnął z uśmiechem Maluta i odchrząknął znacząco.

— Nie lubię kwiatków, więdną zbyt prędko.

— Ale pachną i bawią oko.

Rozmowa się przerwała, ale po kilkakroć uparcie na jeden przedmiot naprowadzając, p. Floryan tak zmęczył kasztelana, że w końcu wymógł na nim obietnicę, pojechania tegoż dnia do komandora. Słowo, które nareszcie wyrwał gwałtem prawie panu Adamowi, zdawało się go cieszyć niepomału, jakby wielkie otrzymane zwycięztwo. Zacierał ręce, całował kasztelana, dowcipował, uśmiechał się, oświadczał z przyjaźnią, niezłomną i wybiegł nareszcie, zapowiadając po kilkakrotnie, że wieczorem zajedzie po kochanego kasztelana.

Nie z wielką ochotą wybierał się na ten wieczór pan Adam, nie chciał się na świat pokazywać, wiedział ile mu to nieprzyjemności sprowadzić może, ile osób nieżyczliwych spotkać będzie musiał; ale słowo się rzekło, zresztą dziwna jakaś na drobne sprawy objęła go obojętność.

Gdy o umówionéj godzinie przybył pan Floryan z wysoko i starannie ułożonym tupetem, szpadką u boku, w aksamitnym fraczku, w trzewikach na wysokich obcasach, wyglądający jakby wzięta z dziennika francuzkiego karykatura, kasztelan dał mu się pociągnąć, nie opierając się więcéj, nie myśląc prawie co czyni.

Przed mieszkaniem komandora stały już mnogie powozy, wieczór zapowiadał się bardzo świetnie. Gospodarz powitał przybyłego bardzo grzecznie i uprzejmie, troskliwie dopytując o jego zdrowie, poczém odciągnięty zaraz odszedł na stronę. Kasztelan ujrzał się otoczony od dawna mu obcym tłumem, którego oczy zaostrzone ciekawością, ze wszech stron zwracały się na niego. Przybrał minę prawie pogardliwą, obojętną, nie myśląc się narzucać nikomu. Może téj postawie był winien, że parę figur mniéj wybitnych, zbliżyło się do niego przez ciekawość. Kasztelan mówił głośno i odegrywał dosyć dobrze rolę człowieka, któremu sprawy i ludzie dosyć są obojętni, — odzywał się o nich niemal z lekceważeniem.

Po fizyognomiach poznać było łatwo, że jednych to dziwiło, drugich rozdrażniało; szeptano po kątach z przekąsem, spoglądano na niego wyzywająco. Przepływając wszakże po kilkakroć te tłumy, kasztelan szczęśliwie się przez nie przebijał, niezaczepiany wyraźniéj po drodze; zdawało mu się nawet, że ten wieczór przejdzie dosyć spokojnie i zostawi tylko po sobie wspomnienie pierwszego wystąpienia o swéj sile, po dłuższéj żałobie i odosobnieniu.

Wśród dosyć licznych gości, szczególniéj odznaczał się jeden, około którego najwięcéj skupiali się przytomni, przy którym najpilniéj zabiegał gospodarz, — cudzoziemiec ogorzały, niepiękny, niezbyt już młody, ale ubrany wytwornie, śmiały i gadający za trzech. Spojrzał on kilkakroć z ukosa na kasztelana z wyraźną niechęcią i wzgardą. Wzrok jego nawet zbyt może często zatrzymywał się na nim. Ten człowiek, którego twarzy dawniéj gdzieś widzianéj przypomnieć sobie nie mógł pan Adam, jątrzył go i wyzywać się

zdawał. Napróżno usiłował przywieść na pamięć, kędy go i kiedy mógł widzieć? Drażnił go sobą jak zagadką, nie było się kogo zapytać o niego. Pan Floryan wprowadziwszy na pokoje kasztelana, zaraz się jakoś zaszył w kątek i odszukać go już nie było podobna.

Wzrok pana Adama niespokojnie badał tę twarz, któréj oczy nawzajem szukać go i mierzyć się zdawały.

Po kilkakroć usiłował spytać o tego cudzoziemca, którego obejście, śmiałość, głośne przechwałki i dowcipy zwabiały nieustannie ciekawych do koła. Postanowiwszy wreszcie mordującą go przebić tajemnicę, począł kasztelan szukać pana Floryana, i znalazł zamyślonego, w cieniu, smutnego, z miną stworzenia, które popełniwszy psotę jakąś, czuje, że go za nią czekają razy.

— Dobrze—rzekł—żem cię przychwycił nareszcie. Mówże mi, co to jest za figura nieznośna, ten — ten, widzisz go tam, ogorzały jakiś Gaskończyk? Przysiągłbym, że go już gdzieś widziałem.

Francuz stał bardzo blizko, ale Maluta udał naprzód, że go nie zna, co było zupełném niepodobieństwem, bo pan Floryan znał wszystkich. Było to jego powołaniem.

— Jak to! ty? tybyś kogo tu nie znał i siedział spokojnie? zaśmiał się pan Adam.

— Ale to nowy jakiś przybysz... dalipan, nie wiem, chyba pójdę na wzwiady.

To mówiąc wymknął się pan Floryan, ale już więcéj nie wrócił, a kasztelan zniecierpliwiony, musiał zadać pytanie jednemu ze znajomych, który nazwiska cudzoziemca nie pamiętał, wiedział przecię, że od

niedawna jest w Warszawie, że chce wstąpić w służbę Rzeczypospolitéj, i że król JM. niezmiernie go polubił.

Na tém badaniu przeszedł czas do wieczerzy, która na chwilę tylko poprzedziła grę, wkrótce rozpoczętą w salonie białym.

Kasztelan, który tu parę razy wyszedł wygranym, nie mógł się teraz przyzwoicie uwolnić od gry choć niewielkiéj, i przystąpił z innymi do stolika.

Z razu gospodarz sam ciągnął bank, ale po niejakim czasie dozwolił przybyłemu Francuzowi zastąpić siebie, aby mógł pokazać pewną w grze modyfikacyę świeżo przyjętą we Francyi. Hr. de St.-Géron (gdyż on to był nie kto inny) wyrzucił na stół tysiąc czerwonych złotych i rozpoczął grę.

Kasztelan, który stał przy stole, wyzwany urągliwém spojrzeniem Francuza, nie mógł się powstrzymać od walki. Pierwszy raz w życiu żyłka w nim do gry zadrgała, obudziła się chęć upokorzenia tego impertynenta, który go widocznie swym wzrokiem i postawą zaczepiał i wywoływał. Obliczył myślą to co miał w domu, i rzucił na kartę 500 czerwonych złotych.

Nieznajomy przypatrzywszy się stawce dziwnie przymrużonemi oczyma, uśmiechnął się szydersko, co jeszcze bardziéj rozjątrzyło kasztelana. Zarumieniony ręką drżącą podsunął swą kartę, ale St.-Géron udawał jakoś, że jéj nie widzi. Po kilku przeciągnieniach, kasztelan nie miał przy sobie więcéj gotówki, zerwał się i pobiegł do gospodarza.

— Nie spodziewając się grać—rzekł do niego— nie wziąłem z sobą więcéj nad pięćset czerwonych

złotych, które już przegrałem. Będziesz łaskaw zrobić mi kredyt na drugie tyle?

— A! z największą chęcią, zawołał komandor, śpiesząc do trzymającego bank, któremu coś począł szeptać na ucho.

Z wielkiém podziwieniem pana Adama, St.-Géron zmierzył go wzrokiem dumnym i potrząsł głową, wyraźnie odmawiając kredytu. Komandor pobladły przybiegł do kasztelana.

— Jestem w rozpaczy, rzekł; mój chwilowy wspólnik odmawia kredytu, nie panu, ale z zasady wszystkim; a ja... *le croiriez-vous*, w téj chwili jestem *a sec*... Co tu począć?

Kasztelan zadrżał dotknięty boleśnie, ale się zbliżył do stołu, szukając około niego pana Floryana, aby go do domu posłać po pieniądze... Maluty nie było, i nikogo lepiéj znajomego, do któregoby się można zwrócić; jechać sam nie mógł, boby to i zbyt wiele czasu zabrało, i wyglądało na jakąś ucieczkę. Opierając się więc o stół, odezwał się głośno do Francuza:

— Za pozwoleniem... przegrałem pięćset czerwonych złotych. Mogęż pana prosić o godzinę kredytu na summę równą pierwszéj przegranéj?

St.-Géron zdawał się z razu nie chcieć nawet zrozumieć, że pytanie do niego się stosowało, potém usta ułożył pogardliwie, potarł czoło i rzekł sucho:

— Nie mam zwyczaju przy grze dopuszczać kredytu, to za daleko prowadzi. Tém mniéj kredytuję tym, których nie znam... lub—dodał ciszéj—co mi są nadto znani.

Ostatnie słowa, wyrzeczone zniżonym głosem, wszys-

cy wszakże usłyszeli. Była to wprost obraza honoru; kasztelan nie mógł tego puścić bezkarnie.

— Mości panie, rzekł: za takie słowa krwią się płaci. Ja także nie myślę mu kredytować.

— Krwią? — podchwycił Francuz obojętnie — *c'est selon*, jeżeli się ma do czynienia z ludźmi, których krew naszéj jest warta.

Adam zawrzał, i jak stał, garścią kart rzucił Francuzowi w oczy; ale w téjże chwili St.-Géron rękawiczką drasnął go po twarzy.

Rozruch w mgnieniu oka powstał niesłychany, ale tłum natychmiast rozdzielił zwaśnionych, nie dopuszczając starcia, które się gotowało. Francuz krzyczał i śmiał się odgrażając, kasztelan miotał się jak opętany, chcąc go rozedrzeć natychmiast.

— Co mi tam WPanowie mówicie o pojedynku! krzyczał St.-Géron: są ludzie, z którymi się przecię nie pojedynkuje... Wyzwanie!! nie pojmuję wyzwania tego jegomości. Kijem go pachołkom obić każę na rynku, i będę miał satysfakcyę, ale bić się z nim!

Słowa te dosyć głośno wyrzeczone, do wściekłości przywiodły Adama, który już sam potém nie wiedział jak się znalazł w powozie, i pędem odwieziony został do domu w stanie ducha, którego odmalować niepodobna. Był na pół szalony. Wyrywał sobie włosy z głowy, pienił się, rzucał, nabijał pistolety, mierzył niemi w piersi własne, wybiegał na ulicę, nie wiedząc co czyni. Jermaszka ledwie go od ostateczności jakiéj potrafił utrzymać.

Nierychło potrafił oprzytomnieć, i choć noc była, namyśliwszy się pojechał do mieszkania jednego z tych ludzi, którzy z pojedynku czynili rzemiosło, i czekali

tylko jakiegoś zajścia, aby w niém grać rolę pośredników i popleczników więcéj dającego.

Człowiek, do którego udał się kasztelan, słynny był sam z szermierki i strzelania, sługiwał dawniéj wojskowo we Francyi i w Saksonii, a na starość z odwagi swéj i znajomości praw honorowych uczynił professyę. Nie było spotkania, w którémby półkownik Ballandier nie miał jakiegoś udziału. Z powierzchowności i obyczajów był to pospolity bardzo awanturnik, z czerwonym nosem, z wąsami pół-łokciowemi, suchy, barczysty, ogromny, trzymający się prosto, z rękami jak dwie patelnie. Pokorny z możnymi, Ballandier nie robił ceremonii z tymi, dla których worka i stosunków nie czuł poszanowania. Historya kasztelana już jakimś cudem do niego była doszła, tak, że gdy pan Adam dobił się do niego prosząc o radę, znalazł go choć udającego niewiadomość, ale już widocznie uprzedzonego.

Ballandier przyjął go siedząc na łożu, rozebrany, z krótką fajeczką w ustach, okryty tylko kołdrą wełnianą, z pod któréj wisiały nogi obnażone, muskularne, okryte bliznami i niedźwiedzim włosem... Wyglądał zupełnie na Don Kichota.

— Co począć? pytasz mnie panie kasztelanie,— rzekł zimno—tu nie ma co robić: jutro pójdę do hrabiego, spytać, czy przyjmuje pojedynek? a jeśli odmówi...

— Jeśli odmówi? podchwycił kasztelan.

— Możesz go pan kazać obić na ulicy.

— A on?

— A on broniąc się, może panu w łeb strzelić.

— Jednakże odmówić nie powinien, nie może... zmusimy go, jest przecię trybunał honorowy, przed

który go pozwać mam prawo, aby się tłómaczył dla czego mi odmawia.

— Tak jest; mógłby być urządzony podobny trybunał honorowy, rzekł Ballandier. Ale wprzódy trzeba się z nim rozmówić. Więc jutro.

— Nie jutro, ale natychmiast! odrzekł kasztelan, kładąc rulon studukatowy na kolanach pułkownikowi, bo z nim żadnéj nie było ceremonii co do oznak wdzięczności. Brał co mu dawano, nie marszcząc się wcale... z tego żył.

Ballandier podjął rulon, zważył go w dłoni, wsunął pod poduszkę i powoli rzekł zimno:

— A no, to i zaraz, jeżeli każecie.

— Czekać będę na odpowiedź u siebie, naprzeciw zamku... Jeżelibyście nie zastali go w domu, pojedziecie szukać; jeżeli się zamknie, każecie wybić drzwi na mój rachunek, ja odpowiem... Sprawa nie cierpi zwłoki... trzeba się obmyć, aby brud nie przyrósł.

Rzuciwszy fajeczkę na stół, półkownik wsunął ogromne swe łapy w pantofle, obwinął się kołdrą i począł natychmiast odziewać naprędce.

— Półkowniku — zawołał odchodząc kasztelan — spraw się tak jak proszę, a będziesz ze mnie rad.

— Nie wątpię o panu, chciejcie nie wątpić o mnie.

Kasztelan przynagliwszy jeszcze o pośpiech swego wysłańca, odjechał do domu, ale tu nie spoczął, chodził od okien do drzwi, od drzwi do okien, wysyłając sługi, wyglądając z najżywszą niespokojnością powrotu półkownika.

Nierychło go się doczekał, a usłyszawszy ciężki i powolny chód jego, wybiegł naprzeciw niemu aż na wschody.

— Cożeś zrobił? zakrzyknął.

— Czekaj pan, odrzekł Ballandier: chwila cierpliwości; należy mi się najprzód szklanka wina.

Zadzwoniono o wino, Ballandier siadł w fotelu, nogi wyciągnął, głowę spuścił na piersi.

— Czekam, cożeś pan zrobił?

— Otoż nic! odezwał się po długiém milczeniu półkownik: ten szaleniec stanowczo odmawia nam pojedynku, w sposób taki, że nawet słów jego powtórzyć nie mogę. Pozostaje więc kij, nic więcéj.

— Ale przyczyna?

— Mówię, że nie potrafię powtórzyć przyczyny.

Kasztelan zaciął usta. Ballandier siedział, pił, ale już rozmowy nie było. Do kogo się udać? co począć? Adam nie wiedział już, w głowie mu się mąciło i zawracało. Z kąta ciemnego patrzał na te boleści Jermaszka i szarpał sobie włosy z głowy, nie umiejąc nic na to poradzić.

Po długich gorączkowych rozmysłach, kasztelan nagle otworzył szkatułkę, wysypał z niéj złoto, które brzękło w pole jego sukni, i podszedł niosąc je do Ballandier'a.

— Patrz! zawołał drżący: jest to wszystko co mam... Chcesz mi dopomódz, abym się pomścił... daję ci...

— Jest to bardzo piękna rzecz—odparł awanturnik, mierząc kupę okiem chciwém,—jest to rzecz bardzo piękna, ale gdy idzie o datek i pieniądze, potrzeba rachunku, kochany panie... Ile mi tedy pan dać możesz?

— To co mam, jest tu przeszło tysiąc dukatów.

— Cóż to jest tysiąc dukatów? odparł Ballandier. Tysiąc dukatów?... Procent od tysiąca dukatów wy-

nosi, jeżeli się nie mylę, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt... ja potrzebuję najmniéj pięćset, żebym żył; a jeżeli panu pomogę przeciwko temu człowiekowi, stracę całą klientelę.

— Dla czego?

— Dla tego, że tu nie o tego jednego kiepskiego Francuza chodzi — odparł rozgrzany winem i pobudzony do szczerości półkownik, — tu idzie o całą familię rozjątrzoną na pana, któréj szampionem jest ów Francuz... A jeżeli panu było trudno się jéj oprzeć, cóż mnie?... Pozabijać ich wedle reguł, wszystkich do nogi nie mogę. Schowaj pan te pieniądze...

— Cóż mi radzisz? rzekł kasztelan, dolewając drżącą ręką wina machinalnie, a złoto wysypując po stole i po podłodze.

— Co radzę? Radzę mu jak psu w łeb strzelić; a że to kryminał, zwłaszcza pod bokiem króla i sejmu, więc potém z tém złotem, którego niewiele jest, uciekać w świat... Ja od pana już grosza nie wezmę więcéj, bo miałbym na sumieniu. Trzeba to zebrać skrzętnie... na złą godzinę. Szczerze mi żal, żem nic nie zrobił, że z téj sprawy z honorem i czysto wyjść nie można... Adieu!

To mówiąc, dopiwszy wina do ostatniéj kropelki, Ballandier włożył czapkę na głowę i powoli odszedł; a kasztelan pozostał jak wryty w ziemię. Jermaszka pełzając po podłodze, po jednemu zbierał dukaty.

W parę godzin potém kasztelan otulony płaszczem wymknął się z domu, kryjąc dwa pistolety pod połą. Jermaszka niespokojny wybiegł za nim, śledząc go z dala mimo zakazu.

Pan Adam błądził z razu po ulicach bez celu, potém siadł gdzieś w progu kamienicy trąc czoło, i cho-

dził znowu i zaglądał w różne miejsca, aż na ostatek nie wiedząc dobrze co czynić, zapukał do drzwi Leoniny, która mu na myśl przyszła... jak? sam nie rozumiał.

Godzina była bardzo spóźniona, ranek prawie, niełatwo dostukał się do bramy; bicie wszakże gwałtowne rozbudziło stróżów, a pieniądze pootwierały drzwi i doprowadziły aż do mieszkania Włoszki.

Sługi poprzestraszane niełatwo się zgodziły dać wiedzieć pani o tak niespodziewanym gościu, któremu z razu odmówiono przyjęcia. Kasztelan napisał na kartce, że sprawa gardłowa, że idzie o życie, i zmusił Leoninę, aby wyszła do salonu. Cała ta scena przeciągnęła się do białego rana, bo Włoszka, gdy już postanowiła wyjść, musiała się ubierać, a ubiór kobiety, któréj sen przerwano, która chce być piękną, trwa długo.

Po nieskończenie długiém oczekiwaniu, ukazała mu się nareszcie. Pan Adam żywo podbiegł do niéj.

— Przychodzę do ciebie z dziwną prośbą—rzekł;— ale powiem ci wszystko w dwóch słowach, aby cię długo nie męczyć. Jestem śmiertelnie obrażony przez człowieka, który mi najpodléj odmawia zadosyćuczynienia... Byłaś dla mnie zawsze dosyć przychylną... chcesz mi dopomódz do zemsty? tyś Włoszka, ty ją musisz rozumieć?

— Do zemsty? — spytała drżąc kobieta—ja panu? w jaki sposób?...

— Najłatwiéj — rzekł kasztelan, który widocznie był na pół obłąkany, co z saméj myśli, jaką powziął, najlepiéj się okazywało, — oto tak: tyś cudownie piękna, twym wdziękom nikt się oprzeć nie potrafi...

Leonina połechtana uśmiechnęła się.

— A wy?... spytała.

— A! i ja niemi jestem zachwycony, oszalały... ale cóż z moich zachwytów i szałów! Ja kochać nie mogę, a miłość moja na nicby się nie zdała kobiecie... Chcesz mieć we mnie sługę, przyjaciela, opiekuna... a być moim dobroczyńcą?

— Chcę! ale jak? odparła Leonina.

— Ja ci wskażę człowieka — odrzekł pośpiesznie kasztelan,—ty go przywabisz, a ja... zabiję!

Mówiąc te słowa, błysnął dziko oczyma. Włoszka wzięła go za szalonego, porwała się z krzesła wystraszona.

W rozpaczy, z jaką to wyrzekł jako rzecz najnaturalniejszą, z niewinnością dziecka lub waryata, było coś przerażającego; przytomny, chłodny człowiek nigdy tak dziko, tak surowo nie śmiałby wypowiedzieć swéj myśli.

— Jak to? chcesz mnie uczynić wspólniczką swéj zbrodni?

— To będzie kara nie zbrodnia! odparł kasztelan...

— Chcesz, by ta krew prysła na mnie, człowiecze! wzdrygając się zawołała Włoszka. Jakąż ja rolę w tém grać będę? Zastanów się...

Kasztelan roześmiał się dziko.

— Nie chcesz więc? spytał.

— Nie mogę...

— Prawda, chciałem rzeczy niepodobnéj. Nie! zrobimy to inaczéj: ja go nie zabiję, ale go zmuszę, aby się bił ze mną... a wówczas on mnie zabić może...

Leonina przerażona tym szałem, poglądała na niego przestraszona, usiłując się go pozbyć.

— Uspokój się pan na Boga! rzekła. Pan mówisz od rzeczy...

Kasztelan obejrzał się, dzień jasny bił już w okna, ruszył ramionami, czuł się znużonym. W płaszczu, jak stał, rzucił się na kanapę, i na chwilę jakby omdlały i zdrętwiały pozostał tak milczący. Włoszka przemawiała do niego kilka razy, ale napróżno: stracił był, pogrążony w myślach, słuch, przytomność, niemal życie. Litość poruszyła serce kobiece; otarła mu skroń, podała wody, poczęła usługiwać jak umiała biednemu, i dwie łzy błysły na jéj powiekach. W niezepsutych zupełnie sercach widok nieszczęścia budzi miłosierdzie, w złych szyderstwo tylko i gniew jakiś zwierzęcy.

Ale pan Adam nie czuł i nie wiedział, co się z nim działo. Po długiém osłupieniu, nagle obudzony blaskiem jasnego dnia, jak przerażony porwał się i wybiegł nie spojrzawszy na Leoninę. Jermaszka, który u drzwi na niego czekał, postrzegł jak się przemknął, i nagonił go dopiero zaczajonego w kątku bramy Krakowskiéj, wpartego w ciemny załom muru, z oczyma wlepionemi w postacie, które się tędy ku zamkowi przesuwały.

Chciał on wyciągnąć ztąd pana, ale Adam odepchnął go, i na tych czatach spędził kilka godzin. Warszawa rozbudziła się ze snu, ruch żywy w téj części miasta zastąpił ranną ciszę. Piesi, jezdni, powozy, przeciągali nieustannie mimo kasztelana, którego oczy jednego tylko człowieka szukały. Twarz jego stała przed nim ciągle, widział ją jeszcze taką, jak u stolika gry mu się ukazała.

Około godziny dwunastéj, od Krakowskiego-Przedmieścia nadjechała kareta dosyć znana panu Adamo-

wi, bo go nieraz woziła. Zobaczywszy powóz, konie i ludzi swéj żony, zadrżał i rzucił się naprzód.

W środku, wyświeżony, z kapelusikiem pod pachą, siedział sam jeden Francuz, uśmiechnięty, z miną zwycięzką, widocznie rad z siebie, zdając się marzyć o przyszłych powodzeniach... Poglądał w stronę zamkową kręcąc wąsika, gdy nagle świsnęło mu coś żartko koło ucha; wstrząsnął głową, a wtém drugi strzał dał się słyszeć, i kula czerwoną plamę zostawując na czole, na miejscu go ubiła... Padł krwią oblewając powóz, głową na przednie szyby, które roztrzaskał...

Strzał Adama był trafny, przebił czaszkę i uwiązł w mózgu... Śmierć jak piorun szybka przerwała różowe marzenia.

Wielka kupa ludzi otoczyła powóz, który konie spłoszone unosiły aż na plac Zamkowy. Tymczasem zabójca niepostrzeżony wymknął się, i gdy marszałkowska straż i pachołkowie nadbiegli, już nie było nikogo w bramie. Domyślano się łatwo sprawcy... otoczono mieszkanie, ale tam nie było go od wieczoru, i nikt o nim nie wiedział.

Jermaszka znikł także.

Na pokojach królewskich z trwogą rozpowiadano sobie na ucho o wypadku. Strzał pod bokiem króla, tak blizko zamku, był zbrodnią, która bezkarnie ujść nie mogła.

Tego wieczoru gdy hrabia St.-Géron miał na grę jechać do komandora, jadł obiad u Krystyny. Rzeczy już były ułożone z góry w ten sposób, aby kasztelan także się tam znajdował, aby go do kart wciągnięto, i starano się o kłótnię, pojedynek lub publiczne upokorzenie, któreby go zmusiło Warszawę opuścić.

Hrabia St.-Géron bił się doskonale i nie obawiał pierś nastawić dla pięknéj Krystyny, która za dopełnioną zemstę ofiarą swéj ręki nagrodzić go miała. Widzieliśmy jak rzeczy poszły. Francuz był pewien, że mu ujdzie bezkarnie; zdawało się, że Adam nie będzie poszukiwał obrazy i ustąpi. Krystyna czekała dosyć niespokojna wieści o obrocie całéj sprawy, została u siebie w domu, i przechadzając się wielkiemi krokami po salonie, wyglądała posłańca, oznajmienia, listu przyobiecanego.

Nie kochała ona Francuza, ale go lubiła bardzo: dowcip jego, chłód, praktyczność doskonale się godziły z jéj pańską obojętnością, zamiłowaniem szyderstwa i wystygnieniem. Nie obawiała się wcale o niego; lękała się tylko, żeby ofiara z rąk jego w jaki sposób się nie wyśliznęła, żeby St.-Géron nie osłabł, nie

przyjął jakiego przeproszenia, układu, nie uląkł się u obcych téj roli zaczepnéj, żeby ktoś nie ujął się za Adamem przeciwko zuchwałemu cudzoziemcowi. Wszelkie możliwe przypuszczenia czyniąc, spędziła wieczór niespokojnie.

Godziny płynęły leniwo, nikt nie przychodził. Około północy wreszcie nadbiegł młody kuzynek Krystyny, któremu zleciła przyniesienie wiadomości o wieczorze u komandora; był zdyszany i blady.

— Mówże, co się tam stało? zawołała biegnąc przeciw niemu.

— Stało się—rzekł paniczyk, który się zasługiwał kuzynce nie bez pewnych młodzieńczych nadziei,—stała się rzecz okropna... Hr. de St.-Géron śmiertelną obelgę wyrządził kasztelanowi... Kasztelan rzucił mu w oczy kartami, on na niego rękawiczką, ledwie ich tam rozjąć potrafiono, i kasztelana do domu gwałtem wyprawić... Wyniesiono go na rękach wściekłego, szalonego.

— Było dużo osób? zapytała Krystyna.

— Więcéj niż potrzeba na świadków awantury.

— Nikt się za kasztelanem nie ujął?

— Nikt, ale na Francuza oburzeni wszyscy.

— Cóż się z hrabią stało?

— Nie wiem, odjechał zmieszany, ale pojedynku odmówił w sposób okrutny. Krystyna zamyśliła się chmurno.

— Biegniéj mi zaraz dowiedzieć się, co się z nim stało? zawołała. Nie powracaj mi bez niego: niech tu przyjedzie, potrzebuję się z nim widzieć.

Chłopak, którym piękna kuzynka miotała jak chciała, znając nad nim swą władzę, poleciał na skręcenie karku, chociaż ani wiedział gdzie Francuza po nocy

wśród Warszawy, jak igły w stogu siana szukać będzie i znaleźć potrafi. Ale młodość ma instynkta szczególne i jakąś opiekę losu nad sobą: kuzynek niedaleko odjechawszy, zetknął się zaraz w ulicy z hrabią St.-Géron'em, przyczepił się do niego jak pijawka, i nie dał mu pokoju, dopóki go do Krystyny nie przywiózł.

Zastali ją jeszcze ubraną, choć noc była późna, zawsze chodzącą po sali i niespokojną. Hrabia wszedł sam, a młody chłopak, na dany znak, posłuszny zbiegł na dół do wyznaczonego mu pokoiku, oczekiwać na rozkazy swéj pani. Biedny wyrostek był niewolnikiem jéj wdzięków, ona robiła sobie z niego posłuszne swych intryg narzędzie.

Gdy się ujrzeli sami, hrabia zbliżył się do Krystyny i rzekł:

— Spełniłem twe rozkazy, sprawa była gorąca, ale po niéj kasztelan oczu już nigdzie pokazać nie może.

— Jakże się to stało? mów!

Usiadła, wskazała mu miejsce tuż przy sobie, a gdy St.-Géron opowiadał z przechwałkami, słuchała go z zarumienionemi policzkami, radość malowała się na jéj twarzy, zdjęła powoli pierścionek z ręki i podała mu go gdy dokończył.

— Oto mój pierścień i ręka—rzekła;—jestem twoją, dziękuję.

Hrabia upadł do nóg z żywością wielką, i na dany znak powstał równie szybko. Krystyna nie miała czasu na czułości, których zresztą znała formę i wartość, nie smakowała w nich, uważając je za stratę czasu; śpieszyła badać daléj, nienasycona będąc szczegółów najdrobniejszych wypadku. Twarz jéj promieniała.

Francuz też coraz był widoczniéj tryumfujący, choć popisując się i przechwalając tym wielkim czynem, czuł trochę niepokoju o dalsze następstwa, ale się z tém krył i brawował.

— Ale kasztelan? jak uważałeś? przerażony? przybity? spytała żona.

— Nie tyle ilem się spodziewał, ale wściekły... Zdaje mi się, i taić nie potrzebuję przekonania, że na tém nie koniec; będzie się pewnie próbował podnieść lub zemścić: czekam na to.

— O! nie, znam go—odparła ze wzgardą kobieta:—uciecze jak tchórz i podły... a zgody żadnéj proszę nie przyjmować.

Po krótkiéj rozmowie rozstali się: Francuz pojechał do swego mieszkania z dodanym sobie dla straży młodym chłopcem, który odraportował, że go zdrowego i całego do domu odwiózł.

Wkrótce po odejściu kuzynka, zjawił się przemocą wcisnąwszy do hrabiego Ballandier. Krystyna nic o tém już nie wiedziała.

Nazajutrz rano, z jéj rozkazu, St.-Géron miał żądać u króla audyencyi, przed którą przyjaciele powinni byli przygotować Stanisława Augusta i uprzedzić go; tu Francuz miał się wytłómaczyć ze swego postępowania. Właśnie na drodze do zamku, spotkała go kula kasztelana, któréj się wcale jakoś nie zdawał spodziewać.

Krwawego trupa z powozem razem zawieziono z przed zamku do domu, w którym stał.

Krystyna po bezsennéj nocy już była ubrana i gotowa wyjeżdżać na miasto dla dalszego popierania sprawy nieubłaganéj zemsty, gdy z włosem rozczochra-

nym, w sukniach naprędce narzuconych, wpadł do jéj salonu młody kuzynek.

— Cociu! zawołał z daleka z pośpiechem dziecięcia: nieszczęście!

— Cóż takiego? spytała; pewnie stłukłeś wazon japoński?

— A! nie godzi się żartować! Coś okropnego się stało, słowa mi mrą na ustach—ze łzami w oczach dodał chłopak, załamując dłonie,—coś okropnego, najokropniejszego.

— No to mów, a nie cedź po kropli! cóż się stało? tupiąc nogą spytała Krystyna.

— Cociu, nie śmiem!

— Po cożeś przyszedł? Nie męcz mnie, mów!

— Hrabia St.-Géron...

— Co hrabiemu?

— Zabity!

Nad wszelkie przewidywania, ten piorun, który powinien był ją uderzyć ciosem śmiertelnym, nie sprawił żadnego prawie wrażenia. Krystyna pobladła nieco i spytała żywo:

— Czy schwytano zabójcę?

— Nie.

Stała chwilę zamyślona, zagryzła wargi, zmarszczyła czoło i zadumała się głęboko jakby nieprzytomna; spojrzała na palec, z którego wczoraj jeszcze zdjęła dla niego pierścionek, podniosła głowę powoli i spytała:

— Gdzież i jak się to stało?

— Hrabia St.-Géron jechał do króla, gdy w Krakowskiéj bramie spotkał go strzał celny. Kula ugodziła w sam środek czoła—padł na miejscu. Druga strzaskała okno i ścianę w powozie.

— Nigdym się nie spodziewała, żeby tak dobrze strzelał... odpowiedziała zimno Krystyna. Szkoda tego poczciwego Francuza... Ale cóż mówią? czy szukają? czy gonią zabójcę?

— Szukano i nie znaleziono... Mówią, że widziano kasztelana w zasadzce, że to on strzelił, że potém uszedł zaraz w oczach wszystkich, ale go nikt wstrzymać nie śmiał!

— Tchórze! zawołała kobieta ruszając ramionami z pogardą. Cóż mówią? co mówią?

— Przyznam się cioci, że ci, z którymi rozmawiałem, wszyscy zgodnie powiadają, iż kasztelan był w swém prawie, bo Francuz pojedynku ofiarowanego mu nie przyjął.

Kasztelanowa potrzęsła głową; znać było gniew, który na twarz jéj wytrysnął rumieńcem.

— Głupcy! zawołała—biedny St.-Géron! żal mi go...

Tyle było słów mowy pogrzebowéj po zmarłym słudze i przyjacielu. Kasztelanowa zniosła tę śmierć bardzo stoicznie. Żal jéj było nieco pięknego solitera, który był oprawny w pierścień oddany wczoraj Francuzowi, klejnotu familijnego ofiarowanego z pośpiechem wdzięcznego serca, ale późniéj mającego się zamienić. Teraz z trupa i trumny trudno go było wyrwać nazad.

Łatwiéj było zresztą o drugiego St.-Géron'a, niż o taki piękny brylant.

Zamyślona wyszła do swego pokoju.

— Bądź co bądź, rzekła w duchu po namyśle: wszystko to jeszcze nie tak bardzo źle się składa. Francuz na męża mógł być nie bardzo dogodnym. Kasztelan żyje, ale jest już tak jakby go na świecie nie było... szkoda tylko, że przy ukrywaniu się jego,

rozwód może się przewlekać. Zbytniéj czułości dla zabitego okazywać nie mogę: tém lepiéj, byłoby mnie to męczyło... łzy nadto widoczną uczyniłyby moją rolę i jego... Pojadę do miasta... posłucham.

Zadzwoniła o powóz, i konie stanęły na zawołanie.

Wsiadła do karety z twarzą prawie pogodną, i kazała się wieźć z kolei po znajomych sobie paniach; ułożyła nawet po drodze, jak tę całą historyę w opowiadaniach przedstawiać miała.

Chciała dać do zrozumienia, że St.-Géron z panem Adamem znał się jeszcze z Francyi i mieli do siebie dawną urazę... o jakąś tancerkę, sławną piękność teatralną...

Na wieczerzy u pani hetmanowéj polnéj, gdzie cały czas o tém tylko jedném mówiono, była i kasztelanowa. Dopilnowała się dobrze, aby w oczach ciekawych widzów wszelkie posądzenie o jaki udział w téj sprawie odepchnąć — i wyszła z próby zwycięzko. W istocie patrząc na nią, niepodobna się było domyślić, że straciła narzeczonego; śmiała się szczerze, a białe jéj ząbki z koralowych ustek świeciły tak wdzięcznie! Cały zresztą wieczór służył jéj ładny siostrzeńczyk, dla którego okazywała wielką, może przesadzoną czułość i troskliwość. Chłopcu paliła się głowa; nie domyślał się nawet, że był konduktorem do odciągnienia podejrzeń użytym.

Na wybrzeżu lasów, które naówczas dokoła niemal otaczały Warszawę szerszym daleko pasem zielonym niż dziś, stała jedna z rzadkich porządniejszych gospód „pod Kogutkiem,“ na trakcie ku Siedlcom wiodącym.

Otaczający ją krajobraz nosił tę cechę smutku, którą w naturze przybiera każda okolica płaska, ciaśniejszym horyzontem zamknięta. Jest w niéj coś klasztornego, więziennego, tęsknego, co dla skołatanych życiem wystarczyć może, ale młodszą wyobraźnię przeraża niewolą i ciąży nad nią całém brzemieniem zawodów, zapór i trudności żywota. Patrząc na ten kraj tak ciasny, tak szczelnie zewsząd zaparty, taki niemy i ponury, mimowolnie przychodzi na myśl, iż taka jak on, będzie i być musi dola człowieka, choćby tam stały pałace, zamki i świątynie. W istocie nic téj tęsknoty rozwiać nie jest w stanie: ani dzieła ręki ludzkiéj, ani praca nad przeistoczeniem tego kraju na wspomnienie weselszych, na ich odbicie. Owa Placencya pod Kodniem i Arkadya w Sochaczewskiém są tego najlepszemi dowodami. Napróżno tu gromadzić wszystko co przypomina Włochy: bez słońca włoskiego, bez tamtego powietrza, bez gór i morza, bez tych

barw, które tysiąc zwierciadeł odbija, mnoży i miesza w paletę niesłychanego bogactwa i rozmaitości—nikt nie stworzy włoskiego krajobrazu. Wśród gór, skał, przy szumie fal rozbijających się o brzegi, wszystko wyzywa do życia, do ruchu, do szukania czegoś choćby po za szrankami dróg powszednich. Tu wszystko więzi, przykuwa i mówić się zdaje: „Nie masz iść po co, wszędzie jedno cię spotka—grób... a tu spoczniesz ciszéj i nikt twych kości nie poruszy.“

Pomimo że dokoła austeryi murowanéj wycięto już wtedy sporo lasu, wytrzebiono wiele pola obrzuconego płotami z kołów sosnowych, choć przy murze świecił się ogródek, wśród cebuli i kartofli jaśniejący malwami i astrami, nie było tu wiele weseléj niż w lesie.

Szedł tędy trakt wielki, i gospoda „pod Kogutkiem“ równie jak uprzejmy jéj gospodarz, stary siwobrody Mejer, dobrze byli i daleko znani, na wiele mil dokoła. Wszystkie furmanki dążyły tu na noclegi, i ślady ich szeroko pod gospodą były widoczne w wygasłych ogniskach, w szczątkach siana i słomy, które kozy i krowy po odjeździe gości skrzętnie dogryzały. Ziemia ubita szeroko, drzazgi połamanych kół i osi, pozostałości wozów i popasów świadczyły, że wiele więcéj przybywało tu gości niż się w gospodzie pomieścić mogło. Arendarz też opłacał kilka tysięcy rocznie suchéj raty, oprócz cukru, kawy i mięsa, które tytułem porękawicznego do spiżarni i apteczki jéjmościnéj dostarczał. Dobrze jeszcze wychodził na dzierżawie i miano go za bogatego.

Pańskie też dwory ciągnących z Warszawy i do Warszawy magnatów, dążyły zawsze „pod Kogutka“ na noclegi, rachując na parę porządnych stancyj osobnych, umyślnie utrzymywanych dla gości, na niektóre za-

pasy gospody, i usłużność starego Mejera, który znał niemal całą arystokracyę polską osobiście, nieraz z księciem generałem rozmawiał, nieraz pana hetmana przyjmował, a nawet miał szczęście podawać JKMości chleb i sól na srebrnéj tacy, gdy Stanisław August zaproszony do Siedlec, przejeżdżał tędy i tu sobie kawę podać kazał „pod Kogutkiem.“

Owe dwie izby gościnne, w których Stanisław Poniatowski przez pół godziny odpoczywał, zwano nawet pospolicie pokojami królewskiemi, a Mejer dostawszy sobie sztychowany przez Foligna wizerunek króla, oprawił go za szkło i zawiesił w pierwszym pokoju, uprosiwszy sekretarza p. hetmanowéj, aby mu datę bytności u spodu pięknie wykaligrafował.

Każdy z gości dowiadywał się z tego, że miał szczęście spoczywać pod dachem uświęconym pamiątką wielkich odwiedzin. Pod ścianą stał nakryty serwetą wzorzystą ten sam stolik, na ktorym JKM. pił kawę; rozlana trocha czarnego płynu pozostała wspomnieniem przyjemném, o autentyczności faktu świadczącém. Wszystkie szczegóły tego pamiętnego poranku Mejer, pani Mejerowa, syn jego Dawid, córka Ruchla (którą król pod brodę pogłaskał, bo była bardzo ładna), po części nawet służba gospody, umieli na pamięć. Redaktorem urzędowéj relacyi był sam p. Mejer, który najmniejszego szczegółu nie pominął: mówił nawet jaki był stan powietrza... zkąd wiał wiatr, gdzie królewskie stanęły powozy, jak król nieco się wysiadając na ślizkim stopniu ośliznął, jak wszedł schylając głowę przeze drzwi dla ostrożności zbytecznéj, w czém był tego dnia ubrany, o co pytał i jak mu odpowiadano.

Powtarzając to opowiadanie wszystkim po tysiąc

razy, Mejer nauczył się go na pamięć, i stało się ono tradycyą miejscową, któréj tekst zupełny na nieszczęście zaginął, a doszły nas tylko nieforemne ułamki, tak jak Cyceronowskich ksiąg *de Republica*.

Mejer był człowiekiem uczciwym, poważnym i rozsądnym, żył życiem kraju, a jaśniéj może w jego sprawach widział, niż wielu, co od niego wyżéj stali; musiał wszakże swą mądrość zachować przy sobie, bo nie było bezpiecznie dawać rady, ani być rozsądniejszym nad drugich.

Dnia tego, gdy zajrzeliśmy „pod Kogutka,“ chmurno było i wilgotno, właśnie jak owego ranku, gdy król JM. raczył tu zstąpić na kawę; horyzont cały zaciągniony był szaremi chmurami, zabierało się na długi deszcz, bo to jakoś miało się ku pełni. Mejer po śniadaniu wyszedł na próg, ręce włożył za pas, i myślał czegoś zadumany, patrząc na drogę od lasów i Warszawy, gdy ujrzał dwa powozy zbliżające się ku gospodzie. Jednym z nich była żółta bomba bardzo paradna i świeża, drugim koczyk lekki musztardowy. Gospodarz znał na okół wszystkie ekwipaże sąsiedzkie, ale ten widział po raz pierwszy, i napróżno starał się odgadnąć, kogoby mu one niosły?

Wiedział dobrze, iż z téj strony jadąc, pominąć go nie mogą, bo od „Kogutka“ do najbliższéj karczmy, w któréj jako tako odpocząć koniom było można, liczono cztery dobre mile drogą w części piaszczystą. Jakoż oba powozy zatrzymały się przed wrotami, a lokaj impetycznie przyskoczył domagać się pokojów.

— Jest tylko jeden—rzekł Mejer wskazując ręką w głąb gospody.

— Jak! tylko jeden! powinno być dwa?

— Nu, a jest tylko jeden.

— A kiedy w karczmie niczyich koni i powozu nie widać?

— Nu, ale pokój jest tylko jeden! rzekł flegmatycznie Żyd.

— Ja potrzebuję dwóch.

— A cóż ja na to poradzę?

— Któż zajmuje drugi pokój?

— A wa! kto! to moja rzecz, ale jest tylko jeden, zawołał raz jeszcze arendarz.

— To pojedziemy daléj.

— A no! to jedźcie z Bogiem dalėj! odpowiedział Mejer, ruszając ramionami i wcale nie zdając się żałować ani żółtéj bomby, ani musztardowego koczyka.

Sługa pobiegł do powozu nic nie rzekłszy, a wkrótce z pierwszego z nich wysiadła czarno ubrana kobieta, z drugiego dwóch mężczyzn.

Razem poszli zająć jedyny pokój z portretem króla JM., a słudzy wzięli się natychmiast do przygotowywania śniadania dla jaśnie państwa. Widoczném było, że to wszystko jechało z Warszawy, bo przybory kuchenne, zapasy śpiżarniane wykwintne, różne wymyślne przysmaki pochodziły ze składów stołecznych i znamionowały ludzi przywykłych do wygód, którzy się obawiali, aby im na wsi nie zabrakło nałogowych tych pieszczotek.

Drzwi tylko drewniane, dosyć nieszczelne, przedzielały tę izbę obszerniejszą, królewską zwaną, od bocznego o jedném oknie alkierzyka, który był szczelnie wewnątrz na zaszczepkę zamknięty.

Goście, którzy tu weszli, obejrzeli najprzód cały pokój, skarżąc się na zatęchłe w nim powietrze i na jakiś zapach dziwny lekarstw, który tu panował; potém poszli aż przez szczeliny drzwi zaglądać do alkierza,

ale do nich przypierał właśnie tapczan zasłany kilimkiem, a przez szpary widać tylko było ciemności drugiéj izby, z któréj oddech ciężki i stękania dochodziły.

Ten bolesny jakiś głos, powracający jak bicie pulsu, ciężki jakby symptom niespokojnego snu gorączkowego w wielkiéj boleści, kazał się u drzwi domyślać chorego... Przybyli wpadli na domysł, że to być może jaka słabość zaraźliwa, i jeden z nich zaraz poszedł do gospodarza rozpytywać, bo się naówczas lękano morowego powietrza, które grasowało na Ukrainie około Bałty.

Mejer ruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedział nawet.

W chwili gdy powozy zaszły i krzątać się żywiéj po karczmie poczęto, ze drzwi alkierza nagle otwartych wyjrzała głowa z dziwnie rozczochranym, sterczącym na niéj włosem; ale rzuciwszy spojrzenie bardzo szybkie, zamknęła za sobą i na haczyk je zaryglowała.

W przyjezdnych—o których Mejer; częstując szabasówką ludzi, zręcznie a powoli rozpytywał się woźniców i lokajów—łatwo nam będzie poznać panią kasztelanową, pana Floryana Malutę i młodego kuzynka, nieodstępnego jéj towarzysza. Jechali oni wszyscy do dóbr pani, więcéj dla uniknienia na czas jakiś Warszawy, w któréj od zniknienia pana Adama jakoś z ukosa i kwaśno na panią Krystynę patrzano, niżeli dla interesów, choć sama pani tak utrzymywała.

Chciano się też nieco rozwiedzieć o panu kasztelanie, który po zabiciu Francuza wpadł jak w wodę. Krystyna choć niewiele ucierpiała na tych wszystkich przygodach, mimowolnie jednak była niemi dotknięta.

Wiele miała zmartwień z tego powodu, straciła dużo świeżości,—nie wyrzekła się wszakże projektu zamążpójścia, a właśnie stał na przeszkodzie znikły małżonek, którego potrzeba było koniecznie odszukać, bo bez niego lub dowodów jego śmierci rozwód był niepodobieństwem.

Kasztelanowa zostawała w tém jakiémś wątpliwém położeniu ni wdowy, ni rozwódki, ni mężatki. To szczególniéj skłaniało ją do zarządzenia pilnych poszukiwań męża, których podejmował się p. Floryan, i dla tego on pani Krystynie towarzyszył. Młody chłopak zawsze mocno zakochany w cioci, która wyśmienicie mogłaby była być jego matką, pędził za nią; miał w niéj ideał pierwszéj wcale nie platonicznéj miłości, i ofiarował się na usługi w wiejskiém zaciszu, pod pozorem odwiedzenia dalszéj rodziny.

Pani kasztelanowa jechała ani smutna, ani wesoła. Drażniło ją nieznośne położenie i nienasycona jeszcze zemsta; ale z pogodą na twarzy godziła się z nieodzownemi ciężarami żywota, i nie straciła ani apetytu, ani snu dla tych fraszek.

Gdy w królewskiéj komnacie zastawiono śniadanie, przezedrzwi owe w alkierzu, wśród ciszy i mroku odgrywała się inna wcale scena tegoż samego dramatu.

W ubogiéj izdebce, któréj całym sprzętem były: stół, tapczan i ława, z oknem na wpół okiennicą przymkniętém, szare tylko światło dnia niepogodnego przepuszczającém, na tapczanie sianem i płaszczem narzuconym, leżał człowiek chory z głową w górę zwróconą, z otwartemi, gorączką spalonemi ustami. Na kominku palił się maleńki ogieniek, przy którym sługa siedząc w kuczki coś z wielką troskliwością w gar-

nuszku gotował. Na stole, na ławie, na podłodze rozrzucone były drobne tłomoczki i węzełki podróżne, świadczące, że niespodzianie choroba wędrowca wśród drogi schwyciła.

Czytelnik łatwo się domyśli, że chorym tym był pan Adam, który po dokonaném zabójstwie na hrabi de St.-Géron, uszedł pieszo ze stolicy, razem ze swym nieodstępnym Jermaszką. Rozgrzany gorączką, z początku biegł nie wiedząc dokąd i gdzie idzie, czuł w sobie niesłychaną siłę; ale błąkanie się po lasach, głód i chłód, niedostatek, trudność ukrycia się, złamały go prędko, i gdy w końcu dobili się do karczmy „pod Kogutkiem,“ kasztelan już daléj iść nie mógł. Jermaszka wyprosił mu tu kątek dla spoczynku.

Zaledwie legł na łożu, z którego za kilka godzin wstać się spodziewał, już z niego powstać nie mógł pan kasztelan. Dostał silnéj gorączki, trzeba go było dzień i noc pilnować, zdając kuracyę na naturę, gdyż wzywać doktora nie zdawało się rzeczą bezpieczną Jermaszce. Lękał się ściągnąć oka i zdradzić zbiega, na którym poszukiwano pod bokiem króla popełnionego morderstwa.

Tajenie wszakże dłuższe przed gospodarzem było niemożliwe. Jermaszka zeznał uczciwemu Mejerowi przykre położenie i nazwisko kasztelana, gdyż inaczéj gospodarz nie byłby się zgodził na przyjęcie pod swój dach nieznanego i podejrzanego włóczęgi. Szczęściem Mejer dobrze znał niegdyś ojca kasztelana, a całe opowiadanie taką było napiętnowane prawdą, że Żyd ulitowawszy się, odstąpił alkierza i ofiarował pomoc, jaką tylko w tém ustroniu znaleźć było podobna. Co większa, Mejer wziął na siebie sprowadzenie lekarza (który przejeżdżał właśnie z Warszawy do pani hetmanowéj

do Siedlec), splotłszy mu jakąś bajeczkę dla pokrycia istotnego położenia chorego. Lekarz ów, jeden ze sławnych praktyków stolicy, raczył zajrzeć do alkierza, obejrzał chorego i zawyrokował, że wypoczynek i dyeta będą dostateczném lekarstwem, że choroba mogłaby być śmiertelna, lecz tak jeszcze nie jest, a pomoc lekarska nie jest nieodbita, gdyż w uzdrowieniu siły natury największą tu rolę grać muszą.

Na zdanie to wpłynął może ubogi tapczan i odzież chorego; bo natura w ogóle leczy bardzo dobrze tylko tych, którzy za inne leki płacić nie mogą: na nią więc zdaje się pacyentów niezdatnych do troskliwszéj kuracyi fakultetu.

Pomimo tych pocieszających obietnic starego Niemca, kasztelan od dni już kilkunastu leżał bez wielkiego polepszenia, ledwie biorąc w usta trochę rosołu, który dlań sam Jermaszka gotował; leżał w pół śpiący, a ciągle przez sen domagał się wody, palony jakąś wewnętrzną gorączką. Niekiedy w nocy trochę majaczył, zrywał się i miewał jakieś widzenia ojca i matki, Julii, zabitego Francuza, porzuconéj żony; odzywał się do nich, oburzał, gniewał, i nierychło potém, ukołysany przez Jermaszkę, uspakajał się i usypiał znowu. Paroksyzmy tych krzyków i widzeń stawały się coraz rzadsze w miarę jak słabł, a ostatnich dwóch dni kończyły się na niewyraźném bełkotaniu, w którém co chwila powracało jedno:—pić!—goreję!—pić!—wody!

Jermaszka miał przegotowaną wodę, bo ówczesna medycyna nawet popularna wzbraniała czystéj i świeżéj; poił go więc przestałą, ciepłą, która nie koiła pragnienia, ale też zaszkodzić nie mogła. Można sobie wystawić przestrach poczciwego sługi, gdy usłyszawszy w sieniach szelest, wyjrzał i poznał ludzi

kasztelanowéj, swoich prześladowców, p. Floryana, konie i powozy... Zamknął co najrychléj drzwi, zaszczepnął je i przysiadł drżący u komina, modląc się, aby przytomność ich w karczmie jakim przypadkiem się nie wydała. Kasztelan mógł krzyknąć ze snu, po głosie łatwoby go poznano, a wówczas... Bóg wie coby mu zagrozić mogło. Na wszelki przypadek Jermaszka postawił przy sobie kij podróżny okuty, z którym do Warszawy przywędrował; władał zaś nim potężnie. Postanowił nie otwierać ani się odzywać, ani wychodzić przez cały ciąg trwania popasu.

Na nieszczęście kasztelan leżał przy samych drzwiach, a najlżejszy okrzyk jego mógł być w sąsiedniéj izbie słyszany, gdy z drugiéj strony znany i nienawistny mu głos żony dojść go mógł, obudzić i przywieść do szału. Nie dziw więc, że Jermaszka przed garnkiem rosołu klęczący z założonemi rękami, cały we łzach się modlił, spoglądając to na pana oddychającego ciężko, to na kij ów okuty.

Ale od drzwi, przez które słychać było jęki, odsunęli się podróżni ze strachu morowéj zarazy i choroby jakiéj niebezpiecznéj, a kasztelanowa dotąd jakoś dosyć cicho gadała. Że jednak posłyszany ów ciężki oddech przerażał zwłaszcza p. Floryana, oraz kuzynka troskliwego o życie i zdrowie swego bóztwa—wezwano do śledztwa gospodarza Mejera.

Obyczaj też wymagał, aby arendarz dostojniejszych gości osobiście witał. Wszedł wezwany starzec w atłasowym żupanie okładanym aksamitem, z założoną za czarny pas chustką barwistą, w jarmułce wysokiéj nowéj, którą zdjął witając piękną panię.

— Mówiono mi—odezwała się kasztelanowa, zbliżając się do niego—że tu u WPana goście znakomici

stają; a widzę, że jedną tylko masz stancyę, i to jeszcze przezedrzwi jakiś tam chory jęczy...

Mejer już był wszystko zbadał, a wielu się rzeczy domyślił; odkłonił się pięknie i począł, nie odpowiadając z razu na pytanie:

— Proszę jaśnie pani, wszakże i samego króla JMości miałem tu szczęście mieć u siebie...—I wskazał na portret.—JW. hetmanowa odpoczywa tu zawsze; książę generał, ile razy jedzie, nie pominie starego Mejera; księżna wojewodzicowa mścisławska, książę marszałek litewski...

— Ale zapewne dla nich masz WPan obie izby wolne, a dla mnie jest tylko jedna... Któż tam zajmuje tę drugą?

— W drugiéj leży znajomy mój szlachcic ubogi, który z przeziębienia w drodze ciężkiéj febry dostał.

— Ale czyż tylko febry? zapytał kuzynek niespokojnie.

— Już proszę wierzyć, że tu żadnéj innéj choroby, broń Boże jakiéj niebezpiecznéj, nie ma,—odpowiedział Mejer, kładąc rękę na piersi. Mamci ja też żonę i dzieci, tobym się przecię o własną skórę troszczył.

— Ale bo ten człowiek dyszy jak w największéj gorączce! przerwał pan Floryan.

— No! bo ma ciężką gorączkę—rzekł Żyd—co dziwnego?

— Więc po co go tu trzymacie? spytała kasztelanowa.

— Albo to się godzi chorego wyrzucić? zapytał Mejer. Tego ani u was, ani u nas nie wolno.

Zawstydzona nieco kasztelanowa, wzgardliwie odęła piękne usteczka, kuzynek się namarszczył, a p. Floryan głową pokiwał. Rozmowa na tém się skoń-

czyła. Mejer skłonił się i wyszedł poważnie, uchylając jarmułki; towarzystwo siadło do przygotowanego obiadu, który w pół gotowy przywiozło już z sobą.

Był nawet dosyć wytworny, a wino co się zowie dobre, gdyż kasztelanowa nieobojętną być poczynała na kuchnię. Wpół uczty też humory znacznie się poprawiły, usta rozwiązały, i śmiano się dosyć ochoczo, gdy—nagle z za drzwi dał się słyszeć krzyk i westchnienie razem tak straszliwe, tak bolesne, tak głośne, że wszyscy porwali się z miejsca. Kasztelanowa pobladła i trząść się poczęła, Floryan skoczył do drzwi, a kuzynek ręce rozciągnął, jakby chciał skarb swój otoczyć i ratować.

— A! to ten chory, nieznośny! zawołała ochłonąwszy nieco kasztelanowa, spoglądając na p. Floryana, który stał jeszcze w progu drżący i wylękły,—to ten szlachcic chory...

Dźwięk tego głosu dziwny przypomniał Krystynie męża, a p. Floryanowi znajomego i przyjaciela tak silnie, iż Maluta wyszedł zaraz na wzwiady. Miał wielkie podejrzenie, a choć się z niém kasztelanowéj nie zwierzył, porozumieli się oczyma.

Wszedł Maluta naprzeciw do izby gospodarza z mocném postanowieniem dobadania się prawdy, ale trafił na człowieka równie jak on kutego na cztery nogi i wytrawnego.

— Jakąś to tam dziwną febrę ma ten człowiek! rzekł do Mejera: bo krzyczy z gorączki. Ja się trochę na medycynie znam, możebym mu co poradził, a te jęki nam obiadu spokojnie zjeść nie dają.

Mejer zwąchał o co chodzi.

— A! co nam tam do tego starego szlachcica! rzekł obojętnie. To człowiek już wcale niemłody

i schorzały; kto wie co z niego będzie? Jemu już podobno ani wy, ani żaden doktor nie pomoże.

— Co? tak stary? spytał ciekawie Maluta.

— Dosyć stary, a jeszcze gorzéj schorzały—odparł żyd poufnie—i biedny. Ma przy sobie tylko jednego młodego chłopaczka... Posłałem już do familii, aby go ztąd wzięli, żeby mu się tu nie zmarło, bo trup w karczmie na długo odstręcza gości.

Kłamstwa te z taką pozorną naiwnością wypowiedział stary Żyd, że pan Floryan zupełnie strapiony odszedł, pewien będąc, iż się omylił.

Tymczasem kasztelan pod jego niebytność drugi raz zakrzyczał.

— Wody! wody!

Głos był tak znany, że kasztelanowa porwała się z krzesła, przerażona straszliwie. Jermaszka także uląkł się, i nie myśląc już o przygotowanéj ciepłéj, podał zimnéj czerpakiem z wiadra, byle tylko co najprędzéj niebezpieczne wołanie przerwać.

Powracający uspokojony Maluta, spotkał we drzwiach kasztelanową bladą i wylękłą.

— Na miłość Boga! odezwała się po cichu, aby kuzynek nie słyszał: w tym alkierzu jest on! Słyszałam tylko co po raz drugi głos jego. Ja się mylić nie mogę—to on! to on!

— Ale i mnie się tak z początku zdawało, rzekł p. Floryan. Chodziłem śledzić, pokazało się, że stary jakiś szlachcic niedołęga. Całą jego historyę opowiedział mi Żyd: imaginacya!

— Żyd kłamie! jest w zmowie... to on! zawołała Krystyna.

— Ręczę pani, że nie.

— Ja czuję, widzę, pewna jestem! ja się nigdy nie mylę! odpowiedziała kasztelanowa, trzęsąc się cała.

P. Floryan zachwiał się, poszeptał coś z nią i powrócił do gospodarza.

Tym razem dał mu znak, by wyszedł z izby, i choć drobny deszczyk kropił, wyciągnął go z sobą aż na przyźbę.

— Jakże panu na imię, mości gospodarzu? rzekł słodziuchno.

— Mnie? Mejer Richtig—odparł kłaniając się stary—do usług pańskich.

— Panie Mejer, panie Mejer! odezwał się Floryan: pan mi prawdy nie powiedziałeś, gdym go z troskliwości o tego podróżnego wypytywał... Pojmuję, że nie znając mnie, ufać mi nie możesz, i może masz powody słuszne a uczciwe do obawy; ale ja daję WPanu szlacheckie słowo honoru, że się go pytam o to nie w chęci szkodzenia, ale w intencyi służenia temu, którego się domyślam ukrywającego w alkierzu. Mów mi WPan prawdę.

— Jaką prawdę? co za prawdę? odparł Mejer alboż jéj nie powiedziałem?

— Ale tam jest wcale kto inny!

Mejer oburzony, ruszył ramionami.

— Proszę już mi dać pokój, kiedy mi pan nie wierzy... rzekł i chciał odchodzić.

— Bardzo przepraszam, ale tu są ważne okoliczności.

— Któż to ma być? co to ma być? zawołał Mejer nieco gniewnie—kogo ja mam tu chować? co JPanu się przywiduje? na coby się to mnie przydało? proszę mi powiedzieć.

P. Floryan heroicznie zdobył się na wyciągnienie

z zielonéj kieski dukata oberzniętego, za który spodziewał się odebrać trzy od kasztelanowéj. Wybrał zręcznie palcami taki, który mu się wydawał najcieńszy i najmniejszego wzrostu a nieco pogiętym staruszkiem, i szacowny ten zabytek numizmatyczny podsunąć chciał arendarzowi.

— Za popas? spytał Mejer.

— Nie, nie, proszę to przyjąć, a być mi przyjacielem—z uśmiechem dodał zdrajca.

Mejer się skłonił.

— Bardzo dziękuję—rzekł—ale jak to rozumieć?

— No, już mówcie mi prawdę!

Żyd zabrawszy dukata, zaczął się okrutnie śmiać.

— A wej! zawołał: ja tego nie rozumiem, co JPan chcesz odemnie? co ja mam powiedzieć? co tu ma być? A! a! czy to żart jaki, czy zakład?

— Ale panie Mejer, tam się ukrywa ktoś, poznaliśmy go po głosie.

— Na uczciwość ja nie rozumiem: starego szlachcica znam jak siebie... dajcież temu pokój!

Pan Floryan tém mocniéj dotknięty, że sądził, iż darmo owego kulfona stracił, miał już odchodzić, gdy Mejer obejrzawszy dukata, oddał mu go kłaniając się. Ale tuż przypadła sama kasztelanowa, blada, drżąca rozgorączkowana.

W czasie niebytności Maluty chory krzyknął po raz trzeci, i wybełkotał słów kilka. Kasztelanowéj zdawało się że usłyszała nawet imię swoje; wybiegła więc struchlała, sama badać gospodarza. Mejer odbywszy parę indagacyj, już był na dalsze przygotowany.

— Kto tam jest? kto się tam ukrywa?! na Boga! zawołała, przypadając do Żyda.

— Co to takiego? stary szlachcic, któż ma być!

odparł Żyd spokojnie. Niechże się JPaństwo przekonają sami, proszę mi tylko pozwolić wejść zobaczyć co się u chorego dzieje, a będziecie mogli wejść i zobaczyć sami.

Ta nagła determinacya Mejera zachwiała p. Floryana i kasztelanową.

— Już ja muszę państwa przekonać—rzekł Żyd,— abyście państwo wiedzieli, że stary Mejer nie kłamie, tylko proszę o kilka minut.

Plan w głowie poczciwego arendarza był osnuty. Z alkierza wychodziły drzwi do trzeciéj izby zajmowanéj przez jego syna; wynieść przez nie chorego łatwo było z tapczanem, a starego Żyda belfera owinąwszy odzieżą i kołdrą na jego miejscu położyć. Myśl ta przyszła Mejerowi, któremu żal się zrobiło prześladowanego, bo o całych jego losach wiedział od Jermaszki.

Dobry kwadrans upłynął, nim powrócił do kasztelanowéj.

— Musiałem—rzekł—chłopaka, który przy chorym siedzi, uprzedzić, a niełatwo go było namówić, żeby drzwi otworzył, aż dopiero gdym mu przyrzekł, że państwo może co na tę chorobę poradzicie.

Pan Floryan i kasztelanowa poczuli się zawstydzeni swą podejrzliwością, poszli jednak powoli, zaczęli stukać do drzwi, nierychło im je powoli otwarto. Zaduch przykry bił z izby. Maluta obawiał się nawet bardzo zbliżać do chorego; ale kasztelanowa weszła śmiało, zbliżyła się do tapczana, i popatrzała długo na twarz nieznaną sobie, starego bladego człowieka, przykro wykrzywioną i dziwnego wyrazu... Odeszła potém razem z Malutą co najprędzéj. Konie stały już zaprzężone; siedli więc i ruszyli milczący

w dalszą podróż. U kominka tylko, przechodzący Maluta machinalnie spostrzegłszy jakiś papierek na ziemi leżący, podniósł go i schował do kieszeni. Przypomniał go sobie aż nocą w drodze, i oddał kasztelanowéj, która żadnéj do niego nie przywiązując wagi, wrzuciła jednak do woreczka. Spoczywał tam ten świstek aż do przybycia na miejsce. Dopiero gdy rzeczy swe porządkowała Krystyna, wyrzucić go myślą, spojrzała przypadkiem: — wzdrygnęła się i zatrzęsła, poznawszy dobrze sobie znane pismo pana Adama.

Przypomniawszy głos, który słyszała w karczmie, najmocniéj już teraz była przekonana, że ją oszukano, że nie omyliły jéj przeczucia, że kasztelan w istocie w téj karczmie leżeć musiał chory i ukryto go przed nią. W godzinę po tém odkryciu, wezwany p. Floryan, pewnie nie na ratunek pośpieszył z sekretnemi poleceniami do owéj karczmy; ale mimo wielkiego pośpiechu, dniem jadąc i nocą, dobił się już za późno „pod Kogutka." Tym razem z ludźmi, których wziął z sobą, zwiedził gospodę od strychu do piwnic, ale nikogo tam nie znalazł.

Mejer ręce wziąwszy za pas, śmiał się prawie z tych próżnych zabiegów, ani przecząc już, ani potwierdzając domysłów o bytności kasztelana, nie wypierając się wreszcie nadto udziału, jaki miał w jego ukryciu i ucieczce.

— Mój panie, rzekł do Maluty: kiedy kto drugiego człowieka z niebezpieczeństwa wybawi, nigdy się tego wstydzić nie powinien, jeżeli to przez poczciwość, nie dla zysku uczynił. Gdybym ja mu dopomógł schować się albo ujść... no to co?

— Ale to jest zbrodniarz! zabójca! rzekł p. Floryan.

— A! a! niech jego Pan Bóg sądzi! odparł Żyd. Słyszałem ja o tym wypadku: zabił człowieka, co go pokrzywdził... a to u was tak idzie przecię... ale nie był podobno dosyć bogaty, żeby bezkarność opłacić.

— Zresztą—poprawił się Maluta—ja mu też nie życzę źle; chcieliśmy mu tylko ucieczkę do obcych krajów ułatwić.

Żyd się uśmiechnął.

— No! to już teraz może i niepotrzebne; on sobie może sam dał radę.

Gdy Maluta z relacyą o wyprawie powrócił, kasztelanowa chmurno go przyjęła. Nigdy ona tyle energii w mężu nie przypuszczała. Znalazłszy jéj daleko więcéj niż sądziła, zaczynała się niepokoić o siebie, a choć z tą myślą nie zwierzyła się nikomu, jakaś dziwna bojaźń owładywała nią chwilami, i wpłynęła może na zmianę usposobień jéj dla p. Adama.

Kasztelanowa odzywała się kilkakroć półgębkiem, że gotowaby była do jakiejś zgody, przejednania, układów, byle rozwód otrzymać; ale o kasztelanie nigdzie powziąć języka nie było można.

P. Floryan, który w porze letniéj mniéj miał snadź zajęć dyplomatycznych i potajemnych robot w mieście, pojechawszy z panią Krystyną na wieś, ofiarował jéj swoje usługi, zawsze je zarazem ubarwiając przyjaźnią dla pana Adama, któremu, jak mówił, życzył dobra i spokoju.

Po niejakim czasie, gdy się dobrze rozpatrzył i rozgadał na wsi, przybył raz pod wieczór do pani kasztelanowéj, którą już kuzynek tak był znudził, że go codzień na polowanie wysyłać musiała, aby się go trochę pozbyć.

Życie Krystyny płynęło jednostajnie, smutnie, a drob-

nostkowe zajęcia interesami, którym się coraz więcéj oddawała, nie starczyły ruchawemu umysłowi i przywyknieniu do intrygi. Była zmęczona, zamyślona, znękana.

Pan Floryan z jakąś minką wesołą wszedł zacierając ręce, siadł z dala na krześle, i począł rozmowę od pogody, ale ze szczególną żywością, która zwiastowała, że po za tym kommunałem coś się ukrywa ważniejszego.

— Pani kasztelanowa dobrodziejka — rzekł — nudzi się na wsi. Istotnie, patrząc na jéj pracę, na to poświęcenie dla familii, człekby pragnął, aby się JPani i dla siebie jeszcze tak jéj przynależnego szczęścia doczekać mogła... A tu te węzły dla obojga ciężarem będące...

Kasztelanowa westchnęła, patrząc w okno.

— Wie pani, co mi na myśl przyszło? spytał pan Floryan.

— A! cóż tam nowego?

— Kasztelan, przynajmniéj jak mi się zdaje, nie mógł gdzieindziéj się ukryć tylko w domu, za Bugiem, w téj wioseczce, w któréj żyła i żyje podobno jego matka.

— To być bardzo może... odpowiedziała obojętnie kasztelanowa.

— Należałoby to sprawdzić. Wie pani? dodał po chwili milczenia: ja gotów jestem tam jeszcze sam pojechać. Dawne stosunki łączą mnie z panem Adamem: ofiarując się chętnie za pośrednika, obu stronom przez to uczyniłbym może przysługę.

— Nie jestem temu przeciwna, żebyś pojechał, rzekła; ale mnie się zdaje, że to będzie nadaremne.

Kasztelan nie może się tam ukrywać, gdzie wie, iż go najłatwiéj szukać będą.

— A któżby go tam miał szukać?

— Ja! zawołała kasztelanowa: między mną a nim rachunek nieskończony. Ma także do zdania sprawiedliwości kalkulacyę z krwi przelanéj.

Maluta zamilkł.

— Ale cóżby to szkodziło, gdybym ja pojechał? rzekł po chwilce.

— Jedź WPan, dadzą mu konie; ale w razie gdybyś go znalazł, to go spłoszysz i nic więcéj.

— Może mi pani da jakie zlecenie, upoważni?

— Żadnego, ja nic nie żądam... odparła znowu zacinając się Krystyna. Niech on prosi o przebaczenie i układy, jeśli chce.

W parę dni po téj rozmowie, pan Floryan wyjechał za Bug na Podlasie, i ciche jakieś miał instrukcye do Wólki Brzozowéj, do któréj my go poprzedzić musimy.

Słońce zachodziło jaskrawo; dzień cichy kończył się jak zwykle w czasie żniw, śpiewem powracających z pola robotników. W Wólce na ganeczku siedział pan Baltazar i półgłosem nócił piosenkę.

Na twarzy jego i włosach znać było ubiegłe lata; trochę nawet za pośpiesznie postarzał. Zostało mu coś jeszcze żołnierskiego w obejściu, resztka żywości, ochota do pieśni i do polowania. Ale pieśń, którą dawniéj tak głośno nócił, teraz kończyła się na mruczeniu i odchrząkiwaniu, w ostatku na uznaniu, że tego dnia nie ma głosu; na polowanie też wybierał się co rano, czyścił fuzyę, kazał się budzić, potém rozmyśliwszy się jakoś, znajdował powód odłożenia na dzień inny.

Trafiało się jeszcze, że gdy mu zając wszedł w drogę, strzelił do niego i nie chybił; ale już za kusym nie chodził daleko, nie upędzał się za nim, a rankami chłodnemi na toki ciężko mu wstać było. Spowolniał, sypiał dużo, mówił mało, ponure myśli z dymami fajki ulatujące trzymały go całemi godzinami na jedném miejscu.

W Wólce zresztą mało co się zmieniło. Płoty gdzie niegdzie postawiono nowe, młode laski popodra-

stały, na starych drzewach i na starych ludziach nie bardzo znać było lata ubiegłe. Jak owe zegary wieżowe, które idą wieki, życie w tym zakątku szło sobie powolnie, nietknięte obrotem rzeczy ludzkich, zmieniających się dokoła.

Wiadomości z zewnątrz rzadko tu dochodziły. Czasem w święto jeździł pan Baltazar do kościoła, a czego się na plebanii dowiedział, stanowiło zapas na długie czasy do wniosków, dumań i przeżuwania.

Pomimo starań o dobry byt wioski i gospodarstwa, wszystko po trosze podupadało. Są tajemnice niezbadane nawet w rzeczach powszednich; nic się czasem na pozór nie odmienia na oko w robocie, w staraniach, w pilności, a upadek przychodzi powoli, gdy jednego zabraknie człowieka.

I tu nie brak było gorliwości, a wszystko szło jakoś leniwo i opacznie. Ale któż się tam miał zajmować gospodarstwem zbyt pilno i dla kogo?

Teraz tylko na Wólkę patrzali stryjeczni Melchior i Kasper, z pewną nadzieją, że ona się im kiédyś dostać powinna. A że Baltazar był najbliżéj wdowy, robiono mu grzeczności i nadskakiwano. Melchior zupełnie był swéj kłótni z nim zapomniał; pani mu się uśmiechała wcale zalotnie. Kasztelana, z tego co o nim wiedziano, miano za straconego; nie sądzili, by cało wyszedł z tarapat.

Położenie pana Baltazara tém się stało przykrzejsze na tém cudzém gospodarstwie, że od roku prawie wdowa po panu Krzysztofie niezupełnie jakoś zdawała się być przytomną. Nie można tego było nazwać obłąkaniem, ale z pełna dawnego rozumu też nie było.

Zaczęło się to nie wiedzieć jak.

Jednego ranka wstał pan Baltazar do dnia, gdy go przeciwko obyczajowi na kawę do siebie zaprosiła pani Krzysztofowa. Nie wiedział coby to miało znaczyć. Zastał ją wystrojoną w czepeczek odświeżony, w suknię jedwabną, uśmiechniętą i ożywioną nad spodziewanie. Kawa była podana wykwintniéj; filiżanki chińskie otarte z kurzu, które zwykle tylko nudziły się nieboraczki na komodzie, teraz wystąpiły na tacę; w pokoju było weseléj, bukiet z kwiatów, okna otwarte. Ale nad wszystko dziwiła go twarz odmłodzona, spokojna Anusi, jakiéj pan brat dawno nie oglądał. Wyszła przeciwko niemu promieniejąca jakiémś weselem utajoném.

Pan Baltazar ledwie jéj nie posądził, że się w jego siwych wąsach zakochała; ale mu to przypuszczenie tak zdawało się nieprawdopodobne, że je jak szatański podmuch odepchnął.

Pani Krzysztofowa wskazała mu miejsce.

— No, cóż? jakże? odezwała się: nie prawdaż, że dziś, albo najdaléj jutro Krzyś z Adasiem pewnie przyjadą? Ależem się na nich wyczekała! Rachuję, że już są w drodze i niedaleko.

Pan Baltazar otworzył usta, osłupiał, nie wiedział co odpowiedzieć.

— Tak, dziś, jutro—rzekła pani Krzysztofowa—jestem tego pewna... I potrzebaby pomyśleć, panie bracie, gdzie pana Adama postawimy; boć to teraz wielki pan z niego: a gdzie ja go pomieszczę? Właśnie po to tu kochanego brata wezwałam, abyśmy się naradzili, jak go tu ulokujemy? gdzie? Pan Krzysztof zajmie swój pokój, ale pan Adam?... Toć to mu potrzeba, żeby było i obszernie, i porządnie co się zowie: człek już do wygód przywykły... i taki to dygnitarz...

Uśmiechnęła się sama do siebie jak anioł niewinném weselem macierzyńskiém, i spojrzała niebieskiemi oczyma wypłakanemi na brata, który stał gryząc wąsy....

Pan Baltazar, choć żołnierz stary i z niedźwiedziem a z dzikiem gotów był jeszcze dziś w potrzebie pójść za bary, okrutnie się wszakże obawiał waryatów.... Wstrząsł się cały i pobladł, pomiarkowawszy, że pani bratowéj zmysły się pomieszały. Cofał się nieco ku drzwiom, poglądając na nią. Ona się uśmiechnęła łagodnie, i to go nieco uspokoiło, że do żadnéj furyi nie widział podobieństwa.

— Ale siadajże, mój Baltazarze—rzekła—siadaj i radźmy, gdzie my go tu postawimy, tego pana kasztelana naszego... Kasztelana!!! ha! ha! Ja zawsze mówiłam, że go to nie chybi; jemu z oczu patrzało, że się do tego urodził.

Pan Baltazar siadł z przeciwnéj strony stolika, ale blady, drżący, kawy mu się odechciało, a po grzbiecie ciarki chodziły. Jak w tęczę patrzał w bratową, gotów na najmniejszy znak gwałtowniejszego poruszenia drapnąć z miejsca. Pot zimny oblewał mu skronie.

— Więc jak myślisz, panie Baltazarze?

— Ja? ja? ja jeszcze nic nie wiem, ja sądzę—bąkał stary, rzucając spojrzenia bojaźliwe—ja myślę, ja nie jestem jeszcze pewien czy on przyjedzie?

— Ale jakże nie przyjedzie, kiedy ojciec po niego pojechał, kiedy już pewną mamy obietnicę!

Pan Baltazar pokręcił wąsa, ruszył ramionami, ale postanowił potakiwać jéj, aby nie jątrzyć.

— Więc jak tam pani bratowa myśli?

— Ja tu nie widzę dla niego stosownego pomiesz-

czenia; byłabym za tém, żeby naprędce domek zbudować w lasku: ot powiem ci! tak! Przypominam sobie, że oglądając niegdyś rezydencyę w Siedlcach, widziałam w ogrodzie taką cudowną chatę, co to po wierzchu wyglądała niby prosty dworek chłopski, a wewnątrz była pałacem, pieścidełkiem... Gdyby to co podobnego zbudować dla kasztelana?

— Ale to rzecz kosztowna, przerwał p. Baltazar,— a i czasuby na to potrzeba, gdy bratowa go się spodziewa tak prędko.

— Widzisz, odrzekła spokojnie pani Krzysztofowa: na wszystko są sposoby. Co się tycze pieniędzy, wiem, że pod starym dębem za ogrodem jest kocieł miedziany pełniuteńki złota; pilnuje go tylko jeden stary kot. Możnaby go zabić... ty, tak doskonale strzelasz. Mnie się też zdaje, że Św. Józef jako z rzemiosła cieśla, gdybyśmy się do niego pomodlili, jednéjby nocy to zrobił ze swymi robotnikami... Wiadomo ci, że ma pod swoją władzą wszystkich bogobojnych cieśli, którzy pomarli od Narodzenia Chrystusa Pana, więc gdyby z nich przyprowadził stu... półtorasta...

W ostatnich słowach tak widoczne było pomieszanie, choć łagodne i pewnéj jeszcze logiki własnéj się trzymające, że pan Baltazar nie wiedział już co odrzec, i począł smutnie potakiwać głową.

— Jakże się pani bratowa czuje? rzekł po chwili, odwracając rozmowę.

W istocie, na twarzy pani Krzysztofowéj, pomimo nieco obłąkanego wejrzenia, był spokój i zdrowie osobliwsze. Piła kawę z apetytem, zajmowała się, krzątała, kilka razy wspomniała o mężu jako o nieboszczyku, ale to nie przeszkadzało jéj wkrótce potém, w téjże chwili mówić o nim jako o mającym powrócić.

Odzywała się nawet w ten sposób: „Gdy św. pamięci mąż mój przyjedzie...“

Po długiéj dosyć rozmowie, któréj skutkiem było, że uprosiła Baltazara, iżby drzewo na budynek do lasku wożono koniecznie, odszedł stary żołnierz, i poleciał natychmiast do proboszcza poradzić się co robić. Przyjechał proboszcz, rozpłakał się, powzdychał, ale widząc ją z tém obłąkaniem tak szczęśliwą, wesołą, spokojną, tak prawie rozsądną, rzekł tylko:

— Dajże WPan pokój biedaczce! Bóg litościwy zesłał jéj tę pociechę, nie odbierajmy jéj... zostawmy ją jak jest.

Mimo tajemnicy, jaką z tego czyniono we dworze, przez ludzi rozeszła się wieść po sąsiedztwie, a pan Melchior i Melchiorowa zaraz objawili zdanie, ażeby staruszkę w klasztorze gdzie osadzić, Wólkę zaś zagarnąć pod swój zarząd. Myśl ta wszakże z takiém oburzeniem została przyjęta, że się jéj wprędce wyprzeć musieli, dziwując się tylko po cichu, że tak naturalna rzecz tak źle zrozumiana została.

Krzysztofowa tak nieustannie dokuczała bratu, że wreszcie chcąc nie chcąc, musiał trochę drzewa zwieźć na domek w lasku, nie myśląc go wcale budować; ale się omylił sądząc, że tém bratową zaspokoi. Pilnowała sama roboty, chodziła, napędzała, trzeba było na seryo wziąć się do budowania o kilku pokoikach folwarczku. Budynek ten mógł się zawsze przydać, bo i nieboszczyk jeszcze myślał o oficynie: zdecydowano się więc postawić ją w lasku.

Codzień rano wdowa chodziła na obrane miejsce, siadała na kłodzie przy cieślach, odmawiała modlitwy do Św. Józefa patrona dobréj śmierci i ciesielstwa, karmiła ludzi, poiła, prosiła, aby pośpieszali, a domek ten

wielce ją zajmował. Ale chociaż budowa ciągnęła się, zawsze jednak nazajutrz oczekiwała męża i syna; nie zrażało jéj to, że jutro nie przybywali, przywykła była nie *dziś* ich mieć, ale spodziewać się *jutro*.

Tak szczęśliwa zmiana w jéj twarzy, zdrowiu, humorze dokonała się przez to obłąkanie, że ledwie jéj nie winszować i cieszyć się było potrzeba. Pan Baltazar nawet widząc, że jest zupełnie spokojna, oswoił się z tém i potakiwał, ale niekiedy patrząc na biedaczkę wystrojoną odświętnie, uśmiechniętą do tego szczęścia, którego nigdy kosztować nie miała, łza mu wilżyła źrenice, i wzdychał ocierając ją rękawem.

— Oj! ludzka dola! mówił do siebie: ale któż wie gdzie szczęście? czasem w utracie rozumu i pamięci! Ot! jak Bóg zechce, czasem i utrapieniem pocieszyć potrafi, zsyłając jakby sen ciągły na człowieka... Dolo! dolo!.. powtarzał p. Baltazar—oto są sztuki twoje!..

Już się ów domek dobrze podnosił i zrąb stał prawie pod dach gotowy, z porządnie na mech kładzionych kłód grubych sosnowego drzewa... gdy jednego wieczoru, kiedy sobie Baltazar podśpiewywał a dumał, psy podwórzowe wybiegły za bramę i dziwnie ujadać zaczęły.

Próżno je z ganku przywoływał pan Baltazar, świstał, wołał, nic nie pomogło; ile ich było, aż do staréj ulubienicy pana Krzystofa nieboszczyka, która się zwała „Wierna“ (a była już od wieku podeszłego głucha i niemal z włosów wypełzła, i sypiała zwykle w piekarni pod piecem, w popiele, żyjąc na łasce),—wszystko wysforowało się za bramę, stanęło w rząd, i nuż szczekać a wyć.

— Ani chybi, wilka gdzieś czują nieopodal, rzekł Baltazar.

Ale psy pozwracały się w stronę wioski, posiadały, i zawodziły straszliwie.

Poszedł nareszcie sam Baltazar. Popatrzał, i zobaczył dwóch ludzi pieszo idących powoli od wioski... Wziął ich z dala za dwóch Żydów z kramikami.

Gdy się więcéj zbliżyli, jeden zatrzymał się pod krzyżem, około którego bywało pan Krzysztof modlił się wieczorami, drugi pośpieszał do dworu.

Psy wybiegły aż ku temu miejscu, ze starą Wierną na przedzie; ale o cudo! Wierna podszedłszy, powąchała, i przychodniowi zaczęła się łasić. Reszta młodszych, z dala idąc, nie śmiała przystąpić, naszczekiwała, gderała, ale dając do zrozumienia, że przez gorliwość popełniła omyłkę.

Niezmiernie to zaciekawiło Baltazara, który już w bramie pozostał i czekał. Ktoś szedł do niego wprost czapkę zdjąwszy, ale trudno go jakoś było poznać przeciwko światła, aż się ozwał:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki!

Ale Baltazar choć rękę do czoła przyłożył, nic nie zobaczył.

— Ej! czy pan mnie nie poznał?

— A! toć ty! Jermaszka! Jezus, Marya! a ty tu co robisz? krzyknął Baltazar, dopiero go rozeznawszy. Jakeś ty tu przyszedł?

Sługa ruszył ramionami, odwrócił się do krzyża, i wskazał milcząco na stojącą tam postać.

— No? a toż kto?

— A! kasztelan....

Pan Baltazar załamał ręce.

— Jak to? pan Adam?

— A on-ci to sam!

— Cóż? pieszo? jak może być?

— Czyż nic nie wiecie?

— A cóż mamy wiedzieć?

— A no! co się stało, to się stało! zawołał Jermaszka, kiwając głową. Krótko mówiąc: rozwód, prześladowanie; zabił Francuza, i musieliśmy uciekać.

— Jakiego Francuza? spytał Baltazar.

— A no! ono to tego, co na nas jejmość nasłała.

Stary żołnierz nic nie rozumiał. Mało tu wiedziano o sprawach kasztelana; potrzeba było dłuższego opowiadania, aby te zmiany losu stały się im zrozumiałe. Nie troszcząc się wcale o to, co i jak zaszło, poczuł Baltazar, że należało co rychléj pójść przygarnąć pana Adama.

— A! a! zawołał: co to będzie z nią? z matką? jak to jéj powiedzieć? co tu począć?.. Ona się ich spodziewa... ale inaczéj! inaczéj!

Jermaszka nic znowu o stanie umysłu staréj jejmości nie wiedział; nie zrozumiał obawy pana Baltazara, który stał, czapkę zdjął, i włosy sobie targał na głowie.

— Do jutra go potrzeba ukryć, a tę nieszczęśliwą przygotować. Tak go od razu wprowadzić niepodobna... mogłoby ją to zabić.

Pośpieszył Baltazar z Jermaszką do stojącego opodal jeszcze kasztelana. Znalazł go pod krzyżem zadumanego, z usty zaciśnionemi, do niepoznania zmienionego i strasznego po przebytéj chorobie. Niewczas, osłabienie, podróż pełna niewygód i długa, okrutne ślady wyryły na tém piękném, młodém jeszcze, a już zwiędłém obliczu. Gdy stryj zbliżył się, uścisnęli się w ponurém milczeniu.

— Matka? spytał krótko pan Adam.

— Żyje, zdrowa, odparł Baltazar; ale—tu się nieco wstrzymał—potrzeba jéj cierpienie, jéj stan poszanować. Nie możecie wnijść tak nagle, musimy ją przygotować. Do jutra odłożymy widzenie się z nią.

— Dajcie mi więc kąt jaki—rzekł kasztelan—byle łoże i spoczynek... Trzebaż było, abym po latach tylu wrócił tu obcym, pieszo jak żebrak! Tak chciała sprawiedliwość... tak być było powinno...

Szczęściem, że gdy ta scena odbywała się przed wrotami, Krzysztofowa była już w swoim pokoju; można więc było przeprowadzić pana Adama do izby w oficynie, którą zajmował Baltazar, chętnie mu jéj odstępując. Kasztelan rzucił się na posłanie, a że był bardzo znużony, nie ściągnął nawet sukni, i z gorzkiém uczuciem, jakiém go poiło to przybycie do domu rodzicielskiego, pozostał w pół osłupiały, łzy jednéj nie mogąc uronić. Jermaszkę otoczyli ludzie dworscy, badając, rozpytując; od nich dopiero dowiedział się o stanie saméj pani. Włosy mu powstały na głowie; począł biedny płakać i ręce łamać.

— Ale nie, nie, to być nie może! gdy go zobaczy, oprzytomnieje... zawołał pełen nadziei—pozna...

Namówili się więc z panem Baltazarem, aby kasztelanowi nie mówić nic o obłąkaniu matki, przygotować ją powoli, i potém wprowadzić go do niéj. Nie bez obawy jednak to przedsiębrano. Któż mógł przewidzieć, jakie wrażenie miał uczynić widok syna na biednéj staruszce?

Noc upłynęła na radach. Baltazar wzdychał, niebardzo wiedząc co począć; ranek mu dodał otuchy, ale że oka nie zmrużył, czuł się straszliwie zmęczonym... Zwykle teraz, od czasu jak budować poczęto, zapraszała go na kawę pani Krzysztofowa,—i tego dnia też

przysłano po niego. Czekał tylko téj chwili; przeżegnawszy się, wszedł do jéj pokoju.

— No, mój kochany Baltazarze—rzekła—dom dla pana kasztelana się kończy; dziś, jutro, aniołowie gotowy dach przyniosą i postawią. Niezadługo i on będzie.

— A! bratowo dobrodziejko! zmienionym głosem rzekł Baltazar. Bardzo to być może, ale on podobno przybędzie sam... Słychać, że na świecie go tam jakieś kłopoty spotkały, i powraca dosyć biedny.

— Co ci się śni! rozśmiała się Krzysztofowa. On biedny? Jak możesz takim plotkom ludzi niechętnych dawać wiarę? Jak Adamowi może być źle na świecie? dla czego? Wstydź się! on pan, magnat, ulubieniec króla!

— Aleć to, bratowo, ta łaska i to szczęście na pstrym koniu jeździ.

— No! no! już się ty o niego nie obawiaj; da on sobie radę.

— Obawiać się nie ma czego—rzekł Baltazar—boć to wszystko w ręku bożych. A choćby i biednym był, to go tu przytulimy.

— Ale co mi WPan prawisz o jakiéjś tam biedzie! ofuknęła Krzysztofowa. Co to jest? dodała z gniewem widocznym—zkąd te plotki do waszmości doszły? kto ci niemi głowę nabił? Wstydź się! to jakieś złych ludzi szczekania.

— Powiem więc bratowéj, że ja coś więcéj niż gawędy słyszałem —rzekł Baltazar— bom sam pana Adama widział.

— Gdzie? co? kiedy? porywając się, zawołała staruszka.

— Muszę już wyznać prawdę: on przybył i jest tu od wczoraj—jest tu....

Pani Krzysztofowa pobladła, ale szybko dodała:

— Gdzież konie? ludzie? dwór?

— Co tu mówić już o ludziach, dworze i koniach! Przywlekli się obaj pieszo z Jermaszką; on mizerny i chory...

— Ale co się waszmości śni! oburzyła się staruszka, i krzyknęła: To bajki! to wierutne bajki!

W téj chwili właśnie gdy to wymawiała, otwarły się drzwi, i pan Adam się ukazał.

Matka patrzała na niego długo, długo, ale zupełnie obojętnie. Było widoczne, że wyobraźnia jéj śniła innego syna, i że ten biedny, blady, znękany, ubogo odziany człowiek, nie był wcale do tamtego we snach długich widzianego podobny.

Pan Adam powoli począł się zbliżać.

— Któż to taki? spytała zimno Krzysztofowa.

— To ja, to ja, matko! rzekł kasztelan.

Ale i głos go jéj nie przypominał.

— Któż to, ten ja? zacinając usta, odezwała się, odsuwając z krzesłem wdowa. Kto to, ten ja?

— Adam twój!

Milczenie trwało kilka sekund. Krzysztofowa mierzyła go zimno oczyma, z pogardą prawie, i kiwała głową.

— Mój panie! rzekła w końcu: to jest prawdziwie albo bezwstyd niepojęty, albo żarcik bardzo głupi... Między waćpanem a synem moim panem kasztelanem, nie ma nawet najmniejszego podobieństwa... Takie szalbierstwo udać się nie może. Prawda, że go nie widziałam od dawna, ale serce matki pozna i poczuje dziecię swoje... Jeżeli waćpan żądasz jakiéj pomocy, jałmużny, to mu się da; ale proszę tu nie przybierać wcale tych fałszywych pozorów, bo się mogę pogniewać. Syn mój jest wielkim panem,

kasztelanem, starostą — a nie jakimś tam odartym włóczęgą.

I uśmiechnęła się tryumfująco, poglądając po twarzach przytomnych, gdy p. Baltazar stał blady i trząsł się. Jermaszka ukryty za drzwiami ręce łamał. Sam Adam, spuściwszy głowę na piersi, stał jak posąg, skamieniały.

— Panie Baltazarze! odezwała się po chwili pani Krzysztofowa: proszę wziąć tam tego jegomości na folwark, dać mu wygodę, wspomódz, ale niechże mi nie śmie na mocy tego, żem dawno syna nie widziała, brać na siebie jego roli, bo za przybyciem ś. p. mojego męża i pana Adama, może być srodze za to ukarany—i wart! o wart! Proszę, co za zuchwalstwo! to nie do wiary... czego to się ludzie dopuszczają!

Przytomnym słów brakło. Pani Krzysztofowa zdawała się chłodna, zimna, rozważna, patrzała w oczy synowi, ruszała ramionami, śmiała się, a w końcu wskazała mu drzwi dosyć rozkazująco. On nie miał siły się ruszyć... Baltazar i Jermaszka, bojąc się rozdrażnienia biednéj wdowy, wzięli go za ręce i wywiedli.

Krzysztofowa dopiero teraz gdy wszedł, postrzegła Jermaszkę, i natychmiast go poznała.

— A ty tu co robisz? zapytała.

Ten milcząc, padł jéj do nóg, i wskazał na syna.

— No! no! dosyć tych tam głupich żartów! odparła. Toście sobie widzę ułożyli mnie starą chcieć zwodzić; ale mówię wam, jak nieboszczyk powróci z Adamem, dadzą wam za to! Ale żebyś też i ty, mój Jermaszko, do takich spisków należał! Patrzajże sam—dodała—gdzie tu jakie najmniejsze podobieństwo do Adama, do mojego ślicznego chłopaka, do

tego pana, co całemu światu głowę zawraca! Co wy mi pleciecie!

To rzekłszy, żywo do ogrodu odeszła z kluczami.

Wrażenie, jakie ta przykra scena uczyniła na przytomnych jéj, szczególniéj na samym kasztelanie, nie daje się opisać. On jeden nie był uprzedzony o stanie matki, dla niego wydało się to niepojętą, ale sprawiedliwą karą bożą. Gdy pani Krzysztofowa oddaliła się, pozostał jak wkuty w ziemię, nie wiedząc co począć z sobą. Nalegać na nieszczęśliwą nie było podobna; trzeba było wszystko zostawić czasowi.

Baltazar starał się dla pocieszenia go wmówić w kasztelana, że inne usposobienie powoli przyjść musi, ale odzywał się do słupa; pan Adam nie słyszał nic, nie widział. Nie rzekłszy słowa, dał się uprowadzić Jermaszce, który sam rozpłakany, nie znajdował wyrazów, by mu jego cierpienie osłodzić. Jeszcze nie byli w dziedzińcu, gdy pani Krzysztofowa przez służącą kazała do siebie przywołać Jermaszkę.

Biedne człeczysko z jakąś nadzieją pobiegł raczéj niż poszedł do pani. Zastał ją z twarzą surową, siedzącą na kłodzie przy budującym się domku.

— Cóż to tam za komedyę gracie ze mną? po co ty do niéj należysz? odezwała się do niego surowo pani Krzysztofowa.

— Pani! rzekł powoli sługa: na nieszczęście, to nie jest komedya, to nie udanie, to szczera prawda.... Nikt to inny, tylko twój syn, pani moja; ale syn nieszczęśliwy, wygnaniec biedny, bannita... Tyś go się spodziewała ujrzeć inaczéj, ale Bóg tak chciał... Cóż my poradzimy przeciwko woli Jego? Czyż możesz go pani nie poznać?

Pani Krzysztofowa aż wstała na te słowa.

— Co ci się śni? Oszukali cię ludzie! Gdzież to mój Adam?.. to stary, blady jakiś oszust, któremu źle z oczu patrzy.... Ale to być nie może, to nie jest.... Zobaczycie, gdy przyjedzie *nieboszczyk*...

I pogroziła mu palcem na ustach.

— Dać mi z tém pokój, i więcéj nie wspominać Tylko co nie widać, jak oni nadjadą. Ja ci to przebaczam, ale już dość, dość... bo się gniewać będę.... Nie pokazywać mi się więcéj z nim na oczy.

Jermaszka westchnął, wstał z ziemi, i stał jak winowajca z rękami założonemi, ze spuszczoną głową. Widział teraz, że na to obłąkanie nie ma ratunku— odszedł powoli.

Cały ten dzień prawie przesiedziała u robotników pani Krzysztofowa, trochę smutniejsza niż zwykle. Pan Adam leżał na łóżku milczący i pogrążony. Baltazar sądząc, że zaśnie, zostawił go samego.

Słońce już zachodziło, gdy kasztelan porwał się, oglądając wkoło, i wybiegł na podwórze. Znał z dzieciństwa jeszcze pamiętne sobie kąty; wpadł do domku i przetrząsł cały, napróżno tu szukając matki. Nie znalazłszy jéj, wybiegł do ogródka, ale i tam jéj nie było. Ubitą ścieżynką trafił do budującego się domku przy lasku. Robotnicy już się byli rozeszli, staruszka z różańcem w ręku sama jedna modliła się zadumana na kłodzie, gdy pan Adam powtórnie zbliżył się do niéj.

Widać, że mało mu się przypatrzyła z rana, lub go już była zapomniała, jak zwykle obłąkani, gdyż wcale go nie poznała; a gdy się przybliżył, wstawszy dygnęła mu jak obcemu, któregoby po raz pierwszy spotkała.

P. Adam wzruszony, rzucił się przed nią na kolana.

— Matko! matko! zawołał — matko moja!.. czyż ani głos, ani twarz... twego nieszczęśliwego syna ci nie przypomną? Matko! czyż i ty mnie nie poznasz?

Pani Krzysztofowa cofnęła się nieco nastraszona; ale ruszyła ramionami, nie okazując, aby poznała Adama.

— Cóż to się WPanu Dobrodziejowi stało? odparła. Jakież jest podobieństwo między nim a synem moim panem kasztelanem? Syn mój jasny był jak słońce, wesoły, świeży, młody, niepodobny do niego ani z twarzy, ani z głosu. Jeśli nie oczy, to poznałoby go pewnie serce macierzyńskie... Ale proszęż sobie ze mnie nie żartować.

— Matuniu! rzekł z wyrazem rozpaczy p. Adam: to ja! to ja! twoje dziecię jedyne, nad którego głową tyś śpiewała piosnkę nadziei.... który uszedłem od ciebie niewdzięczny... Winienem, występny byłem i srodze ukarany zostałem. Przychodzę do ciebie wygnańcem, ubogim, biednym, cierpiącym — czyż podobna, abyś ty mnie nie poznała?

— To jakiś biedny waryat! szepnęła do siebie po cichu Krzysztofowa. Potrzeba z nim być ostrożnie i nie drażnić.

Pokiwała głową, nic nie odpowiadając; po chwili tylko przebąknęła:

— Tak! tak! mogło być coś podobnego.... zobaczymy.... Ale proszęż WPana Dobrodzieja do pokoju... chłód wieczorny...

To mówiąc, powstała z wyrazem przestrachu na twarzy, i powoli posunęła ścieżką ku domowi. Kasztelan zamilkł, i zaciąwszy usta, powlókł się za nią nie śmiejąc się już odzywać. W duszy jego było tak czarno, jak niegdyś w sercu téj kobiety, gdy jechała

zobaczyć syna utraconego... a zastała obcego jéj prawie człowieka.

Na pół drogi niespokojny dognał ich p. Baltazar, dopatrzywszy, że mu uszedł kasztelan. Pani Krzysztofowa mrugnęła na niego, pokazując mu idącego za sobą, i ruszyła ramionami, jakby mu dawała do zrozumienia, żeby go sobie zabrał. Ale kasztelan pozostał w dali, nogi mu drżały, padł na ławkę u płota ogrodowego, i głowę w dłonie ująwszy, nie płakał, ale krwawo bolał. Gdy ujrzała, że go już blizko nie ma, p. Krzysztofowa odezwała się po cichu do Baltazara:

— Ale to jakiś waryat, mój bracie! Weźcież go sobie... bo ja się go boję. Uroił sobie nieborak, że jest synem moim. Trzeba go pilnować biedaka, wyraźnie ma zmysły pomieszane. Gdy jegomość nieboszczyk z p. Adamem przyjedzie, przykrość im to zrobi. Pilnujcież go proszę, aby mnie nie nachodził.

Pan Baltazar nic na to nie odpowiedziawszy, skłonił się tylko i zwrócił do kasztelana. Znalazł go na ławie, w pół żywego ledwie, z suchemi oczyma, pogrążonego w jakiémś straszném, niemém dumaniu.

— Panie kasztelanie, rzekł: nie zrażajmy się tém. Jestem pewien, że to przejdzie,—to lekkie pomieszanie, skutek dotkliwych długich cierpień.... trzeba znosić mężnie i czekać. Po niejakim czasie, jestem pewien, sama się spyta, oprzytomniawszy.... ale trzeba być cierpliwym.

Kasztelan nic nie odpowiedział.

— Jest rzecz druga, poniekąd gorsza, z którą przychodzę, dodał pan Baltazar. W téj chwili proboszcz przysyła do mnie z przestrogą, abyśmy, jeśli się tu kasztelan znajdujesz, starali się go ukryć, gdyż zdaje się, że go poszukiwać mogą. Wydane są listy gończe;

nieprzyjaciele łacno się domyślą, gdzie najprędzéj i najprawdopodobniéj go znajdą. Trzeba się ukryć lub uciekać.

— Dla czego? zapytał kasztelan. Czy myślisz, że mi tak życie drogie? że mi jeszcze pozostało co, czegobym żałował? Niech mnie pochwycą; cóż mnie gorszego czekać może nad to, co jest? Życie mi obrzydło, mogą je sobie wziąć.

— To chwila, kochany kasztelanie, to chwila! Jakoś się wszystko zmienić może i musi. Życie zawsze ochraniać potrzeba, bo los poprawić się może, a śmierć zamyka wrota wszelkiéj nadziei, prócz.... niebieskich... Zresztą, choćby to życie stało się tobie obojętném, obowiązkiem jest drugich starać się je tobie ocalić.

— Róbcie ze mną co chcecie!

— Poszukiwać was mogą tylko tu—rzekł Baltazar—lub u moich braci; wątpię, żeby śledzili zbyt ściśle... po okolicy. Jermaszka zaprowadzi was do strzelca w borze, który nie znając kasztelana, przechowa go, dopóki nie rozpoznamy niebezpieczeństwa. Ja tymczasem będę się starał matkę powoli wywieść z tego przykrego stanu.

Stało się tedy, że tegoż jeszcze wieczoru, kasztelan w towarzystwie nieodstępnego Jermaszki, manowcami przedarł się w lasy do chaty strażnika. Nocą zjechali sądowi z pachołkami do dworu, i śladów jego nie odkryli nigdzie.

Pani Krzysztofowa przy wieczerzy już ani wspomniała o tym mniemanym synu, ani spytała o niego, wróciła do pierwszego humoru, zaczęła mówić o prędkiém przybyciu nieboszczyka z synem, o dokończeniu dla niego domku, i pożegnała pana Baltazara pełna najweselszych myśli.

Stan ten jéj umysłu i serca tak był dziwny a przejmujący, że brat nie mógł na nią patrzeć bez łez i wzruszenia. Ocierał ciągle twarz pod pozorem kręcenia wąsów, a im wesołość biednéj obłąkanéj była większa, tém pan Baltazar częściéj z wąsami miał do czynienia; odwracał twarz zasępioną szepcząc:

— Palec boży! palec boży! Przebaczże mu Panie

W kilka dni potém, przybył dobrze teraz podstarzały, ale zdrów Dyogenes Kapustyński, który przez poszanowanie boleści pani Krzysztofowéj chował tu swą skrzypkę i od śpiewania się wstrzymywał. Potém nadjechał proboszcz, dla rozpytania się o to, jak się odbyło poszukiwanie kasztelana w Wólce Brzozowéj.

Właśnie im z żywością całą tę przygodę opowiadał pan Baltazar, gdy przed ganek bardzo niespodzianie zatoczyła się kolaska niekryta, porządną czwórką małych, ale tęgich i zwinnych koników ciągniona. Wyskoczył z niéj małego wzrostu, ale bardzo wytwornie przyodziany mężczyzna, z wielkiemi drygami i ukłonami pytając o gospodarza.

Pan Baltazar chowając swą fajeczkę po za siebie, wystąpił, jakby pytać chciał, co tego nieznajomego tu za licho przyniosło?

Po kilku tancerskich ukłonach i ustawieniu się w pozycyi bardzo wymuszonéj, Maluta, którego łatwo nam poznać, zaprezentował się jako przybyły z interesem poufnym do pana kasztelana.

— Ale niestety! — odezwał się pan Baltazar po-

dając mu krzesło—pana kasztelana nie ma tu... i nie było.

— Jak to? nie ma? możeż to być? Nie ma tu kochanego mego kasztelana dobrodzieja? a ja sądziłem... Jak to? więc i nie był? spytał pan Floryan, patrząc w oczy Baltazarowi.

— I nie był! rzekł przełykając z trudnością kłamstwo stary żołnierz.

— A gdzieżby się podział?

— Ubolewamy nad tém, że nie wiemy... rzekł Baltazar chłodno.

Gdy ten początek rozmowy półgłosem się między nimi odbywał, Dyogenes z kąta ponuro i szydersko przyglądał się gościowi, kiwał głową, a usta kręciły mu się śmiechem jakimś bolesnym, ledwie powstrzymywanym.

Oczy Maluty latały tymczasem niespokojne dokoła, jakby wyszpiegować chciały, co się w sercach i głowach zgromadzonych osób działo. Przeleciały one raz i drugi po twarzach wszystkich, i z dziwną w ostatku zawziętością zatrzymały się na Dyogenesie, który także z oka przybysza nie spuszczał.

— No, jakże ci się zda... panie Floryanie?—odezwał się długo milczeniem go wytrzymawszy Dyogenes — nie prawdaż, że to siurpryza zastać tu, zamiast kasztelana, takiego jak ja wujaszka? Albo ja, czym się spodziewał takiego wiercipiętę siostrzeńca tu zobaczyć... przerobionego na lalkę niemiecką?

— A! jak mi Bóg miły... to wy! ale na honor...

— Stój, stój! nie rzucaj się w moje objęcia, mógłbyś popsuć fryzurę i tupet, a ja cię chcę w pełni twego blasku oglądać i nasycić się obrazem twéj wiel-

kości, składającéj się z korków i czuba... Stój z daleka! ślicznie wyglądasz.

Pan Floryan posłuszny, kryjąc pod uśmiechem niepokój, wstrzymał się na pół pokoju. Dla przytomnych ta scena niełatwo zrozumiana, zaczynała być mocno zajmującą. Dyogenes przypatrywał się, smutnie kiwając głową.

— Co się to z waszeci stało! westchnął. Zamiast orać domową skibę, poszedłeś w rynsztokach łowić brudy. Panie Floryanie, *proh horror!* patrzę i oczom nie wierzę!

— Ależ kochany wuju!

— Stój! Wuja twego zwą Dyogenesem, nie dla tego, że stary, przygarbiony i łachmanowaty, ale że prawdę surową mówi bez przyprawy. Ostrożnie więc: wuj jegomości rodzony, choć wieśniak peregrynujący o kiju ze skrzypką, tak dobrze wie gdzie się co dzieje, jak gdyby siedział w pewnym domu w Warszawie, do którego się zbierają wiadomostki różnemi mniéj więcéj brudnemi rynsztokami. Wuj twój zna cię panie Floryanie na wylot, choć ty go nie znasz nawet z łupiny; a że mamy świadków, możebyśmy familijną rozmowę odłożyli sam na sam.

Floryan się mocno zarumienił, ale nadrobił śmiechem. Dyogenes mu pogroził, i z powagą wujowską rzekł:

— Czegoś ty tu przyjechał? Nie kłam, mów szczerze.

— Słowo honoru—odparł Maluta szybko—w interesie pana kasztelana, dla jego dobra, bo go kocham, szanuję i nad losem jego boleję. Słowo uczciwe!

— Zkądże to słowo wziąłeś? trzebaby je obetrzeć, gdy z twoich ust wychodzi — dodał wuj ciszéj. — No, daléj!

Pan Baltazar podsunął krzesło, sam nieco z proboszczem usuwając się na stronę, za co Maluta trzema ukłonami i ściśnięciem ręki gorącém mu podziękował.

— Rzecz się tak ma, rzekł pan Floryan:—Kasztelanowa syta zemsty... ale wuj może nie wie całéj historyi?

— Wuj wie wszystko — odparł Dyogenes, — nawet to, czegoby nie rad wiedzieć. Mów asindziéj bez objaśnień.

— Kasztelanowa ani wdowa, ni rozwódka, ni mężatka, a między nami mówiąc, pragnie pójść jeszcze za mąż.

— Który raz? zapytał Dyogenes.

— Dopiero trzeci.

— Tak, kanony nie bronią, a dla możnych to dyspensy się znajdą. Do trzech razy sztuka, zresztą... Mów daléj.

— Otoż pragnie ona stanowczo ułożyć się z panem kasztelanem, wywieść go z tego niebezpieczeństwa, w jakiém się obecnie znajduje, i raz skończyć zgodnie.

— Tak, aby nie obawiając się jéj kasztelan wpadł w łapkę.

— Sądzę, że nie.

— A ja sądzę, że tak. Ale czegoż ona chce?

— Zgody, za którą gotowa zapłacić, jak myślę.

— A WPan panie Floryanie podejmujesz się faktorstwa, i myślisz znękanemu człowiekówi rzucić w twarz workiem złota, kupić go sobie! cha! cha!

Pokiwał głową. Pan Floryan spojrzał na mankietki u rękawów.

— I WMości tu przysłano? spytał Dyogenes.

— Jako przyjaciela domu.

Kapustyński, którego gęste brwi zaszły były na oczy, począł spuściwszy głowę tęskno wzdychać, obejrzał się, chwycił wreszcie Malutę za rękę.

— Słuchaj-no! rzekł: poszedłeś złą drogą, złą, złą! Ja wiem wszystko: możesz zajść prościuchno do... szubienicy. A na zagonie WMość, spokojniejszy byłbyś i szczęśliwszy. To sromota! ohyda!

Pan Floryan cały drżał, i tak mu to humor popsuło, że milczał, wargi tylko dygotały, a słowa wymówić nie mógł.

— Widzisz waćpan siostrzeńcze, jak to źle być gałganem! dodał Dyogenes. Stój daleko odemnie, bo choć brudny jestem, boję się powalać od twych elegancyj i zasmrodzić twojemi wonnościami. Wszystko to kupiono za gotowe sumienie.

Niewysłowione było zakłopotanie człowieka, który wpadł na tego wujaszka nieokrzesanego jak na gniazdo os.

— Ale proszę WP. Dobrodzieja—odparł po chwili— to są wszystko potwarze! Jabym się ze wszystkiego wytłómaczył, gdyby nie to, że wuj jest uprzedzony. Kalumnie nieprzyjaciół... Przyjmuję to od brata matki mojéj jako przestrogę... Ale co się tycze pana kasztelana, dalibóg! przecię stając tu jako pośrednik, nie grzeszę.

— Do takiego układu? spytał Dyogenes. Prawda, że to się jeszcze u was za zasługę uważa kusić brata pieniędzmi, bo wam byle pieniądz, to już nic nie braknie.

— Ale słowo honoru...

— Nie plujże mi tym honorem siostrzeńcze... dość tego! Kasztelana tu nie ma, aniśmy go widzieli; ruszaj sobie, jakeś przyjechał, z kwitkiem, i nie waż mi się więcéj zaglądać do tego domu. Ja tu stoję na straży. Jest to dom uświęcony wielkiém cierpieniem, śmiercią mego przyjaciela, który zmarł z rozpaczy, obłąkaniem matki strutéj tęsknotą... samą niebytnością dziecka, które tuła się bez dachu i schronienia... Jakże ty możesz z myślą jakichś targów przestępować te progi?

— Ale w najlepszéj intencyi, niechże wuj łaskawie rozważyć raczy. Maż on na wieki zostać tułaczem, prześladowanym, a ona?...

— Niech ją weźmie szatan, któremu duszę sprzedała! przerwał porywczo Dyogenes. O nią mi nie idzie. Jestżeś choć pewien, że ona chce zgody?

— Najpewniejszy, bo to jest jéj interesem: chce wyjść za mąż.

Dyogenes się zamyślił.

— Cóż na to radzić—rzekł — kiedy go tu nie ma!

Pan Floryan skromnie się uśmiechnął, nabrawszy nieco ducha.

— On tu musi być—odparł—tu a nie gdzieindziéj, bo gdzieindziéj być nie może.

— A no, to szukajże go sobie.

Właśnie tych słów domawiał, gdy weszła pani Krzysztofowa, strojna, uśmiechnięta, grzecznie witając gościa. Pan Floryan, na widok sukni kobiecéj, poprawił tupeta i bardzo się jéj zgrabnie ukłonił. Ona długo, długo patrzała na niego.

— A! wiem! odezwała się: pan zapewne jesteś marszałkiem dworu mojego syna?

Maluta obraził się nieco, ale załatał gniew poprawując żaboty.

— Kiedyż nareszcie doczekam się jego i *nieboszczyka* mego męża?

Pan Floryan na to wyrażenie szeroko oczy otworzył. Był bez przesądów, jak na ów wiek przystało; ale jednakże wspomnienie o nieboszczyku, o którego przyjeździe on miał wiedzieć, jako złe *praesagium* go dotknęło. Ci, co w ośmnastym wieku nie wierzyli w Boga, wierzyli w przepowiednie i czary.

Uśmiechnął się tylko, ale pani Krzysztofowa powtórzyła pytanie:

— Domyślam się już wszystkiego, rzekła: chcą mi zrobić siurpryzę... WPana nieboszczyk wysłał na wzwiady... tak? Nie wolno ci mówić kiedy ś. p. mój mąż przyjedzie, ale wolno może powiedzieć, jak się ma syn mój pan kasztelan?

— Mów co chcesz, ale gadaj zaraz! podszepnął trącając go łokciem Dyogenes. Winniśmy poszanowanie dla wielkich boleści i ich skutków. Czołem przed nią... mości panie!

— Ale cóż powiem?

— Mów co ci się podoba, bylebyś ją pocieszył.

— No, jakże? zapytała Krzysztofowa — tajemnica?

— Tak jest, Pani Dobrodziejko, odezwał się wreszcie p. Floryan: nie wolno mi o tém mówić.

— Może chcesz WPan obejrzeć dom, który naprędce kazałam wybudować na przybycie pana kasztelana. Wcale będzie wygodny.

— Wierzę zupełnie, i nie potrzebuję się o tém przekonywać.

— Ponieważ kasztelan będzie miał zapewne z sobą

z dziesięć koni, nie zapomniałam i o stajni—dodała matka—i o izbie dla jego dworu. Co się tycze WPana Dobrodzieja, który musisz być marszałkiem dworu jego, postawimy go na lamusiku; wcale tam jest nieźle... trzeba ubogiéj szlachcie wybaczyć... Powiedz tylko pan, proszę, nieboszczykowi mężowi memu, niech się śpieszą, bo oczy wypatrzyłam oczekując na nich.

— Panu kasztelanowi powiem to przy pierwszém widzeniu się—odpowiedział Floryan, który zaczynał wierzyć, że istotnie kasztelana nie ma.

I dygnąwszy z wielką powagą, jak przystało na matkę dygnitarza, pani Krzysztofowa posuwisto, powolnie wyszła z pokoju. Przez dosyć długi czas panowało milczenie.

— Przekonałżeś się choć z tego, że kasztelana tu nie było? zapytał Dyogenes.

— Nie ma! wierzę! odparł pan Floryan, którego widok obłąkanéj poruszył i zmieszał, — wierzę już we wszystko co chcecie! ale to rzecz okropna... na to niepodobna patrzeć!

— Tak! tak! wy pieszczochy, na żadną wielką a świętą boleść patrzeć nie możecie! rzekł Dyogenes. Czułe serca! wolicie zabawki i fatałaszki wasze... psuje wam to apetyt! Biedaki! chcielibyście, żeby wszystkie biedy zwieźć do jednego szpitala, aby się wam na oczy nie narzucały, nie prawdaż?

— Cóż odpowiem pani kasztelanowéj? szepnął Floryan. Istotnie nic państwo o nim nie wiecie?

— A gdybyśmy i wiedzieli—przerwał p. Baltazar, jakoś nabierając odwagi,—chceszże WPan, abyśmy byli Judaszom podobni i wydali tułacza w ręce téj zacnéj pani, któréj zemsta go ściga?

— Ale tu o zemście już mowy nie ma, potrzeba go ratować.

— Kto WPanu zaręczył, że ta kobieta nie udaje, że pod pozorem układu nie myśli o zdradzie? nie znaszże jéj?

Floryan zadumał się nieco.

— Nasadziła na niego Francuza, może nasłać zbirów, nie ma nic niepodobnego, rzekł Dyogenes. Więc widzisz, że gdybyśmy nawet coś i wiedzieli, to ci powiedzieć nie możemy. Na dowód zaś, że go tu nie ma, obejrzyj kąty, pytaj ludzi.

— Bądź co bądź, cóż poczniemy? spytał Maluta. Chować się tak całe życie nie może, ona też jest nieszczęśliwa, trzeba to raz skończyć.

— Nie mamy żadnéj rękojmi jéj sumienności... odparł pan Baltazar, — słowo u niéj nic nie znaczy, przyrzeczenia łatwe, ale nie ciągną za sobą dotrzymania. Nienawiść trwa; musimy więc to zostawić Bogu i losowi, aby rozwiązali jak się im podoba.

Maluta widząc nareszcie, że tu nic nie dokaże, zabierał się do odjazdu, gdy go w ganku jeszcze Dyogenes zatrzymał.

— Miejże odwagę być szczerym—rzekł—i powiedz jéj, że słowu danemu przez nią nikt nie wierzy; może się przyczynisz do poprawy. A tobie jeżeli mam dać jaką radę—chcesz? powracaj do Warmii, wdziéj kubrak, órz zagon, a rajfurem być zaprzestań. Żadne złe tajemnicą nie pozostaje, a sprawiedliwość bozka i ludzka prędzéj lub późniéj ściga winnych... *Dixi.* Życzę ci tego na co zasłużysz,—bywaj zdrów!

Gdy pan Floryan powrócił za Bug do wdowy i rozgościł się znowu w oficynie, długo nie było go widać

na pokojach. Przysyłała po niego pani domu parę razy, ale się namyślał, nim nareszcie poszedł powolnym krokiem do kasztelanowéj. Przestrogi wuja, heroiczne lekarstwo, poskutkowały mocno. Pan Floryan pomiarkował się, i rad był istotnie dwór, stolicę i ich nieprawości porzucić. Jakaś niespokojność go opanowała.

Spojrzawszy na niego, kasztelanowa zmiarkowała zaraz, że wyprawa nie poszła najlepiéj.

— Już WPana nie pytam, odezwała się: bo widzę z twarzy, żeś albo z niczém, albo ze złém powrócił.

— Ani jedno, ani drugie, odparł pan Floryan. Nie mogę powiedzieć, by z niczém, a trudno mi wyznać, że z dobrém... At—ni to ni owo, złego też nie ma.

— Cóż tam przecię przynosisz? bądź WPan szczerym.

— Kasztelana nie ma w Wólce, sama tam tylko matka, obłąkana, która się go spodziewa. Widzenie jéj przejęło mnie strachem, i prawdę mówiąc, litością. Spodziewa się codzień męża, który zmarł przed kilku laty, i pana kasztelana. Dla syna buduje dom, roi o jego losach świetnych i wielkości. Zdaje mi się, że familia o nim wie, ale mówić nie chce. Gdym zaproponował układy, odpowiedzieli mi tak ostro istotnie, że nawet powtórzyćbym tego nie śmiał.

— Mów WPan wszystko; wiele słyszałam w życiu—rzekła kasztelanowa z uśmiechem,—nie zlęknę się i nie zmartwię.

— Odpowiedzieli mi, że w dobrą wiarę tych układów ufności nie mają, że chcesz pani tylko dowiedzieć się o nim, aby go łatwiéj zgubić... i że z panią w traktaty wchodzić niepodobna...

Kasztelanowa zarumieniła się.

— Może mieli słuszność, rzekła. Cóż więcéj?

— Reszta — odpowiedział pan Floryan — była dla mnie; miałem i ja kąsek smaczny do przełknięcia.

Kasztelanowa szydersko prawie spojrzała na niego, i zrozumiała, że tym razem nie kłamał.

— Ciężka to była missya, dodał pan Floryan; drugi razbym się jéj nie podjął, zwłaszcza wiedząc, że tam wuja mojego znajdę, który jest najstraszniejszym weredykiem jakiego ziemia nosi. Niech go kaci porwą!

— Nie powiedziałeś im też WPan, że odrzucając układy, zmuszą mię do jeszcze prędszéj zemsty, bo się przecię z położenia fałszywego wyzwolić potrzeba.

— Przyznam się pani, żem języka w gębie zapomniał, tak mi tam głowę myto.

— O biedny panie Floryanie!... Więc koniec końców, co?

— Zdają na losy i Boga rozwiązanie sprawy...

— Niechże ją Bóg i losy rozplączą! marszcząc brwi dodała kasztelanowa. *A la guerre comme à la guerre*, przecięż są ludzie, co szukać umieją i znaleźć potrafią.

Słowa te jakiéjś tajemniczéj groźby pełne, tak przeraziły pana Floryana, że odsiedziawszy tydzień w oficynie milczący, pożegnał kasztelanową i wybrał się pod pozorem pilnych spraw do Warszawy.

Kilka miesięcy upłynęło od opisanych wypadków; w położeniu osób należących do naszéj powieści nic się prawie nie zmieniło; stan tylko pani Krzysztofowéj nieco się pogorszył. Od niejakiego czasu widocznie pochmurniała, niecierpliwiła się, a; że dom był już z gruba dokończony, codzień dopytywała p. Baltazara, kiedy goście nadjadą.

P. Baltazar milczał, lecz w końcu postanowił powoli próbować wywieść ją z błędu. Zwykle potakiwał jéj milczący; teraz począł stopniami starać się o sprostowanie jéj wyobrażeń. Nie było to łatwe, ani nawet tak bardzo potrzebne, ale p. Baltazar czuł, że sam zwaryuje jeżeli dłużéj tak rzeczy zostaną. Wziął się więc do téj niewdzięcznéj pracy,—niewdzięcznéj, gdyż pani Krzysztofowa uśmiechając się, zostawała przy swojém, a jeśli na chwilę zamyślona umilkła zdając się być przekonaną, nazajutrz nie było śladu, nie pamiętała nic—powracała do swych marzeń.

P. Baltazar się nie zrażał.

— Kochana bratowo—rzekł jéj jednego rana—pani z tego przywiązania do syna roisz sobie, że on jest szczęśliwy, a tak wcale się nie ma. Ożenienie ze złą

kobietą zgubiło go. Całą tę historyę ukrywaliśmy przed panią, ale nareszcie trzeba, żebyś pani wszystko wiedziała, aby tego nieszczęśliwego człowieka pocieszyć.

— Jakiego nieszczęśliwego?

— A no, syna, pana Adama.

— Co mi WPan mówisz? on musi być szczęśliwy, na tośmy go oddali O...

— Ta pani, co się nim opiekowała, zmarła—rzekł Baltazar;—ta, z którą się ożenił, zerwała z nim; musiał uciekać, tuła się biedny, sierota.

P. Krzysztofowa pogniewała się mocno.

— Idź mi WPan przecz z oczu z takiemi kłamstwami! zawołała.

P. Baltazar zamilkł i odszedł.

Ale w kilka godzin służąca przybiegła do niego, oznajmując, że pani jest chora, że czegoś płacze i że możeby należało posłać po lekarza do Kodnia. P. Baltazar pobiegł i zastał ją na modlitwie, ale się przeraził zmianą twarzy straszliwą. W kilka godzin stała się niepodobną do siebie; nadzieja, która ją trzymała przy życiu, została zachwiana; uśmiech, spokój, blask oczu, pogoda czoła, wszystko to zmieniło się i zgasło; twarz była znękana, blada, oczy wypłakane, kobieta zgarbiona, drżąca, biedna... Baltazar poskoczył ku niéj z uczuciem litości i przestrachu.

— Co to bratowéj? zapytał.

— Nic, mój bracie—odpowiedziała—nie wiem, ot coś; ale mi się jakoś mąci w głowie... czuję, że mi czegoś bardzo źle.

— Możeby bratowéj essencyi, co uspakajającego?

— Modlitwa, mój bracie, to najlepsza essencya.

Głos, którym te słowa wymawiała, był tak różny od

przybranego w ostatnich czasach, że przestrach Baltazara wzrósł jeszcze bardziéj. Łzy nabiegały jéj ciągle do oczu.

— Nie wiem, dodała, dobrze nie pamiętam, coś mi to WPan z rana mówił, że pan Adam, mój syn, jest nieszczęśliwy bardzo, że się tuła... czy mi się to może przydało tylko? powiedz? miałażby to być prawda?

P. Baltazar w ciężkiém się znalazł położeniu. Boleść ta tak go zmieszała, że nie wiedział czy ją w pocieszającym utrzymywać błędzie, czy mówić prawdę całą. Wyrzucał już nawet sobie, że jéj mówił o synu... że pragnął jéj tę szczęśliwą zdjąć z oczu ślepotę. Zmieszał się i milczał.

— Mów, mów mój bracie—dodała—ja chcę wiedzieć prawdę. Mnie się zdaje, żem ja przez jakiś czas bałamuciła... darujcie mi: wiecie co cierpiałam... Mów mów, śmiało.

— Kochana bratowo, rzekł nieśmiało stary żołnierz: powiedzcie wy mi najprzód, ile wiecie o synu? na czém się kończy dla was jego historya? potém ja wam resztę choć łzami dopiszę.

— Otoż to bieda, rzekła smutnie p. Krzysztofowa, spuszczając oczy: że ja jakoś teraz niewiele przypomnieć sobie mogę. Zdaje mi się, jakbym długo spała, roiła o czémś, i dopiero się obudziła... Chodzą mi po głowie jakieś czarne i białe postacie, nie mogę sobie nic uporządkować. Przez litość nad starą... pomóżcie mi! nic dobrze nie pamiętam.

Wyciągnęła ku niemu białą swą maleńką rączynę, chudą, drżącą, a p. Baltazar ucałowawszy ją ze łzami, poczuł, że mu tchu do mówienia zabrakło. Tak mu się teraz wydawała inną, tak zmienioną, smutną, że przed własném dziełem cofał się przerażony i trwożył.

Co tu było począć? kłamać czy mówić prawdę—nie umiał sobie poradzić. *Pia fraus* zdawała mu się koniecznością i występkiem razem; na świętą prawdę brakowało odwagi.

— Kochana bratowo—odezwał się—uspokójcie się tylko, połóżcie, nabierzcie sił, a ja wam tę historyę całą opowiem, ale przynajmniéj nie dziś, nie dziś, na to potrzeba więcéj zdrowia i męztwa.

— To tak jakbyś rzekł, że tam jest dużo do przecierpienia.

— Nic dziś nie powiem.

— Powiedziałeś już wszystko... szepnęła cicho. Niech Bóg ma miłosierdzie nad nim i nademną!

I rozpłakała się biedna.

— Jeśli bratowa czuje się źle, możeby kazała posłać po doktora?

— Po doktora, nie, odpowiedziała; ale księdzabym zobaczyć rada.

— Ksiądz jutro i sam przyjedzie, rzekł Baltazar; bo co wtorek ze mszą świętą przybywa, a jutro...

— No, to poczekamy.

Widoczne było nagłe jéj oprzytomnienie, ale im bardziéj się jéj przypatrywał p. Baltazar, tém się niém więcéj przerażał. Jakieś przeczucie mówiło mu, że po długiém obłąkaniu, mogło to być znakiem niedobrym. Całą noc spędził chodząc, dowiadując się, śledząc co robiła. Położyła się w łóżko staruszka, ale siedząc w niém odmawiała pacierze, i dopiero nad rankiem usnęła.

Nazajutrz chciała wstać, ale sił jéj brakło; duch, co ją trzymał dotąd, uszedł, a sztuczne podbudzenie i życie to fałszywe wyczerpało ją tak, że teraz od razu, bez przejścia, uczuła się całkiem bezsilną.

Przed południem nadjechał proboszcz. Przywołano go do łoża, gdyż żądała się spowiadać; a gdy dopełniła tego obowiązku, znacznie się uspokoiła. Proboszcz także był wylękniony tém uzdrowieniem umysłu tak nagłém i osłabieniem niezmierném ciała.

P. Baltazar smutny przypadł do niego na radę, obwiniając się o niegodziwe przyczynienie się do straty złudzeń, które ją przy życiu trzymały.

— Mówić prawdę, czy kłamać? zapytał.

— Jako duchowny nie mogę nigdy poradzić fałszu, rzekł ksiądz; ale jako człowiek życzyłbym milczenie. Dziś już może za późno,—wola boża, bądź co bądź, niech wie jak rzeczy stoją; osłodź tylko o ile się da ten kielich goryczy.

Po południu wezwano do łoża p. Baltazara. Przywlókł się jak winowajca smutny i pogrążony.

— Otoż mój bracie—rzekła zobaczywszy go—usiłowałam sobie wszystko przypomnieć o ile sił. Wiem, że Adam był nieszczęśliwy z żoną, że się rozstać mieli, ale daléj nic już sobie nie przypominam.

— Kochana bratowo—odparł Baltazar—krótko ci tylko powiem, że się z tą kobietą rozstali, że ona go prześladuje, że uciec musiał i musi się ukrywać przed jéj zemstą, że jest w istocie bardzo biedny.

Umyślnie zamilczał o zabójstwie Francuza.

— Gdzież on jest? gdzie jest? spytała matka zrywając się.

— Był nawet tutaj, rzekł p. Baltazar; ale jakoś, ale... Tu uczuwszy potrzebę niewyjawiania całéj prawdy, dodał:—Ale się nie śmiał pokazywać.

— Tak... oszczędzaliście mnie, bo byłam chora; ale

teraz, gdy jestem już zdrowa—bo jestem zdrowa, nie prawdaż?—wszakżebym go mogła zobaczyć?

Pan Baltazar się zawahał.

— Gdy bratowa odzyszczesz nieco siły... spodziewamy się go tutaj...

— Ale niechby to było zaraz... ja mam siły, wiele... zobaczycie, ja wstanę.

Przestraszony Baltazar powstrzymał ją obietnicą.

— Poszlę po niego natychmiast—rzekł — ale potrzeba cierpliwości i uspokojenia.

— A! będę cierpliwą, poszléjcie, niech go zobaczę. A! póki był szczęśliwy, mogłam go nie widzieć; teraz gdy biedny... jam jedna, co go przytulić powinnam i osłodzić niedolę.

Stary żołnierz wyszedł, ocierając oczy i przyrzekając, że poszle zaraz po Adama.

Posłano w istocie po kasztelana z kartką pewnego posłańca.

Tymczasem zbliżał się wieczór,—a gdy w parę godzin przywołano znowu pana Baltazara, chora miała widocznie bardzo silną jakąś gorączkę. Jedna myśl snuła się jéj ciągle po głowie i powtarzała na ustach:

— Ja się go muszę doczekać, ja go muszę zobaczyć...

Ilekroć drzwi skrzypnęły, przeszedł ktoś, pies na podwórzu zaszczekał, zrywała się i pytała o niego, patrzała rozpaczliwie na wchodzących. Ale przy największym pośpiechu kasztelan ledwie mógł być nad rankiem, bo z chaty leśniczego, około któréj uwijało się wiele ludzi, radzono mu się przenieść do szlacheckiéj osady o mil trzy od Wólki.

Noc była ciężka do przebycia, stan choréj się pogorszał, o północy przyszło znowu toż samo obłąkanie, z tą różnicą, że co chwila już spodziewała się

męża i syna, ale nie tryumfujących i szczęśliwych w orszaku dworzan, ze świtą, tylko prześladowanych, gonionych i ściganych przez nieprzyjaciół. Ksiądz, który pozostał na noc na wielkie i usilne prośby pana Baltazara, wezwany około drugiéj po północy przez samą panię Krzysztofową, pośpieszył z modlitwą, która się zmieniła wkrótce na nabożeństwo przy konających i zakończył ją Anioł Pański...

Świtało, gdy z uśmiechem na ustach, pytając o męża i syna, staruszka Bogu oddała ducha.

Leżała już z krzyżykiem w dłoni, na tapczaniku, gdy wózek się zatoczył i kasztelan nadjechał.

Nikogo nie zastawszy w ganku, wszedł do izby pierwszéj, i z progu ujrzał głową do obrazu Chrystusa zwrócone ciało, przy którém kilka świec jarzęcych płonęło, a ksiądz stojący w komeżce i stule czytał nad niém modlitwy.

Pochylił się p. Adam i padł jak stał w progu na kolana; przybył za późno po ostatnie błogosławieństwo matki, ale mógł choć twarz jéj, uświęconą wyrazem spokoju, jaki wkłada śmierć na ludzkie oblicze, zobaczyć raz jeszcze.

Dziwna rzecz, że rysy, które choroba tak szybko była zmieniła i uczyniła blademi, wyniszczonemi, zgon znowu przywrócił do pierwotnego stanu, do pogody anielskiéj, ubrał je w uśmiech, otoczył aureolą męczeńską. Nie było na niém śladu cierpień; był wyraz błogiego spoczynku jakby po ciężkim znoju; zdawała się spać lekko i marzyć błogo.

W chwili gdy p. kasztelan upadł na kolana w progu, szmer się zrobił jakiś, kilku ludzi niepozornych weszło w ganek, kilkunastu otoczyło domowstwo. Pan Baltazar przerażony postrzegł, że pachołkowie za-

bierali się ująć pana Adama, którego ktoś zdradzić musiał.

Dekret zaocznie ferowany skazywał go za zabójstwo popełnione na Francuzie, na karę główną; ale spełniony dotąd być nie mógł... Gdy kasztelanowi sługa sądowy wręczył papier z pieczęcią i oznajmił, że go przytrzymuje, p. Adam wielką zdjęty boleścią nie drgnął nawet, życie zdawało mu się rzeczą obojętną.

— Weźmiecie mnie sobie po pogrzebie—rzekł—jeśli gwałtu nie chcecie robić. Potém wszystko mi jedno, co się ze mną stanie...

Ludzie mieli trochę litości, a może trochę względu na nieszczęśliwą rodzinę. Otoczono tylko dwór, pilnując pana kasztelana, który przy ciele matki pozostał aż do wyprowadzenia go z Wólki.

Gdy orszak pogrzebowy ruszał z podwórza, pachołkowie na drugim powozie wywieźli p. Adama do grodowego więzienia.

Baltazar i Kasper pośpieszyli za nim z kościoła zaraz, nie kryjąc przed sobą niepokoju o los nieszczęśliwego, nad którym dekret mógł być spełniony, nimby potrafiono o zmianę jego i nowy sąd należyte poczynić starania. Nieprzyjaciele mogli wymódz ten pośpiech, aby się go pozbyć i ułaskawienie niemożliwém uczynić.

EPILOG.

Łatwo się dorozumieć, czyjém staraniem kasztelan był ścigany i ujęty. Krystyna nie zasypiała; pragnienie zemsty z każdym dniem w niéj rosło i niecierpliwszém się stawało nasycenia. Użyła ona wszelkich środków dla odkrycia pobytu męża, rozsyłała zręcznych szpiegów, wyśledziła naostatek schronienie jego, i zmusiła prawie władzę wykonawczą do uwięzienia. Jakkolwiek skazany zaocznie, bannita, kasztelan jak wielu innych, mógł mieć wszelką nadzieję zmiany wyroku i ułaskawienia. Przykładów podobnych było wiele. Sprawa odsądzona była bez obrony z jego strony, pod naciskiem nieprzyjaciół i wpływem przemożnéj rodziny; ale wcale inaczéj mogła się wydać sądziom bezstronnym, przy pilniejszym rozbiorze towarzyszących jéj okoliczności, które popełnienie zabójstwa poprzedziły. Nikt go też po tym wyroku ścigać nie myślał, ani się upominać o jego spełnienie, oprócz zajadłéj na zgubę jego żony; nikt nawet z razu przypuszczać nie chciał, aby dekret ten mógł być wykonany: do ostatniéj chwili niebezpieczeństwo nie było widoczne. Rzadko podobny wyrok spełniał się na szlachcicu,

a tém mniéj na dygnitarzu, człowieku imienia głośnego, za przewinienie w sprawie honorowéj, w obronie czci własnéj. Znajdowały się zawsze wpływy, instancye, poparcie silne, które albo przesądzenie sprawy, albo ułaskawienie królewskie wyrobić mogły.

W niektórych okolicach kraju nie pamiętano już kary główńéj wymierzanéj na szlachcicu, a więzienia nawet przeznaczone dla szlachty, stały pustkami od dawna. Nie żeby zbrodnie bezkarnie uchodzić miały, ale w istocie zuchwałe występki stały się rzadkie, a boje, wyzywania, rany a nawet zabójstwa między szlachtą, nie mogły się uważać za rozmyślne morderstwa, raczéj za walki, które były wszędzie w obyczajach czasu, w zwyczaju, który im wcale inny nadawał charakter.

Podstępnych zaś czyhań, zasadzek i mordów na bezbronnych, można powiedzieć nie było przykładu, szczególniéj za Stanisława Augusta, gdy coraz do spokojniejszego nawykano życia.

Gdy takim jak tu wypadkiem trafiło się, że więźnia przywieziono do grodu, często nie wiedziano co z nim począć. Szlacheckie wieże wszędzie winny być były oddzielne, odsiadywano je gdziekolwiek, bo to co się dawniéj zwało niemi, mało gdzie już było mieszkalne. Jedne zajęto na archiwa, drugie *in fundo* wody zalały lub gruz zasypał.

Staraniem potajemném kasztelanowéj zawieziono pana Adama do Brześcia; ale tu też zamczysko stare u ujścia Muchawca i Buga wystawione, dawno było upadło, a wieża, w któréj sadzano szlachtę, obaliła się. Wcześnie jednak zapobieżono temu niedostatkowi, wyprosiwszy izbę sklepioną w wieżyczce narożnéj klasztoru kks. Dominikanów.

Rodzina Krystyny należała do fundatorów miej-

scowych; mieli dla niéj duchowni obowiązki dawne: choć ze wstrętem więc musieli uledz naciskowi, ustępując na więzienie komnaty z dawna niezajętéj, opustoszałéj, ale położeniem swém warownéj, z któréj więźniowi wymknąć się nie było łatwo. Sam klasztor w pośrodku miasta, od przypadkowéj napaści i gwałtownego odbicia bezpieczniejszy był niż inne miejsca ustronne. Wszystko zdawało się zręcznie, za wczasu obmyślane; szeptano nawet z cicha między mieszczany, że kata umyślnie pocztowemi końmi sprowadzono z Warszawy (co było dotąd bajką), że urząd ujęto i z wykonaniem wyroku nie miano się ociągać, aby nie dać czasu do starań i zabiegów rodziny O...., która dla uniknienia wstydu, jaki na nią też spadał, mogłaby ująć się za imiennika swego.

Gdy z jednéj strony stała mściwa i nieubłagana kobieta, chcąca się pozbyć człowieka nienawistnego, mająca za sobą całą rodzinę swą w kraju prawie wszechmocną wpływami i stosunkami,—z drugiéj stał on sam, opuszczony od wszystkich, nie mając za sobą nikogo prócz kilku ubogich krewnych. Jedno imię, które nosił, słabą czyniło nadzieję, że familia, co je z nim dzieliła, cośby dla niego mogła uczynić. Na nieszczęście składała się ona podówczas z kasztelana, którego znamy, zdziecinniałego i umiejącego tylko kłaść pasyans i słuchać dworskich plotek,—z dwóch jego synowców, zbyt młodych, by jakie znaczenie mieć mogli, obu zresztą żyjących za granicą,—nareszcie ze starego bardzo stryja, pana wojewody, który liczył już lat dziewięćdziesiąt kilka wieku, i z łóżka przechodził tylko na krzesło, a z krzesła na łóżko. Obrońców więc honoru imienia prawie nie było, gdy wrogowie liczyli się na seciny.

Krystyna, któréj wiejska rezydencya o mil tylko dziesięć od Brześcia oddalona była, zbliżyła się podobno do miasta skrycie, w zamiarze czuwania nad swą ofiarą, aby się jéj z rąk nie wyśliznęła. Tak przynajmniéj w mieście rozpowiadano.

Gdy pana Adama wywieziono z Wólki pod silną strażą, pan Baltazar odmłodzony niebezpieczeństwem krewnego, ruszył konno do Kodnia za pogrzebowym orszakiem. W sąsiedztwie nieboszczyk Krzysztof i jego rodzina między szlachtą mir mieli wielki, poważano stolnikowicza, kochano Baltazara, ceniono poczciwego Kaspra, użalano się nad losem pana Adama nieznając go. Dzieje nieszczęśliwéj rodziny jeszcze bardziéj ku niéj serca wszystkich skłaniały. Wiedziano, że Adam był prześladowany przez możną familię, a serca szlacheckie oburzały się przeciwko przemocy gniotącéj bezbronnego człowieka. Nie pierwszy to był przykład podobny.

Pogrzeb pani Krzysztofowéj, z powodu wypadku, który go poprzedził, stał się zjazdem burzliwym i naradą w obronie Adama, więcéj niż pobożnym obrzędem. Ciało nieszczęśliwéj matki na katafalku, zimny ten trup przemawiał wymownie za synem, broniąc jeszcze dziecka swojego. Gdy w czasie nabożeństwa w kościele, ksiądz Innocenty, przyjaciel dawny domu państwa Krzystofowstwa, wziąwszy assumpt ze świeżego wydarzenia przemówił do obecnych i gwałtownie wystąpił przeciwko magnatom uciskającym biedniejszych, prześladowaniom i przemocy tych, co się panami bracią zowiąc, w istocie panami tylko być chcieli,— wszystkie piersi zawrzały i dłonie zadrgały. Wychodząc z kościoła, postanowili już przytomni nie dopuścić gwałtu, użyć środków, ażeby mu zapobiedz. Szło nie

o jednego człowieka, ale o całą szlachtę drobną, skrzywdzoną tą procedurą wyjątkową i doraźną w jego osobie.

W zajezdnym domu oczyszczono stajnię, i przybrawszy ją w gałęzie sosnowe, posypawszy piaskiem podłogę, urządzono stypę pogrzebową. Gospodarzyli na niéj Baltazar i Kasper, ugaszczając jak mogli i umieli panów braci. Ale wkrótce dla pilnéj potrzeby Baltazar odjechał do Brześcia, a Melchior go zastąpił przy téj smutnéj uczcie. Potrzeba było stać na straży, aby wyroku nie spełniono nagle... dla tego jeden być musiał w Brześciu i czuwać, gdy drudzy naradzali się co daléj począć, i kilku zaraz wysłano na trakty różne dla pilnowania, aby mistrz, którego wieźć miano z Lublina lub Warszawy, nie był dopuszczony do Brześcia.

Popłakawszy nad nieszczęśliwą Krzysztofową, oddawszy słuszną cześć zacnemu jéj mężowi, szlachta wzięła się na seryo do rady, co począć, aby egzekucyi dekretu nie dopuścić.

Najstarszy wiekiem, najpowszechniéj szanowany JMPan starosta Hański, prosił tedy o głos w sprawie i otrzymał go. Uciszyli się wszyscy. Wstał poważnie kłaniając się do koła, pogładził wąsa, odchrząknął, i tak rzecz wytoczył:

— Miłościwi panowie a bracia! Smutny nas tu obrząd sprowadza, ale smutniejszy jest jeszcze los syna téj nieszczęsnéj matki, którąśmy na ramionach naszych na wieczny spoczynek odnieśli. Nie będę się rozszerzał nad nim i żywotem jego, rzecz to wedle mnie podrzędna. To pewna, że na haniebną karę główną nie zasłużył, że dekret na niego ferowano pod naciskiem familii możnéj, zaocznie, i sądzono go niespra-

wiedliwie. Zanosi się na to, że ucisk ów, który wywołał sąd, chce zmusić do wykonania go i rozlać krew niewinną. Nie pierwszy to *casus* taki; ale jednak dawno prepotencya magnatów na nic się już podobnego nie ważyła. Nie idzie tu o jednego O.... kość z kości naszych, ale w nim o nas wszystkich. Miecz, co mu zetnie głowę, każdy z nas na karku poczuje; bronić jego, jest to bronić siebie od sromu. Zatém wnoszę *primo*, że tu nikt obojętnym pozostać nie może, ani się wymawiać, i że *necessitas urget*, aby chwili jednéj nie tracić. Widać to z ruchów i chodów prześladowców pana Adama, iż nie chcą dać czasu do rozmysłu i działania, ale ich machinacye prędkością naszą zwalczyć powinniśmy. Niechże szlachta podlaska pokaże, iż się panów nie lęka, i jako niegdyś za Zygmunta Starego przeliczy się a powie, iż z jéj zastępu żartować sobie nie wolno. Zwą nas szarakami, ale sprostamy karmazynom, mości panowie, gdy o poszanowanie praw naszych idzie, ani się damy bezbronni rzezać i wlec na rusztowanie dla pańskich fantazyj.

— Górą nasi!—zawołał głos z głębi—święcie mówi starosta!... wszyscy za jednego!... każdy z nas obowiązany... a tu się prawo łamie dla prywaty! Nie dać się mociumpanie!

— Nie dać, powtarzam—rzekł starosta,—nie dla tego, aby się z prawa wyłamywać, bo kto winien ten pokutować powinien, ale że tu prawo kończy się dla zbytków niewieścich. Niech sądzą jak należy, ale nie podchwytkowo. Więc, wszyscy jako stoimy jedziemy do Brześcia, legniemy obozem pod Dominikańskim klasztorem, i zobaczymy, czyli śmieć będą w oczach naszych swéj chciwości na krew naszą dogodzić.

— Święte słowa pana starosty! Nie tracąc chwi-

li, — przerwał drugi — na koń, na bryczki i do miasta.

Hałas wszczął się wielki tedy i ławy runęły, bo się wszyscy rzucili do drogi; ale gdy przyszło pod noc jechać niedobremi ścieżkami, ten i ów do ranka odkładać myślał, niektórzy chcieli wstępować do domów, aby się żonom oznajmić, inni projektowali księżyca czekać, inni aż ranka, tych konie były pomęczone lub ludzie popici. O mało z wielkiéj chmury na małym nie skończyło się deszczu. Widząc to poczciwy Kasper, wlazł na ławę i przemówił do braci:

— Mili panowie a bracia! nie zapominajmy, że tu o żywot chodzi, że każda godzina opóźnienia może być niepowrotną zgubą dla nieszczęśliwego więźnia, że mamy ratować opuszczonego od wszystkich, na którego się wysila zemsta niewieścia. Więc kto brat szlachcic, a ma serce, siądzie czy na wóz, czy na koń, i wymawiać się nie będzie niczém, *verbum nobile.*

Ozwało się *verbum nobile*, i teraz już spokojnym być było można, że go każdy dotrzyma, choćby pieszo iść miał. Infamią bowiem pachło zemknąć, gdy się rzekło słowo. Jakoż poradzono sobie, i pozabierali się wszyscy po kilku na wózek, inni konno, lub służąc sobie sami za woźniców, a droga do Brześcia przez całą noc pełna była gwarnie i tłumnie płynącéj tam szlachty.

W liczbie stypowych gości, domyślając się może tego wypadku, kasztelanowa miała kilku swych zauszników. Ci z początku zmiarkowawszy, jaki obrot biorą rzeczy, wysunęli się za wczasu i pobiegli dać znać pani kasztelanowéj, jak groźno szlachta stawić się myślała.

Krystyna bawiła na folwarku o parę mil tylko odleg-

łym od Brześcia, gdzie się jéj nikt nie domyślał. Klient ich domu trzymał te dobra od dawna od Sapiehów. Skryła się u niego, będąc zaledwie jemu i żonie znaną; inni ją tam mieli za daleką krewną z Ukrainy. Nie wychodziła prawie z kilku pokojów, które jéj ustąpiono na mieszkanie; ale z téj kryjówki kierowała wszystkiém co się działo w Brześciu. Wysyłała swych dworaków na wzwiady, i miała wiadomość o najmniejszym ruchu w okolicy.

W niedostatku pana Floryana i kuzynka, którego porzuciła, uważając go za niedogodne do téj roboty narzędzie, pani Krystyna innych dobrała sobie pomocników, w istocie stosowniejszych do tego rodzaju roboty.

Stary, zaschły prawnik, Rusin imieniem Platon Rozwarski, którego zwano z powodu jakiegoś przysłowia powtarzanego przez niego: *Serduszko*, oraz olbrzymiego wzrostu rębacz sejmikowy, osiwiały w usługach partyi rodzinie służącéj, Maciéj Zabrzycki, pospolicie znany pod imieniem Matyasza, wreszcie kilku zawadyaków pod jego rozkazami zostających, składáli teraz dwór kasztelanowéj, nie licząc w to adherentów w samym Brześciu, różnemi sposoby pozyskanych.

Prawdą było, że kasztelanowa nagląc o wykonanie wyroku, spotkała wielką trudność w braku człowieka, którylby się podjął krwawego wymiaru sprawiedliwości. Potrzeba było w istocie posyłać do Lublina lub do Warszawy, co znacznie mogło opóźnić, a nawet zachwiać dekret, o którego kassatę się domagano. Starania poczynione były w wielkiéj tajemnicy, posłańcy wyprawieni, a Krystyna niespokojnie oczekiwała wiadomości o skutku swoich zabiegów, gdy ze stypy zjawił się wyprawiony szlachcic, i późną nocą przybywszy,

wpuszczony był do pokoju, w którym przy jarzęcych świecach, przechadzała się samotna kobieta trawiona nienawiścią.

Ostatni rok, ze świeżéj jeszcze i wdzięcznéj pani nagle uczynił ją podstarzałą, żółtéj cery, wychudłą i zwiędłą, tak, że nawet rozpłomieniony kuzynek w końcu stygnąć w zapałach dla niéj poczynał, choć go jeszcze dowcipem i zalotnością przy sobie trzymała. Ale skoro ją opuszczał ulubieniec, i ona też zaniedbywała się, a naówczas ślady przychodzącéj starości, coraz wyraźniéj wypiętnowywały się na jéj licu zniszczoném namiętnościami. W téj chwili jedną zemstą pałała, twarz jéj miała wyraz groźny i straszliwy. Świeciły oczy rozognione wśród oblicza zżółkłego troską, a marszczki przerzynały czoło i fałdowały policzki wypalone dwoma jakby wykrojonemi na nich rumieńcami. Strój mało okazywał starania o podobanie się... cała postać malowała dumę obrażoną, podniecon aż do wściekłości.

Gdy szlachcic wszedł kłaniając się do kolan, Krystyna podeszła ku niemu żywo.

— Cóż nam WPan przynosisz? spytała z miną królewską.

— Radbym co najlepszego, odpowiedział szlachcic z nowym ukłonem; ale nie zawsze się to wiezie, coby człek pragnął... ot i teraz...

— Cóż się tam stało? rzekła kasztelanowa dumnie.

— Nic dotąd chwała Bogu, ale się lękam mocno, by z tego co nie urosło niedobrego. Szlachta, JWPani, zgromadziła się tłumnie na pogrzeb i stypę nieboszczki matki pana O... Wszystko to krewni, kolligaci, przyjaciele. Ksiądz przemówił gorąco z ambony, porwało się to wszystko jak wicher lecieć do Brześcia i sta-

nąć w obronie brata, zasłaniając go od ucisku... Gdy ja tu, oni tam zapewne miasteczko zalegają i klasztor otoczyć musieli... Sprzysięgli się, że go nie dadzą.

Kasztelanowa zagryzła usta, chusteczkę, którą trzymała w rękach, zaczęła miąć i szarpać, spojrzała bystro na szlachcica, jakby wymiarkować chciała, czy ją zrozumie, potém pomiarkowała się, że z nim w rozprawy wdawać się byłoby dla niéj rzeczą uwłaczająca, i rzekła:

— No, to nic jeszcze. Przywołaj tam WPan do mnie pana Platona i Matyasza, naradzimy się z nimi co począć, a sam bądź pogotowiu do podróży, gdyby potrzeba wypadła... Dziękuję za pilność.

Nie zdradziwszy swéj myśli, odprawiła go tak, a po odejściu westchnęła ciężko i zadumała się. Po chwili jednak wstrzęsła głową, jakby z niéj zrzucała ciężar jaki, i gdy suchy maleńki Platon z ogromnym Matyaszem weszli do izby, wypogodziła twarz na ich przyjęcie.

Platon przezwany *Serduszkiem*, był drobny człowieczek w kabłąk zgięty od pracy nad piórem i stolikiem, niemłody już, niepozorny i pokorny... Czy nawyknienie, czy choroba sprawiły, że lewe oko prawie ciągle trzymał zamknięte, drugiém także niewesoło i niezbyt śmiało poglądając. Ręce trzymał na wygarbionym grzbiecie lub w tylnych kieszeniach fałdzistéj kapoty, wązkim pasikiem ujętéj. Matyasz miał postawę swego rzemiosła, ramiona szerokie, pierś wydatną, nogi ogromne, ręce olbrzymie czerwone i jakby napęczniałe, łysinę świecącą, wąs wyczerniony sterczący... Z pod brwi nawisłych wpół siwych błyskało oko wypukłe, nie bystre, ale nużące wejrzeniem twardém i upartém, które ścigało nieprzyjaciela. Ma-

tyasz stawał jak kolos rodyjski, a jedną ręką zwykle pod bok się ujmował.

Cicho przysunęła się do nich kasztelanowa.

— Słyszeliście panowie — rzekła—co się to dzieje? Zuchwała szlachta chce się opierać spełnieniu wyroku sprawiedliwości. Hurmem, słyszę, rzucili się Podlasiacy na Brześć, i mają opanować miasteczko, aby nie dopuścić kary nad zabójcą... Cóż to? czyż już prawa nie mają poszanowania u nas? czy wracają te czasy, gdy mordować po drogach i miastach wolno było bezkarnie?

To rzekłszy, zatrzymała się chwilę.

— Za pozwoleniem JWPani — rzekł Serduszko — nie trzeba rzeczy brać gorąco, ale z flegmą... z flegmą. Jeszcze się nic nie stało... Szlachta może się rewizyi dekretu domagać... a my możemy starać się o jego spełnienie; mocniejsi jesteśmy od niéj, bo stoimy na prawnym gruncie i wszystko mamy za sobą.

— Ale przemoc?

— A hałasowali mocno? spytał Serduszko.

— Zdaje się—odparła kasztelanowa—lecą tłumnie.

— To dobrze, szepnął prawnik: wykrzyczą się, wyhałasują i po jednemu cicho do domów popowracają. Potrzeba tylko wytrzymać ich, wolno rzecz prowadzić, znudzić, ręczę, że skorci ich do duszyczek powrocić, a my naówczas swojego dokonamy... Juściż rok w Brześciu nie będą stali na straży, a my możemy czekać... wypatrzyć chwilę. Oni rachują na natychmiastową robotę, przeszkodziliby jéj gdyby zaraz do tego przyszło, zwleczemy et *videbimus serduszko.*

Pogłaskał się po twarzy jakby się za swój rozumek pieścił pan Platon, a Matyasz odchrząknął i dodał:

— Dobrze mówi, jak mego Pana Boga kocham! poczekać; przyczém i influencyi użyć nie zawadzi na szlachtę i ubocznych, bo i ci nie są do pogardzenia. Jednych czarką, drugich polowaniem, innych muzyką i groszem można ściągnąć z placu, niejednego odpędzić strachem... a gdy się oczyści z téj hałastry, dobrać dnia... i wykona się co święta sprawiedliwość każe... jak mego Pana Boga kocham!

— Dobrze radzi Herkules — rzekł Platon śmiejąc się — głowa nie dla proporcyi... Nie od rzeczy będzie użyć wszelkich środków ku odciągnięciu. Nadewszystko zaś powoli, z flegmą... nie śpiesząc... To nam da czas *brachium justitiae*, *vulgo* mistrza sprowadzić... Potém gdy się dzionek upatrzy, niech się winowajca wyspowiada i idzie rachunek oddać Panu Bogu za swe zbrodnie.

— A zatém — odparła Krystyna — zwlecze się to znowu nie wiedzieć jak długo, i ja będę musiała w niepewności pozostawać. A nuż w Warszawie poskoczą do króla o glejt i wyjednają!...

— WPani Dobrodziejka—rzekł Platon,—wiedzieć o tém powinnaś przynajmniéj na dwadzieścia cztery godziny wprzódy, to się egzekucya przyśpieszy, aby glejt przybył jak łyżka po obiedzie. Zresztą—dodał prawnik—znając naturę ludzką, można śmiało ręczyć, że nad parę dni owo oblężenie szlacheckie nie przeciągnie się. Ogłodzeni, wytraciwszy się z grosza, zatęsknią do domu, do dobrodziejek swych, do gospodarstwa... i pojadą.

Kasztelanowa nic nie odpowiedziała.

— Ja *summo mane* jadę do Brześcia — rzekł pan Platon—aby tam kierować całą sprawą. Pan Matyasz zostanie tu na wszelki przypadek, straż trzymając...

boć o wszystkiém i o bezpieczeństwie pani myśleć nam należy. Kilku szlachty z Herkulesem nie zawadzi. W Brześciu mamy Żeleźnickiego... i resztę...

Na tém skończyła się narada, a kasztelanowa dopełniła ją myślami, które snuła do późnéj nocy.

Wieść o porwaniu i przewiezieniu Adama O.... do Brześcia poprzedziła w miasteczku jego przybycie. Tłumy mieszczan, Żydów i obywateli okolicznych czekały już u bram klasztoru Dominikańskiego na przybycie więźnia, ale przewidując tę ciekawość, zatrzymali się przewodnicy do mroku, i gdy już ciżba się rozchodzić poczęła, bryczka pędzona żywo wpadłą w otwarte wrota na dziedziniec klasztorny, który natychmiast zamknięto. Jermaszka, który postanowił nie odstępować pana swego do ostatniéj chwili, wcisnął się do wozu i z nim przyjechał na miejsce. Nie śmiano go odpędzać, a raz będąc przy kasztelanie, jużby się był bez użycia gwałtu nie dał od niego oderwać. Czekał także pan Baltazar na przyjazd synowca, zetknąwszy się wprzódy z przeorem Dominikanów i kilku osobami, na całą sprawę tę nieszczęśliwą mieć wpływ mogącemi. Przeorem był naówczas O. Hyacynt, który głosami zgodnemi mnichów wybierany już był od lat dwudziestu, i urząd ten piastował z wielką powagą i zadowoleniem konwentu. Znany w okolicy ze swéj uprzejmości, łagodności i dobrego humoru, ulubiony szlachcie i magnatom, w pożyciu łatwy, wymowny, O. Hyacynt umiał i klasztor utrzymać porządnie, i funduszami zarządzać z ekonomiką, i nie narazić się nikomu. Tém to właśnie celował on, że nikogo nie odepchnął, wszystkiego wysłuchał cierpliwie, każdą rzecz zrozumiał, a równie z małymi jak z wielkimi poradzić sobie zawsze tak

potrafił, że go dobrém okiem widzieli. Gdy czego uczynić nie mógł, przynajmniéj odmowę osłodził, i wyściskał tego, którego z niczém odprawić musiał. I tym razem nieprzyjemnie mu było bardzo, że klasztor jego za wieżę dla bannity obrano, ale zadraźnić się z możną rodziną fundatorów nie było sposobu. Wiedział ksiądz przeor, że ta powolność narazi go szlachcie i będzie powodem do hałasów na klasztor, ale się spodziewał burzę zażegnać łagodnością i znanemi sobie sposoby. *Et haec facienda et alia non omittenda*, było to ulubione jego przysłowie i prawidło postępowania.

Izba w wieżyczce narożnéj, przeznaczona dla więźnia, z dawna była opuszczona; ale dała się wprędce urządzić i uczynić mieszkalną, boć dla takiego smutnego gościa niewiele wymagano. Była to komnatka dość smutna, z jednemi tylko drzwiami od klasztornego korytarza, okrągła, z okienkiem wysoko umieszczoném i wązkiém a kraciastém. Na piętrze w odpowiedniéj nad nią izdebce mieścił się skład sprzętów zapaśnych i różnych rupieci; w dolnéj niegdyś zamykano więźniów klasztornych za przekroczenia reguły, w wypadkach pomieszania i t. p. Od dawna wszakże nie była zajęta, i zrzucano w niéj różne zapasy śpiżarniane. Oczyszczono ją jako tako, wymyto podłogę popaczoną, wniesiono stół, stołek, łóżko, dzban, misę, drzwi były zamczyste, otwór jedyny o cztery łokcie nad ziemią, wychodził na podwórze klasztorne, wprawdzie od muru niedaleko, ale nie na zewnątrz. Dawniéj drugie drzwiczki z baszty wiodły do innego korytarza, ale te były zamurowane i zatynkowane, tak, że z izby się ich nawet domyślić nie było można. Postawiwszy jedną straż w podwórzu u okna, dru-

gą przy drzwiach w sieni, o więźnia można być było bezpiecznym zupełnie. Ksiądz przeor znajdował, że schronienie to za smutne było, za surowe nawet dla skazanego na śmierć szlachcica; ci wszakże, co je wybrali, uznali je za odpowiednie celowi. Łagodząc ich zbytnią w tym względzie ścisłość, O. Hyacynt postarał się o to, aby był wilk syty i koza cała— o przyczynienienie wygód więźniowi. Obić kazał tę ścianę właśnie, która miała niegdyś drzwi w sobie na inną sień wychodzące, kilimkiem, niestety! używanym nieraz do przybierania katafalków w kościele; na łóżko dał materac i posłanie wygodne; wniósł nawet komódkę starą z jednéj celi zabraną, aby cokolwiek tę pustkę podobniejszą do mieszkalnéj komnaty uczynić.

Ale pomimo tego izba w baszcie miała fizyognomię posępną, a mała ilość światła, jaką cedziło okienko, zwiększała smutne wrażenie, które czyniła.

Gdy pana Adama tu przywieziono i wprowadzono, Jermaszka aż do drzwi mu towarzyszył. Myślał z razu dać się z nim zamknąć, ale pomiarkował zaraz, iż korzystniéj dla niego być mogło zostać na zewnątrz, a dokołatać się tylko pozwolenia wchodzenia i wychodzenia do celi, co zresztą odmówioném mu bez zbytniego okrucieństwa być nie mogło. Chciał pozawierać stosunki w klasztorze, obejrzeć miejscowość, i gdyby się tylko na czasie zyskało, szukać środków wydobycia pana z więzienia. P. Adam tak był z gnębiony w téj chwili swą niedolą, iż sam o sobie myśleć nie czuł się zdolnym; biernie poddawał się temu, co z nim czynić chciano, nie stawiąc oporu, milcząc i okazując jawnie zupełny na duchu upadek. Jermaszka, jakkolwiek i na nim znać było także ucisk i prze-

rażenie, zachował całą przytomność umysłu, i nie stracił zupełnie nadziei.

W godzinę po przyjeździe pana Adama, przeor ks. Hyacynt sądząc, że obowiązkiem jest klasztoru, gdy dał komnatę na więzienie, przynajmniéj los nieszczęśliwego osłodzić, poszedł zaraz sam domagać się, aby go wpuszczono do nowego gościa. Nie czyniono z tém wiele trudności; wiedzieli wszyscy, że byle nie dać uciec więźniowi, srożyć się nad nim nie ma obowiązku, a myśl ta, że lada dzień miał być stracony, litość dla niego obudzała.

Poszedł więc Ojciec przeor, i drzwi otworzył z przywitaniem zwykłém:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Znalazł pana Adama rozciągnionego na łożu, prawie nieprzytomnego. Przystąpił bliżéj, a że serce miał dobre i z powołania jako duchowny pocieszać umiał, ujął za rękę więźnia, wpatrując się w jego twarz z ciekawością i zajęciem. Zdziwił się wielce, gdy zamiast srogiego oblicza mordercy ujrzał bladego, białego, delikatnego, pięknych rysów, zmienionych tylko cierpieniem, mężczyznę. Serce mu się ścisnęło, widząc go tak młodym, tak grobu blizkim. Wiedział bowiem dobrze ks. Hyacynt co prześladowanie możnych gotowało panu Adamowi.

— Nie traćcie-no ducha, a westchniéjcie do Boga, rzekł powoli. *Deus mirabilis, fortuna variabilis:* jeszcze-ć pono rzeczy nie tak stoją, aby rozpaczać przyszło.

— A mogąż być gorzéj? spytał głosem słabym pan Adam.

— Mówię wam—dodał przeor—módlcie się, a nie

traćcie ducha. Póki w człeku jeszcze życie, póty nadzieja. Widzę, żeście osłabieni na ciele — rzekł po chwili O. Hyacynt,—pewnoście ani jedli, ani pili. Możeby ubogi nasz klasztor mógł wam czém służyć? Posilić się potrzeba... szklanka wina, kawał mięsa nie zawadzi. Podnieście-no się, podnieście.

— Dziękuję, odparł nie wstając pan Adam.

— A ja przecięż zadysponuję, aby wam co podano—rzekł przeor,—i powiem wam co mi na sercu najbardziéj leży, abyście się na klasztor nie gniewali, że z niego wam więzienie uczyniono. My ubogie mnichy nie możemy się oprzeć tym, z których łaski żyjemy; ale kto wie... *Deus scit*, czy nie na lepsze to wyjdzie WMości, panie kasztelanie, że was indziéj nie osadzono... Mnichy też i dla was wszelkiéj pomocy nie odmówią...

Tu odchrząknął znacząco.

— Na co się to wszystko mi przyda—rzekł kasztelan—kiedy tuż, tuż śmierć za pasem, a czasu pomyśleć o sobie nie mam!

— Macie czas, macie czas! odezwał się żywo przeor, pochylając ku niemu. Nie ma jeszcze nic... musicie tu posiedzieć dni kilka, nim oni swe krwawe zamiary do końca doprowadzić potrafią... Myślcie jeno o sobie, myślcie...

Pokrzepiony nieco pan Adam, podniósł się z posłania, a przeor go krzyżem świętym przeżegnał, popatrzał długo, długo, i pożegnał.

— Przyszlę wam co na pokrzepienie... a wy się tu rozglądniéjcie dobrze i czasu nie traćcie... nie traćcie.

To rzekłszy, poczciwy księżyna przystąpił do ściany, która była obita kobierczykiem, i dodał:

— A to tędy WMości na łóżko wiać może, bo to tu niegdyś były drzwi, lekko zamurowane, przypo-

minam sobie, wychodzące na drugi korytarz, i w drugie podwórze od kościoła... Możeby wam przestawić? hę?

— Ale nie — rzekł kasztelan, uderzony temi słowy,—bardzo dziękuję... Ojcze przeorze, o jedno was prosić będę tylko, przyszlėjcie tu poczciwego sługę, który mi z domu towarzyszy...

— A jak się on sługa wabi? spytał ksiądz.

— Zowie się Jermaszka, niewielkiego pozoru, ale wielkiéj cnoty człowiek.

— Dobrze! dobrze! rzekł przeor wychodząc chyżo, z uśmiechem na ustach.

Pan Adam orzeźwiał nieco... Wkrótce też i Jermaszko wszedł, niosąc na tacy drewnianéj butelkę wina, przekąski i parę świec woskowych, bo wieczór nadchodził. Pachołek, któremu strzedz drzwi przykazano, aby więzień nie umknął, popatrzał dobrze w twarz Jermaszce, ale mu przeszkody do wnijścia nie czynił. Wyglądał na klasztornego posługacza.

Poczciwy sługa nie tak też miał przygnębione i spłakane oblicze jako gdy tu przybył, bo zaledwie wyszedł, pochwycili go braciszkowie i księża starsi do refektarza, napoili i nakarmili; a że wypadek niesłychany wszystkich ciekawił, a prześladowanie oburzało, wleli w niego jakąś otuchę.

Jermaszka czuł, że w klasztorze mnogich mają przyjaciół, i byle na czasie dało się zyskać, pomoc gotową i serdeczną. Jak przeor panu Adamowi, tak O. kanafarz szepnął mu, że drzwi lekko zamurowane na niestrzeżony korytarz wiodące, pokryto kobiercem umyślnie, aby tamtędy więźniowi ucieczkę ułatwić.

— Ino czasu nie traćcie! rzekł stary księżyna. Kasztelan, byle się na korytarz dostał, pójdzie sobie

w świat jako zechce, nikt mu drogi nie zastąpi, a O. klucznik wrota choć o północy otworzy.

Oburzenie było tak wielkie w klasztorze, iż młotka i żelaznego drążka dostarczono Jermaszce, który je za cholewy włożył, i tak wyprawiono go do baszty. Dla tego wszedł z promieniejącą twarzą do pana kasztelana i z wielką w sercu pociechą, a pierwszém wejrzeniem padł zaraz na ową ścianę okrytą kobiercem, przy któréj łóżko stało.

— Aby nam do ranka czasu dali—rzekł cicho—to się z ich szpon wydobędziemy; ale chwili tracić nie trzeba.

Jakby naumyślnie klucz nawet od środka izby był zostawiony, aby straż tam zaglądać nie mogła. Zresztą kks. Dominikanie nie zapomnieli i o niéj, przyniosłszy dla pachołków podostatkiem wódki i piwa. Uraczyli się też wartownicy zaraz z wieczoru, i obaj prosili o garść słomy, aby spocząć sobie nieco mogli.

Gdy się to działo w klasztorze, szlachta zdążała do Brześcia; ale drogi złe i późna pora nie dały prędzéj pośpieszyć, aż koło północy. Zaraz u wrot miasta wzięli języka, że więzień żyw, że mistrza z Lublina lub Warszawy oczekują dotąd, ale go pono jeszcze nie ma... a nie wiedziano kiedy może przybyć. Szły więc rzeczy pomyślniéj niż się spodziewano. Przyjezdni naradziwszy się, pojechali do miasta, ustanowiwszy swe straże do koła klasztoru, aby gmach mieć na oku. Tymczasem choć późno już było, pan starosta Hański zadzwonił do furty, żądając widzieć się z O. przeorem. Klasztor był jeszcze nieuśpiony, bo i regułę i obyczaj zwykły przerwał ten wypadek, który niejedno czoło potem oblewał. O. Hyacynt przechadzał się zadumany po swéj celi, wzdy-

chając ciężko, gdy mu oznajmiono o przybyciu starosty.

— Jest tedy—rzekł smutnie—pewnie z wymówkami, ale cośmy winni!

Kazał prosić. Na wszelki wypadek stała butelka wina i dwa kieliszki na stoliku. Przeor się spodziewał najścia.

Starosta wszedł kłaniając się do ziemi, ale ponunury, kwaśny, i gdy O. Hyacynt zbliżał się ku niemu z wielkim pośpiechem i otwartemi rękami, cofnął się nieco krokiem, ręce także roztworzył, ale w tył je rzuciwszy.

— Do nóg upadam—rzekł—do nóg upadam księdza przeora!... Cóż to się u was dzieje? Z klasztoru, schronienia pobożności i spokoju, zrobiono *carcer*, wieżę, turmę... a Ojcowie pozwoliliście?

— Aniśmy pozwolili, ani zabronić mogli... Stój starosto — odparł przeor kładąc palec na ustach — nie potępiaj sprawy, nie wysłuchawszy.

— Fakt, nie ja was potępiam. Więźnia osadzono w klasztorze, służycie Ojcowie prywacie możnych... O hańbo! o wstydzie!

— Jezu, Maryo! starosto, czekaj, czekaj... i jeszcze raz mówię: czekaj a nie zabijaj! rozśmiał się przeor. Powiedz mi najprzód, czy lepiejby było, gdyby go osadzono... (tu się obejrzał...) Słyszałeś jegomość historyę o szczupaku?

— Co znów! o jakim szczupaku! krzyknął starosta.

— E! to stara, ale ciekawa dykteryjka... Dostał się szczupak do dziurawego kosza i narzekał... a tymczasem zapomniał się obejrzeć, że mu do rzeki było niedaleko... hm! hm! Mości starosto... czy lepiejby

było, gdyby szczupaka do nowego a całego kosza wsadzono?

— Juściż to klasztorowi niemiło, niemiło—rzekł—że go uczyniono turmą; ale cóż począć, gdy te niegdyś niepogwałcone schronienia dziś lada kto najeżdża i po swojemu zażywa do ziemskich potrzeb! Przyjedzie sejmik, odbywacie go w klasztorze; dajecie ucztę, pożyczamy refektarza; najdzie wojsko, pakują go do nas, choćby mnichów powyrzucać miano... aż do tego przyszło, że i winowajców nam sadzą. Samiście to nauczyli drugich tego nieposzanowania miejsc, które jak na pustyni przytuliska ascetów powinny być przez wszystkich respektowane.

Starosta stał, słuchał, wąsa kręcił, nareszcie siadł milczący, a przeor nic nie mówiąc, lampkę mu z winem podsunął.

— Wiecie, że szlachta z pod Kodnia wszystka tu ze mną przybyła za kasztelanem, i nie dopuści prepotencyi magnackiéj... Całe obozowisko mieć będziemy pod klasztorem, księże przeorze, i straże wedle murów.

— Ani mnie to dziwi, ani frasuje... odezwał się O. Hyacynt. Jakbym to ja sam niegdyś szlachcicem nie był i fantazyi szlacheckiéj we krwi nie miał, póki mi jéj suknia Ojca naszego Dominika Świętego nie odjęła i Psem Bożym nie uczyniła... A no — dodał — i psy też szczekają, gdy się gwałty dzieją...

Tu nalał lampkę staroście i ciszéj szepnął:

— Jeżeli ma rozum kasztelan, jeszcze dzisiejszéj nocy może się przewietrzyć. Jest ich tam dwóch... i chyba głupiby byli, gdyby sobie rady nie dali.

Starosta musnął czupryny.

— Powiedzcie panom braciom, że OO. Dominika-

nie nie są przecię takimi sługusami magnatów, a nieprzyjaciołmi szlachty, jak się im zdaje.

Wstąpił tedy duch w starostę i orzeźwiał.

— A no, teraz tylko cierpliwie czekać, rzekł pan Hański.

— I konia mu lub bryczkę przygotować, dodał O. Hyacynt.

Wtém gdy tak rozmawiają, nowy stukot do drzwi, i wparł się do celi jeden z pomocników kasztelanowéj, kolega dobry pana Platona, pan Burczak, sługa familii, któremu w samym Brześciu powierzona była straż pana Adama i całe owo dzieło nieprawości.

Pan Burczak uchodził za bardzo chytrego i przebiegłego człowieka, miał minę lisią, ale nie był wielkiéj głowy, a serca był małego i bojaźliwy bardzo.

Człowiek co nad papierami życie trawi, nigdy zbytniéj odwagi mieć nie może, bo ta praca i wycieńcza, i do zbytku przemyślnym czyni na wszelkie wypadki, a kto się zbytnie ogląda, do korda nie rwie się bardzo.

Grzeczny też był pan Burczak jak mało ludzi Znał go starosta z daleka, a ks. przeor bardzo dobrze. ale go nie lubił, bo z chytrymi przestawać nie umiał i podstępu się zawsze obawiał.

Spojrzawszy na niego, zmienił nagle ton rozmowy O. Hyacynt, i dodał jakby kończąc poczęte:

— Panie starosto dobrodzieju, nie gniewajcie się i nie srożcie, klasztor nic nie winien, wezwała go władza świecka, musiał być posłuszny... Nie nam mnichom wojować z nią.

— Niechże będzie pochwalony... przerwał Burczak. Ja tu starosty szukam.

— Mnie? a do mnie co waść masz za sprawę? rzekł groźno pan Hański.

— Żadnéj sprawy, ale uskarżać się myślę.

— Cożeśmy to waści uczynili?

— Mnie nic, ale imieniem pana wojewody i podwojewodziego przychodzę...

— A im co? spytał starosta.

— Przecięż ichmość najazd czynicie na miasto?

— Albo to nam już przyjechać tu niewolno? rzekł pan Hański.

— Na co tu udawać, że się nie rozumiemy! zawołał pan Burczak. Szlachta za swoim tu przyleciała, aby się stawić między sprawiedliwością a winowajcą. Pełne ulice przyjezdnych, klasztor obstąpiony dokoła. Cóż, myślicie siłą go odbijać? To i podwojewodziemu stanie na obronę...

— Któż to waści powiedział—przerwał starosta—po cośmy tu przybyli, i co czynić mamy? Czyńcie swoje... a my swoje.

— Jakby—dokończył Burczak—miał się tu stać jakowyś gwałt czy co?

— Ja nic nie wiem, i o niczém z waćpanem mówić nie będę, rzekł starosta.

Burczak zniżył nieco tonu.

— Cóż to się tutaj stało lub dziać ma tak znowu wielkiego a niesłychanego? rzekł powoli, popijając wino, które mu ksiądz podał. Schwytano bannitę, który się nawet ukrywać nie raczył, tak bezkarności był pewien: czy to go już, myślicie, zaraz egzekwować będziemy?.. chcę mówić, będą? Przecięż może protestować i appellować; są akta, są sędziowie, jest forma prawna... a kto wam ich broni? Uroiło się szlachcie widać, że go tu zaraz zetną...

— Nie mówcie nic! odparł starosta: wiedzą sąsiedzi

jak kto siedzi, i co się święci. Posłano do Warszawy i Lublina po mistrza.

— Jako żywo, fałsze to są! zakrzyknął Burczak.

— A no, to już i mówić nie ma o czém, skoro fałsze... rzekł starosta, i podniósł się z siedzenia żegnając przeora; ale mu prawnik drogę zaszedł.

— Panie starosto —rzekł— zmitygujcie szlachtę, proszę. Sprawy tu nie ma prawie, a burda niepotrzebna.

— Dajże mi acan pokój! Gdzie burda? i co my tu z sobą rozprawiać będziemy? Każdy swoje mosanie: my burdy, a wy prawa pilnujcie.

I rozgniewany trzasnął drzwiami i wyszedł.

— O źle!—rzekł głaskając czuprynę Burczak, który spoglądał na przeora, nie mogąc nic w twarzy jego ostygłéj nagle wyczytać.—Głupio się do rzeczy wzięto, mówiłem to. Mogąc mieć ptaszka w ręku kiedyby się żądało, nietrzeba było go łapać, pókiby mistrza nie było, topora wyostrzonego i przygotowanego kloca. Nimby się szlachta opamiętała, jużby mu byli makówkę ucięli i kwita: appellujcie do Pana Boga... A teraz drzéjże się tu z panami bracią!.. Baba po babsku niecierpliwie do rzeczy się wzięła, nic nie zrobi, a na nas będzie wina cała!

Westchnął. Przeor wina dolał.

— Mój panie mecenasie—szepnął—co ci to tam tak bardzo gorąco za cudzą zemstą gardłować? co ci z tego? A na sumieniu krew, to zawsze plama.

— Jam go nie sądził, ani go ścinać będę, odparł Burczak; ale panom służąc, to się zawsze powalać w końcu przyjdzie, i guza złapać, i gniewu ich się dorobić. Na człowieku się krupi.

Smutnie spuścił głowę.

— I nie dotrzymują co obiecali! dodał cicho.

— Widzieliście ojcze więźnia?

— Tylko z dala... rzekł przeor.

— Piękny mężczyzna? młody? hę?

— I piękny, i młody... ale co mu już dziś z tego! westchnął ksiądz.

— Szlachta się bierze za nim mocno, gotowa i do naszych grzbietów się dobrać —dodał Burczak.— Ja z nią do czynienia mieć nie lubię. Ludziska gwałtowne i zapalczywe nad miarę, a gdy im raz co w czuprynie zaswędzi, ani z nimi gadać! w szable dzwonią, i to u nich *ultima ratio*... Gdyby chcieli poargumentować...

Dopił lampki wina, i wysunął się po cichu, mocno zadumany.

W koło klasztoru w istocie w uliczkach przechadzali się niecierpliwie przybyli, upatrując sobie miejsc na nocleg i straż; a przybycie ich wielkiego narobiło niepokoju między adherentami kasztelanowéj.

Nie wiedziano jeszcze co ona tam postanowi. Dopiero około północy przybył posłaniec od Platona, oznajmujący, że i on sam o brzasku nadjedzie. Tymczasem noc sobie po cichu płynęła. Przed gospodą Abrahama, gdzie się zbierali ludzie kasztelanowéj, czekał już na prawnika Burczak, ale z miną posępną i stroskaną.

— A co? zawołał wysiadając z kałamaszki mecenas. Co się tu u was święci?

— Nie najlepiéj! rzekł Burczak. Szlachty najechała kupa, i hałas robią straszny; na księży nasiedli, że z klasztoru więzienie zrobili; straże rozstawili dokoła, odgrażają się.

Mecenas ramionami ruszył.

— Dać się im wygadać—rzekł—nic lepszego: im głośniéj krzyczą, tém mniéj zrobią; mamy swoje plany. Mistrza nie ma?

— Nie, nie ma dotąd, i szlachta bodaj czy nie czatuje na niego po drogach.

— Tak dalece?... no! no!

Dniało już, gdy się ta rozmowa toczyła.

— Idźcie waszmość do miasta w kilku, a choćby w kilkunastu; potrzeba nie zważając na irrytacyę panów braci, zbliżyć się do nich i porozumieć, uczęstować, odciągnąć, to się to powoli rozlezie. Strachu nie ma... bądźcie asaństwo dobréj myśli.

Gdy tak ludzie pani kasztelanowéj na rozum biorą, my wrócić musimy do więzienia, gdzie poczciwy Jermaszka dał się na noc zamknąć z kasztelanem... Jak skoro uciszyło się w korytarzu, i podpojony tęgim miodem dominikańskim strażnik pod ścianą zachrapał, Jermaszka sam podniósł kobierzec osłaniający mur, podważył cegłę i począł wyjmować po jednéj, odkrywając drzwi, po za któremi była swoboda i ocalenie. Z cegłami łatwo sobie począć było, gdyż je nieledwie tynk zewnętrzny trzymał tylko, a w środku prawie na sucho kładzione, dały się ruszyć za pierwszém dotknięciem; ale owe drzwi grube okazały się na zamek zaparte dawno, i trzeba je było albo łupać, lub szczerbić około rygli, by się niemi wydobyć. Kasztelan patrzał zdrętwiały na tę całą robotę, wcale do niéj ręki nie przykładając. Jermaszka sam, spocony i zmęczony, wszystko wziął na siebie. Choć pośpieszał o ile mógł, nie potrafił wszakże zmuszony po cichu rady sobie dawać, tak rychło wyłupać zamka, jak sobie życzył. Dobrych godzin kilka trwał ten kłopot. Nareszcie otworzyły się wrzeciądze.... Jermaszka przy-

mknął je chwilowo, wysunął się z pod kobierca, i pobiegł do pana drzemiącego na krześle.

— Paniczu! zawołał, po dawnemu go zowiąc: chodźcie, oto już wszystko gotowe! Osłońcie się moją opończą... i ruszajcie.

Pan Adam popatrzał na niego, jakby nie słyszał.

— A gdzie? po co i na co będę uciekał? rzekł powoli. Albo mi to życie miłe! Gdzie się schronię, kędyby mnie zemsta téj kobiety nie ścigała? Co poczne? Lepiéj już raz ginąć, niżeli wlec takie życie!.. Daj mi pokój poczciwy sługo, niech łeb zetną i krwią się nasycą!...

Jermaszce aż włosy kołem stanęły na głowie. Czas był krótki, śpieszyć się należało, a kasztelan obojętny ani myślał się ruszyć.

— Na miłego Boga! panie! zawołał klękając przed nim: czy się to godzi samemu się gubić? czy się to godzi? Na cienie ojca i matki zaklinam pana, uchodź! uchodź!... Uczynisz z sobą co zechcesz, ale życie potrzeba ocalić.

Nierychło kasztelan dał się namówić na to, by wdział opończę sługi, i dziurą w murze wyszedł w korytarz. Rozpowiedział mu dobrze Jermaszka jak ma iść i kędy, aby do szlachty trafił, i gdzie go Baltazar z drugimi oczekiwać będzie; chciał bowiem sam pozostać w więzieniu, ażeby dłużéj straże zwodzić i nie dać popłochu, aby za nim nie goniono.

Jakoś przecię odżył nieco pan Adam, ścisnął dłoń sługi, i orzeźwiony wysunął się w korytarz. Nie miał jednak dosyć energii i pragnienia życia, aby się bardzo w ucieczce troskać o jéj powodzenie; powlókł się prawie obojętnie... Jermaszka tymczasem co rychléj drzwi na nowo umocował, cegły jako tako pozakładał,

z butelki wina się napił, bo się straszliwie umęczył pracą, i legł w łóżko kasztelana, uśmiechając się sam do siebie. Mimo niepokoju o pana, gdy po półgodzinném wyczekiwaniu i nastawianiu ucha żaden hałas nie zwiastował nic złowrogiego, Jermaszka oczy przymrużył i kamiennym snem usnął.

Kasztelan wyszedł powoli, i byłby może nie bardzo dał sobie rady w korytarzach, gdyby go w ciemności ręka jakaś, widocznie przyjazna, za dłoń ująwszy nie doprowadziła do zewnętrznéj furty, i nie wypuściła na wolność. Tuż za murami klasztoru widać było jeszcze nieuśpioną koczującą szlachtę; ostrzeżony widać Baltazar, wartował w téj kupce z oczyma na furtę zwróconemi, a dostrzegłszy wychodzącego, pośpieszył ku niemu, i obaczywszy choć w ciemności synowca, ujął go w uścisk serdeczny.

Ledwie się on i panowie bracia potrafili powstrzymać od okrzyku radości i hałaśliwych objawów tryumfu; ale ostrożność kazała jak najdłużéj ukrywać ucieczkę, dopókiby kasztelan nie był bezpieczny.

Poszli natychmiast z panem Adamem do najbliższéj stajni, kędy stały konie przybyłych; dobrano najlepszą czwórkę szkap, które już były obrok zjadły, a dla zgubienia poszlak, postanowiono w chwili odjazdu pana Adama we cztery strony miasteczka wyprawić cztery jednakowe wózki w przeciwnych kierunkach. Tymczasem dano kasztelanowi polewki winnéj, ażeby się posilił, i naradzać się zaczęto, gdzie go tymczasowo ukryć. Właśnie konie zakładano do wózków, gdy się rozmowa toczyła, któréj pan Adam słuchał bez uczucia i nie mieszając się do niéj wiele, dawał z sobą robić co chciano, jakby już własnéj woli wcale nie miał.

Szlachta przez szpiegów doszła była, że o parę mil ukrywa się sama kasztelanowa, i poszeptywano o tém, gdy pan Adam wstał nagle z krzesła.

— Panowie a bracia najmilsi! rzekł nagle z determinacyą: pozwólcie mi też słowo rzec. Nie miałem dotąd siły ani pomyśleć o sobie, ani wam podziękować za pomoc, ani oznaczyć sam co z sobą pocznę.... Wiem już z kim teraz trzymać, i co robić, wiem na kogo w nieszczęściu rachować mogę. Zrywam z przeszłością na wieki, alebym chciał...

Tu się zaciął.

— A no! cobyś jeszcze chciał? spytał Baltazar.

— Héj! rzekł Adam: chciałbym zrobić niespodziankę téj córce kata, i plunąć jéj w oczy. Gdybyśmy pojechali kupką orężną... a żebyście mi pozwolili z nią się rozmówić i zawstydzić bezwstydnicę!

Na to żądanie z razu długie odpowiedziało milczenie.

— Rozwścieklisz ją tylko waść! odparł Baltazar po chwili. Mało satysfakcyi, a wielkie niebezpieczeństwo. Gdybyśmy uzbroiwszy się jak najlepiéj w dziesięciu lub dwunastu ruszyli, jeszcze tam gotowi spędzić wioskę całą i nas pojmać. Na co leźć w paszczę bestyi? Dajmy pokój!

— Ej! stryju, chciałoby mi się jéj podziękować za dobrą kwaterę u kks. Dominikanów, rzekł nalegając kasztelan. Przyjedziemy i nikt nie będzie wiedział co za jedni? Ona tam teraz raz w raz ma do czynienia ze szlachtą swoją z powodu mojego uwięzienia; pomyślą żeśmy jéj adherenci, a nim się kto dowie we dworze cośmy za jedni, będziemy daleko, bo się z jejmością długo bawić nie myślę.

Szlachcie trochę zmęczonéj nie bardzo ta wyprawa była na rękę, ale kasztelan rzekł nalegając:

— Panowie a bracia, byliście mi istotnie bracią i dobroczyńcami, życie moje salwując w krytycznéj chwili. Dajcież mi z onego życia, które z łaski waszéj mam, korzystać, i choć raz skosztować tryumfu, a upokorzyć tę harpię krwi chciwą. Należy się to jeśli nie mnie, to jéj od losu, aby taką chwilę w życiu miała.

Już mu się oprzeć nie mogli więcéj. Posiodłano konie, gdyż wozem jechać nie zdało się bezpiecznie. Wybrało się ich piętnastu z szablami i krócicami na paskach, i natychmiast wyruszyli.

Tymczasem w miasteczku i klasztorze tajemnica ucieczki dobrze była zachowana, ale szlachta między sobą poszeptawszy, że się już nie ma czego obawiać o kasztelana, powoli przededniem poschodziła z posterunków dokoła klasztoru; i gdy p. Platon z Burczakiem poczęli zabiegać, aby ją pościągać do zajezdnych domów a złagodzić, tak im to łatwo przyszło, aż się sami zdziwili.

— Jam bo waszmości mówił—rzekł Platon cicho do towarzysza—ja braci szlachtę znam: zapalne to jest, ale nie trwa długo ten ogień słomiany, buchnie i zgaśnie zaraz. Nie trzeba mi nad dwa razy dwadzieścia cztery godziny, aby ich złamać i powoli do domów poodprawiać. A mądry ten będzie, kto drugi raz ich zgromadzi!

W klasztorze było cichuteńko. Jermaszka zmęczony spał wypiwszy wino; poszlak ucieczki nie zostało. Straż zmieniła się u drzwi, a więzień chrapał tak, aż w korytarzu się rozlegało.

— Ktoby to rzekł—mówiła sobie straż—że śmierć ma pod nosem? Tak się wysypia, jakby snu wiekuistego nie spodziewał się prędko.

Ks. przeor z rana śniadanie bardzo starannie i wi-

docznie przygotowywał, ale czekano aż wstanie ze snu kasztelan... Około południa wyszedł z celi sam Jermaszka przecierając oczy, pośpieszył do refektarza po śniadanie, zabrał je z sobą i pociągnął do baszty.... Ks. przeor spytał go, jak się ma więzień?

— Niczego—odparł sługa—ono to i nieźle, ale ono się to zmęczyło i prosi, żeby dziś spokój dano i nie odwiedzano.

W godzinę potém taca, na któréj było śniadanie, wyszła pusta z baszty. Jermaszka powrócił nazad, a resztę dnia straż słyszała świstanie i podśpiewywanie, dziwując się wielkiéj rezygnacyi skazanego na śmierć człowieka... Gdy pana Platona to doszło, że tak był wesół, rozśmiał się chytrze.

— Musi wiedzieć, że mu na odsiecz przybyli i tém się cieszy—rzekł;—ale zobaczymy czy mu to pomoże.

W istocie bardzo tryumfowali zausznicy kasztelanowéj, bo im się nad spodziewanie szlachtę rozproszyć udało. Ledwie kilku z niéj pozostało w mieście, reszta po znajomych w sąsiedztwo i do domów się powysuwała powoli.

— A co? nie mówiłem—spytał mecenas Burczaka—że to ogień słomiany? Co było hałasu wczoraj! a dziś gdyby przybył mistrz, jużby go można prowadzić pod pręgierz i nie byłoby czterech szabel na drodze.... Jutro będziemy panami placu... pojutrze przyjedzie kat, a za dwa dni rano do dnia sprawiedliwości się stanie zadość, i słuszna obraza kasztelanowéj będzie pomszczona! Ot jak to się rzeczy robią—dodał, zacierając ręce...

Kasztelanowa pisała listy do Warszawy do swoich, gdy w dziedzińcu tętent powstał, a pacholątko na usługach będące wbiegło, oznajmując, że jacyś pano-

wie z Brześcia przybyli, i domagają się widzenia z nią w bardzo pilnéj sprawie. Sądziła jejmość, że Burczak z czém przyjechał; nie dziwiła się czeredzie, bo wiedziała o szlachcie, i myślała, że w tak licznym pocztcie dla bezpieczeństwa od niéj puścić się musiał.... Szczęściem dla przybyłych, Matyasz i załoga dla obrony kasztelanowéj zostawiona, poszła ze dniem spać na siano do odryny, i całego tego hałasu nie słyszała, a w ten sposób bójki i wrzawy się uszło.

Zaledwie pacholątko z dozwoleniem wnijścia otworzyło drzwi do pokoju kasztelanowéj, gdy zakapturzony mężczyzna stanął w progu, podwoje za sobą zamknął, i powoli twarz odsłonił.

Krystyna stała milcząca, w zaniedbanym wielce stroju, oczekując nowin—i oczy ciekawe zwróciła na przybysza. Nagle zadrżała, i stanęła jak wryta, poznając męża.

— Milczeć! rzekł groźnie pan Adam: jeśli mi piśniesz żmijo, to ci w łeb wypalę natychmiast.

I dobył krócicę z pod płaszcza.

Struchlała kobieta; bladość śmiertelna pokryła jéj lica. Nie mogła przemówić słowa, usta jéj dygotały, czoło oblewało się potem; była z razu pewna, że po jéj życie przyszedł mściwy człowiek.

Pan Adam patrzał, i nasycał się jéj przerażeniem. Była to pierwsza chwila zwycięztwa dla niego, rozkosz upajająca, jakiéj nie kosztował w życiu.

Wytrzymawszy tak kilka minut, pan Adam odezwał się wreszcie:

— Spodziewałaś się może, że ci twoi słudzy głowę moją przyniosą! Toć przychodzę jeszcze sam żywy, pokłonić ci się kobieto, i plunąć w twarz, jakeś zasłużyła, pomocnico kata.

Obelga ocuciła kobietę: wyprostowała się, spojrzała śmieléj.

— Chciałam cię zabić—rzekła—zabijże mnie, ale się nie pastw... Cóż cię wstrzymuje? Tak... byłabym ci wzięła życie, masz prawo mi je odebrać, wszakże nie uciekam... Bierz je... ale się ze swojém pocieszysz niedługo. Nie zapominaj, że po za mną jest rodzina moja, co cię ścigać, prześladować i mścić się będzie nad tobą.

— Albo myślisz—zawołał kasztelan—że się ja téj śmierci, którąś mi zgotowała, obawiam? że dbam o życie? że mi co w niém pozostało jeszcze? Zabiłaś wprzódy niż mnie, nadzieje moje i wiarę... Nie stoję o głowę, bom ją dawno na klocu położył... i dzisiaj nie ratowałbym jéj ucieczką, gdyby mnie do tego prawie nie zmuszono.... Owszem, wolałbym był, żeby krew ta spadła na ciebie, żebyś w niéj i z nią chodziła do śmierci, obluzgana jak kat i z imieniem kata.

— Czegoż chcesz? spytała dumnie kobieta.

— Nic.... tylko ci plunąć wzgardą w to oblicze hyeny, rzekł kasztelan; a potém.... a potém—dodał—zostawić cię na pastwę twemu sumieniu i własnéj słabości!..

— Słabości?! śmiejąc się, odpowiedziała kobieta: wiedz, że ja dziś jeszcze, w téj chwili, silniejszą jestem niż ty.... Zabić mnie nie będziesz śmiał, mścić się nie potrafisz.... Skoro wyjedziesz za ten próg, znowu wpadniesz w ręce moje, a ja ścigać cię nie przestanę, i zemsty nie porzucę.... Wiesz więc co cię czeka...

Odwróciła się do niego tyłem z pogardą. P. Adam podniósł pistolet.... wymierzył.... Widziała ten ruch

w zwierciedle, ale nie drgnęła. On spuścił rękę i zatrzymał się.

— Światby mnie rozgrzeszył, gdybym ci tę pierś, w któréj nie było serca, roztrzaskał, rzekł powoli... Ale nie... nie chcę... zostawię ci życie zatrute... Bóg mnie pomści... Pójdę... skryć się od zemsty potrafię, a ty marnie przepadniesz w pogardzie i pośmiewisku u ludzi...

Odwrócił się, by odejść, gdy kasztelanowa w drugich drzwiach dostrzegła między uchylonemi podwojami twarz ciekawą pacholątka zwabionego hałasem, który w izbie posłyszało. Skierowała się milcząca ku krzesłu, jakby osłabła, szukała sobie miejsca, by spocząć, ale jéj na myśl przyszedł Matyasz i jego towarzysze... i usty uczyniła znak chłopcu, który natychmiast zniknął. Była pewna, że Herkules w kilku rębaczy, których miał z sobą, podoła garstce najezdników; postanowiła zwlec nieco w nadziei, że Adama pochwycą.

— Słuchaj! rzekła do stojącego w progu: umknąłeś śmierci... podpisz rozwód i uchodź z kraju; życie ci daruję i ścigać nie będę, a na drogę dam... No? co ci zapłacić?

Pan Adam podniósł znowu pistolet i zmierzył; nie drgnęła, uśmiechnęła się tylko.

— Nie zabijesz mnie—rzekła—wiesz, że toby ci bezkarnie nie uszło. Nie strasz mnie, bo się nie boję. Mów, czego chcesz? Przyszedłeś jak zbójca, obedrzéjże, to ci przystało.

Adam się wstrząsnął, i byłby może popełnił zbrodnię, bo krew w nim zakipiała, gdyby w téj chwili hałas na dziedzińcu nie odwrócił jego uwagi. Kaszte-

lanowa porwała się domyślając Matyasza; ale próżno szukała sposobu powstrzymania męża, który z pogardą odwrócił się od niéj, i powrócił śpiesznie do swoich. Ciągnął go Baltazar co żywiéj, gdyż obudzony Matyasz z rębaczami i czeladź dworska już garstkę szlachty siedzącą na koniach obstępowali, wyzywając na rękę... Nie pora było się potykać; co żywiéj dosiedli koni, które w pogotowiu stały, i powoli zaczęli wyjeżdżać z dziedzińca. Widząc ich uchodzących, Matyasz jął nacierać, świsnęło parę wystrzałów, które nikogo nie raniły, a cała czereda wydobyła się szczęśliwie, nim potrafiono wrota zatrzasnąć, i dostawszy się w pole, wolnym kłusem pojechała na gościniec. Tu już ich dogonić było nie podobna; kule od dworu świstały w powietrzu, ale nie dosięgały nikogo. Szlachta jakby na szyderstwo, kłaniała się czapkami stojącym we wrotach. Z okna otwartego widać było Krystynę z rozpuszczonym włosem, gniewną, wyrzucającą swoim obrońcom niezdarność i opieszałość.

— O! już sobie pani dobrodziejka mów co chcesz, jam tu nic nie winien! zawołał Matyasz. Dyabełby się ich mógł spodziewać! A czemu mi JPani nie powiedziałaś, że go w pajęczynie zamknięto, nie w murach, i że ma tu przyjść na „dzień dobry!“ Bylibyśmy porządną uczynili zasadzkę, i do nogi ich wytłukli... Trudnoż było taką niespodziankę odgadnąć!

Scena ta mściwą kobietę obeszła mocniéj, niż z razu jéj saméj się zdawało. Zostać tak zwyciężoną z naigrawaniem, z pogardą, przechodziło siły cierpliwości... poczęła od gniewu, skończyła na płaczu. Złajawszy szlachtę, która zaraz rozgniewana rozproszyła się przeklinając, kazała kasztelanowa konie zaprzęgać, aby do domu rychło powracać; ale nim tłómoki spa-

kowano, dostała spazmów, boleści dziwnych, konwulsyj. Chciała biedz pieszo za Adamem, aby mu oczy wydrzeć, rzucała się, łajała, rozpędziła, co koło niéj było i legła bezsilna na łoże. Tymczasem Platon Serduszko, wszystko, jak mu się zdało, w najlepszy sposób urządziwszy w Brześciu, gdzie o ucieczce ukrywanéj nikt jeszcze nie wiedział, z dobrą miną powrócił do kasztelanowéj, zacierając ręce... Bryczka jego zatoczyła się przed dwór, gdy Krystyna właśnie z płaczu i desperacyi położyła się była, w gorączce, szląc po doktora... O tém, co tu zaszło, mecenas nie wiedział wcale, i wszedłszy do pokoju uśmiechnięty, kłaniał się wesoło; gdy słowa mu na ustach zamarły na widok pani, podobniejszéj do furyi piekielnéj niż do kobiety.

Nie wiedząc o niczém, nie mógł wpaść na żaden domysł.

— Cóż się tu stało? zapytał.

— Stary niedołęgo, precz mi z oczu! krzyczała kobieta. Wszyscyście zdrajcy, przekupieni... podli; daliście mu ujść, dozwoliliście mu pastwić się nademną; ale ja się na was wszystkich pomszczę! ja was zetrę na miazgę i proch... ja...

Usta jéj okryły się pianą i wpadła w śmiech serdeczny przerażający. Platon struchlał. Sądził, że oszalała. Był pewien, że więźnia zostawił w Brześciu, widział jak od niego wynoszono śniadanie spożyte... najmniejszego śladu ucieczki nie było nigdzie. Dopiero nądchodzący sam jeden już w odzieży podróżnéj Matyasz opowiedział mu co tu się przytrafiło; prawnik załamał ręce i pobladł.

— Mnichy nas zdradzili—rzekł—ani chybi! Do niéj nie ma już co gadać, baba oszalała ze złości; pono

trzeba się wynosić. Ale o wynagrodzenie trudów, ba i obelg, swojego czasu upomnieć się potrafimy... tylko się jéj trzeba dać wysapać. Sama ona tę sprawę będzie musiała zacierać.

Jeszcze w Brześciu Jermaszka dochowywał tajemnicy i zjadł obiad za kasztelana, gdy pod wieczór gwar powstał w klasztorze... Nadjechał Platon, pobiegł do starosty, zbiegli się wszyscy do baszty strzeżonéj pilnie, aby się przekonać co się i jak z więźniem stało.

U drzwi pachołek ze starą rusznicą chodził bardzo pilnie... wewnątrz na łożu zastali Jermaszkę, który nogi na poręcz założywszy spał... Rozbudzono go w sposób niegrzeczny... śladu kasztelana nie było.

— Co ty tu robisz?—ofuknął podstarości sługę—gdzie delikwent?

— Albo ja wiem! rzekł Jermaszka. Od rana na niego czekam... wszakże go straż wzięła i powiodła do sądu?

— Kiedy? jak?

— W nocy!... dodał sługus, udając głuptaska.

Popatrzali mu w oczy, ale choć Jermaszka nie był zaiste dowcipny, i miał minę stworzoną na udawanie głupoty prostakowatéj, gdy chciał jeszcze z nią się popisać, to go najpodejrzliwszy z ludzi nie posądził o kroplę chytrości. Zaczęto go dopytywać,—on tymczasem jadł chleb, odpowiadając trzy po trzy, żuł, głową obracał, włosy targał... widząc go więc całkiem obałamuconym na umyśle, dali mu pokój. Spytał ich jeszcze, ciągnąc za rękawy z kolei, czy może sobie iść? a dostawszy odpowiedź, żeby do licha ruszał, zabrał manatki i wysunął się tak w duszy szczęśliwy i spokojny, że mu się aż z tego szczęścia płakać chciało.

Po doznanych wrażeniach, kasztelan potrzebował spoczynku. Uwieźli go też przyjaciele w zgoła nieznaną okolicę i tam u znajomych na ustroni, zostawili, dając mu inne nazwisko i tytuł, pewni, iż go tam szukać nie będą.

Gorzéj było z Krystyną, którą gniew, upokorzenie, zajadłość o mało na razie nie udusiły. Posłano po lekarza do Kodnia, a tymczasem użyto wszelkich środków kobiecych na pohamowanie rozdrażnienia. Po gwałtownym wybuchu, wpadła ona w rodzaj gorączkowego snu niespokojnego, potém w osłabienie, w którém ją doktor znalazł; ale oprócz drobnych ostrożności i łagodzących napojów nic przepisać nie mógł. Trzeba było zostawić czasowi resztę.

Nadbiegli krewni, którym dano znać śpiesznie o słabości, przywieziono tylu lekarzy, ilu ich być powinno przy łożu znakomitéj osoby, która ma ducha wyzionąć. Żaden z nich jednak nie mógł ani rozpoznać rodzaju choroby, aby ją uklassyfikować, ani domyślić się coby na nią czynić wypadało... Większość utrzymywała, że wywiązała się gorączka tyfoidalna, oczekiwano przesilenia, ale zamiast niego przyszło ostateczne przesilenie życia... śmierć.

Krystyna umierała bezprzytomna, w gniewie i namiętności dzikiéj, z pianą na ustach, rzucając się i usiłując jakby walczyć przeciwko przeznaczeniu, które ją ze świata pokonaną, upokorzoną ściągało przed czasem...

Pomimo tego, na wspaniałym pogrzebie, dwie mowy przez najpierwszych kaznodziejów wyrzeczone sławiły jéj wielkie cnoty i rozum statysty, a publiczność, która nieboszczki nie znała, rozeszła się z przekonaniem, że kraj poniósł stratę nieodżałowaną w jéj osobie.

O spadek po Krystynie rodzina miała spór żwawy bardzo, który się przecię szczęśliwie zgodą i podziałem majętności dał ukończyć; został był bowiem w zapomnieniu nieodwołany testament uczyniony w chwili jakiejś serdecznego uczucia dla kasztelana, który większą część dóbr jemu przekazywał. Ta wola ostatnia, mimo zmian zaszłych w stosunkach małżeńskich i prywatnych niweczących ją układów, była prawomocną, co gorsza w akta wniesioną i do obalenia trudną. Potrzeba było prowadzić proces skandaliczny, pamięci nieboszczki uwłaczający, aby obalić to rozporządzenie; sam jednak kasztelan, jak się zaraz dowiemy, troskę tę zdjął z głowy familii, gotowéj już nawet na wystąpienie z krzywdzącą sprawą po trybunałach, byle dóbr z rąk nie puścić. Spadkobiercy budowali wspaniały grobowiec dla kasztelanowéj z łacińskim regestrem jéj cnot, ale woleli tym cnotom przez proces zaprzeczyć, niż majątku się wyrzec.

Naiwniejsi z nich tłómaczyli się, że to była pamiątka ich rodu, któréj pozbyć się nie godziło. Na ten raz wszakże nie groziło tak wielkie, jak sądzili, niebezpieczeństwo.

Pan Baltazar odwiózłszy na wieś i ukrywszy synowca, sam w towarzystwie Kaspra i kilku przyjaciół udał się do Brześcia, wezwał prawników, i poczyniono natychmiast kroki o przesądzenie na nowo sprawy kasztelana o zabójstwo Francuza. Nie byłoby to poszło tak łatwo, gdyby nie słabość Krystyny, która właśnie na ten czas przypadła; można więc było najprzód glejt otrzymać dla bannity, potém zająć się rewizyą procesu. Nim to nastąpiło, kasztelanowa umarła i testament zapomniany na jaw wyszedł. Nie chciał z niego korzystać wcale pan Adam, a prawnik, któ-

remu cała robota powierzona była, ułożył się w ten sposób, że rodzina w zamian za rezygnacyę spadku, obowiązała się dekret ferowany skassować, a nowym zupełnie z zarzutu rozmyślnego morderstwa kasztelana oczyścić. Był tedy wilk syty i koza cała.

Sam prawie nie wiedział pan Adam, jak go przywieziono do nieznanego mu szlacheckiego dworu, i rozebrawszy położono na łóżko, aby spoczął... Po doznanych wrażeniach, przebytych wypadkach, zajrzawszy w oczy śmierci, czuł się złamanym i pognębionym... Przyszłości żadnéj nie widział przed sobą; życie nie miało dla niego ani celu, ani smaku. To za czém się uganiał dawniéj, dziś wydawało się niedostępném; nowe pragnienia zrodzić się w sercu nie miały czasu: poddał się więc machinalnie temu co z nim czynić chciano, bez myśli, bez uczucia, wrąc tylko jeszcze resztkami niedogorzałéj zemsty, która jak burza uchodząca niekiedy piorunem dalekim spokój odrętwienia mieszała... Niedobrze się nawet rozpatrzył gdzie był, i gdy go niemego ze znużenia, rozebrano i kazano mu spoczywać, legł z razu nie mogąc usnąć, w jakimś półśnie gorączkowym, który się wkrótce zmienił w głębokie letargiczne uśpienie.

Nie zbudził się z niego, aż nazajutrz rano, i gdy oczy otworzył, z początku trudno mu było zebrać myśli i rozeznać gdzie się znajduje. Musiał z kolei przypominać sobie wypadki przeszłe, aż nareszcie zrozumiał, iż gdzieś w bezpieczném znajduje się ukryciu. Czasu wszakże upłynionego rozrachować nie mógł, i nie zdawał sobie sprawy, czy dzień był jeszcze ten sam, którego tu przybył, czy noc go już od niego dzieliła. W pokoju było ciemno prawie, okiennice zawarte; przez wykrojone tylko w jednéj z nich serce wpadał

promień szeroki światła, w którego jasności tysiące różnorodnych pyłków igrały. Rozeznał poźniéj izbę całą porządną, wiejską, skromnie, ale staréj zamożności sprzętami zastawioną. Widocznie była to gościnna komnata dla przybyłych dostojniejszych przeznaczona, łoże z kotarą, daléj szafy staroświeckie misternie wyrabiane, para kufrów gdańskich z błyszczącém okuciem, stół dywanem okryty, kilka starych obrazów na ścianach. Chociaż powierzchowności domu, do którego był zawieziony, już sobie nie przypominał, mógł się domyślać po nieco wypaczonych ścianach drewnianych, dobrze zachowanego, ale już nie dzisiejszego budynku. Na pułapie gruby tram wychylony nieco miał wyrznięty rok, na który padające światło dawało rozeznać datę 1694 i napis:

„Benedictus qui aedificat in Domino.“

Nad łożem wisiał Chrystus rękami obiema otwierający ranę boku swego, jakby ją ludziom ukazywał; obraz ten mimowolnie przypomniał kasztelanowi Wólkę Brzozową, rodziców, przeszłość i wszystko stracone... Cofnął się myślą, aż do chwili w któréj tak płocho porzucił ich, aby gnać za marą jakiegoś szczęścia, składającego się z urojonych blasków. Zdało mu się na chwilę, że całe pasmo ciężkich wspomnień jest snem, że stoi jeszcze u fórty kościoła w Białéj, i uciec chce na widok tego powozu, przywożącego mu zamiast szczęścia, upokorzenie i zgryzoty. Przesuwały się z kolei przed jego oczyma wszystkie przygody lat młodości, a żadna z nich nie zagoiła ran zadanych, żadna nie przyszła z balsamem pociechy. Targały tylko i szarpały piersi. Gdy śladem przeszłości dobiegł, aż do tych chwil ostatnich i groźby śmierci zawieszonéj nad swą głową, westchnął ciężko,

i zdziwił się mocno, usłyszawszy po za sobą w stronie drzwi odpowiadające jego westchnieniu, drugie acz mniéj głośne i wyraźne. Porwał się z łoża, i podnosząc się spojrzał w ciemności, w których nierychło rozeznał twarz uśmiechniętą poczciwego Jermaszki. Zobaczywszy pana, który się był podniósł, sługa przystąpił na palcach i począł go po rękach i po nogach całować, z taką radością, z takiém uczuciem, że i kasztelanowi zasklepione otwarło się serce. Pocałował go w głowę, szepnął cicho:

— Tobiem winien swobodę... niech ci Bóg szczęściem płaci... Czém ja ci zawdzięczę?

— Bylebyś ono panisko moje był sam szczęśliwy, to już mnie patrząc na cię będzie dosyć, bylebyśmy do Wólki powrócić mogli i spoczywać nie obawiając się niczego, mnie tam niewiele potrzeba.

— Późno to już? spytał kasztelan.

— A no, około południa ma się, odparł Jermaszka.

— Ani wiem gdzie jesteśmy, dodał pan Adam.

— W przyjacielskim pokrewnym domu, u pana wojskiego Szeremy.

— Nie znam go.

— Tak, wy go nie znacie, ależ to babce jegomościnéj krewny, niby dziad jegomości wypada... stary, zacny człowiek, innego czasu. Zobaczy go pan i pokocha... Mnie on przypomina nieboszczyka. Wszyscy go szanują, domator, ale mówią, że taki rozumny i stateczny człek jak rzadko. Dosyć też spojrzeć na niego, aby szanować, taki to człek wspaniały.

Tak rozmawiając, Jermaszka przemknął nieco okno, popchnął okiennicę, i światło jasnego poranku letniego wpadło nagle do pokoju, rozświecając wszyst-

-kie jego kątki. Izba wydała się zaraz inaczéj niż w półmroku, weseléj i miléj. Z niéj jednéj można było się domyślać domu, w którym pokój niezamącony mieszkał.

— Jakże to tu cicho a dobrze! rzekł kasztelan ubierając się co żywo.

— I bezpiecznie jak u Boga za piecem, dodał sługa. Tu już nieprzyjaciele nie zwietrzą pana, i spocząć sobie możemy, póki lepsze dla nas nie nastaną czasy, co rychło nastąpić musi, bo tam już Baltazar i Kasper i drudzy około tego zawzięcie chodzą.

Ubrawszy kasztelana, który w zwierciedle weneckiém przejrzawszy się, ledwie sam się mógł poznać, tak był blady i mizerny, Jermaszka pobiegł po kawę. Ledwie ją przyniósł, gdy w sąsiednim pokoju powolne kroki i stukanie laską po podłodze słyszeć się dało. Kasztelan łacno domyślił się gospodarza. On-ci to w istocie pokazał się wkrótce we drzwiach otwartych, a był starzec wielce poważny. Nie owego wieku człowiek, innych czasów pamiątką i świadectwo. Wojski urodził się w tym roku, gdy Jan III na tron wstępował, miał z górą lat sto, czemu drudzy nie wierzyli, a jeszcze ani słuchu, ani wzroku, ani sił umysłu nie stracił. Postać to była jakby z obrazu zdjęta, mąż do stalowéj zbroi, ogromny, barczysty, choć wychudły, kośćmi wszakże olbrzymio wyglądający.

Wisiała na nich skóra pomarszczona jak pergamin połamany i wyżółkły, ale z oczu siwych, wielkich, zbielałych, jeszcze tryskało życie... Brodę miał białą jak śnieg, długą do pasa, głowę łysą, pokrytą czapeczką czarną, na sobie ubranie letnie płócienne, pod-

pasane rzemieniem ze sprzążką stalową i różańcem. W dłoni potężnéj i krzepkiéj niósł kosztur gruby, którym się podpierał, bo mu już nogi były posłuszeństwo wypowiedziały i suwał niemi nieco. Na długiéj szyi chwiała się nieco głowa śpiczasta z twarzą owalną, łagodnego, ale poważnego zarazem wyrazu. Nad oczyma siwe brwi duże; na wardze górnéj wąs gruby, zawiesisty. Ludziom wypieszczonym owego wieku ten starzec wydać się mógł jakby widmem z grobu powstałem.

Wojski w progu otwarłszy drzwi zastanowił się nieco, popatrzał, potém podszedł parę kroków ku kasztelanowi, który na jego spotkanie pośpieszył.

— Witajże mi mój wnuku!—rzekł—choć w nieszczęśliwych okolicznościach do domu mojego zbiegły, dobrze, że cię stare oczy zobaczą, a stare ręce pobłogosławią. Dawno już nikogo ani z bliższéj, ani z dalszéj nie oglądam rodziny, żyję z nieboszczykami więcéj niż z żywymi, którzy już mnie, ani ja ich nie bardzo rozumiem. Ha! ha! nie dzisiejszegom też wieku...

Jermaszka podstawił krzesło, na którém starzec usiadł.

— Pij waszeć i jedz, rzekł do kasztelana: wy teraz ludzi niemateryalnych udając, napojem i jadłem gardzicie: ale to fałszywa nauka, mości panie. *Mens sana in corpore sano...* trzeba jeść nie do zbytku, ale tyle, aby mieć siły. A waszeć pono dużo spoczynku potrzebujesz i odżywienia. Rad jestem, żeś tu przytulił się do starego, u którego możesz siedzieć bezpiecznie i przeszłość wydychać. Nikt tu nie zajrzy do mnie, oprócz tych, za których ręczyć mogę, że nie zdradzą. Oprócz mnie też, i biednéj mojéj sierot-

ki Madzi, przy któréj panna Katarzyna, nikogo więcéj w domu. Z mężczyzn jam tu sam jak stary dąb na pogorzeliskach leśnych, osmalony, stoję póki się burzy nie podoba przyjść i wywrócić. Dużom przeżył, a dla serca aż nadto: żonę, syna, córkę... ze wszystkich mi tylko jedna została Madzia, ostatnia latorośl zielona, która i mnie odmładza swoją świeżością. Zobaczysz asindziéj to smętne gospodarstwo starca, gdy zechcesz, bo cię nudzić nie będziemy: możesz czynić co ci się podoba, a uważać się nie jak w krewnym domu, ale jakby u siebie. Zapragniesz samotności, nikt ci jéj nie zmąci; zechcesz gaduły starego, będziesz go miał, bo mnie i sen nie bierze, i roboty żadnéj, więcem szczęśliwy gdy kogo ułapię.

Mówił tak, a kasztelan wpatrując się weń, podziwiał tę krzepką starość i cudowną powagę starca, w którym jeszcze przy niéj więcéj było ognia niż w wielu ówczesnéj młodzieży. Starzec przemówiwszy, a nie rozpytując natrętnie, powstał, ujął swój kij i skierował się ku drzwiom.

— Ale, ale! dodał: u nas za godzinę obiad, możebyś przyszedł jeść z nami, to ci tu oznajmią. Życzę cię mieć razem, a po staremu powiem, że człek samotnie jak zwierzę jeść nie powinien. Nie darmo się zawsze ludzie do pożywania darów bożych w kupkę u ogniska zbierali: tak ono przystojniéj, lepiéj i zdrowiéj. Przyjdzieszże do nas?

Kasztelan przystał na to, a wojski wysunął się do swoich pokojów powoli. Pan Adam został z myślami. Ani się spostrzegł potém, jak zadzwoniono do obiadu, i Jermaszka mu oznajmił, że do stołu podają.

Przy izbie, w któréj mieszkał pan Adam, była ob-

szerna sala, która może niegdyś służyła na przyjęcie liczniejszych gości, cała zawieszona antenatów wizerunkami; daléj był pokój zaciszniejszy, do którego się schodziło parę wschodów, bo ta część domu starsza jeszcze była od owéj, w któréj kasztelana pomieszczono. Sala i pokój zwały się nawet przybudówką.

Była to komnata dla gości, przybrana w sprzęt nieco wytworniejszy, kilka obrazów zczerniałych i trochę kwiatów; za nią teraźniejszy pokój jadalny widać było... stół nakryty... miejsce dla starca krzesłem wygodniejszém oznaczone.

Za drugiemi drzwiami otwartemi w pokoju sypialnym wojskiego, kręciło się kilka osób... Tam aż poszedł kasztelan.. i w progu zdziwiła go uroczéj piękności dziewczynka młodziuchna, w towarzystwie podżyłéj osoby, krzątająca się około staruszka. Właśnie mu z uśmiechem podawała jego kosztur, gdy kasztelan się ukazał.

— Ot patrz aść, jak to ten trzpiot, panna Magdalena... a ma niby lat już szesnaście, choć takie z niéj dziecko... prezentuje się panu... żartując sobie ze starego dziadunia... Ślicznie! ślicznie! co to ludzie pomyślą, widząc cię bawiącą się z podporą mojego niedołęztwa, z kijem?.. Dawaj-no acanna mój dziadowski kosztur, dawaj, bo bez niego nie wstanę.

Madzia postrzegłszy wchodzącego kasztelana, o mało nie upuściła kija z rąk; zapłoniła się strasznie, zaśmiała i uciekła do kącika.

— Ponieważ już — rzekł wojski—ten trzpiot się zaprezentował z całém swém trzpiotowstwem od razu, dopełnię ceremoniału przedstawiając WPana pannie Katarzynie Smolskiéj, naszéj kuzynce i dobrodziejce,

która oto tego wisusa dziewczynę tak źle wychowała... Ale ona temu nie winna, bo to się już na łotrzyka urodziło.

— Ale dziaduniu! szepnęła rumieniąc się jasnowłosa.

— Tak! tak! chciałabyś się acanna przed nieznajomym krewnym zamaskować i udać coś poczciwego; ale to nie uda się... nie uda: od razu wie już co z ciebie za rybka.

Panna Smolska, poważna do zbytku, sztywna, sucha, żółta, straszna jak długo kwaśniejąca w panieńskim stanie osoba... dygnęła kasztelanowi; dzieciak zarumieniony zbliżył się także, a wojski ująwszy kij, poprowadził do stołu, przed którym stał już Ojciec Anioł Bernardyn, kapelan domowy. Nastąpiła benedykcya stołu, i wszyscy usiedli. Wojski w swojém krześle, przy nim po prawej panna Katarzyna, po lewéj pan Adam, przy pannie Smolskiéj Madzia, przy kasztelanie ksiądz, naostatek ekonom zamaszysty, siwiejący, ale rumiany mężczyzna.

Będąc umieszczony naprzeciw Madzi, kasztelan mógł się wielce wdzięcznemu dziecku przypatrzyć. W istocie, ładna była na podziw, ale tą pięknością wiejską, prostą, wonną, wiosenną, jakiéj pan Adam prawie dotąd w życiu nie spotykał. Była ona dla niego nowością, dzikim kwiatkiem na łące, oblanym rosą poranną i wykwitłym na świeżém powietrzu.

Piękne regularne rysy dziewczęcia oblewał wyraz niewinnego wesela, który się nie spotyka w miastach nawet na twarzach czternastoletnich panienek, już bogatych w doświadczenie, już osmutniałych i pobladłych, bez świeżości i krasy. Madzia wprawdzie przy swych latach szesnastu była na umyśle dojrzałą i rozwiniętą, ale nie kosztem serca i uczucia, które

w niéj jeszcze pozostało nietknięte. Umysłowi nawet jéj ta młodocianość i naiwność nadawała pewną cechę oryginalną, wielce ujmującą. Ukryta w tym kątku wiejskim, przywykła do dziadunia i swéj panny Katarzyny, nie znając świata i form jego, resztę też ludzi nawykła tak uważać i tak się z nimi obchodzić, jak z rodziną.

Na kasztelanie to biało-różowe zjawisko uczyniło wrażenie dziwne, jakby nieprawdopodobna sielanka poety; patrzał na nią zdumiony... Wkrótce jednak poważniejsze a smutniejsze myśli odciągnęły go od tego widoku, przenoszącego w świat dla niego nieznany, przypominającego mu jeszcze lata szkolne i te dziewczątka, które naówczas spotykał z uśmiechem na ustach na ulicach miasteczka. Począł przypominać sobie, ile przebył? co nad nim ciężyło? i rany serca otwarły się na nowo. Obiad przeszedł w milczeniu, które tylko gawęda wojskiego z Bernardynem przerywała. Mówili o tysiącu rzeczy obojętnych, powszednich, które sobie tysiąc razy może w różny sposób powtórzyli, a które dla nich zawsze były zajmujące.

Madzia jak w tęczę wlepione miała oczy w kasztelana... Doleciały do niéj dziwne wieści o tym człowieku, podsłuchała szepty o nim staruszka i panny Smolskiéj, i patrzała nań z jakimś strachem, ale razem z zajęciem wielkiém. Po obiedzie dziaduś się zdrzemnął, a kasztelan cicho odszedł do swego pokoju... Wieczorem przyszedł na wieczerzę... ale choć dziewczę przypatrywało mu się... ani on do niéj, ani ona do niego przybliżyć się nie śmiała.

Spokój wiejski wkrótce wzburzoną ukołysał duszę... Kasztelan uczuł się prawie szczęśliwym wśród téj ciszy; długie dni spędzał na myślach o życiu własném,

a wreszcie wziął się do książek, których cała szafa stała w jego pokoju. Księgi to były po większéj części stare polskie i łacińskie, do jakich on nigdy w życiu nie zaglądał, z rodzaju tych, które za Stanisława Augusta wyrzucano z bibliotek modnych dla opróżnienia miejsca na Encyklopedyę i romanse francuzkie, a które dziś na wagę złota się opłacają. Nie smakował w nich kasztelan, ale nuda zmusiła go zapoznawać się z niemi i poważniéj myśleć czytając.

Tak przeszedł czas aż do chwili, w któréj mu doniesiono, że pani Krystyna zmarła, i że testament jéj czynił go części majątku pozostałego dziedzicem. Ani na chwilę nie zawahał się pan Adam z odrzuceniem tego daru, zgodził się tylko, aby w zamian za niego familia postarała się o nowe przesądzenie jego sprawy i odwołanie wyroku wiszącego nad jego głową. Rodzina ofiarowała sama przez pewną dość znaczną summę dodatkową, niby wartość dóbr, które przy sobie zatrzymać pragnęła, ale kasztelan podziękował, zapewniając, że nic od nich nie przyjmie.

Tak odzyskawszy wolność, pan Adam, gdy już mógł opuścić dom wojskiego, pozostał w nim jednakże na dłużéj. Panna Smolska uśmiechając się czyniła uwagę, że spogląda bardzo na Madziunię. Chociaż był wdowcem i różne o nim wieści chodziły, a panienka mogła się młodszego męża i kawalera spodziewać, jakoś na to nie zbyt niechętnie poglądano. Wojski milczał, gdy go o to zręcznie zaczepiała panna Smolska, tymczasem człowieka badał. Nie wiem na jakich podstawach oparł swój sąd o nim; lecz jednego ranka, gdy panna Katarzyna, siadłszy blizko przy fotelu staruszka, szepnęła mu w ucho:

— Mój mości dobrodzieju, niech-no pan dobrze się

przypatrzy, on i téj dziewczyninie powoli głowę zawraca! Widzę jak Bóg miły, że ona z niego oczu nie spuszcza; pobladła, a dopytuje tylko kiedy myśli odjeżdżać? Nie zarzucę ja panu kasztelanowi, żeby się o bałamucenie starał, ale czasem od takich ludzi i spojrzenie niebezpieczne...

— Co to asindźka nazywasz: takich ludzi? ozwał się po chwili wojski surowo. Kasztelan miał młodość burzliwą, no tak, ale na mężów i gospodarzy często ludzie, co różne i ciężkie koleje przeszli, są najlepsi: garnki to wygotowane, od piérwszego ukropu nie pękną. Nie jest też tak stary, sam wiek właściwy do małżeństwa. Był trochę płochym, ale w oczach się zsiada. Patrz tylko asindźka z dnia na dzień, co dzień inny: pokazął się szlachetnie z sukcesorami swéj nieboszczki żony.

— Ale wdowiec mój mości dobrodzieju... a to dzieweczka.

— Dalipan to przesąd, moja dobrodziejko—rzekł wojski,—i gdybym się nie obawiał jéj zarumienić—dodał—powiedziałbym, że wszyscy kawalerowie, co się żenią, są nieraz po dwa i trzy razy wdowcami, choć wy o tém nie wiecie, i świat udaje, że nie wie. Zresztą—dorzucił stary—ani temu przeszkadzać, ani do tego nakłaniać nie należy; stanie się jeżeli taka wola boża, lub się nie stanie. My możemy ignorować, i powinniśmy udawać, że się nic nie wie. Co się tycze Madzi, jeżeli to tylko fantazya dziecinna, to po wyjeździe kasztelana... zapomni. Śpij asindźka spokojnie.

Po kilku dniach kasztelan serdecznie podziękowawszy za przytułek, wyjechał do Wólki Brzozowéj, gdzie go przeprowadził, przybyły po niego pan Baltazar,

a szlachta z całego sąsiedztwa zgromadziła się na przyjęcie. Pomimo tak mnogiego towarzystwa, smutny to był wjazd do téj pustki pełnéj dotkliwych, bolesnych wspomnień; a gdy p. Adam wszedł do pokoju, w którym wisiał Chrystus, łzy mu pod powiekami zabłysły. Za niego i za siebie wesół był Jermaszka, który jak utrzymują, dnia tego w dziedzińcu z kuchcikiem obertasa dwa razy się okręcił. Stary przyjaciel domu Dyogenes Kapustyński przybył tu także ze skrzypką, uśmiechnięty poważnie, ale mimo tego z tęsknotą na czole, którą je wspomnienia powlekły.

Dzień to był dla Wólki zaprawdę uroczysty i pamiętny, ta installacya nowego dziedzica, niedawno ztąd wiedzionego na śmierć, teraz spokojnie zajmującego starą dziadowską siedzibę. Kasztelan w czasie całego dnia dziwnie był smutny, rozpłakał się do łez dziękując krewnym i przyjaciołom, którzy go ocalili, poczém nalał kieliszek i poleciwszy przywołać Jermaszkę, odezwał się w te słowa:

— Panowie a bracia, pozwólcie, abym oddawszy wam wdzięczność i cześć należną, wypił za zdrowie przyjaciela, który mnie nie odstąpił w nieszczęściu, który mi był bratem gdym brata nie miał, radą gdym został bez rady, dobroczyńcą, co dla mnie narażał się, cierpiał i któremum winien tyle co i wam... Sprawiedliwa rzecz...

— Sprawiedliwa i poczciwa! ozwali się wszyscy.

Kasztelan podszedł do Jermaszki, ucałował go i uściskał, i do stołu na szarym końcu posadził. Nie potrzebuję mówić, że Jermaszka się upłakał, padł mu do nóg, a z miejsca wkrótce wstawszy, poszedł stać za krzesłem swojego drogiego pana.

Przemawiał od kielicha i Kapustyński z długą pe-

rorą, i pan Baltazar, i starosta hański, a jak to u nas nieraz bywało, ba i dziś się dzieje, poszły kielichy kołem jedne po drugich aż do białego dnia.

Pozostawszy sam kasztelan, po tygodniu smutnych rekollekcyj, które tylko Jermaszka i Baltazar nieco ożywiali, puścił się za Bug do pana wojskiego, gdzie go z wielką przyjęto radością.

— Szanowny ojcze, jeśli mi cię tak nazywać wolno—odezwał się p. Adam do niego—pragnąłbym mieć twe zdanie i radę do dalszego pokierowania się na świecie. W Wólce, gdzie tyle wspomnień bolesnych mieszka ze mną, pozostać mi trudno.

Starzec zwrócił ku niemu oczy.

— Hm! ozwał się—wszakże siedzimy na grobach, to dola człowieka.

— Życie też—mówił daléj p. Adam—nie w smak mi, nie wiem co począć z sobą. Zda mi się, że kto jak ja nieszczęśliwie sobie poczynał, kierując się własną wolą, ten się jéj wyrzecby powinien. Umyśliłem wstąpić do klasztoru.

Wojski uczynił taką minę, jakby go to dotknęło niezmiernie.

— Co asindziéj mi prawisz, panie kasztelanie? rzekł—co? co? Do klasztoru!.. Waćpan?

— Ale dla czegożby nie? rzekł p. Adam. Wiadomo, że z takich to rozbitków złożone są monastery, i zawsze były schronieniem rannych na duszy.

— Ono to tak! ono to tak! zawołał wojski stukając koszturem — ale... ale... nim się zakapturzy, potrzeba się dobrze z siłami rozrachować.

— Jam się też rozmyślił, rozważył i zbadałem serce moje: nigdzie mi lepiéj być nie może.

— Ba! a ja myślałem—rzekł wojski—iż się asindziéj ożenisz?...

— Nie, odezwał się kasztelan: nie chcę niewinnéj kobiety czynić współuczestniczką resztek życia, czucia, zgryzot moich, smutku... Onaby poświęcić się mogła, ale byłaby nieszczęśliwa ze mną.

— Kto to asindziejowi powiedział?

— Sumienie, panie wojski! sumienie.

— Chcesz WPan rady méj—przerwał starzec—prawda? a posłuchasz jej?

— Posłucham.

— Otoż ci powiadam: rok masz czekać jeszcze, jeździć, patrzeć, z ludźmi żyć,—a po roku, gdy ci się spodoba klauzura i tonsura... a no! niech się stanie wola boża, ja ci nic nie powiem.

Kasztelan przyzwolił na to milczenie.

Chociaż część życia pana Adama O..., któréj dotykamy teraz, jest nieco bliższa naszych czasów, braknie nam jednak dokładniejszych o niéj wiadomości. Opowiadania, na których się opieramy, nagle przerywają się, stają wątpliwe, nawet sprzeczne z sobą.

Po mnogich latach widzimy Wólkę Brzozową w posiadaniu innéj linii rodziny O... trzyma ją bratanek pana Adama, syn starszy pana Kaspra. O kasztelanie ani słychu. Tymczasem z dosyć pewnych źródeł widzimy, że się ożenił z panną Magdaleną; ale jak wskazują metryki kościelne, żona mu bardzo prędko, bo w rok po ślubie zmarła; a w Berezie u Kartuzów wkrótce potém zjawił się nowicyusz, którego po cichu w okolicy wymieniano jako dawnego dygnitarza i kasz-

telana. Nie ma więc wątpliwości prawie, że to być musiał pan Adam, który w stracie młodéj żony widząc palec boży, wybrał najsurowszą regułę zakonną, aby za grzechy młodości odpokutować. Niedostatek szczegółów nie dozwala nam nic więcéj o dalszych losach rodziny powiedzieć. Z podań, które na ruinach Berezy Kartuzkiéj jeszcze przed niedawnemi laty obiegały, wiemy, że ojciec Romuald w późnéj umarł starości, i że obok domku, w którym spędził lata ostatnie, żył także drugi zakonnik jednocześnie z nim przybyły, towarzysz doli jego i niedoli. Domyślamy się w nim poczciwego Jermaszki. Grobowce obu zielskiem dziś i chwastami porosły; w okolicy wszakże krążą dotąd opowiadania dziwne o losach O. Romualda i Brata Brunona, z których tę powieść skleciliśmy.

KONIEC.

SPROSTOWANIE.

W tomie pierwszym, w opowiadaniu *Rzym za Nerona*, na str. 128, powtórzono przez omyłkę za pierwszém wydaniem: „Tezeusza i Andromedy,“ powinno zaś być: „Perseusza.“ Podobnież w końcu dzieła, zamiast mylnie powtórzonego za pierwszém wydaniem: „Lucyusz,“ powinno być: „Lelius z.“





